

J A R O S Ł A W
GRZĘDOWICZ

NA 0.757342

HEL 3

3.0160293

NT P2

fabryka słów®

Spis treści

Karta tytułowa

Rec.1

Rec.2

Rec.3

Rec.4

Rec.5

Rec.6

Rec.7

Rec.8

Rec.9

Rec.10

Rec.11

Rec.12

Rec.13

Rec.14

Jarosław Grzędowicz

Książki Jarosława Grzędowicza

Karta redakcyjna

Okładka

J A R O S Ł A W
GRZĘDOWICZ



Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Ta książka, podobnie jak wszystkie inne, zawdzięcza bardzo wiele bardzo wielu ludziom, ale szczególnie serdeczne podziękowania należą się dr. Leszkowi P. Błaszkiwiczowi z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, który spojrział na nią okiem człowieka znającego się na kosmosie, astronautyce i astrofizyce i udzielił bezcennych rad autorowi, wiedzącemu o tym niewiele. Wszystko, co wydaje się w tych kwestiach prawdopodobne i możliwe, ten tekst zawdzięcza Jemu, natomiast nieuniknione błędy i niedorzeczności są wyłączną winą autora, który nie wiedział, że czegoś nie wie, i nie zadał właściwego pytania.

Jesteśmy niebem dla księżyca.

~ Giordano Bruno

Rec.1

Dubaj, sierpień 2058



Coś się szykowało na mieście.
Podobno.

Siedział w podcieniu, skryty przed oślepiającym słońcem, sączył miętową herbatę, przeliczał w myślach topniejące oszczędności i czekał, aż w tłoczącym się w wąskich uliczkach tłumie ktoś zrobi coś szalonego.

Albo przerażającego. Albo w ogóle godnego uwagi. Cokolwiek.

Niech ktoś wysadzi się w powietrze, odbędzie pojedynek na miecze albo przynajmniej załaduje dwukólkę tak, by uniosła osła na dyszlu.

Cokolwiek, co na chwilę przyciągnie uwagę otępiałych i na wpół zahipnotyzowanych pożeraczy MegaNetu i zapewni mu 5K wejść. Po przekroczeniu tej magicznej granicy ockną się śledzące programy sponsorów i na jego wyschnięte konto zacznie ciurkać strumyczek eurosów.

Czekał.

Był gotów.

Przeciwsłoneczne ray-bany na jego stoliku nie przyciągały niczyjej uwagi. Efektowne, w lotniczo-włoskim stylu, wyglądały jak z kiosku Real Fakes na lotnisku w Rijadzie. Połowa mężczyzn w okolicy nosiła takie. Jego omnifon też nie wzbudziłby sensacji, nawet gdyby opuścił swoje miejsce przy pasku przysłonięty koszulą. Zaszytych pod skórą na grzbiecie dłoni i na karku wszczepów sprzęgu w ogóle nie było widać.

Gdyby cokolwiek zechciało się zdarzyć, musiał tylko założyć okulary i kilkoma czarodziejskimi ruchami dłoni obudzić przyczajone programy. A potem po prostu patrzeć i nie odwracać wzroku. Pozwalać, by to, co widzi, płynęło przez zielone szkła jego ray-banów i matową płytkę omnifona prosto do serwera, a potem w otchłanie MegaNetu, i stało się Wydarzeniem.

5K wejść.

To przecież nie tak dużo.

Nie tak jak pięć mega wejść. Przy takiej klasie iwentu i odpowiedniej dynamice oglądalności materiał natychmiast był wycofywany z Tuby i zastępowany okrojonym trailerem, a całość nagrania szła na aukcję, na żer największych portali informacyjnych. Ceny liczone w mega euro, a szczęśliwy łowca zgarniał nawet czterdzieści procent.

Tylko że nic się nie działo. Nic, co mogłoby aspirować do miana iwentu.

Dookoła kręcili się ludzie. Jedni w białych diszdaszach, z głowami okrytymi chustami, ściśniętymi czarnymi opaskami z grubych sznurów, w okularach podobnych do jego własnych, czasami nawet też wypchanych elektroniką, i tych nie należało się obawiać. Byli też starcy z rozwichrzonymi siwymi brodami, noszący koronkowe białe czapeczki w kształcie salaterki, człapali w swoich rozdeptanych sandałach, łypiąc przekrwionymi oczami byków i tropiąc grzech. Ci bywali uciążliwi, ale rzadko niebezpieczni. Dubaj na razie, w porównaniu z resztą Sunny, wydawał się oazą spokoju i tolerancji. Nikt nie potrzebował nawiedzonego dziadygi szarpiącego klientów i wyrzaskującego przekleństwa.

Należało natomiast uważać na innych brodaczy. Młodych albo w sile wieku. Tych, którzy nosili okręcone wokół głów kraciaste arafatki albo filcowe czapy w kaukaskim stylu. Stali na uboczu, zawsze w grupkach, i rozmawiali półgłosem, spoglądając zimnym, podejrzliwym wzrokiem. I jeszcze na tych o policzkach pokrytych miękkim, młodziutkim zarostem, który nigdy nie widział golarki, o obłąkanych oczach wypełnionych ledwo używanym, świeżutkim fanatyzmem prosto z medresy.

Był jeszcze typ smagłych, chudych szczurków w zbyt wielkich piłkarskich koszulkach Bayernu albo Realu, czasem w bejsbolówkach z wprasowanymi odtwarzaczami, nabijanych ćwiekami i srebrnymi płytkami i haftowanych w jaskrawe wzory. I na tych też trzeba było uważać, choć z zupełnie innych powodów. Munir należał do tej grupy. Munir, który za pięć kilo euro za informację twierdził, że „coś się szykuje na mieście”.

Więc siedział w cieniu, z ustami przepełnionymi aromatem sparzonej mięty i oblepionymi słodyczą, z okularami w zasięgu dłoni, i czekał.

Coś szykowało się na mieście, ale nie było to nic, co można by sfilmować i rzucić na żer bóstwom MegaNetu. Cokolwiek to było, kryło się pod powierzchnią.

Powietrze drżało od upału. Założył okulary i obudził je nieznacznym ruchem dłoni.

Czterdzieści jeden stopni. W cieniu. Wokół toczyło się hałaśliwe życie suku, przepełnione konglomeratem dźwięków, zapachów i kolorów. Co chwila przez tłum przeciskał się brzęczący silnikiem skuter, zużywający paliwa kopalne. Widok niebieskawej mgiełki spalin wydawał się niestosowny, zdumiewający i egzotyczny. Ropa wciąż była, tylko prócz Azji i Afryki nikt nie chciał jej kupować. W ciągu dwudziestu lat najbardziej zdumiewająca metropolia świata zmieniła się z rajy na ziemi w zwykłe, zrujnowane arabskie miasto. Mogli kąpać się w benzynie za nędzne dziesięć dirhamów za litr i to wszystko, co zostało z petrodolarowej świetności. Poobijane bentleye i rolls-royce'y, mercedesy z powybijanymi szybami i terkocące skutery, poprzerabiane na wózki dostawcze. To, i w miarę tani prąd, przez prawie całą dobę. W Europie, ściskanej za gardło doktryną zrównoważonego rozwoju, nawet to byłoby za wiele.

Z King's Meridian, w którym mieszkał, widział kryształowe wieże Mina Seyahi, strzelające w niebo nieprawdopodobnymi kształtami. Kiedyś cudo architektury,

oświetlane nocą jak klejnoty, dzisiaj straszące powybijanymi szybami, z utraconą w połowie gigantyczną iglicą Burj Khalifa, niegdyś sięgającą ponad osiemset metrów w niebo.

Kiedyś sądzono, że turystyka zastąpi ropę, tylko że nikt nie chciał jechać na wakacje w sam środek Sunny, gdzie można zawisnąć na dźwigu budowlanym albo zostać ściętym na placu za zbyt skoczny dzwonek w komunikatorze. Kilka emiratów, jak Dubaj, wciąż miało dość łagodne prawo, ale to się już kończyło. Na dodatek mało który Europejczyk mógł sobie pozwolić na podróż dalej, niż można zejść na piechotę.

W efekcie sztuczne wyspy na zatoce zmieniły się w pustynne wydmy sterczące z morza, straszące kikutami uschniętych palm i ruinami budynków.

Kiedy świat kupował ropę, mówiono, że wysysa bogactwa arabskiej ziemi, i rozpętano przeciw Wielkiemu Diabłu džihad. Kiedy przestał, dochody spadły na łeb na szyję, a džihad tamtych czasów okazał się kinderbałem w porównaniu z tym, co wyprawiano teraz. Otwarta wojna nie wybuchła tylko dlatego, że ani Północy, ani Sunny nie było na nią stać. Dubaj stał się jedną z wysepek względnego spokoju na oceanie szaleństwa i furii.

Targowisko wokoło pulsowało swoją zwykłą kakofonią. Zmieszanym hałasem arabsko-latynoskich przebojów, walczących z piskliwym łkaniem bollywood bhangra i vietdisco. Naprzeciw jego stoliczka sprzedawca dywanów siedział na schodkach swojego sklepu i pykał z sziszy, stanowiąc białą plamę spowitej w sięgającą ziemi diszdaszę sylwetki na tle misternie pstrokatej ściany, pełnej wijącej się mozaiki perskich wzorów, ręcznie wiązanych gdzieś w chińskim obozie koncentracyjnym.

Obok wzorzystego pojemnika nargili i zakurzonych butów sprzedawcy, na chodniku stał spodek ze szklaneczką herbaty.

Uniósł głowę i spojrzał przez szkła swoich ray-banów, lekkimi ruchami palców definiując matrycę wielkoformatową, wykadrował, ostrząc na zmarszczki na policzkach tamtego i jego starą, zamyśloną twarz, a potem zrobił zdjęcie. Obejrzał je kontrolnie i doszedł do wniosku, że intuicja go nie myliła. Fantastyczny kadr. Gestem dłoni wysłał je na swój prywatny adres i westchnął. MegaNet nie potrzebował fantastycznych kadrów ani „ślitaśnych foci”. Potrzebował iwentu.

A potem nagle coś się zmieniło. Subtelnie, jakby przez uliczki medyny przemknął powiew zimnego wiatru. W tle międzynarodowej muzycznej sieczki rozbrzmiały dzwonki komunikatorów i sygnały przyjęcia wiadomości.

Chórem. Wszędzie.

Ci, którzy mieli okulary, zatrzymali się nagle w pół kroku, odczytując zawieszony w powietrzu komunikaty, których nie widział nikt prócz nich. Inni zaczęli mówić półgłosem, odruchowo przyciskając palcem płatek ucha. Równocześnie sypiąca się zewsząd muzyka przycichała, ustępując miejsca świergotaniu dzwonek, jakby na suk spadła plaga elektrycznej szarańczy.

Coś szykowało się na mieście.

Poczuł wibrację kości policzkowej tuż przy uchu, a w powietrzu zawisły złote litery

głosząc: „Munir”.

– Cześć, Norbert, mój przyjacielu – powiedział Munir. Jego głos pobrzmiwał głuchym echem, jakby Munir przemawiał zamknięty w betoniarce lub, co bardziej prawdopodobne, w kiblu. Nie włączył wizji. – Wiem, kto, co i kiedy – ciągnął. – Wchodzisz, mój przyjacielu?

– Muszę wiedzieć, czy warto.

– Jak mówię warto, to warto. Dobry iwent. Numer jeden. Dziesięć kilo i pięć procent.

Poczuł, jak oblewa go gorąco. Jeszcze większe niż dotąd. Podmucha z samego rozżarzonego serca pustyni.

– Munir, pogięło cię.

– Nie pogięło. Wiem, co mówię. Biznes.

– Dziesięć kilo i koniec. To i tak dwa razy więcej niż zwykle.

– Iwent jest super. Sprzedasz do portali. Piętnaście i cztery procent.

– Co to ma być?

– Bracia Śmierci ujawniają się w Dubaju. Porwali Europejów. Będzie egzekucja.

Publicznie, na mieście. Spluną w twarz Europie i emirowi. Piętnaście i cztery procent? Czas to pieniądz, Norbert, mój przyjacielu. Cena jak dla brata. Mogę zadzwonić gdzie indziej.

Podmucha gorąca zmienił się nagle w powiew z serca Arktyki.

– Dziesięć i jeden procent – usłyszał własny głos.

– Szłaja, bracie. Piętnaście od ręki.

– Zgoda.

Przez chwilę wyglądał, jakby odganiał się od much, aktywując paypassa i przelewając należność.

– Poszło.

– Za godzinę. Na samym środku Mina Seyahi. Pod Emirates Towers, przy fontannie.

Omijaj Sheikh Zayed Road. Tamtędy przejadą.

– Kto?

– Inżynier z HeartSunElectrics. I biotechnolog z Genotronix. Porwani w zeszłym tygodniu z własnych domów w Greens. Muszę kończyć. Ruszaj, mój przyjacielu, i znajdź dobre miejsce.

– Wszyscy dookoła dostali wiadomości. Jestem bez szans. Po cholere kazales mi isc na suk? Z hotelu miałbym tam kwadrans spacerkiem.

– Wszyscy już wiedzą co, ale nie wiedzą gdzie. Bracia chcą mieć widownię, a nie armię. Najpierw miało być pod Domem Szejka Saeda. Dlatego suk. Niech cię Allah prowadzi.

Egzekucja.

Ruszył od razu szybkim krokiem, czując, jak oblewa go pot i jak wali mu serce. Czuł je aż w gardle, jakby połknął spanikowaną żabę.

Egzekucja.

Makabryczne widowisko, którym Bracia Śmierci pokażą, że robią już w Dubai City,

co chcą, że zdradziecki, paktujący i handlujący z Wielkim Diabłem emir może im skoczyć, a na dodatek że jego diabelski Dubaitech, dający schronienie sprzecznym z Księgą szatańskim eksperymentom, oraz odrażający projekt elektrowni termojądrowej Al-Kasra, będącej bez wątpienia zakamuflowaną bombą pozwalającą Europejmom jednym naciśnięciem guzika wysadzić Półwysep Arabski, zostaną ukarane. Do tego niewierni z HeartSunElectrics i Genotronix dowiedzą się, że nic nie uchroni ich przed długimi rękami szariatatu.

Taki był kontekst. Te dwa cięcia miecza mogły oznaczać początek końca Dubaju. Tylko że MegaNetu nie obchodził żaden kontekst. Tę wielooką, tępą bestię obchodził wyłącznie iwent. Będzie mogła się gapić, a potem zmieni się w chór żab, rechocących, że bardzo dobrze, że kiedy imperialiści wreszcie zrozumieją, że nareszcie dostali za swoje. Żaby porechocą pół godziny, a potem będzie inny iwent.

Tyle tylko, że Norbert nic na to nie mógł poradzić. Mógł jedynie nakarmić bestię i mieć nadzieję na swoje ileś mega wejść, a potem aukcję. Mógł stanąć na nogi i wyjechać z Dubaju, zanim będzie zmuszony ukraść ponton i wypływać na Zatokę Perską.

Znał miasto, więc mógł iść na skróty, przeciskając się w azjatycko-arabskim tłumie. Zresztą do Mina Seyahi nie dało się nie trafić, gigantyczne wieżowce strzelające w rozpalone niebo były widoczne zewsząd. Ludzie wokół rozmawiali w grupkach, podenerwowani i spłoszeni, gestykulując gwałtownie, albo też szli gdzieś spieszenie, tylko w różnych kierunkach. Zapewne kontraktowi inżynierowie, biotechnicy i programiści. Jeszcze dziesięć minut temu przekonani, że wygrali los na loterii, i trapiący się tylko tym, jak ocalić swoje niebotyczne pensje przed oszalałym z chciwości europejskim fiskusem. Teraz pragnący jak najszybciej zniknąć z ulic.

Norbert skręcił w stronę nabrzeża i starał się iść szybko, ale nie aż tak szybko, żeby wyglądać nerwowo. Na wszelki wypadek włączył nagrywanie i patrzył teraz na świat przez mozaikę markerów, znaczników i wśród deszczu bursztynowych literek informujących go o rozmaitych parametrach. To działało uspokajająco. Nie musiał tego wszystkiego wyświetlać, sprzęt trzymał tryby auto i sam martwił się o światło, balans bieli, głębię ostrości, matryce i parametry dźwięku. Norbert miał jedynie patrzeć, pamiętać, żeby nie sapać, i nie trząść się za bardzo. Tyle tylko, że świat ozdobiony tymi wszystkimi markerami robił się bezpieczniejszy. Stawał się filmem. Obiektem. Przedmiotem pracy.

Niemal tak samo niegroźnym jak oglądany na wyświetlaczu MegaNetu.

Wyszedł na zalane upiornym blaskiem nabrzeże, pomiędzy smętne palmy ze zwieszającymi się pękami suchych liści i ciągnące się wzdłuż niego niegdyś eleganckie butiki, a obecnie stoiska z tandetą i podróbkami. Nad samym kanałem wałęsały się w niewiadomym celu dwa wielbłądy i kilka wychudłych kotów. Zadanie na teraz to pokonanie trzystumetrowego, wijącego się przez miasto pasa wody. Do któregośkolwiek z mostów miał za daleko.

Przez długą, upiorną chwilę patrzył bezradnie na kołyszące się na wodzie jachty

z rozłożonymi bateriami słonecznymi jak czarnoskrzydłe motyle, na łódzie rybackie, rozpadające się statki wycieczkowe, przerobione na noclegownie, i nic nie oferowało rozwiązania.

Właściwie był już gotów skakać w pokrytą tęczowymi plamami i dryfującymi w pianie biodegradowalnymi opakowaniami wodę kanału, kiedy zobaczył pstrokaty daszek, zrobiony z napiętych na rusztowaniu plastikowych płacht o najróżniejszym pochodzeniu, i długi czarny kadłub pełnej ludzi abry. Wodny tramwaj już odbijał, kiedy Norbert dopadł nabrzeża i skoczył prosto w ciżbę, wymachując czipem gotówkowym.

Abra zionęła chmurą niebieskawych spalin i terkocąc swoim niebawałym, naruszającym wszystkie założenia idei głębokiej ekologii silnikiem, odbiła od nabrzeża, kierując wąski kadłub ku drugiemu brzegowi, prosto w bajkowy, kryształowy las wieżowców Mina Seyahi, wyglądających jak z obcej planety.

Na zatłoczonym pokładzie wszyscy rozmawiali przez telefony. Właściciele omnifonów i tabletów głosili coś przed siebie z nieobecnymi minami przeżywających wizję anachoretów, mniej zamożni paplali do smartwatchy, a nawet przedpotopowych, poklejonych taśmą smartfonów. Milczał tylko Norbert.

Zlany potem, w przyklepionej do pleców koszuli, otoczony gardłowym hurgotem dziesiątek rozmów. Był to jeden pomruk, w którym co jakiś czas pojawiały się pojedyncze znajome słowa: „pięć”, „rząd”, „interesy”, „bojownicy”, „niebezpieczny”, „Europa”, „Izrael”, „śmierć”, „Syria”, „Pakistan”, „bomba”, „źle”.

Z daleka, od strony Sheikh Zayed Road rozbrzmiał nagle ostry trzask. Suchy, jakby elektryczny dźwięk, który wbił się pomiędzy szmer rozmów, zagłuszył łomot silnika i po chwili wrócił odbity od ściany wieżowców na drugim brzegu. A potem następny. Jak odgłos wyładowania. Nawet nie dało się rozróżnić poszczególnych trzasków. Na kilka sekund rozmowy ucichły, a potem rozbrzmiały ze zdwojoną siłą.

Norbert dokładnie wiedział, co to jest, bo słyszał to już kilka razy w życiu. AK-50k. Na paliwo ciekłe. Ruska, prosta i tania w użyciu broń. Automaty zagrzmiały znowu długimi seriami.

Na postrach.

To nie brzmiało jak krótkie, agresywne poszczekiwanie potyczki ogniowej, kiedy karabiny rozmawiają ze sobą nerwowymi, wściekłymi frazami, wpadając sobie w słowo i przekrzykując się niczym skłóceni kochankowie.

To też już kiedyś słyszał.

Patrzył w tamtą stronę, robiąc maksymalne zbliżenie, jednak nic nie było widać. Nic szczególnego.

W całym mieście rozległo się wycie policyjnych syren, ale z oddali. A później niski warkot i świst sprężarki.

Kwadropter. Na czterech turbowentylatorowych pędnikach, pewnie wojskowa Supermangusta.

Zerknął w górę i zobaczył tylko rozpaloną kopułę nieba, pelikany i mewy.

A potem z daleka nadeszło głuche, niskie tąpnięcie, które przerodziło się w piskliwy

ryk niczym rozjuszzonego smoka, a następnie łomot, jak nagły odgłos gromu. I za chwilę jeszcze raz.

Ten dźwięk też znał. URG-25 Fakiel. Uniwersalny granatnik raketowy. System „fire and forget”. Wystarczyło wycelować, naduszając przycisk, a potem pociągnąć za spust. Operator mógł w życiu nie widzieć nic bardziej skomplikowanego niż koza, a i tak by sobie poradził. Dało się tym strącać wszystko, co lata, burzyć budynki, palić czołgi, przebijać osłony i zasypywać wroga odłamkami szrapnela, wybierając tryb jednym klawiszem.

Upłynęła milcząca, ogłuszona sekunda, a potem łódź znów wypełniła się wieloma głosami, tym razem cichymi i rytmicznymi. I tym razem je rozumiał.

La ilaha illallah Muhammadur Rasulullah...

Raz za razem.

Monotonnym, przerażonym chórem.

Turbiny kwadroptera zmieniły dźwięk, pojawił się w nim jakiś obcy terkot i paniczny wizg sprężarek, odgłos narastał i nagle maszyna wystrzeliła znad dachów, nisko, obracając się w locie, jeden z wentylatorów stał nieruchomo, z łopatkami widocznymi w tunelowej osłonie, drugi pluł warkoczem czarnego dymu i czerwonymi iskrami, a dwa pozostałe pracowały normalnie.

Norbert zadarł głowę i odprowadzał Supermangustę wzrokiem, drapieżny, rekini kadłub obracał się wokół pionowej osi coraz szybciej, płonący pędnik omiatał go welonem dymu, sprężarki zawodziły coraz rozpaczliwiej, do czarnego warkocza dołączył drugi, gęsty i biały. Turbina gubiła glikol.

Pasażerowie stłoczeni na wąskim pokładzie abry byli przerażeni, zagubieni i podenerwowani. Bali się o siebie, o swoich bliskich, a nade wszystko o swój jakoś tam poukładany świat, który zaczynał się chwiać w posadach. To, co się właśnie działo, mogło się skończyć nadejściem szariaty i przeistoczeniem Dubaju w kolejny emirat Sunny. Albo odwetowym nalotem natowskich lub izraelskich myśliwców. Albo wojną armii ZEA przeciwko dżihadystom. Albo diabeł jeszcze wiedział czym. W każdej sytuacji zwykli ludzie, tacy jak stojący na tej łodzi, musieli dostać po dupie.

Jedynym spokojnym pozostał Norbert. Dla niego istniało tylko utrzymanie w kadrze obracającego się i zmierzającego w stronę portu Al-Rashid kwadroptera. Zrobił najazd, wypełniając pole widzenia samą maszyną, a potem odjazd, kiedy dym przesłonił mu widok kabiny. Kwadropter zniknął za ścianą wieżowców, pozostawiając postrzępiony warkocz tłustego dymu, tnący jaskrawokobaltowe niebo.

Norbert stał nieruchomo, wygięty za burtę w niewygodnej pozycji, tak żeby rozpięty nad abrą daszek nie wchodził mu w kadr, i czekał na eksplozję. Wpatrywał się w łamaną linię wieżowców w Al-Raffa, oddzielającą go od morza, ale eksplozja nie następowała, tylko gdzieś na wysokości Jumeirah Beach spokojnie podniósł się słup dymu, lecz nic szczególnego nie było słyhać. Być może pilot zdołał jakoś usiąść, a może kwadropter roztrzaskał się na piasku, ale nic nie wybuchło. Ani paliwo, ani amunicja.

Dla Norberta oznaczało to jedno: iwent był niewiele wart. Meganauci nie będą się zabijać, by zobaczyć dymiący helikopter, który na koniec nie wybucha. Ani odpalenia rakiety i trafienia, ani spektakularnej eksplozji. Sam środek akcji. Brakowało pointy. Nowicjusz dorobiłby wybuch, po czym przypuszczalnie wypadł z gry, na zawsze wygnany z portali iwentowych, gwarantujących autentyczność.

Abra dociągnęła do przeciwległego brzegu, po czym stanęła dziobem do nabrzeża i przekręciła się, ocierając ciężko burtą o rząd starych opon zanurzonych do połowy w wodzie. Przysunięto trapy z azurowej blachy, obłożone łuszczącą się białą farbą, i tłum runął na nie, jakby łódź stała w ogniu. Norbert odczekał na swoim miejscu przy burcie, po czym zszedł na ląd ostatni i od razu ruszył w stronę bliźniaczych Emirates Towers.

Wyminął wielkie rumowisko, labirynt pełen powykręcanych stalowych konstrukcji, pogruchotanych płyt pancernego szkła, betonu i duralu, które kiedyś były górną połową Burj Khalifa, aż trafił pod wyschniętą fontannę u stóp Emirates Towers, otoczoną wianuszkami łysawych palm.

Kręciło się tu trochę ludzi, tłum, na szczęście, na razie się nie zbierał. Norbert przysiadł sobie na ocalałej futurystycznej ławce, z widokiem na fontannę, i zrobił szeroki plan, a potem przejazd po albo snujących się to tu, to tam, albo dyskutujących w podenerwowanych grupkach ludziach. Doszedł do wniosku, że to nie jest przypadkowy dubajski tłum. Za mało Azjatów. Za mało Hindusów, Europejów i Afrykanów. Za dużo tradycjonalistów. Gdziekolwiek obrócił szkła swoich ray-banów, natrafiał na oślepiająco białe, spływające do ziemi diszdasze i galabije, a do tego każdy miał coś na głowie: kraciaste arafatki, saudyjskie chusty, turbany, kaukaskie czapy, koronkowe szeszje.

Każdy.

Za mało kobiet. W Dubaju miały stosunkowo dużo swobody, mogły nawet łązić same i na ogół ubierać się, jak chciały, a tu wypatrzył najwyżej kilkanaście i wszystkie albo w postaci czarnych jak wrony widm w pakistańskich burkach, albo w tutejszych abajach, z hidżabami na głowie. Zazwyczaj hidżab odsłaniał twarz, a abaje pochodziły od Dolce & Gabbana lub Gucciego, ale te tutaj były ostentacyjnie tradycyjne, a oblicza kobiet zasłaniały maski z szerokich haftowanych pasów tkaniny. Zrobił zbliżenie na ich twarze: pas materiału tnący czoło tuż nad oczami, kolejny jaskrawy kawałek taśmy spadający w dół przed nosem i rozdwajający się nad ustami jak odwrócone Y. Niby nic, kilka zszytych pasków, a można by w tym napadać na banki. Nawet nie miało się pewności, czy za tą zasłoną kryje się wąsaty Beduin, czy kobieta.

Czekanie dłużyło się, na razie kręcił tło i ludzi, walcząc z chęcią zachmurzenia cyberetki. Tu nikt się nie przejmował nawet prawdziwym tytoniem, ale bał się, że coś przeoczy albo obłoczek oparu zaśmieci mu obraz.

Muzyka spadła na wyschnięty skwer jak trąbiący słoń.

Prosto z rozprażonego nieba.

Od razu na wszystkich rejestrach, z pompatyczną kakofonią trąb, jękiem strun

i zawodzącym wrzaskiem jak spadającego z minaretu muezzina.

Pieśń chwytła za gardło i skręcała jelita, pełno w niej było Allaha, krzywdy, Matki, zemsty, dżihadu, śmierci i raju.

Tło wypełniło się rozglądającymi się bezradnie ludźmi, a dźwięki lały się z nieba i odbijały od ścian wieżowców, nie mając żadnego widocznego źródła.

Zrobił szeroki plan i zauważył, że zewsząd dookoła nadciąga publiczność o czerwonych, spoconych od upału twarzach, truchając spiesznie z podkasanymi diszdaszami.

Nieczynna od dawna fontanna naraz fuknęła słupem rozpylonej na mgłę wody, która zawisała chmurą nad skwerem i nagle rozwinął się w niej wielki jak kort tenisowy hologram. Wysokiej rozdzielczości, 3D, bardzo porządnie zaprojektowany, biorąc pod uwagę niestabilny nośnik.

W chmurze nad fontanną galopowali pustynni jeźdźcy, zamaskowani na czarno wojownicy obwieszeni bronią, chwytali na ręce poranione dzieci, amerykańskie i europejskie samoloty pluły ogniem w płonące szpitale i szkoły, izraelski czołg tratował bezbronnych cywilów, pieśń łkała rytmicznie o krzywdzie i zemście, w końcu pojawił się łopocący łagodnie jak jedwab zielony sztandar ze złotymi zawijasami arabskiej kaligrafii.

Norbert kręcił to, bo na razie nie działało się nic innego, a animacja przynajmniej wypełniała obraz i stanowiła dobry wstęp iwentu. Gdzieś w głębi pamiętał, co miało się stać, i był zmrożony strachem, ale to tkwiło tam, pod spodem, i znajdowało się pod kontrolą. W tej chwili był realizatorem, reżyserem i samą kamerą.

W tej chwili istniały tylko kompozycja, obraz, dźwięk i scenografia.

Złote wersety zastąpił symbol ze splecionych stylizowanych liter, układających się w schematyczny wizerunek pięści dzierżącej uproszczony kształt awtomatu Korobowa.

Tymczasem fontannę otaczał już tłum. Norbert wskoczył na ławkę i omiół go wzrokiem, jakoś nie przyszło mu do głowy, że może i miał świetne miejsce, ale w razie czego żadnej drogi ucieczki.

Wokalista popisywał się teraz wibrującymi koloraturami, lecz bez słów, może zapomniał tekstu.

Po obu stronach fontanny ludzie zaczęli nagle więc się dziwnie, jakby zniecka oblaży ich mrówki, krzyczeć coś i oklepywać się po całym ciele, ale były to tylko dwie niewielkie grupki, pozostali gapili się na nich z osłupieniem. Tamci rzucili się we wszystkie strony w panice, przewracając się i tratując, i po chwili w ciżbie ziały dwie dość szerokie ścieżki po przeciwnych stronach fontanny.

Norbert patrzył, kręcił i pilnował obrazu.

Zrobił zbliżenie na tych, którzy odskoczyli od fontanny i teraz szarpali na sobie diszdasze, oglądając przedramiona i piersi, jakby szukali tam mrówek albo śladów oparzeń, ale nic nie było widać. Jeden z nich stracił na chwilę równowagę i wpadł na pół kroku w zakazany obszar, po czym wrzasnął przeraźliwie i rzucił się w tył, przewracając stojących za nim.

Na obu ścieżkach pojawiły się przysadziste kształty czarnych półciężarowych toyot murakami z zamontowanymi na zderzakach osłonami rurowymi, na których Norbert zauważył po dwa wklęsłe dyski, jakby miniaturowych anten satelitarnych, jak pokryte bielmem ślepią patrzące groźnie przed siebie.

Był zawodowcem, więc nie pokiwał głową. Trzymał obraz.

Jak statyw.

Ale wiedział już: MIVER. Emiter mikrofalowy. Zwykle używała tego policja szturmowa do rozpraszania tłumu. Oświetlony wiązką człowiek czuł się, jakby potraktowano go napalmem, ale jeśli wybiegł poza obszar promieniowania, wrażenie zniknęło natychmiast bez śladu i jakichkolwiek obrażeń. Natomiast wspomnienie pozostawało i od tej pory nieszczęśnik na sam widok odwracającego się w jego stronę talerza emitera rzucał precz transparent i gnał jak szalony, byle dalej.

Obie furgonetki wjechały za fontannę i obróciwszy golenie kół, skręciły w miejscu, ustawiając się obok siebie, szczerząc dyski emiterów prosto w widownię.

Bojownicy wysypali się z obu stron samochodów, wybiegając przed maski i ustawiając się w czarny, zamaskowany szereg. W luźnych bluzach koloru sadzy, czarnych turbanach przewiązanych opaskami z symbolem pięści dzierżącej AK, obwieszeni magazynkami i zbiornikami paliwa, każdy z kompaktowym, kanciastym automatem w dłoniach.

Błysk oczu wśród czerni.

Pobożne wrzaski zemsty i rozpalone dubajskie niebo nad tym wszystkim.

Podwyższone burty skrzyń załadunkowych toyot rozłożyły się z łomotem, łącząc się w rozwieszony pomiędzy pojazdami pomost.

Człowiek, który wystąpił na blaszaną estradę, nosił się tak samo jak reszta, tylko nie był zamaskowany, nie licząc turbanu na głowie i gęstej brody, wypełzającej mu niemal pod oczy jak pożoga czarnych płomieni. Norbert zrobił zbliżenie i chciał wyostrzyć dodatkowo obraz, lecz okazało się to niemożliwe. Mężczyzna nie nosił maski, a jednak jego oblicze pozostawało lekko zamglone, jak widziane przez filtr lub drgające od upału powietrze. Z normalnego obrazu tej rozdzielczości dałoby się wyodrębnić wzór siatkówki oka, ale technika, której tamten użył, pewnie to uniemożliwiała.

Zrobił odjazd, chwytając w kadr podest, mężczyznę, oba samochody i groźny szereg czarnych mudżahedinów z przodu.

Kiedy brodaty zaczął mówić, jego głos spadał z nieba i odbijał się od budynków, tak samo jak przedtem muzyka.

Zaczął od „Bismillahirrahmanirrahim”, ale natychmiast przeszedł na angielski. Gardłowy, ze szkolną, sztywną gramatyką, ale zupełnie niezły. Tekst był w zasadzie ten sam co zawsze w takich sytuacjach, te same slogany i pogróżki, tyle tylko, że mężczyzna nie ciskał się ani nie wrzeszczał. Mówił szybko, najwyraźniej mając ściśle wyliczony czas, zanim na plac wpadną policyjne wozy, i zwracał się przede wszystkim do widowni MegaNetu.

– Zapamiętajcie to, co tu zobaczycie! Przejrzyjcie na oczy! Ocknijcie się! To się dzieje

naprawdę!

Z tym fragmentem Norbert zgadzał się całkowicie.

Dla kogoś nienawykłego, całkowicie pogrążonego w codziennym miejskim życiu, gdzie największym zagrożeniem jest niemożność związania końca z końcem, widok zwykłego, bezbronnego człowieka bezradnie czekającego na kaźń jest czymś niepojętym i przerażliwym. Niewiarygodnym.

Obaj mężczyźni, wywleczeni na blaszaną niby-estradę z rozłożonych burt półciężarówek, zostali skuci i ubrani w kombinezony malarskie z supermarketu budowlanego. Z impregnowanego, całkowicie biodegradowalnego chitynowego włókna, obecnie przemoczone w kroczu i lepiące się do ciała. Na głowy założono im czarne jutowe worki, chyba po ryżu. Każdego prowadził zamaskowany bojownik bez automatu, za to z zakrzywionym chińskim ni to mieczem, ni to maczetą. Żadna tam szabla pustynnego koczownika. Cięta z arkusza blachy, ostrzona laserowo tandeta. W Europie zakazana, ale na Południu walająca się masowo po straganach.

Rec.2

Powrót do domu okazał się przedsięwzięciem tak uciążliwym, że aż go korciło, by zostać w King's Meridian. Żyjąc w hotelowym pokoju, w zasadzie nie miał żadnych poważniejszych problemów. Astmatyczny klimatyzator, monotonne i podłe żarcie, muezzini zawodzący za oknami pięć razy dziennie, przerwy w dostawie wody i prądu, gigantyczne karaluchy, brudnawy basen i tyle. Spokojne, beztrudne życie.

Iwent zadziałał. Norbert mógł siedzieć i patrzeć na licznik wejść, który przez trzy dni kręcił się jak opętany, wręcz czuło się podmuch bijący z ekranu wojskowego pancerbooka. Może nie zarobił aż tyle, ile podpowiadała mu nieśmiało skrywana nadzieja, ale na chwilę był ustawiony. Mógł spłacić długi – niezliczone opłaty klimatyczne, katastralne, zdrowotne, ubezpieczeniowe, emerytalne, które wisiały mu nad karkiem od momentu, kiedy zaczął rzadko trafiać na dobre iwenty i przestał zarabiać powyżej pewnej granicy. Kiedy już wydusił pierwszą partię swojego honorarium od reklamodawców, przede wszystkim zapchał państwu gębę, z dziwnym, ambiwalentnym uczuciem, jakby opłacał szantażystę. Najpierw ze ściśniętym gardłem patrzył, jak świeżo zarobione euro wyciekają z jego konta, a kiedy było po wszystkim, poczuł lekką ulgę.

Mógł wracać. Zostało mu dość, żeby kupić jakiś niezbyt długi czas w miarę przyzwoitego życia, poszukać kolejnych iwentów, stanąć na nowo na nogi. Znudzić się nie do wytrzymania ołowianym niebem, zimnem i przede wszystkim chórem świętoszkowatych głosów wmawiających mu, co ma myśleć, co ma jeść, co ma być dla niego najważniejsze, jak ma żyć i po co. Poobijać się boleśnie o tysiące niewiarygodnych, wydumanych zakazów. Na razie trochę się stęsknił, choć nie miał złudzeń, że najdalej po paru miesiącach zabierze ocalałe pieniądze i znowu spakuje porysowany kewlarowy kufer firmy Heli.

W Dubaju zaczęło się robić za drogo, za trudno i w każdym znaczeniu zbyt gorąco. Klęska Braci Śmierci obudziła ulicę. Kibiców dżihadu, kanapowych salafitów, amatorskich mudzahedinów oraz szahidów teoretyków. Sprawił to jego iwent. Teraz mógł sobie popatrzeć przez okno na efekty własnych działań. Jadące nie wiadomo dokąd furgonetki wypchane wrzeszczącymi ludźmi, z łopocącymi zielonymi flagami, chóralne wrzaski i zamaskowane tłumy, wzniesione pięści. Na razie palili tylko europejskie i amerykańskie flagi oraz papierowe figury szejka. Na razie od strony śródmieścia napływał pulsujący ryk tłumu i głucho tąpnięcia odpalanych granatów łzawiących.

Za chwilę mogło się z tego zrobić wszystko. Albo nic.

Tak czy owak, Dubaj przestał się chwilowo nadawać.

A potem okazało się, że to nie takie proste.

Ponieważ nie miał omnifona.

Miał niby paszport, miał komputer, ale nie komunikator, sterownik, protezę mózgu, portfel i identyfikator w jednym. Kiedy usiłował coś załatwić, nieodmiennie kończyło się na: „proszę pobrać aplikację”. A potem: „sprzedajemy tylko omni-bilety”, „obsługujemy tylko grupy zorganizowane”, „proszę skontaktować się ze swoim operatorem”, „musi pan podać numer omni”.

Z operatorem też nic nie załatwił, bo saperskie szczęki Królika przecięły jego kartę SIM. Okazało się, że Norbert musi iść do oddziału macierzystego i tam udowodnić, że jest tym, za kogo się podaje, żeby wyrobiono mu nową kartę. Tylko tak mógł zachować dawny numer, bazy danych, chmury i historię umów. Od oddziału macierzystego dzieliło go dwa tysiące kilometrów.

W efekcie kupno biletu zajęło mu trzy dni.

Dwa spędzone na beznadziejnym borykaniu się z kantorami linii lotniczych oraz jeden, kiedy uruchomił oswojonego tureckiego gasteiterera z recepcji hotelu, niejakiego Sulejmana. Dość szybko okazało się, że da się znaleźć siostrę, której mąż ma szwagra, którego brat zna kogoś, kto ma dojście do Air Emirates. Two kilo euro extra, dirham, turkish lira, dolar, no problem, my friend.

Właściwie zaczął już żałować w trakcie startu, kiedy wychyliwszy się ze swojego rzędu foteli, po raz ostatni zobaczył przez odległy iluminator kawałek ceglasterudej ziemi i żółtawe domy, miniaturowe jak rozsypane piksele.

A jeszcze kilka niekończących się godzin później, wypełnionych piskiem w uszach, migreną, pragnieniem, głodem, bólem pośladków odgniatanych twardym plastikiem miniaturowego krzeselka i tępą kontemplacją szarej wykładziny w drobne niebieskie wzorki, skrzypiący i zataczający się w powietrzu airbus minął szarozieloną połączyć wybrzeża Chorwacji, przesunął swój podobny do kurzej łapki cień po skałach Piemontu i wbił się w podobną do wywleczonej ze starej kołdry włókniny grafitową opokę chmur nad środkową Europą.

Wrażenie było takie, jakby wlatywali do jaskini. Mrok, poziome strużki deszczu na szybach iluminatorów. Wydawało się nawet, że we wnętrzu zrobiło się zimniej.

Potem było lądowanie na Beauvais-Tillé, które przeżył jak we śnie. Najpierw, ogłuszony i skołowany, włókł za sobą walizkę po niekończących się, upstrzonych holograffiti korytarzach. Musiał stać w osobnych kolejkach, bo nie miał omnifona, a czipowy bilet z paskiem magnetycznym budził grozę i niedowierzanie, nikt nie wiedział, co z tym zrobić, i tylko odganiano go wachlującym ruchem dłoni. Pamiętał zaśmiecone posadzki, rzędy nieczynnych butików i kafejek, przeraźliwie długie kolejki, plecy podróżnych, aroganckich urzędników mówiących tylko slangowym francuskim oraz arabskim. (Tu cherche que, toi?) W końcu wypłacił gotówkę z bankomatu, złapał bardzo zajętego jegomościa w lotniskowym uniformie, wyglądającego na Sudańczyka, i wręczył mu bilet, prezentując równocześnie dwieście euro. Tamten wrócił po chwili,

zaprowadził go do jakiegoś stanowiska, gdzie nareszcie wydano mu kartę pokładową i poinformowano, że ma iść pod gate 134, a na koniec Sudańczyk wyciągnął dłoń po banknot.

Potem toczył swój bagaż po niezliczonych nieczynnych ruchomych chodnikach, marzył w całkowicie pustej poczekalni, gdzie nie było nic prócz pomarańczowych plastikowych krzesełek, płytkich jak miednice, i popsutego automatu z wegańskimi przekąskami. Przeszklona bania poczekalni patrzyła na ciemnawe lotnisko, gdzie płonęły tylko światła pasa i deszcz siekł mokry beton. Kilka szyb było stłuczonych i ciągnęło stamtąd lodowatym zimnem. Zagoniona w kąt grupa czekających na samolot do Modlina przypominała jakąś gromadę uchodźców, kilkoro niemowląt wyło monotonie, ludzie kryli się w kurtkach i polarach, brakowało tylko pościeli zwiniętych w toboły i klatek z kurami.

Norbert siedział skulony z zimna, w polarze i turystycznej wiatrówce, i patrzył na swoje dłonie, zastanawiając się, co właściwie stało się ze światem. Wszystko wokół, ta poczekalnia, lotnisko, a nawet Dubai City, które już zmieniło się w rozpalony słońcem, trudny do uwierzenia niegdysiejszy sen, sprawiało wrażenie czegoś wzniesionego na gruzach poprzedniej cywilizacji. Kiedyś, wcale nie tak dawno, istniał cały przemysł usług, których zadaniem było uczynienie podróży lotniczych wygodnymi, a nawet komfortowymi. Otaczające go dziś lotnisko było wtedy pełne światła, sklepów, kawiarni i barów. Były tu kina, salony masażu, fontanny, fotele i kanapy. Gdziekolwiek by się udał, tam znajdowało się coś, co miało pomagać miło spędzić podróż, odpocząć, zaspokoić głód albo pragnienie, zabić czas oczekiwania na przesiadkę albo zrobić zakupy. Nie mógł pojąć, komu to przeszkadzało. Jakoś tak krok po kroku pogasły światła, ucichły fontanny, fotele zmieniły się w sztywne siedziska, zakazano sprzedaży alkoholu, ograniczono do minimum możliwość jedzenia i picia, wyłączono muzykę, zlikwidowano strefy wolnocłowe. Podróżni przyjmowali wszystko z pokorą, a nieśmiałe protesty gaszono, powtarzając przemądrzałym tonem komunały o „oszczędnościach” i „bezpieczeństwie”. Nikt wprawdzie nie wiedział, co jest niebezpiecznego w wygodnej kanapie lub czynnej toalecie albo co ograniczenie handlu ma wspólnego z oszczędnościami, ale odpowiednio dydaktyczny i surowy ton zwykle wystarczał. A już na pewno wystarczyły fakty dokonane.

Niepostrzeżenie lotnisko zmieniło się w ponurą, zaniedbaną przestrzeń, przeznaczoną do tego, by bez końca stać w kolejkach pod okiem kamer i być obwąchiwanym przez psy albo wcisnąć się pośladkami w plastikową miskę, jedną z wielu przymocowanych do stalowych szyn, i patrzeć na swoje dłonie lub w beton ściany, ozdobiony wielką płachtą pokrytą przekreślonymi kółkami zakazów. Siedem rzędów po pięć. Trzydzieści pięć różnych czynności, które zostały zabronione, i to tylko takich z gatunku nieoczywistych. Nie przedstawiono tam zakazu okradania współpasażerów, rozpalania ognisk albo zamykania wrzeszczących dzieci w pojemniku na odpadki. Nie zapomniano natomiast o tym, by zakazać całowania się i śpiewania. Tak jakby ktokolwiek w tym przewiewnym bunkrze mógł mieć na to ochotę.

Wszystko dlatego, że nie miał omnifona. Pancerbook tkwił w zaplombowanej walizce jako zbyt wielki do bagażu kabinowego, który ograniczono do rozmiarów paczki chusteczek. Mógłby wnieść na pokład samolotu omni, ale go nie miał. Bez niego nie mógł grać, nie mógł czytać, nie mógł działać w Necie, nie mógł rozmawiać, kupować, słuchać radia, w samolocie nie mógł aktywować ekranu i korzystać z bazy gier, filmów i muzyki dostępnej na pokładzie. Jakoś tak niezauważalnie płaskie pudełko przypięte do pasa, wypchane elektroniką, i miniaturowe wszczepy w nadgarstkach okazały się niezbędne do wszystkiego.

Uświadomił sobie nagle ze zgrozą, że nie wie, co zrobi, kiedy dotrze wreszcie do Modlina. Do opłacenia jakiegokolwiek transportu będzie potrzebował „aplikacji miejskiej”. Jeśli trafi na jakiegokolwiek otwarte sklepy, na pewno nie będą o tej porze przyjmować gotówki, czipów ani kart, tylko zażądają omni-paya nawet za butelkę wody.

Nagle, może z powodu wycieńczenia podróży, paskudnej kombinacji bólu brzucha, głodu, senności, nudy i zimna, Norbert poczuł się, jakby doznał objawienia. Zupełnie jak anachoreta po wielodniowym poście w głębi pustyni.

Nie miał omnifona.

I nagle dotarło do niego, że z tego powodu jest jedynym czuwającym w zasięgu wzroku. Jedynym przytomnym człowiekiem, który widzi te spowite półmrokiem, ciemne korytarze, wybite szyby, graffiti na zasuniętych żaluzjach. Jedynym, któremu doskwiera pragnienie, głód i zmęczenie.

Kobieta stojąca przy przeszklonej ścianie na wprost niego gestykułowała gwałtownie, wyrzucając z siebie nieprzerwany potok pretensji i żalów. Jej krzyk odbijał się od stropu, grzęznąc w pomruku rozmów, i nikt nie zwracał na nią uwagi. Po prostu ciskała się, stojąc pośrodku pustej przestrzeni, z prędkością karabinu maszynowego wyrzucając z siebie te same ociekające nienawiścią zdania, jak zapętłona. Zupełnie jakby grała w jakiejś nudnej sztuce. Normalnie nie zwróciłby na to uwagi, ale teraz, jako jeden jedyny przytomny, nie postrzegał jej jako kogoś, kto prowadzi prywatną rozmowę z niewidzialnym, tajemniczym Sewerynem. Nie było tu żadnego Seweryna, a kobieta nie mówiła do mikrofonu ani żadnego urządzenia. Widział tylko obłąkaną aktorkę odgrywającą jednoosobowe przedstawienie i miotającą pretensje na wszystkich wokół lub ku mrocznym pasom startowym. Z boku mężczyzna w obcisłym lśniącem garniturze tłumaczył nieczynnemu automatowi z napojami niuanse sprzedaży jakichś „peeresów” i znaczenie „faktur zwrotnych”. Siwy jegomość koło siedemdziesiątki, w kurtce z termopianki z kapturem, stał na rozstawionych nogach, z otwartymi ustami i dziwacznym grymasem na twarzy i rysował w powietrzu palcami kółka. Najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Kolejny facet tuż obok robił powolne przysiady z rozstawionymi rękoma. Kobieta z boku siedziała sztywno, z otwartymi ustami, kręcąc głową na lewo i prawo jak zdumiona papuga, po czym poderwała się nagle z gwałtownym okrzykiem. Siadła z powrotem i powróciła do hipnotycznego ruchu głowy, jak kobra w koszyku fakira. Ktoś wpatrywał się w swoje dłonie,

przebierając w powietrzu palcami, jakby zafascynowany ich działaniem, inny toczył zacieklą walkę z powietrzem, zadając ciosy i kopnięcia, nie wstając z siedziska, niczym sparaliżowany ninja. Ruda kobieta po prawej, o tak bladej skórze, że jej powieki wydawały się czerwone, karmiła piersią nieistniejące niemowlę, równocześnie wygłaszając prosto w migającą jarzeniówkę pod sufitem niekończący się monolog i co chwila popijając z powietrznej filiżanki.

Norbert rozglądał się ze zdumieniem i nagle widział tylko przeszkloną salę pełną obłąkańców.

Nie miał omnifona.

Nie krył oczu displejami wyświetlającymi na siatkówce mgliste obrazy przestrzeni MegaNetu. Wszczep czaszkowy nie wysyłał subtelnych impulsów w okolicę wyrostka sutkowatego kości skroniowej, generując wrażenie dźwięków. Znajdował się tu i teraz, w zatłoczonej, gołej poczekalni wypełnionej podrygującymi, tańczącymi, krzyczącymi i bełkoczącymi wariatami.

Niby wiedział, że wszyscy wokół grają w różne gry, spotykają się z przyjaciółmi, załatwiają interesy, flirtują, spiskują albo toczą ogromnie istotne dysputy o polityce, ale patrząc ze swojego krzeselka własnymi oczami, jakoś nie mógł w to uwierzyć. Każdy z ludzi wokół tkwił we własnym świecie, który nie istniał. Mroczna poczekalnia była prawdziwa. Poczekalnia na Beauvais-Tillé, gate 134, na razie ciemny i nieczynny.

Neonowe miraże w głowach tamtych nie istniały jako coś realnego. W istocie poza przypadkiem, kiedy ktoś z nich rozmawiał przez GlobCom z żyjącym człowiekiem odległym o tysiące kilometrów, wszystko, co widzieli, mogło być tylko wytworem serwerów. Włącznie z postacią jakiegoś dyskutanta, będącego grafiką z Make-A-Vatar, architekturą stron, wszystko było fikcją.

Realna była zimna posadzka pod nogami, mokry, lodowaty wiatr świszczący przez wybite szyby i zaklejone policyjnym, czarno-żółtym paskiem drzwi do toalety, tylko że nikt ich nie dostrzegał. Nie widzieli nic poza pulsującą tkanką MegaNetu. Jedynie dywan barwnych pikseli, które czasem miały znaczenie, a czasem nie.

Norbert zrozumiał, że siedzi tu sam.

I jeszcze że nie odróżniłby prawdziwego wariata pogrążonego w ataku schizofrenii od normalnego, uczciwego obywatela, czekającego przy gejcie 134 na samolot tanich linii HumanCargo do Modlina i zabijającego czas.

Nigdy dotąd tak tego nie postrzegał. Zastanawiał się, czy kiedy ma omnifon, zachowuje się tak samo. Staje się kolejnym nieobecny, podskakującym i pohukującym po małpiemu szaleńcem?

Patrzył na to wszystko i czuł się po prostu dziwnie. Nie był pewien, czy brak omnifona w kombinacji ze zmęczeniem, głodem, zimnem i pragnieniem wystarczy, żeby wpędzić człowieka w odmienne stany świadomości, ale funkcjonował jak w surrealistycznym śnie.

Wyświetlacz nad opuszczonym stanowiskiem odprawy pokładowej był martwy i ciemny, a ogólny ekran informacyjny obok numeru jego lotu wyświetlał GATE CLOSED

i żadnej godziny otwarcia. Zawsze tak było. Szwendanie się po lotnisku było zakazane (bezpieczeństwo), zresztą nie było po co (oszczędności). Wiedział, że mogą ich tak trzymać trzy godziny, a potem nagle wyświetlić GATE OPEN i LAST CALL w ciągu pięciu minut. Posiadacze omnifonów otrzymają zresztą natychmiast informację pulsującym paskiem w poprzek pola widzenia, a jeśli pobrali aplikację „menadżer opieki”, system będzie wiedział, gdzie się znajdują, i zadba, by trafili, gdzie trzeba.

Mimo to ruszył przed siebie, popełniając zbrodnię pozostawienia bagażu bez opieki (bezpieczeństwo). Tak naprawdę chciał znaleźć czynną toaletę, która, do diabła, gdzieś powinna być, ewentualnie czynny automat z napojami. Albo cokolwiek do jedzenia. Albo po prostu rozprostować nogi, obolałe, jakby przyleciał tu z Półwyspu Arabskiego w skrzynce po pomarańczach. Czuł się jak we śnie, w którym człowiek orientuje się nagle, że spaceruje po ulicy nago. Zupełnie nie na miejscu i dziwnie. Jak jedyny przytomny.

Jedyny rozbudzony wśród zbiorowego snu.

Spacer przezszklonymi korytarzami, oświetlonymi tylko rzędami błękitnych iskierek awaryjnych diod, pogłębiał to wrażenie. Nie chciał odejść daleko, żeby nie przegapić otwarcia bramki, ale potrzebował butelki wody, batonika, ibuprofenu, kanapki (byle nie z hummusem), toalety. Niekoniecznie w tej kolejności.

Część tych problemów mógłby doraźnie rozwiązać kilkoma pyknięciami z cyberetki, ale inhalatory dawno znalazły się na długiej liście przedmiotów zakazanych w kabinie.

Poza szklanymi tunelami, którymi wędrował, deszcz siekł wypukłe okna i lśnił na asfalcie lotniska, ale wewnątrz wcale nie było przytulniej. Skądś ciągnęło wilgotnym zimnem, wiatr świszczął to tu, to tam w pękniętych szybach.

Dotarł do skrzyżowania z innym korytarzem, równie mrocznym i pustym jak ten, którym szedł. Wciąż miał zawroty głowy, a wszystko wydawało się nierzeczywiste. Naprawdę nie wiedział już, czy śni koszmar, czy na jawie błąka się po koszmarnym lotnisku. Najpierw pomyślał, że we śnie nie powinien odczuwać bólu, ale z drugiej strony, jeśli przysnął w poczekalni, to naprawdę był zmarznięty, obolały, spragniony i głodny.

Przecięli mu drogę z cichym świstem pneumatycznych pędników. Wyprostowani i nieruchomi, obleczeni w czerń kombinezonów, z kominiarkami na twarzach, przemknęli, stojąc na segwayach jak szachowe figury. Chyba jedynym pożytkiem z tego absurdałnego środka transportu, który hen, na początku wieku miał zrewolucjonizować ruch uliczny, było to, że służby mogły przemieszczać się szybko, nie wzbudzając paniki. Grupa żandarmów biegnących przez dworzec, lotnisko czy centrum handlowe budzi niepokój, a taki peleton nie.

Poszedł jeszcze parę metrów przed siebie i dał spokój.

Za szybami widział zaparkowane przy budynku tajemnicze pojazdy, masywne i zwarte jak miniaturowe czołgi, gdzieś w oddali majaczyły pojedyncze samoloty, ociekając deszczem i lśniąc w odległym blasku lamp pasa, a wszystko wydawało się porzucone i od dawna nieczynne.

Na horyzoncie odległy airbus wzbił się nad pas, ciągnąc za sobą kłęby rozświetlonej

mgły, migając lampami pozycyjnymi, wypuszczone koła podwozia wyglądały jak podkurczone szpony. Norbert popatrzył za nim, jak wzbija się w powietrze, udowadniając, że lotnisko jednak działa i istnieje naprawdę.

Akurat doszedł do wniosku, że jednak nie śni, kiedy na pustym, mokrym asfalcie płyty rozbłysło światło. W jednym miejscu, rozjarzoną plamą, jak wyładowanie spawarki albo blask magnezji. Na moment pojawiły się zarysy pojazdów, jakichś lamp i masztów i rzuciły wydłużone cienie. Skulił się odruchowo, ale to nie była eksplozja, bo trwało jakąś sekundę i było bezgłośnie. Po krótkiej chwili światło zgasło, a w tamtym miejscu zobaczył trzy szczupłe sylwetki, ciemne, niewyraźne, jakby obleczone w łyżwiarskie kombinezony z kapturami. Ich twarze i dłonie wciąż płonęły jaskrawym światłem, które jednak przygasało stopniowo do fosforycznego poblasku, kiedy rozchodzili się w różne strony po lotnisku, i całkiem zgasło, kiedy wnikali gdzieś pomiędzy holowniki i cysterny, dając się połknąć cieniom i plamom mroku.

Stał wsparty o balustradę, pochylony do przodu i gapił się na to, a jego dłonie zwijały się w pospiesznych gestach. Zorientował się, co robi, i opuścił bezradnie ręce. Nagrywał. Nie miał okularów ani omnifona, a mimo to usiłował zarejestrować iwent.

Nie miał sprzętu. Nie mógł nic nagrać ani nikomu tego pokazać. A zatem to nie istniało.

Ruszył z powrotem z walącym głucho sercem, korytarz pływał mu przed oczami.

Kim byli tajemniczy ludzie na płycie?

Naprawdę to widział?

I dlaczego właściwie wydało mu się to dziwne? Trzech ciemno ubranych ludzi pałających się pomiędzy pojazdami służby naziemnej. Nie było ich widać w ciemności ekologicznie oświetlonego pasa, a potem zapalili na chwilę jakieś światło, które odbijało się od ich twarzy i dłoni. Latarka, spawarka, flara.

Na skrzyżowaniu minął kobietę z upiornie białym makijażem, która tańczyła jak nakręcana figurka na staroświeckiej pozytywce, drobiąc w miejscu i kręcąc się z rękami sztywno uniesionymi nad głowę.

Minął ją i nawet się nie obejrzał.

Teraz był pewien, że majaczy. Nie pamiętał, kiedy funkcjonował tak długo z wyłączonym dostępem do Sieci, nie widząc nic poza gołą, brutalną rzeczywistością. To było niepokojące. Nie miał pewności, czy tylko jemu się to przytrafia, czy gdyby nagle Sieć znikła, świat zapełniłby się kręcącymi się w kółko lunatykami.

Podejrzewał, że jeśli teraz śni, to nie trafi już do poczekalni, tylko będzie błąkał się po coraz bardziej idiotycznych sceneriach, dręczony nieokreślonym przekonaniem, że musi gdzieś zdążyć.

Takie były reguły snu.

Tymczasem trafił z powrotem bez problemu, a poczekalnia wyglądała tak samo jak przedtem.

I tak samo jak przedtem wypełniali ją majaczący obłąkańcy.

Wrażenie nierealności nie opuściło go, nawet kiedy po dwudziestu sześciu godzinach

od rozpoczęcia podróży dotarł już na miejsce, odzyskał bagaż i pozwolił lotnisku wypłuć się na mokry beton przed terminalem w Modlinie, pod stojące na słupach wiaty smagane wiatrem i deszczem.

Metro jeszcze nie jeździło, podobnie kolejka.

I tak nie miał aplikacji miejskiej.

W samolocie zasnął oparty twarzą o siedzenie z przodu, za co płacił teraz bólem skręconego karku. Śnił o korytarzach pełnych szaleńców i pojawiających się znikąd sylwetkach w strojach panczenistów, sam nie wiedząc, co z tego przydarzyło mu się naprawdę.

Po przylocie natychmiast wpadł do lotniskowej łazienki i napił się wody z kranu, wyłączającego się co chwila dzięki czujnikowi ruchu. Ugasił pragnienie, ale teraz miał wrażenie, jakby jego żołądek wypełniała ogromna, lodowata, cuchnąca chlorem meduza.

Błąkał się w poszukiwaniu przystanku nocnego autobusu, mijając kanciaste figury zakutyh w kewlar policjantów i nie mogąc uwierzyć, że kiedy wstawał wczoraj nad ranem, znajdował się na Półwyspie Arabskim. To było trochę ponad dobę temu, ale i tak wydawało się nie do uwierzenia. Tam nocne powietrze było granatowe i gorące, świt przynosił zawodzenie muezzinów, a czarny horyzont wypływał słońce, naprawdę będące kulą rozpalonej plazmy. Tutaj wciąż było mniej lub bardziej ciemno, a słońce stanowiło obiekt teoretyczny. Coś, co ponoć znajdowało się za powlekającą świat burołowianą zasłoną.

Co chwila powietrze przecinał cichy, szarpiący nerwy dźwięk, jak stada stalowych szerszeni, a przez zamglone mżawką niebo, lekko podświetlone nielicznymi sodowymi lampami, prześlizgiwał się dyskowaty kształt drona. Czasem bez wyraźnego powodu włączały się skierowane w dół reflektory, słupy światła wspierały się o ziemię, gmerając jak ciekawskie palce po nielicznych pojazdach, twarzach przechodniów albo połaciach trawników. Czarne dwumetrowe dyski dryfujące nad głową, niczym inwazja obcych w miniaturze.

Mógł iść do miasta na piechotę.

Jakieś czterdzieści kilometrów.

Mógł czekać, aż otworzą się jakieś kioski, i tam spróbować kupić bilet niewymagający omnifona, aczkolwiek nie wiedział, czy coś takiego w ogóle istnieje.

Mógł jeszcze odszukać bankomat, wyjąć gotówkę i próbować znaleźć taksówkę, płacąc jak za zboże.

Tak właśnie zrobił, w końcu przez chwilę był bogaty.

Podróż przez ciemne, lśniące miasto, gdzie świeciły tylko niektóre latarnie, zajęła godzinę. Wpół leżał na siedzeniu, usiłując znaleźć pozycję, w której odpuściłby tępy ból kręgosłupa i karku, rozkoszując się wygodą normalnej samochodowej kanapy. Taksówka w rzeczywistości była elektrycznym kompaktem, gdzie troje pasażerów musiałoby podróżować jak szprotki w puszcze, z bagażem na kolanach, ale po dobie na łasce tanich linii i tak wydawała mu się dziesięciometrową limuzyną.

– Witamy w domu, sir – mruknął do siebie, opierając policzek o drzwi. Patrzył bezmyślnie przez zachlapaną deszczem szybę na mokre miasto, tonące w ciemności. Najpierw rozgrzebane budowy obwodnic i estakad, gdzie porzucone pomarańczowe buldożery mokły wśród bloków betonu i rozjeżdżonych nasypów, wśród migających żółtych świateł zasilanych bateriami słonecznymi, co zakrawało na jakiś ponury żart. Potem ciemne i puste śródmieście, gdzie z rzadka wśród pogrążonych w mroku ulic przemykały pojedyncze pneumobile i elektryki, malutkie jak zadaszony wózek inwalidzkie, czasem upiornym blaskiem odbijała się sylwetka niezłomnego rowerzysty w bioluminescencyjnym kombinezonie, pedałuującego w deszczu.

Potem Ursynów, majaczący w ciemnościach jak pocięty kanionami górski masyw. Czasem mijali stojące na poboczu wozy patrolowe na wielkich, masywnych kołach, o graniastych pancernych nadwoziach, jak wyciosanych z granitu, i wąskich oknach zasłoniętych siatką, za to pomalowanych w pogodne, srebrno-błękitne wzory, z odblaskowymi dodatkami.

Potem płacił, wsuwając przez szczelinę podajnika kolejne banknoty, i czekał na szczęk odblokowywanych zamków. Wokół wznosiły się, połyskując szkliście, szczyty wieżowców.

Stojąc na pustym chodniku, spojrzał w górę na swój ekoapartamentowiec wbijający się półwałcem w niebo, na wypukłą ścianę pokrytą mozaiką identycznych prostokątnych okien i miniaturowych półokrągłych balkoników, z których zwieszały się girlandy skrzynek miejskich upraw i sterczały w niebo parasolowate czasy kolektorów słonecznych. Nie był w stanie wypatrzeć własnego okna, ale spłynęło na niego uczucie swojskości. Wrócił do domu.

Tak naprawdę czuł gdzieś głęboko paranoiczny strach, że zabrali mu mieszkanie. Niby płacił regularnie, ale gdzieś tam po drodze, przez jakieś dwa, trzy miesiące nie miał właściwie ani grosza. Teraz wyrównał wszystko z nawiązką, lecz może było już za późno albo diabli wiedzą co jeszcze. Administrator rządził się dość pokrętnymi prawami, jedni mogli zalegać miesiącami, ćwiczyć nocami grę na tam-tamach i hodować w swoich wiszących ogródkach mak lub konopie indyjskie, innych straszono komisjami za głośniejszy szept po dziesiątej.

Kod do drzwi wejściowych zadziałał, co Norbert przyjął z ulgą, a potem, wsparty tyłkiem o poręcz w cuchnącej czymś metalicznym windzie, gapił się tępo na ścianę wytapetowaną przekreślonymi piktogramami, zabraniającymi robienia najróżniejszych rzeczy we własnym domu, i dziękował niebiosom, że dotąd nie założył omni-zamka. Teraz wiedział już, że nigdy go nie założy. Wygoda polegająca na otwieraniu własnych drzwi jednym gestem nie była warta takiego ryzyka. Świat był pełen Królików z saperskimi szczypcami w rękę, którzy mogli jednym ruchem zamknąć przed Norbertem nie tylko możliwość przejechania się metrem, ale otwarcia własnych drzwi. Gdyby nie stary czipowy klucz na sfatygowanej karcie, przez następne parę dni nocowałby na wycieracze pod macierzystym biurem obsługi klienta, czekając na omnifon.

Korytarz na jego piętrze był ciemny i cichy, ciągnący się łukiem wytartej piaskowej terakoty w zielonkawym poblasku diod awaryjnych niczym uspione, puste akwarium.

Kółka jego walizki wydawały irytujący hurgot, kiedy lawirował pomiędzy rowerami, których nie wolno tu było stawiać, ale cykliści i tak to robili, jakby w przekonaniu, że ich codzienne umartwienie na przekór klimatowi daje im prawa niedostępne zwykłym śmiertelnikom.

Odliczał numery na drzwiach jak w hotelu. Mieszkał w apartamentowcu od ładnych paru lat, ale nie było tu żadnego punktu odniesienia. Tylko niekończący się łuk korytarza i jedne za drugimi identyczne, udające drewno odrzwia.

Zamek szczęknął kojącym odgłosem sprawnego metalowego mechanizmu.

Mieszkanie powitało go na wpół zapomnianym, swojskim zapachem, zmieszanym z lekką stęchlizną i wonią kurzu. Wetknął klucz w gniazdo i bezmyślnie strzelił palcami, żeby włączyć światło, ale nie miał omnifona, więc nic się nie stało. Potem trzasnął manualnym przełącznikiem, aż dotarło do niego, że jest za wcześnie. Prąd włączą o wpół do szóstej, co oznaczało też, że z prysznicą nici.

Miał awaryjny generator zasilany pneumonapędem, ale w zbiorniku sprężonego powietrza nie było ciśnienia. Coś tylko zasyczało anemicznie, wydając ostatni dech, generator zamruczał i ucichł.

– Zawsze przed wyjazdem wymienić zbiornik – oznajmił Norbert nieistniejącemu omnifonowi.

Znalazł po omacku kempingową lampę zasilaną dynamem, nakręcił sprężynę do oporu i postawił urządzenie na ladzie oddzielającej aneks kuchenny. Właściwie był tak zmęczony, że odechciało mu się spać. Dryfował tylko w jakiejś zamglonej przestrzeni jak półlunatyk.

Lampa mruczała cicho, mdły poblask triod zalał pokój żółtawym, pełgającym półmrokiem. Jego mieszkanie wydało się w tym niby-świecie jeszcze mniejsze niż zazwyczaj. Od drzwi do okna ledwie dało się zrobić parę kroków. Kompaktowa maszyna do mieszkania.

– Dobra, to wróciłem do domu – ogłosił.

Nikt na to nie zareagował.

– Kochanie, już jestem – spróbował jeszcze raz. Znowu nic.

Wiedział, że nie ma nic w lodówce, bo przed wyjazdem opróżnił ją i wyłączył, ale i tak zajrzał, w płonnej nadziei na jakieś niepsujące się, hermetycznie zapakowane cokolwiek do jedzenia. Cokolwiek, co nie będzie falafelem, klonowanym tuńczykiem, ryżem z warzywami albo potrawką z tłustej baraniny.

Potrzebował też czegoś do picia. Wody. Coli. Mleka, herbaty, czegokolwiek.

A potem znowu jedzenie. Najlepiej coś polskiego. Domowego. Z wieprzowiną. Wędliny. Kiełbasa. Kiszone ogórki. Przyzwoity ser. Prawdziwy chleb. Łyk czegoś mocniejszego. Tytoniowy papieros (po zablokowaniu czujników). Cała paleta wyklętych, wyrzuconych do specjalnych sklepów, wysoko opodatkowanych, a czasem wyjętych spod prawa produktów.

Zestawił lampę na podłogę i przeszukał kuchenne szafki, licząc na swój atawistyczny instynkt, który męczył go od dzieciństwa. Zawsze chomikował jakieś zapasy na wypadek katastrofy, nagłego zaginięcia w buszu albo inwazji obcych, czy było trzeba, czy nie. Problem w tym, że kiedy wyjeżdżał, miał tylko pieniądze z żelaznej rezerwy i bilety. Zamieszki w Dubaju były jego jedyną nadzieją na przyzwoity iwent, który pozwoliłby mu odbić się od dna. W efekcie, zanim zamknął za sobą drzwi, wyżarł nawet zapasy makaronu i ryżu, które w normalnym domu poniewierają się bez końca, czekając na wielki moment ugotowania czegoś od zera.

Myszkował po własnym domu jak agent tajnej policji, zaglądając w najróżniejsze zakamarki, bo znał siebie. Ostatnimi czasy bieda często zaglądała mu w oczy i potrafił już przyklejać taśmą paczki szmuglowanych zhongnanhaiów albo jinlingów do blatów od spodu albo upychać batony w pojemniku na kapsułki kawy.

Przeszukał kuchenne szafki z zaciekleścią afrykańskiego celnika, ale jedyne, co odkrył, to paczka podejrzanych krakersów z dodatkiem glonów nori, kartonik skondensowanego mleka i słoik domowego dżemu z truskawek, który został mu z któregoś spotkania Tajnego Towarzystwa Degustacyjnego.

Akurat kiedy usiadł przy blacie do swojego dziwnego posiłku, włączyli wreszcie prąd, więc mógł jeszcze rozrobić sobie kondensat z wodą z kranu i uzyskać coś w rodzaju kubka mleka.

Glonowe krakersy miały posmak solonego mango i zdecydowanie nie należało jeść ich z dodatkiem dżemu.

Ostatnie, co pamiętał, to że jeszcze wydobył ze ściennej szafy futon i pościel, po czym rozwinął go na podłodze.

Obudził się po jakichś ośmiu godzinach, nadal zmęczony, z poczuciem, że mógłby bez trudu spać dalej, ale znowu był głodny.

No i bał się ponownie zasnąć. Ocknął się, leżąc na wznak, dławiąc się stłumionym krzykiem, mając pod powiekami padających niczym szmaciane lalki ludzi w białych diszdaszach, nasiąkających błyskawicznie krwią, płynącą strugami po betonie. W uszach dźwięczał mu trzask wystrzałów, wokół biegali ludzie o przerażonych twarzach. Widział przeszklony tunel lotniska i tańczących szaleńców o pustych oczach, wypełnionych białym szumem jak ekrany telewizorów nastawionych na nieistniejący kanał. Wzdłuż korytarza szło dwóch ludzi w czarnych obcisłych kombinezonach panczenistów, o rozjarzonych blaskiem twarzach, z pistoletami w rękach. Mijając szaleńców, unosili pistolety, padał strzał, kolejny człowiek walił się na ziemię, bezwładny jak szmata bądź skręcając się w agonii, a w powietrzu zostawał na ułamek sekundy obłoczek rozpylonej krwi, łuska dzwoniła na metalowej podłodze. Na koniec on sam spoglądał w czarny otwór gorącej, śmierdzącej kordytem lufy, z której sączył się błękitnawy dym. „Do usług” – powiedział Królik.

Norbert leżał przez chwilę na futonie, tocząc po swoim miniaturowym mieszkaniu nic nierozumiejącym, baranim wzrokiem, a potem pokręcił głową i usiadł.

Dom.

Oliwkowa wykładzina, puste ściany, kryjące szafki i szafy schowane za drzwiczkami powleczonymi pastelowym fornirem, stolik koktajlowy, minimalistyczny mebel pod oknem ze szklanych płaszczyzn i chromowanych rurek, na którym mieszkało niezniszczalne bonsai z modyfikowanej sosny koreańskiej, fotel pokryty zieloną klonowaną skórą. Za oknem biegnącym w poprzek całego pokoju, w dole, widać było niskie dwudziestowieczne bloki, przetykane późniejszymi apartamentowcami o najdziwniejszych kształtach, jak zatrzymane eksplozje kryształu, dużo nieba i Las Kabacki na horyzoncie. Teraz jednak widok składał się głównie z brudnawej mgły i majaczących w niej szarawych widm budynków.

Wnętrze zdawało się równie bezosobowe jak niezliczone hotelowe pokoje, w których mieszkał. Cztery ściany, coś do spania, jakieś okno. Tak naprawdę zmieniało się w dom, kiedy opuszczał zwinięty pod sufitem holodisplay, włączał muzykę, siadał w tym swoim fotelu, oglądał coś, czytał albo otaczał się widmami krajobrazów ze swojego banku zdjęć i rozmyślał, popijając alkohol, o ile udało się go zdobyć, albo herbatę, jeśli z kolei ją udało się zdobyć. Jak dobrze się zastanowić, to jego dom mieścił się częściowo w MegaNecie, a częściowo w matowym, czarnym sześcianie datasejfu z tytanu i matowych fulerenów, o boku długości dwunastu centymetrów, zawierającym trzy heptabajtowe bloki pamięci. Tam trzymał swoją przeszłość, swoje marzenia i swój dom. Zapachy, dźwięki i obrazy. Te wszystkie miejsca, które chciałby widzieć przez okno i mieć na co dzień w zasięgu ręki, te wszystkie utwory, które były jak ścieżka dźwiękowa jego duszy, skrzętnie zbierane po całym MegaNecie przez lata. Te wszystkie książki i filmy, towarzyszące mu jak wierni przyjaciele. Wszystkie kobiety, które stracił, nadal wokół niego.

Mając swój datasejf, był w stanie zbudować dom gdziekolwiek. Byleby miał dach nad głową i cztery ściany, chroniące przed światem na zewnątrz. Wystarczyło zorganizować coś do siedzenia, głośniki, holoemiter i skinieniem obudzić do życia własny azyl. A gdyby stracił dyski, miał jeszcze kopie ukryte w prywatnych chmurach w Sieci. Był nomadą. Na tym to polegało. Dom i prywatne życie sprowadzone do przenośnej wersji minimum były częścią przemyślanej filozofii.

Mieszkanie składające się z podstawowych wygód, przestrzeń cztery kroki na sześć, nie licząc aneksu kuchennego i łazienki, okno, rozkładany stół – co mogli mu zabrać? Trochę ubrań i tę klitkę? Gdyby było trzeba, mógł spakować się w ciągu dziesięciu minut i odejść pieszo, a wieczorem rozstawić garść głośników i emiterów i otoczyć się domem gdziekolwiek indziej.

Jego okno wychodziło na zabytkowe, sypiące się blokowisko, które przez dziesięciolecia stało puste, obrastając zagajnikami pełnymi drzew wyrrywających się pomiędzy popękanych betonowych płyt, aż pewnego roku wprowadzono podatek katastralny. Po cichu, na raty i nie pytając nikogo o zdanie. Nagle ci, którzy mieszkali we własnych domach i na własnej ziemi, a nie mieli licencji rolnika, zostali zrujnowani. Wszyscy, którzy uciekli na wieś, ci, którzy dorobili się wcześniej i teraz chcieli bukolicznej emerytury we własnym domku, ci, którzy całe życie spłacali kredyty za

dom i kawałek ziemi, ci, co nie mieli oficjalnych papierów rolników, ale na wsi mieszkali od zawsze i nie posiadali nic innego. Opłata wynosząca co roku jeden procent wartości rynkowej nieruchomości to była suma, jakiej nikt z nich nie widział nigdy na oczy.

W ciągu trzech lat armia bezdomnych zajęła pustostany w porzuconych blokowiskach, takich jak to. Tysiące złamanych, sfrustrowanych i wściekłych ludzi, którzy nie mieli już nic do stracenia. Ich los nikogo nie obchodził, bo w mediach przedstawiano ich jako krezusów i latyfundystów. Czasami policja wdzierała się w te osiedla, żeby egzekwować prawo, i wtedy kończyło się na koktajlach Mołotowa i dzikich zamieszkach. Wiochmeni nie mieli gdzie się cofnąć ani z czego ustąpić. Wcale nie chcieli tu być. Chcieli z powrotem swoich odebranych przez skarbowkę domów. I byli wściekli. Padały strzały i trupy.

Widok ich slumsów z balkonu nawet nie był z pozoru taki przygnębiający. Bloki się sypały, brakowało im szyb, ale tonęły w zieleni, która maskowała nędzę liśćmi i trawą. Poza tym takie sąsiedztwo jednych przerażało, ale dla innych było nad wyraz pożyteczne. Wiochmeni hodowali w szopach kury i świny, sadzili warzywa na byłych trawnikach, pędzili bimber, mimo surowego zakazu wędzili w dymie szynki i kiełbasy, nasycając je benzopirenem z tłących się śliwowych polan, i handlowali przemycanym tytoniem. Ich teren omijała policja, ekobojówki, a nawet Arabowie, Albańczycy, Nigeryjczycy i wietnamska mafia. Wystarczyło trochę odwagi, żeby wejść między barykadami ze starych samochodów na ich wewnętrzne targowisko.

Jeśli się znało zasady, było tam zupełnie bezpiecznie.

Norbert chadzał tam, kiedy miał pieniądze, dorobił się znajomości i stałych dostawców. Przydawali się, ale ich widok stanowił memento. Dzięki nim pamiętał, że w tych czasach nie warto niczego gromadzić ani mieć. Przynajmniej nic takiego, co nie mieści się w kieszeni.

Czasami, jak dowodziła wybebeszona skorupa jego omnifona, nawet i to okazywało się za dużo.

Było ciemno i mglisto, z każdym podmuchem porywistego wiatru deszcz siekł ukośnie w szyby i Norbert strasznie nie chciał wychodzić na zawieruchę, zwłaszcza że niby nie musiał.

Tyle że w domu nie było nic do jedzenia ani do picia, rozpaczliwie brakowało wszelkich używek, które mogły uczynić żywot znośniejszym, zabrakło powietrza w zbiorniku napędowym awaryjnego generatora, skończył się nawet płyn do cyberetki. No i nie miał omnifona.

Walizka była pełna brudnych rzeczy, do tego zupełnie nie na ten klimat. Po dłuższym szukaniu w szafie znalazł jakieś dzinsy, znoszone buty taktyczne, termobluzę z kapturem i płaszcz z klonowanej skóry. Właściwie już zapomniał, że ma taki płaszcz, ale jak zwykle przypominał sobie Turka, który mu go sprzedawał. „Jagnięcina-mantel! Prawdziwa! Super, gut!”

Wtedy był z Karoliną...

Zagapił się na moment w przestrzeń, po czym założył płaszcz „z jagnięciny”, wziął pusty plecak, wepchnął do niego składaną torbę na kółkach, zabrał pusty zbiornik i wyszedł, rzuciwszy „nara” krzaczkowi bonsai, który niewzruszenie gapił się przez okno.

Kiedy wrócił, obładowany tak, że ledwo dowlókł swoje sprawunki do drzwi, był już prawie wieczór.

Jeszcze zanim zapełnił lodówkę, przede wszystkim wyjął wiejską kiełbasę czosnkową zawiniętą w brązowy pergamin i, ciągle w butach i płaszczu, odgryzł wielki kęs.

– Uwielbiam benzopiren – oznajmił otwartej lodówce z pełnymi ustami. – Ten sam, którego tajemniczo nie zawierają produkty niemieckie, hiszpańskie i francuskie. Smak benzopirenu o zmierzchu to smak domu.

Dzięki targowi wiochmenów miał dodatkowo biały wiejski chleb ze zbyt wysoką zawartością glutenu i jeszcze straszniejsze bułki, twaróg, żółty ser i masło, wszystko przekraczające normy zawartości tłuszczu, więcej benzopirenów i azotynów w pachnącej wiśniowym dymem kilogramowej szynce, ogórki kiszone w niebezpiecznej dla zdrowia solance, śliwowicę w dwulitrowej plastikowej butelce, która stanowiła jeden wielki kryminał, oraz drugą butlę ormiańskiej whisky. Do tego wszystkiego dochodził jeszcze karton przemycanych „kozyłków”, koncentrat coli bez akcyzy via Turcja i ręcznie nabijany zbiornik sprężonego powietrza, bez certyfikatów BHP i bez gwarancji, że nie wykorzystywano do pracy dzieci. Nawet pomidory, ogórki, rzodkiewki, kalafior i jabłka, które kupił, wyhodowano bez kontroli, z pogwałceniem zasad głębokiej ekologii, poza obszarem zrównoważonej hodowli i z naruszeniem biotechnologicznego prawa autorskiego.

Jakimś cudem warzywa hodowane przez aktywistów z Miejskiej Ekorewoli na balkonach i dachach były oficjalnie wolne od zanieczyszczeń oraz od roszczeń autorskich Biotechu.

Spojrzał krytycznie na swoje zakupy i ocenił je na dwa lata w zawieszeniu plus grzywna, plus prace społeczne, plus sto punktów na skali zachowań antyspołecznych.

Rozmieszczył łupy na półkach lodówki i szafkach swojej miniaturowej kuchenki, po czym zasiadł przy ladzie oddzielającej ją od pokoju i metodycznie zniszczył część materiału dowodowego.

Prąd wciąż był, więc pozmywał i wszedł pod prysznic, gdzie skulił się w brodziku i przez całe pięć minut pozwolił sobie tajać w gorącym sztucznym deszczu, spłukując z siebie Dubaj, smród karabinowego paliwa, obraz strugi ciemnorubinowej krwi wijącej się po suchym betonie. Chóralny wrzask z wielu gardeł i ryk automatów Korobowa, gdy poszczególne wystrzały zlewały się w jeden jazgot. A także niekończącą się podróż w mroku i zimnie.

A potem wstał, uruchomił suszarkę, zmiatając gorącym podmuchem krople wody z ciała, i poszedł włączyć sobie dom.

Za oknem w gęstniejącej szarówce drobny deszcz siekł szyby, policyjny dron sunął bezgłośnie wzdłuż ściany balkoników, jak urwany kapelusz grzyba albo miniaturowe UFO, łypiąc czernią skanerów spod płaskiej kopuły kryjącej zbiorniki z helem.

Norbert zamknął żaluzje i rozwinął rolowany holoe ekran, zasłaniając okno. Oczywiście, gdyby faktycznie chcieli go skanować, w niczym by to nie pomogło. Miał nadzieję, że to tylko rutynowy patrol.

Wrócił do kuchni, wydobyl paczkę pitnej czekolady, jedną z niewielu limitowanych, ale legalnych rzeczy, które kupił dziś w sklepie akcyzowym. Zamknął kapsułkę w ekspresie i oddał się lekturze sloganów gromiących go za współdziałanie w sprowadzeniu towaru z odległości prawie sześciu tysięcy kilometrów, obwiniających o wysłanie do atmosfery stu czterdziestu siedmiu dodatkowych kilogramów CO₂ oraz litanii ostrzeżeń dotyczących substancji szkodliwych dla zdrowia, pouczeń w kwestii właściwej utylizacji odpadów, a na koniec informacji o zdrowej alternatywie, jaką stanowiła „Żołędziolada”™ (bez cukru), cokolwiek to oznaczało. Napis przewinął się do końca, na opakowaniu zabłysło jeszcze logo Fundacji „Wolny od Używek” i slogan „Twoje zdrowie należy do Społeczeństwa!”.

Ekspres zadzwonił, a Norbert zabrał filiżankę i ustawił ją na stoliku przy swoim fotelu. Potem wyrzwał ostrożnie na balkon, ale dron zniknął. Miał nadzieję, że polecą nad osiedle wiochmenów, gdzie ktoś zmaca go stalową kulą z procy albo strzałką z pneumatycznego karabinka.

Nalał sobie jeszcze śliwownicy, którą schował ostrożnie do szafki, dla pewności opakowawszy butelkę w folię aluminiową.

Włączył pancerbooka, połączył się z databankiem i wyświetlił widok na górską dolinę w Południowym Wietnamie, mgłę snującą się pasmami nad tarasowymi polami herbaty i sterczące pojedynczo jak słupy, porośnięte drzewami góry. Pochmurny, mglisty zmierzch, delikatny jak muśnięcie jedwabiu. Na tle różowiejącego nieba przelatywały czarne sylwetki ptaków, lekki wiatr mierzwił łany trawy słoniowej. Brakowało tylko tamtego dziwnego zapachu i mokrej, ciężkiej duchoty powietrza.

Potrząsnął głową, chcąc przepędzić obraz Karoliny mierzącej na bazarze stożkowaty kapelusz ze słomy ryżowej, i odkaszlnął sucho.

Potem włączył jeszcze „Slaughterhouse Symphony”, nie za głośno, i przyrządził sobie w dystrybutorze przemycaną colę. Na koniec znalazł na dnie puszek z herbatą płaskie pudełko, zawierające niewielką płytkę z czipem i miedzianymi stykami, którą wsunął pod głowicę wykrywacza dymu. Ekranik domowego panelu sterowania zamrugał i zażądał hasła. Wpisał je i serwer doszedł do wniosku, że wszystkie systemy działają bez zarzutu.

Dom.

Dopiero teraz był w domu.

Kiedy wydobywał z torby kolejne pudełka, czuł się, jakby nastąpiła Gwiazdka. Utrata omnifona to nie było nic fajnego, do tego utrudniało życie do wyrzygu. Naruszenie własnej integralności i majątku miało ohydny posmak bezradnego upokorzenia, kojarzącego się jakoś niemal z gwałtem albo powrotem do najpaskudniejszych wspomnień z dzieciństwa, jakby znów trafił do szkoły, ponownie jako bezradny sześciolatek, zdany na łaskę i niełaskę każdego prześladowcy. Do tego jeszcze sam brak

przeklętego urządzenia odciął go od świata, zupełnie jakby Królik czasowo wyrwał Norbertowi język.

Z drugiej strony, gdyby nie to, pewnie zostałyby przy starych okularach i omni. Tamten Blackstone może nie był ostatnim krzykiem mody, ale póki co dawał radę. Tylko że poległ w saperskich cęgach Królika, a jego miejsce zajmował z dumą najnowszy Monolith CRX. Nie jakiś gówniany Huawei czy Tao-feng, tylko porządny omni w obudowie z fulerenów i arachnofibrowego laminatu, na nanokarbonowym szkielecie. Do tego cały zestaw kamer i rejestratorów.

Norbert siedział wśród rozbebeszonych pudełek, wytłoczek z masy celulozowej i skrobiowych kuleczek z opakowań, popijając na zmianę czekoladę, śliwowicę i colę i konfigurując kolejne urządzenia.

Zaczął od samego monolitha, który musiał najpierw rozpoznać ustawienia urządzeń w jego mieszkaniu. Nowy displej otaczał głowę przezroczystym z pozoru pasem i był leciutki jak piórko. Właściwie wcale się go nie czuło. Komunikaty i obrazy zdawały się lewitować w powietrzu pół metra przed twarzą, a do tego od drugiej strony nie było ich widać.

Spojrzał na listę trafiających pod kontrolę omnifona urządzeń i z osłupieniem stwierdził, że zyskał władzę nad ekspresem do kawy oraz odtwarzaczem muzycznym z mieszkania obok.

Otworzył kasetę zestawu miniaturowych rejestratorów. W kształcie pióra albo przypominające niepozorne klipsy, które można było wpiąć w ubranie. Miał aż dwie pary bajeranckich okularów przeciwsłonecznych we włoskich oprawkach, na wypadek gdyby ktoś zgniótł mu jedną, rejestrator ucharakteryzowany na pudełeczko organicznej gumy do żucia o smaku awokado i cynamonu oraz cztery autonomiczne mikrodrony. Każdy wielkości oliwki, z przezroczystymi przeciwbieżnymi pędnikami z neochityny. Po jednorazowym ładowaniu mogły latać dwie godziny, automatycznie utrzymując pozycję wokół operatora i rejestrując to, co miał w centrum pola widzenia albo co wskazał znacznikiem. Mógł je wysłać do pięćdziesięciu metrów od siebie.

Spędził jakiś czas, bawiąc się, puszczając je w różnych formacjach po całym pokoju, sfilmował z czterech stron swój ekspres do kawy, kazał okrążyć składany sedes w łazience, kusilo go, by wysłać je za okno, przed balkon ponętnej sąsiadki dwa piętra niżej, ale stchórzył. Raz, że nie był pewien swojego pilotażu i bał się o sprzęt, a dwa, mógłby skończyć w pudle z oskarżeniem o prześladowanie.

Dostał nawet displej w postaci nanożelu, który należało wkropić do oczu, by tam utworzył soczewki kontaktowe, ale na razie tego nie próbował. Soczewki miały swoje wady. Kupił tylko jedną buteleczkę, a kontakty były jednorazowe i po najdalej czterech godzinach należało je wypłukać specjalnym płynem, żeby nie dostać zapalenia spojówek. Wcale też nie stanowiły idealnego kamuflażu, ktoś o bystrym wzroku mógł dostrzec mikroskopijne linie komunikatów na tle źrenicy.

Za nostalgicznym zmierzchem w okolicy Lâm Đồng mazowiecki deszcz siekł o szyby, a wiatr ciskał pierwszymi zeschniętymi liśćmi.

Rec.3

Pomieszczenie było wielkie, industrialne i zatłoczone. Betonowe płyty na stalowych dźwigarach, pod sufitem labirynt grubych, cynkowanych rur systemu wentylacyjnego. Obecnie pracowały pełną parą, zasysały rozedrgane mgławice błękitnego dymu rozmaitego pochodzenia prosto do potężnego filtra wypełnionego cieczą.

Co najdziwniejsze, barak stał niemal w centrum miasta, na przemysłowym terenie pełnym zrujnowanych warsztatów samochodowych i hangarów obrośniętych drzewami i krzakami. Prawa własności były tu jakieś pogmatwane i nawet deweloperzy nie mogli się do niego dostać. Pewnie w lepszych czasach i tak poszłoby to wszystko pod zabudowę, ale to nie były lepsze czasy i w całym mieście straszło mnóstwo pustostanów czekających na klientów.

Oficjalnie w baraku mieściła się pracownia i galeria sztuki, a dzierżawca, który był dzisiejszym gospodarzem, nazywany Saturninem, wyglądający jak skrzyżowanie Rasputina i Nosferatu, mógł tu funkcjonować, w dzikiej enklawie dziesięć minut od centrum, na skraju parku. Na obszarze, który w podświadomości mieszkańców był jak zasłonięty martwą plamką. Na zerowym obszarze poza nawiasem rzeczywistości. Zapuszczonym zapleczu czegoś, położonym między trasą przelotową a parkiem.

Idealne miejsce na kolejną latającą imprezę Tajnego Towarzystwa Degustacyjnego. Kilkadziesiąt odpowiednio sprawdzonych i poleconych osób, które skrzykiwały się w jakimś punkcie miasta, żeby upijać się, obżerać, palić i gzić po kątach, jak w dawnych, grzesznych czasach. Bez żadnej kontroli.

Istniało kilka zasad egzekwowanych surowo, pod rygorem wieczystego wygnania z Towarzystwa. Żadnych urzędzeń rejestrujących – wszystkich gości badano starym czujnikiem indukcyjnym z demobilu, a wszelkie komunikatory lądowały w wyłożonej ołowiem skrzyni. Żadnych ciężkich i syntetycznych narkotyków. To już nie byłoby „wykroczenie przeciwko zdrowiu” i mogło skończyć się wjazdem uzbrojonego oddziału SPAT-u. Żadnych bójek (z tego samego powodu). I żadnych abstynentów, wegetarian ani innych biernych uczestników degustacji, nawet jako osoby towarzyszące.

Ponadto wymagano, żeby każdy uczestnik przyniósł własny wkład w degustację – najlepiej nielegalny albo nielegalnego pochodzenia. Dobrze widziane były alkohol i domowe wędliny oraz potrawy mięsne. Tytoń i inne zioła również.

Więcej zasad nie było.

Poza jedną, oczywistą dla wszystkich: żadnych nazwisk.

Kolacja minęła już drętwy etap i powoli zmieniała się w hałaśliwe, chaotyczne

pandemonium. Tłum ludzi, z których Norbert nielicznych znał i jeszcze jakąś część rozpoznawał, podzielił się na grupki w pomieszczeniu o kubaturze hangaru, gdzie jedynymi meblami były ułożone w kółka wokół stolików ze skrzynek improwizowane siedziska z plastikowych, gumowatych worów wypełnionych czymś ziarnistym oraz stojące gdzie popadło rzeźby autorstwa Saturnina.

Człekokształtne, zbudowane z resztek, złomu i starej elektroniki, przypominały efekty upiornych eksperymentów medycznych prowadzonych w warsztacie. Niektóre nawet ruszały się od czasu do czasu, potęgując surrealistyczną atmosferę.

Norbert toczył po nich podpitym, kołowatym wzrokiem i pomału dochodził do wniosku, że to po prostu hobby stanowiące przykrywkę dla pozyskiwania metali rzadkich z przewodów, lutowań i złączy. Powiewając legitymacją artysty, Saturnin mógł buszować po strzeżonych wysypiskach, a jeśli w ramach procesu twórczego zostawało mu paręset gramów poszukiwanego kruszcu, to czysty zysk. Norbertowi nie mieściło się w głowie, że ktokolwiek chciałby kupić takiego mechaniczno-elektronicznego kolczastego upiora, zapłacić, a potem jeszcze widzieć go codziennie.

Normalnie monopol na odzysk metali i podzespołów miały chińskie firmy, jak niemal na wszystko.

Nie spotkał nikogo z bliższych znajomych i szczerze mówiąc, z początku nie miał na tę imprezę ochoty, ale zmusił się do wyjścia z domu.

Przez trzy dni odsypiał, usiłując zrzucić z siebie masakrę pod fontanną przy Burj Khalifa, wypłukać sny z krwi, a żyły z nadmiaru adrenaliny, i wrócić do równowagi. Prawie nie wychodził z domu, nie włączył poczty. Popijał, spał, jadł, spał, oglądał wybrane programy na TelNecie, słuchał muzyki, znowu spał, cały czas dręczony nieokreślonym niepokojem. Aż dotarło do niego, że boi się powrotu do świata. Miał środki do życia, więc zmienił się w pustelnika.

Musiał wrócić między ludzi – to był jego żywioł. Tu przepływały informacje, wymieniano plotki, można było przewidzieć iwent. Trzeba było być w ruchu. Na mieście. Tymczasem zamykał się w skorupie jak małż i zaczynał zaciskać ją coraz silniej.

Pociągnął łyk kazachskiej whisky i powrócił do skanowania przewijających się w tłumie kobiecych twarzy. Wcale nie szukał Karoliny. Nie było po co, zresztą w życiu by tu nie przyszła. Szukał natchnienia. Motywacji.

Nadziei.

Kogoś, kto pozwoli mu się przebudzić i zacząć na nowo.

Poszedł wzdłuż długich składanych stołów, wypełnionych jednorazowymi tacami z prasowanymi otrębów, na których piętrzyły się sterty staroświeckiego żarcia jak scenografia jakiegoś historycznego filmu. Kiełbasy zwinięte w pęta, tłuste, pachnące olchowym dymem, różowe peklowane szynki nacięte w grube plastry, otoczone obwódka białego, ciężkiego od trójglicerydów wieprzowego tłuszczu. Czarne kaszanki wypełnione farszem ze świńskiej krwi, gryki i siekanej wątróbki. Jadł niespiesznie, był tylko lekko podpity i snuł się w obcym tłumie jak socjopatyczne widmo. Miał wrażenie,

że dryfuje w pasmach dymu z najróżniejszych inhalatorów, sziszy, w których jabłkowy dym filtrował się przez ciecz będącą co najmniej w połowie czystym alkoholem, oraz z rusztu, pospawanego osobiście przez gospodarza z najróżniejszych, nierozpoznawalnych już elementów. Ktoś ukradkiem wypalił węgiel gdzieś na wsi, by przywołać tę prehistoryczną, zakazaną rozrywkę, i teraz można było opiekać skwierczące kawałki mięsa nadziane na mokre bambusowe patyczki oraz całe ćwiartki kurczaków kapiące w żar kroplami sosu, który wybuchał krótkotrwałymi płomykami jak miniaturowe pociski zapalające.

Tego przy ruszcie jakoś tam znał.

Osaka.

Szczupły, łysy jak jabłko, z pseudomaoryskim tatuażem na ciemieniu. O ile Norbert wiedział, pracował w jakiejś podejrzananej restauracji haute cuisine, gdzie piętrzył na wielkich talerzach z łupka miniaturowe przestrzenne kompozycje z prażonych świerszczy, żabiego skrzeku, owocowego makaronu i piany z warzyw, wszystko wielkości kieliszka, za kilo euro porcja. A teraz stał tutaj, ze skrzywką w kącie ust, przepasany ścierką, i długim widelcem dźgał skwierczące barbarzyńskie kawały mięsa, które polewał strugą eksplodującego kłębam pary piwa.

– Fokus! Kopę lat! To ty żyjesz?

– Cześć, Osaka. – Ucieszył się na widok znajomej twarzy, bo miał już dosyć ostrożnych, sondujących small talków z obcymi. „Ach, świetnie się bawię... (byle za wiele o sobie nie powiedzieć) znasz Miśka? Próbowaleś karkówki? Zarąbista! Na razie!”

– Jakies wyjazdy? – zapytał Osaka. – Parę osób o ciebie pytało. Próbowalem maila i nic. Jakby cię wcięło.

– Miałem trochę pod górę. Ale już wracam do życia – wyjaśnił.

Osaka sięgnął metalowymi szczypcami i zaczął odwracać kawałki mięsa jeden po drugim błyskawicznymi, kuglarskimi ruchami, jakby to robił całe życie.

– Masz. Ten jest dobry. Wołowina rasy czerwona polska. Marynata teriyaki.

Norbert podstawił swój talerz i zaczął żuć. Osaka strzepnął popiół wprost na węgle, choć z dala od mięsa, i pociągnął łyk piwa.

– Nie miałem prawie nic wkładu, więc muszę tu stać. Zresztą nikt nie umie zrobić tego porządnie. To ginąca sztuka.

Norbert mruknął coś z pełnymi ustami i pokiwał głową z uznaniem. Na spotkaniach Tajnego Towarzystwa Degustacyjnego należało degustować. I obowiązkowo chwalić, bez względu na to, co to było. To należało do dobrego tonu. Ale mięso okazało się naprawdę niezłe.

Osaka rozejrzał się dyskretnie.

– Jest tu gość, który chciał z tobą pogadać. Na uboczu. Na mojego nosa może mieć dla ciebie iwent.

– Pewnie wesele siostry – odparł Norbert. – Zawsze ktoś może przewrócić tort warzywny.

– Może i tak. Tylko wydawał się jakiś spietrany. I wkurzony.

– Ach, o to chodzi... Chce, żebym wywiesił w Necie, jak jego szef wyrzuca ogryzek do niewłaściwego pojemnika.

– Masz za dużo roboty?

– Pogadać można. Nie chcę tylko skończyć, rejestrując, jak ktoś podpala sobie gazy jelitowe.

– Gość nie wygląda, jakby miał ochotę zostać duszą towarzystwa.

– Co to za jeden?

– Jest tu, teraz jakoś nie widzę go w tym tłumie. Jak skończę serwis, to poszukam.

Kumpel. Z branży, można powiedzieć, tylko niska kasta. Kelner. Słyszałeś nazwę Cesarska Pagoda?

– Knajpa z chińszczyzną?

– Nie taką na wynos. Trzy najwyższe piętra Liaoning Tower. Dwie gwiazdki Michelina. A hotel ma więcej gwiazdek niż flaga Europy. Ulubiona bankietownia dla Chinoli z górnej półki, wszelkich biznesmenów, ruskich oligarchów. Sajgonek tam raczej nie kupisz. To jest dla gości, którym w salonie merca muszą tłumaczyć, że na siedzenia poszła najlepsza skóra z dwudziestu krów. Myślisz, że dla takiego kaczką glazurowana maltozą i zawinięta w ryżowy placek to szczyt szczęścia?

– I on tam kelneruje?

– Coś kiedyś bąknął. Trochę nieśmiały. Mówią na niego Robson.

A potem Norbert snuł się jak upiór. Z kimś gadał, z kimś tańczył, poczęstowano go czystą wódką, wstęgi dymu snuły się, tnąc pomieszczenie, i wychwytywały kolorowe wiązki laserów, etno-punk łomotał anarchistycznym rytmem, jakaś średnio ładna dziewczyna ściągnęła koszulkę i tańczyła na stole skleconym z bambusowej palety transportowej, oblewając się czymś czerwonym, co spływało po jej silikonowych piersiach jak strugi krwi, ludzie dookoła wrzeszczeli i zlizywali z niej trunek, a on patrzył zdjęty nagłą grozą. Widział tylko czołgających się we wszystkie strony, zbryzganych krwią ludzi w przesiąkniętych diszdaszach i słyszał wizg automatów Korobowa.

Potem siedział w jednym z gniazdek ułożonych z siedzisk wokół skrzyni transportowej z włókna szklanego, która udawała stolik, i przynajmniej był w jakimś towarzystwie. Towarzystwie złożonym z par, w którym był jedynym singlem, ale zawsze.

Robson okazał się chudym, smagłym brunetem o lśniących węglowo włosach zaczesanych do tyłu. Miał napięty wyraz twarzy kogoś, kto bardzo chciałby się upić, ale alkohol nie jest w stanie przebić się przez warstwę adrenaliny w jego krwi. Po prostu wszystko, co przełknął, natychmiast spalało się jak paliwo rakietowe, bez żadnego wpływu na układ nerwowy. W efekcie wyglądał niczym szczur na kwasie.

– Ty jesteś Fokus? Osaka mi cię pokazał. – Nie czekając na potwierdzenie, postawił na szarozielonym blacie butelkę i dwa kieliszki, a potem jeszcze otwartą paczkę jinlingów. – Jestem Robson. Widziałem cię u Pingwina. I w Garażu.

Norbert pokiwał głową w milczeniu. Wyglądało na to, że zna go więcej ludzi, niż sam

potrafi rozpoznać. Podejrzewał coś takiego od dawna.

Robson zagłębił się ostrożnie w siedzisku z gumowego wora, zapadając się w tajemniczych kulkach. Szpiczaste kolana w czarnych spodniach wystawały jak szczyty. Norbert sięgnął bezceremonialnie po jego jinlinga.

– Jakie spoty robisz?

Norbert zaciągnął się dymem o aromacie włosów chińskiego hutnika.

– Znaczy?

– No... Jak to się robi? Chodzisz po ulicach z włączonym sprzętem i czekasz, aż... No nie wiem... Aż ktoś wpadnie pod tramwaj?

Pytano go już o to. Dziesiątki razy.

– Mniej więcej, tylko chodzę tam, gdzie coś się może zdarzyć.

– A skąd to wiesz?

Norbert pochylił się w stronę Robsona.

– Popatrz na parkiet. Widzisz tę parę? Ruda, wysoka, z ćwiekami na twarzy, i facet w ramonesce z hologramem?

W hangarze było już prawie ciemno, żarzyły się tylko resztki węgla pod rusztem, ogarki na stolikach i pojedynczy reflektor skierowany na środek parkietu. Para tuliła się na granicy cienia, ale było widać, że taniec zmienili już w grę wstępną o średnim poziomie zaangażowania.

– No widzę.

– Za chwilę coś się zdarzy. Wyjdź na zewnątrz, znajdź najciemniejsze miejsce gdzieś w krzakach, które można zlokalizować natychmiast po wyjściu z baraku, a potem stań w dobrym miejscu, tak żeby samemu być w cieniu, daj wzmocnienie światła odbitego na siedemdziesiąt sześć procent i jakieś cztery tysiące ISO. A potem poczekaj, pewnie coś się zdarzy.

– I to jest iwent?

– Gównu, nie iwent. Jakiś typek puka laskę po ciemku? I tak ci to wypikselują. Chyba że sprzedasz kodowanym pornostronom. Ale dla nich to z kolei za słabe. To mógłby być iwent, gdyby ten gość albo ta laska byli gwiazdami TelNetu. Iwent dla szmaciarza, który tylko liczy wejścia. To był tylko przykład. Sytuacja, w której coś się może zdarzyć. Gdyby był tu jej chłopak, zdarzyłoby się jeszcze bardziej.

– Nie kręcisz takich rzeczy? – Robson wydawał się rozczarowany.

– Czy śledzę gwiazdy seriali, żeby przyłapać je na picciu piwa w obecności dzieci? Nie. Staram się kręcić rzeczy, które będą miały wejścia, bo z tego żyję, ale które będą jednocześnie ważne. Istotne. Coś tym ludziom powiedzą o świecie, w którym żyją.

– Wychowawcze? „Pijani polscy kierowcy”?

– Boże, nie. Błagam. Istotne. Kiedyś skręciłem gości od biedaszybów na Śląsku. Kopali węgiel na własną rękę. Strzelano do nich. Do mnie też.

– Przecież nie ma już węgla. Zresztą jest zakazany. Emisja dwutlenku.

– No właśnie. Nie ma. A ci goście wyciągali go wiadrami ze sztolni, które wykopali ręcznie. No, prawie ręcznie. Jeden został ranny na wizji. Iwent zdjęto z serwera po

sześciu godzinach, ale gdyby nie to, do rana miałyby dwa giga wejść. Taka była dynamika. Meganauci chcieli zobaczyć, jak gość obrywa kulkę, a uświadomili sobie, że to się dzieje z powodu paliwa, którego niby nie ma. Źle to wtedy sprzedałem. Pewnie są newslettery, które utrzymałyby ten iwent dłużej.

Norbert zastanowił się.

– Przemyt śmieci. To jest na przykład temat.

– Jak przemyt śmieci?

– Dla ciebie śmieci to problem. Musisz je segregować, myć, płacić komuś, żeby je zabrał. Ale dla kogoś innego śmieci to towar. W stykach elektronicznych są metale. Nawet złoto. Mało, ale ziarnko do ziarnka. Na świecie zostało bardzo mało złota, więc opłaca się zatrudniać ludzi, którzy będą ślęczyć nad palnikami i je odzyskiwać. Jest szkło, plastik, są metale rzadkie, biomasa, z której można zrobić nawóz i metan. Śmieci można wykorzystywać jak złoża naturalne. Trzeba tylko dysponować tanią siłą roboczą. Więc się je przemycza. Ale żeby to pokazać, trzeba nie tylko tematu. Te czasy minęły. Nie możesz zwyczajnie nakręcić o tym filmu, bo prawie nikt go nie obejrzy. Musisz wydedukować, jaki temu może towarzyszyć iwent. Maksymalnie pięć minut, a najlepiej trzy. Mnóstwo wydarzeń. Coś drastycznego. Krew. Emocje. Te rzeczy. Wtedy, przy okazji, możesz pokazać ludziom, ile warte są ich śmieci i jak to się dzieje, że muszą płacić komuś, kto je od nich zabierze.

Robson łyknął wódki i zamyślił się z taką miną, jakby miał zamiar skoczyć z wodospadu.

– A jakbyś mógł nakręcić różne szychy, polityków, oligarchów, jak grzeją wodę i na przykład jedzą pandę?

– Że co jedzą? Pajdę?!

– Pandę olbrzymią, z rusztu, w całości, nie pamiętam, czy z jabłkiem w pysku. No wiesz, czarno-biały miś, symbol ginących gatunków, logo World Wildlife Fund.

– Słucham dalej, choć rodzą się we mnie wątpliwości. Ile ich zostało? Pięćdziesiąt? Z tego, co wiem, za zabicie tego stwora jest w Chinach czapa. Nie wyobrażam sobie logistyki czegoś takiego. Ale powtarzam, słucham dalej.

– Logika, Fokus. Jakie jest najdroższe danie na świecie?

– Kawior astrachański? Nie znam się.

– Nie, nie. Najdroższe w ogóle. Teoretycznie. Pomijając też renome szefa, który je przyrządza, i klasę restauracji. Chodzi o najdroższy składnik.

– Mówiłem. Nie znam się na ekskluzywnej kuchni. Raz jadłem homara i tyle. Był niezły.

– Pomyśl. Najdroższy, najtrudniejszy do zdobycia składnik. Niemożliwy.

– Miłość?

– To, czego nie można dostać. To, co jest chronione.

– Od początku. Zaczynam się gubić. W twojej restauracji podają pandę?

Robson westchnął.

– Jasne, że nie w restauracji. Myślisz, że to jest danie dnia? Jest sala na najwyższym

piętrze. Jaspisowa, nie pamiętam, jak to leci po kantonku. Sala bankietowa. Dla VIP-ów. Najczęściej wynajmują ją Chińce. Najwyższego szczebla. Dla nich kolacja, którą fundują partnerom biznesowym, to pokaz potęgi.

– A ile kosztuje taka kolacja na kilkadziesiąt osób?

– Ty byś nie spłacił przez całe życie, ale nie kasa to pokaz potęgi. Samo szastanie forszą nie wystarczy. Zresztą myślisz, że to wszystko jacyś wyrafinowani... no nie wiem... księżciowie czy co? Że znają nazwiska słynnych szefów kuchni? Albo że im zaimponuje przystawka z rzadkich i ekskluzywnych składników, o których nigdy nie słyszeli? Ale jeśli gospodarz to ktoś, kto jest w stanie zamówić pośrodku pieprzonej Europy danie z tygrysa, to chyba robi wrażenie?

– Tygrys?! On jest w ogóle jadalny?

– To nie musi być smaczne. To ma być niemożliwie drogie, niemożliwe do dostania, skandaliczne i łamiące wszelkie reguły. Jeśli gość na kolację podaje ci pandę, stek z wieloryba, delfina albo tygrysa, to znaczy, że może wszystko, łapiesz?

– Jasne, że łapię, tylko słabo mi się to mieści w głowie.

– Wchodzisz w to?

– To znaczy? Co chcesz zrobić? Dać mi wejściówkę?

– Dasz mi sprzęt, a ja to nakręcę. Ty to sprzedasz i się podzielimy. Pół na pół.

– Odpada. Zapomnij. Nie ma takiej opcji.

Robson przybrał wygląd osłupiałej łasicy.

– O co chodzi? Przecież...

– Nie umiesz. Spieprzysz nagranie i od razu wpadniesz.

– Każdy to umie. Dzieciaki to robią.

– Dzieciaki kręcą, jak ktoś się przewraca, robiąc ewolucje na rowerze, albo jak jakiś nafukany lodem świr usiłuje odfrunąć z balustrady balkonu na południe. Tao-fengiem za jedno euro i najczęściej przypadkiem. Przecież tam jest ochrona i monitoring. Wolno wam mieć przy pracy omnifony? Jakąkolwiek elektronikę? Nie ma bramek, wykrywaczy? Umiesz nakręcić materiał tak, żeby nikt o tym nie wiedział? Jednocześnie serwując wodę z lodówki Kim Dzon Haka, podając tartinki z jajami ptaka dodo i uśmiechając się do gości? Jednym okiem widząc świat, a drugim wizjer kamery? Sterując gestami tak, żeby nikt się nie zorientował?

– Czyli się nie da?

– Co się nie da? Potrzebujesz zawodowca, i tyle.

– A ty jak to zrobisz?

– Tak samo jak się jeże bzykają.

– Co?

– No, ostrożnie. To już moja rzecz. Są sposoby, tylko musisz mnie tam wkręcić.

– Niby jak?

– Jako kelnera. Pomocnika, czy jak to się tam nazywa. Nie bierzecie nigdy na zastępstwo ludzi z outsourcingu, z jakiejś agencji czy czegoś?

– Nie do Jaspisa.

– Pomyśl.

Robson zapatrzył się gdzieś w przestrzeń, marszcząc brwi, pokręcił głową, a potem nagle skamieniał i trwał tak przez chwilę.

– Kto wie, musiałbym podzwonić w parę miejsc. Może i da radę. Co tam, i tak mnie wypierdziela.

– Dobra, wyjdziemy na moment, włączymy omni i prześlę ci wizytówkę. Zasady są takie: jeśli zdołasz mnie wkręcić na taką imprezę, zrobię materiał. O tym, czy to wykonalne, czy jakość iwentu jest warta ryzyka, kiedy i jak to zrobić, decyduję ja. Nie znamy się, nie rozmawiamy ze sobą. Zresztą nie będziesz wiedział, czy kręcę, czy nie. Jeśli iwent powstanie, wywieszam go. Jeśli pójdzie, zrobi pięć kilo wejść, dostajesz normalną stawkę informatora: pięć kilo euro. Jeśli przekroczy mega, dostajesz premię: pięć procent. Takie są reguły w tym fachu. Wchodzisz?

Robson zastanawiał się długo, znowu świdrując wzrokiem zatłoczoną ciemność hali.

Norbert zapalił papierosa, uważnie obserwując jego grę ciała, szukając oznak czegoś fałszywego, znamion prowokacji albo oszustwa. Wystudiowanych gestów, zawczasu przećwiczonych reakcji.

Wydawało się, że Robson naprawdę się głowi. Kalkuluje ryzyko. Wszystko w jego postawie, sposobie siedzenia i mimice sugerowało niezdecydowanie i wążenie szans. Albo był natchnionym aktorem, albo rzeczywiście mówił prawdę.

– Teraz ci nie powiem, czy to się da załatwić – powiedział w końcu. – To jakbym miał cię wkręcić na salę operacyjną. W drogiej czarnej klinice.

– Jasne – uspokoił go Norbert. – Pytam, czy odpowiadają ci takie warunki. Wchodzisz w to czy nie?

Robson przełknął ślinę.

– Wchodzę.

– Dobra – oznajmił Norbert. – Teraz mam parę pytań. Po pierwsze, o co tu chodzi?

– To znaczy?

– To znaczy o co chodzi poza tym, że obawiasz się, że stracisz pracę, i przy okazji chcesz zarobić parę euro.

Robson zagryzł wargę.

A potem milczał, bawiąc się kieliszkiem. Norbert nalał mu wódki i przesunął talerzyk z ogórkami oraz myśliwską pokrojoną w drobne kawałki.

– Muszę to wiedzieć – wyjaśnił. – Muszę mieć pojęcie, w co się pakuję.

– Stracę robotę przez taką jedną – wydusił Robson. – Minister. Zdrowia i opieki, zdaje się.

Znowu zamilkł. A potem zaczął jakby od innej strony.

– Te tam pandy i inne to jest tylko część tego wszystkiego. Oni się tam czują bezkarni. We własnym gronie. Tam załatwiają interesy, budują guang-xi, znaczy układ, i nie ma tam mediów, żadnych ludzi z zewnątrz, żadnych świadków. Tylko my i striptizerzy. Powiedzmy... osoby do towarzystwa. Za nas ręczy pan Wu, za tamtych ich agencja, która i tak obsługuje polityków i wielkich szefów.

– A ten pan Wu? Sam nie ma tam swojego monitoringu? Nie chce mieć na nich wszystkich haków? Dziwne, jak na Chinola.

Robson pokręcił głową.

– Nie. To część układu. Agenci ochrony za każdym razem sprawdzają całe pomieszczenie. Inaczej nic by z tego nie wyszło. Pan Wu chciał stworzyć miejsce naprawdę intymne. Dla wybranych. Zresztą gdyby coś wyciekło, sam by na tym słabo wyszedł. To on organizuje wszystkie rozrywki.

Norbert pokiwał głową.

– A ty chciałeś sam kręcić. Przecież jasne, że musisz być na tym filmie.

– Ja?!

– Gdzieś w tle. Musi być widać, że to nie ty kręcisz. Inaczej pan Wu znajdzie cię drogą eliminacji i robi z ciebie foie gras. A wasza obecność im nie przeszkadza?

– Przecież nie będą sami sobie robić drinków. Są przyzwyczajeni, że mają wokół jakiś personel, i nawet nie zwracają na to uwagi. Sęk w tym, że nas się w ogóle nie widzi. Jesteśmy jak meble. Gdybyś takiego zapytał o stewardów, kelnerów i innych, toby byli zdziwieni. Szklanki napełniają się same, zakąski też jakoś po prostu są. Zazwyczaj. Chyba że zaczyna im odbijać. Wtedy robi się niebezpiecznie. Możesz za dużo zobaczyć albo mogą chcieć się tobą pobawić. Wyobraź sobie, że trafiasz na imprezę mafii albo triady, tylko że kompletnie bezkarnych. Zwłaszcza tam, w Jaspisie. A robią rzeczy, które się normalnie w pale nie mieszczą. – Robson machnął ręką, wskazując cały skryty w mroku hangar za ich plecami. – To tutaj to jest kinderbal. Bingo w domu starców.

– Dobra – powiedział Norbert. – Wymyśl sposób, jak mogę tam wejść jako jeden z kelnerów, pomocników czy ktoś taki. Możliwie legalnie, tak żeby twoi koledzy nie narobili rabanu na mój widok. I żebym nie musiał żonglować butelkami. I dobrze by było, gdybym mógł obejrzeć tę salę, kiedy jest pusta. Pomyśl o tym. Czekam na kontakt.

Nazajutrz obudził się późno, z ciężkim żołądkiem i głową, zastanawiając się nad tym, w co się właściwie wpakował.

Zmusił się do przełknięcia filiżanki kawy i grzanki z domowym dżemem truskawkowym, wykonanym z nielegalnych, niecertyfikowanych truskawek, a nie z buraków o smaku truskawkowym.

A potem uświadomił sobie, że adrenalina zaczyna brać nad nim władzę.

Iwent. Prawdziwy, porządny iwent, który może wstrząsnąć Siecią.

Ale panda?!

Usiadł w swoim fotelu, wyregulował oparcie i podłokietniki do pracy, po czym jednym gestem opuścił holodisplej, a drugim obudził molocha MegaNetu.

W zwykłych wyszukiwarkach na temat hotelu na najwyższych piętrach Liaoning Tower oraz restauracji Cesarska Pagoda znalazł to, czego się spodziewał. Mnóstwo reklamowo-korporacyjnego bełkotu oraz całe połączenie stron upstrzone kolumnami ideogramów bez tłumaczenia na jakikolwiek ludzki język. Obracające się holo wieżowca Liaoning, lobby lśniące marmurem i szczotkowanym mosiądzem, niczym nowobogacki nagrobek, pastelowe pokoje pełne ręcznie toczonych mebli z

hodowlanego mahoni i palisandru, lśniący jedwab pościeli, orchidee na poduszkach. Kolejne połączenia marmuru, onyksu i kryształu w łazienkach.

Wreszcie restauracja, ale żadnych zdjęć Jaspisowej, nawet żadnych wzmianek, przynajmniej w części napisanej po angielsku. Gestem uruchomił tłumacza, ale bełkot, który zastąpił gąszcz chińskich znaków, nie zawierał kluczowych słów obok siebie. W jakimś miejscu znalazło się tylko „wanna, jeden kawałek jaspis”, ale nie o to chodziło.

W restauracji spodziewał się okrągłych rzeźbionych drzwi, malowanych pieskosmoków, parawanów barwionych laką i papierowych lampionów. Równie dobrze mógł się też spodziewać potraw w skrobiowych pudełkach na wynos. Wnętrza wypełniało szkło, kamień i drewno w postmodernistycznym, neochińskim stylu. Orientalna Ikea w wersji turbo. Smoki, ideogramy i wachlarze też tam były, ale raczej zasugerowane i ukryte w stylizacji. Wymalowane światłem, cieniem barw, śladem piaskowania na kryształowym szkłe. Spędził wśród wirtualnych wnętrz dwie godziny, lecz nie dało mu to więcej niż informację, że nagrodzony gwiazdkami Michelina szef kuchni nazywa się Stanisław Orunga-D'Orsaille.

Zamknął zwykle wyszukiwarki, po czym uruchomił V-Watch. Hakerską, nielegalną wyszukiwarke, która w odróżnieniu od zwykłych nie ślizgała się po powierzchni danych, szukając zwykłych tagów, ale zapadała w warstwy ukrytych treści, informacji niejawnych i poufnych, niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Wersja, którą miał, liczyła sobie już trzy miesiące, więc nie było po co atakować nią prawdziwie strzeżonych danych i obronnego oprogramowania, sieci wojskowych albo firewalli agencji rządowych. Miał tylko nadzieję, że nadal nie pozostawia po sobie śladów.

Jedyne, co udało mu się uzyskać, to trochę prywatnych hologramów i fotografii uwieczniających różne zdarzenia w pokojach hotelowych Pagody i panoramiczny wizerunek dachu hotelu wraz z tarasem i penthousem, przypuszczalnie kryjącym Jaspisową. Potem poszczuł V-Watcha na miejską straż pożarną i uzyskał przestrzenny schemat szlaków ewakuacyjnych hotelu i restauracji. Program działał znacznie dłużej niż normalne wyszukiwarki, bo kopał głębiej i musiał łamać zabezpieczenia, podszywać się pod uprawnionych użytkowników i legalne transfery danych. Ale w najwyraźniej mocno niedoinwestowaną wewnętrzną sieć straży wjechał jak w ciepłe masło.

Norbert zrzucił schematy na jedno ze swoich ukrytych kont gdzieś w informacyjnej chmurze i wyszedł z Netu.

A potem rozpiął torbę ze swoim sprzętem i rozłożył na stole przed sobą. Rzędami, jak części jakiejś dziwacznej broni. Było tam wiele możliwości, tylko że wszystkie wymagały sterowania. Omnifona. Uniwersalnego kontrolera wszystkiego, którego nie mógł mieć.

Pyknął w zadumie z cyberetki, a potem przechadzał się po pokoju, patrząc na rozłożony na blacie arsenał nagrywarek, kamer i skanerów z innych punktów widzenia, jakby to miało przynieść odpowiedź.

Jednak wiedział, że nic tu nie wykombinuje. Matowy, pokryty splotami fulerenów, płaski prostokąt był kluczem i zamkiem. Bez niego był bezradny. Równie dobrze mógł

zabrać ze sobą szkicownik i ołówek.

Odpowiedź nasuwała się tylko jedna i brzmiała: Mechanik.

Kłopot z Mechanikiem polegał na tym, że nie istniał. Nie miał zameldowania, nikt nie znał jego nazwiska. Nie miał konta, adresu mailowego, numeru identyfikacji podatkowej ani numeru PESEL. To znaczy zapewne jakiś miał, ale za każdym razem inny. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka.

Mechanik był rasowym, certyfikowanym politycznym paranoikiem. Kolekcjonował teorie spiskowe i wierzył niemal we wszystkie. Poza stałym zamieszkiwaniem w szarej strefie prawdopodobnie nie popełnił żadnego prawdziwego przestępstwa, a mimo to żył tak, jakby poszukiwano go międzynarodowym listem gończym.

Kogoś takiego nie można było spotkać. Nie było jak się z nim skontaktować. Nie było dokąd wysłać wiadomości. Używał urządzeń zasilanych czarnorynkowymi kartami na przedpłaty. Numery zmieniał jak skarpetki.

Był tylko jeden sposób. Sprawić, by Mechanik sam chciał się skontaktować.

Potrząsnąć ostrożnie Siecią i czekać, aż pająk sam się pojawi.

Norbert zmarnował dwa dni, podróżując po mieście i odwiedzając miejsca, o których wiedział, że Mechanik tam bywa. Albo przynajmniej bywał. Nielegalne knajpy w loftach i piwnicach, sklepy z demobilem, zaplecza cyberlombardów i giełdy z hardware'em z drugiej ręki.

Odwiedził Balisong Bar w blaszanym baraku na zapleczu Asian Grosmarket, gdzie zdaniem Mechanika dawali najlepsze przekąski dim-sum w mieście, i jakiś podejrzany szisza-bar, gdzie pieczono podobno prawdziwy kebab z nieklonowanej baraniny, położony w obskurnej piwnicy przerobionej chyba z kotłowni, gdzie usiłował nie udławić się płonącym harissą mięsem w pszennym placku, pod spojrzeniami brodatych, nieprzyjemnie znajomych mężczyzn. Odwiedził porzucony teren przemysłowy, pełen gruzu, dziurawych jak rzeszoto stalowo-betonowych hal, gdzie organizowano walki dronów i turnieje painballa.

Dwa dni spędzone w spelunach, wśród dziwacznych ludzi z twarzami oszpeconymi body artem modnym pięć lat temu, dwa dni, podczas których wszędzie zostawiał subtelne tropy. Trzeba było uważać, żeby nie pytać byle kogo, nie przypominać szpicla, nie dowiadywać się zbyt natrętnie i odróżniać tych, którzy również mogliby szukać Mechanika, tylko z zupełnie innych przyczyn. Różnicować subkultury, pamiętać, gdzie Mechanik był Mechanikiem, a gdzie znano go jako Wizarda, Aprosa czy Sabotaża.

– Dawno go nie widziałam. – Podstarzała gotka z bliznami i śladami po usuniętej stylizacji, której z wampirzego image'u pozostała chorobliwie sina cera i resztki bioluminoforu w tęczęwkach, mżących fosforycznym blaskiem.

– Pewnie siedzi. Tak słyszałam. Za politykę. – Chorobliwie anorektyczna twarz, zamiast włosów przeszczep mchu. Zielonego, kosmatego mchu, najeżonego wątłymi nitkami owocników. Drgające źrenice, na szyi świeży dermoplast neuro-lodu udający osmotyczny dozownik przeciwutleniaczy.

– Pewnie się w końcu zaraził. Albo ożenił. Już tu nie przychodzi. – Tygrysica. A

właściwie katastrofa body artu w kształcie tygrysyj mordy. Rozcięta po przekształcony w trufłę nos, uczerniona warga, polimerowe kły raniące język, pionowe źrenice. Zamiast futra drukowany tatuaż w czerni i żółci. Szpiczaste uszy nadbudowane kolagenem.

Mechanik i małżeństwo. Jasne.

Zaraził się.

Pewnie najnowszym prionem lizbona, pasożytującym ponoć na tuńczykach. Przez pierwsze dni, kiedy tajał zwinięty w kłębek w swoim pokoju, Norbert nie włączał wiadomości, dopiero idąc na zakupy, zobaczył pierwszych przechodniów w białych maskach na nos i usta, z ceramicznymi filtrami. W realnym świecie był to jedyny ślad epidemii, ale lokalny MegaNet miotał się w spazmach hysterii. Wiadomości licytowały się liczbą zarażonych i plątały w sprzecznych informacjach, najpierw choroba przenosiła się przez mięso i tran tuńczyków, potem wszystkich ryb, a potem siedziała we wszelkim białku i tłuszczu odzwierzęcym. Miała jakiś związek z grypą, przenosiła się drogą kropelkową albo atakowała zarażonych grypą sezonową. Można było zarazić się przez kontakt fizyczny. Przez kontakt wzrokowy. Przez MegaNet. Atakowała przede wszystkim starych, przede wszystkim młodych albo przede wszystkim dzieci. Cała afery liczyła sobie pewnie ze dwa tygodnie, co dziwniejsze, w Dubaju nikt o niej nie słyszał.

Norbert wątpił, żeby akurat Mechanik czymkolwiek się zaraził, ale jeżeli histeria osiągnęła odpowiednie rozmiary, należało się liczyć z tym, że faktycznie przywarował w jakimś bunkrze, otoczony kartonami pełnymi polowych racji żywnościowych i kanistrami sterylizowanej wody.

Wrócił do siebie i czekał, wyczerpawszy cały zasób pomysłów. Chwilowo nie miało to większego znaczenia, ponieważ Robson również nie dawał znaku życia.

Tyle tylko, że zaczął sprawdzać pocztę. W tym także tę od nieznanym sobie osobników. Głównie spam. W jego pokoju pojawiały się jak widma półprzejryste postaci pouczające go, ukazujące metody leczenia, proponujące lichwiarskie pożyczki, wmawiające płatne badania medyczne, wciskające karty rabatowe, nakłaniające do głosowania albo usiłujące sprzedać e-walutę. Siedział otoczony mglistym tłumem wrzeszczących, trajkoczących i śpiewających widm w najróżniejszych graficznych charakterystykach, jakby otworzył portal do kręgu piekła przeznaczonego dla obłąkanych oszustów.

Dawał każdemu kilka sekund, po czym jednym gestem wysyłał do katalogu zero, jak okrutny władca sprawujący sądy na szybkim przewijaniu.

Miał też aż trzy wiadomości od jakiegoś korporejta, który twierdził, że reprezentuje „bardzo poważny infoportal”. Tego nie skasował, zostawił sobie na później. Nie bardzo miał ochotę na niewolniczy kontrakt, ale bardziej tchórzliwa część rozsądku nakazywała to przynajmniej rozważyć.

A potem wywołał kolejnego awatara i zastanowił się chwilę, nim uniósł dłoń, by go odesłać.

Była to czarna, dwuwymiarowa postać, stanowiąca nierozzerwalną część ze smolistą peleryną, w historycznym, trójgraniastym kapeluszu, z upiornie białą maską pozbawioną wyrazu, której dolna część nie miała ust, tylko rozszerzała się jak lemiesz parowej lokomotywy. Postać stała na lekko rozstawionych nogach, plama pochłaniającej światło czerni, a nad nią zabłysło oszczędne logo: DE SEINGALT, USŁUGI MECHANICZNE.

Norbert zatrzymał się, machnięciem wysłał do piekła wszystkie awatary poza tym jednym i zwinął inne otwarte okna.

Czarny osobnik w masce wyjął spod peleryny dłoń w białej rękawiczce i wysunął do przodu wnętrzem do góry, jakby trzymał tacę. Nad lśniąca białą jego palców pojawił się obracający się kształt, przypominający banan zakończony dwiema odwróconymi miskami. Norbert nigdy nie wiedział, co to przedstawia, ale jak każdy doskonale rozpoznawał odwieczny symbol komunikacji głosowej.

Obiekt wirował powoli, pulsując zielonym światłem.

Kanał aktywny.

Norbert pochylił się na krześle i dźgnął palcami w kierunku symbolu.

Postać nie poruszała się nadal, przed nią pojawił się matowy czarny ekran obwiedziony rozjarzoną pomarańczową linią. Wewnątrz zabłysły rzędy zmieniających się w oślepiającym tempie cyfr kodu, pod nimi rozciągnął się pasek stanu.

Błysnął napis: TRANSMISJA ZABEZPIECZONA, a potem zegar zaczął odliczać w tył, od piętnastu sekund. Biała maska uniosła się i spojrzała na niego studzienną czernią oczodołów. Rozległ się brzęczący głos, zniekształcony przez wokoder.

– Wyłącz wszystko w mieszkaniu, nawet ekspres i swój omni, i otwórz drzwi. Nie dotykaj domofonu.

Postać postąpiła krok wstecz i pochłonęła ją ciemność, jak tafla mrocznej wody.

Wyłączenie wszystkich urządzeń z omnifonem przy biodrze to była pestka, gorzej z samym kontrolerem, który najwyraźniej nie mógł pojąć podobnego postępowania i dopytywał się, czy Norbert aby na pewno nie chce być dostępny dla komunikacji, informował również, że to może oznaczać chwilową utratę kontaktu ze wszystkimi społecznościami, brak wiedzy o działaniach innych i niemożność podtrzymywania stałej więzi społecznej. Potem omnifon z rozpaczą upewniał się, czy ma zostać zamknięty także kontakt bierny, co oznacza brak możliwości transferu ważnych danych i stałej aktualizacji oprogramowania. Otrzymałszy kategorię odpowiedzi, program odliczył grobowo i wyłączył się, przekonany, że ma do czynienia z samobójcą.

Norbert odpiął omni od paska i położył na kuchennym blacie, a potem podszedł do drzwi i przyciskiem odblokował zamki.

Otworzyły się natychmiast i stał za nimi Mechanik.

Norbert rozpoznał go po paru sekundach. Najpierw zobaczył spandeksowy czarny strój, obcisły jak kombinezon panczenisty, i przemknęło mu przez myśl, że to postać z jego koszmarów. Potem zobaczył czaszkę zamkniętą w dziwnym kasku, przywodzącym na myśl łeb szerszenia skrzyżowany ze skorupą żółwia, i twarz niknącą

do połowy pod lustrzaną przesłoną.

Kliknęło, lustrzana osłona zniknęła, połknięta przez hełm, i wtedy dopiero zobaczył nijaką, regularną twarz Mechanika, ani przystojną, ani szpetną, tylko po prostu żadną.

Tamten postukał jednym palcem w przyciski panelu na przedramieniu i wtedy cała lśniąca diamentowo woda na jego kombinezonie spłynęła z cichym pluskiem na posadzkę, tworząc kałużę.

Mechanik przyłożył palec do ust i wszedł do wnętrza, sięgając za plecy. Podłużna czarna torba z niezliczonymi kieszeniami zapinanymi na gekkotaśmy przejechała ukośnie na biodro i brzuch, przybysz rozciągnął jedno z zapięć i wydobyl kanciastą, szarozieloną skrzynkę pancerbooka, osłoniętą na narożnikach elastycznymi ochroniaczami.

Postawił ją na blacie kuchennym, kliknął klamrą i otworzył ekran, po czym wyjął kolejne urządzenie z uchwytem pistoletowym, rozkładanym ekranem i teleskopowym czujnikiem, który rozłożył się i zaczął kiwać jak czulek jakiegoś morskiego skorupiaka.

Panowała cisza. Norbert milczał posłusznie, a Mechanik czujnie, obchodząc pokój i wodząc swoim wężącym anteną aparatem po ścianach. Na ekranie pancerbooka pulsowały jakieś krzywe, obok w osobnym oknie sunęła litania wyświetlonych drobnym maczkiem komunikatów.

Mechanik skończył obchód, omiatając aparatem wszystkie narożniki i futryny, po czym złożył antenę i wyłączył urządzenie.

Nadal milczał. Postukał w klawiaturę pancerbooka, schował czujnik do torby, a wyjął walcowaty przedmiot rozmiarów niewielkiego termosu, który postawił na podłodze pośrodku pokoju. Obiekt wyglądał trochę jak turystyczna kuchenka, a trochę groźnie, niczym mina przeciwpiechotna. Zwłaszcza kiedy nagle rozłożył z trzaskiem cztery karbowane osłony, upodabniając się do metalowego kwiatu. Mechanik znowu postukał w klawiaturę i nagle z głośników Norberta popłynęły irytujące dźwiękowe fraktale kakotechno.

Mechanik wyprostował się i zdjął kask.

– Już można – oznajmił.

– Co można?

– Możemy bezpiecznie rozmawiać – wyjaśnił Mechanik. – Cześć, Fokus. Podobno mnie szukałeś.

Ściągnął rękawiczki, wrzucił je do kasku i rozejrzał się po pokoju.

– Mam składany fotel – wyjaśnił nieśmiało Norbert, odsuwając jeden ze ściennych schowków. Mechanik machnął lekceważąco ręką, usiadł na barowym stolku przy ladzie kuchennej i przekręcił w swoją stronę ekran pancerbooka.

– Kawy? Śliwowicy? Whisky? – Norbert usiłował utrzymać się w roli gospodarza. Mechanik zawsze go peszył. Był jak ożywiona miejska legenda. Jak coś, o czym się tylko opowiada, a co nie istnieje naprawdę.

– Prawdziwa kawa?

– Legalna, akcyzowa. Whisky prawdziwa, kazachska. Z przemytu.

– Nie pijam legalnych używek – oznajmił Mechanik. – Diabli wiedzą, co do nich dodają. Poproszę whisky.

– Ale ty, zdaje się, na rowerze...?

Mechanik wzruszył ramionami i postawił na blacie małą plastikową fiolkę pełną szklistych czerwonych kapsułek.

– Zneutralizujemy – oznajmił.

– Jak wszedłeś? – zapytał Norbert niepewnie. Dotąd drzwi wejściowe wydawały się bezpieczne.

– Nie chciałem być zarejestrowanym gościem. Tu mieszka dużo kulisów i nikt nie zwraca na nich uwagi.

Mechanik uśmiechnął się lekko. Wyglądał jak idealnie politycznie poprawny manekin. Jego rysy stanowiły matematyczne uśrednienie cech wszelkich odmian rasy ludzkiej. Oczy miał chwilowo ciemne, wąskie, z niewielką mongolską fałdą, ale nie skośne, nos ani duży, ani mały, ani płaski, usta dość szerokie, ani wąskie, ani wydatne, a cerę dokładnie w pół drogi pomiędzy białą, azjatycką a negroidalną. Zależnie od oświetlenia i drobnej charakteryzacji mógł wyglądać jak Murzyn o stosunkowo jasnej skórze, jak opalony Azjata albo europejski południowiec czy Arab. Wystarczyłyby kropla pigmentu do każdego oka, natryskowa peruka na lśniąca, gładką czaszkę, jakiś zarost i nikt by go nie poznał już po paru sekundach. Był doskonale średni, ani młody, ani stary. Podobny do każdego i nikogo. W tym kasku z opuszczoną przyłbicą albo w goglach mógłby stanąć na wystawie sklepu z akcesoriami rowerowymi i nikt by go nie odróżnił od manekina.

Uniósł szklanekę napełnioną w jednej trzeciej bursztynowym płynem i powąchał. A potem wyjął coś podobnego do pisaka i zanurzył w cieczy. Długopis piknął i błysnął na zielono. Mechanik skinął głową z aprobatą.

– No dobra – oznajmił, wystukując z kewlarowej papierošnicy jinlinga. – Co mnie sprowadza?

Norbert wyciągnął w jego stronę zapalniczkę udającą kartę kredytową, która wypluła perełkę ognia.

A potem mu wyjaśnił.

– Podsumujmy – powiedział Mechanik. – Same szychy. Profesjonalna ochrona. Wysoce wrażliwe miejsce, a ty będziesz udawał pracownika outsourcingu, przechodzącego pełne procedury neutralizujące. Dopuszczonego do udziału, ale bez statusu zaufania. System em-es.

– Maso-sado? – zapytał niepewnie Norbert.

– Maximum security. Przechodzisz przez bramkę indukcyjną i multiskaner. Potem sprawdzają cię ręcznym czujnikiem. We wszystkich zakresach. Jedno piknięcie i odpadasz. Nie ma przebaczenia, nie ma gadki, że masz medyczny wszczep, dozownik insulinowy, rozrusznik serca, protezę neuronową, cokolwiek. Do widzenia. Przejdzie plastik w zębach, ale nie amalgamat. Żadnych aparatów przylepionych do ciała ani schowanych w bucie jak na filmach. Skaner prześwietli cię na wylot, bo będą szukali na

przykład ceramicznych noży i pistoletów albo płynnego materiału wybuchowego w twoich kiszkach. Ale zagadnienie polega na tym, że musimy tam nagrać iwent. Jak to zrobić w ogóle bez kontrolera? Na przykład ustawić mikrodrony na pozycjach stacjonarnych na zewnątrz, na sztywno, i niech biorą, jak leci. Po wszystkim skompresowana transmisja do twojego kontrolera już poza kordonem, w bezpiecznym miejscu, i autodestrukcja. Z bani. Wykonalne, ale ma słabe strony. Po pierwsze, nie będziesz miał pojęcia, co kręcisz. Po drugie, nie wiemy, jak szeroko wokół tego tarasu sięga strefa zero. Dron w nią wleci i pożegnaj. Po trzecie, będziesz miał tylko to, co zdarzy się na zewnątrz, pod gołym niebem. Zauważ, że przy tym założeniu w ogóle nie musisz włączyć do środka i działać undercover. Możesz usiąść w jakiejś knajpie nad filiżanką espresso, wygodnie, normalnie, z displejem na oczach, i jechać jak zwykle. Tylko co, jeśli to, co ciekawe, dzieje się w środku? Poza tym tak pracujące drony będą musiały mieć dwustronny transfer danych, a to można wykryć. Można by cię nawet namierzyć, a to, jak rozumiem, jest wykluczone. Czy możemy wcześniej umieścić kamery w środku?

Norbert otworzył usta, Mechanik uciszył go ruchem dłoni. Teraz rozmawiał wyłącznie ze sobą.

– Przy tym poziomie zabezpieczeń gotowe do działania kamery zostaną natychmiast zlokalizowane podczas przygotowań. Uśpione niekoniecznie, ale to też możliwe. Do tego, żeby je uruchomić, nadal potrzebujemy kontrolera, którego nie przeniesiemy przez bramkę. Włącznik czasowy? Preselekcja ustawień z es-i?

Zmarszczył cienie, ni to azjatyckie, ni to europejskie brwi.

– Wykryją drgania kwarcu... Urządzenie czasowe to coś, na co przy em-esie będą uczuleni... Szczególnie wsteczne odliczanie... Nadal nagrywamy nie wiadomo co, a niekoniecznie to, co ciekawe... Es-i ważą za dużo pamięci, a i tak są zawodne... No i jak odzyskać te dane ze strefy zero...?

Mina pośrodku pokoju zaczęła mrugać i pikać. Przy rżeniu kakotechno ledwie to było słychać.

Mechanik spojrzął na ekran pancarbooka.

– To nic, ktoś próbuje się z tobą skontaktować. Poza tym czysto.

Wydobył z gniazda w obudowie pancarbooka tytanowy rysik i w zadumie obrócił go w palcach, a potem postukał się nim po regularnych zębach.

– Tak czy inaczej, każdy problem to przede wszystkim kwestia technologii. I umysłu – oznajmił. – Jaki mamy budżet?

– Zależy, ile sam weźmiesz. To, czy koszty mi się zwrócą, zależy od tego, czy iwent wyjdzie, a potem czy się sprzeda. Mam parę groszy na inwestycje, ale nie rozbiłem banku. Lepiej ty mi powiedz, ile potrzebujesz, to będę wiedział, czy mnie stać.

– Zadanie jest trudne. Eksperymentalne. Przypomina zagadkę zamkniętego pokoju – oświadczył Mechanik.

Norbert pokiwał smutno głową.

– Dlatego dostaniesz zniżkę – powiedział Mechanik. – Spuszczę ci z kosztów – dodał,

widząc uniesione brwi Norberta. – Lubię wyzwania. Lubię dowodzić, że intelekt i technologia są silniejsze od systemu. Dziesięć kilo, razem z kosztami. Plus dwie przysługi.

– Przysługi?

– Gdyby ode mnie to zależało – wyjaśnił Mechanik – system przysług zastąpiłby system walutowy.

Norbert wyobraził sobie, jak płaci w ten sposób za wędliny wiochmenów albo uiszcza mandat za przejście na czerwonym świetle, i ciarki przeszły mu po plecach.

– Dobra – powiedział w końcu. – Stać mnie.

– Potrzebuję ze trzy dni – oznajmił Mechanik. – Potem się z tobą skontaktuję. Dostaniesz kolejną reklamę od Casanovy.

Rec.4

Żle! – zawołał znowu Robson. – Nigdy nie trzymasz tacy w obu rękach.

– Tak jest stabilnie – bronił się Norbert. – Nic nie porozlewam.

– Ale nieprofesjonalnie. Obie ręce masz zajęte. Czym weźmiesz puste szklanki? Czym postawisz pełne? Wackiem?!

– Odstawię...

– Nie ma takiej opcji! Nigdy, przenigdy nie stawiasz na stoliku klienta niczego, co nie jest dla niego przeznaczone. Ten blat dla ciebie nie istnieje. Podchodzisz, zabierasz puste szklanki, stawiasz pełne. Patrz, jak to robię. Dłoń płasko. Lekko ugięty nadgarstek, łokieć przy ciele. Taca na wysokości serca, w środku ciężkości. Druga ręka przy sobie. Bark lekko do przodu.

Ćwiczyli w pustym podziemnym garażu w piwnicach bloku Robsona. Nie było tu czynnych kamer, bo garaż przeciekał i był wyłączony z użytku. Świeciły nieliczne lampy, dookoła niósł się pogłos kapiących kropel, a Norbert sam był mokry od potu, drżały mu kolana i nie mógł w to uwierzyć. Chodziło o podawanie ludziom pełnych szklanek i zabieranie pustych. Noszenie tacy. Nie neurochirurgię. Tymczasem okazało się, że to jakieś cholerne knajpiane kung-fu.

Robson rozstawił na okrągłej metalowej tacy kilka chitynowych jednorazowych kubeczków i napełnił je do połowy wodą z butelki.

– Pokazuję – zapowiedział. – Patrz uważnie. Podnosisz tacę, stawiasz na dłoni, łapiesz środek ciężkości i idziesz.

Ruszył przez halę parkingu, krocząc po wymalowanej na podłodze linii niczym na pokazie mody.

– Do końca tej linii – zawołał. – Potem zwrot i wracasz po tej samej drodze. Cały czas równo.

– Podajecie ludziom napoje w jednorazowych kubeczkach? – spytał kwaśno Norbert.

– Ocipiałeś czy co? Dam ci szklanki, jak będziesz cokolwiek umiał. I zabulisz za każdą stłuczoną. – Dotarł do końca linii, zrobił w tył zwrot, taca przejechała wokół niego płynnie jak na taśmociągu. Następnie Robson przekręcił dłoń, przemieszczając tacę pod swoim ramieniem, zawinął nią nad głową i ustawił przed sobą w tej samej pozycji. Ani jeden kubek nie przesunął się nawet o milimetr i nie zgubił kropli wody.

Norbert spojrział na pokryty plamami wilgoci sufit w niemej prośbie o cierpliwość.

– To podstawy – wyjaśnił Robson, nadciągając z powrotem, taca sunęła przed nim stabilna jak pokład lotniskowca. – Przedszkole. Bez tego nawet nie ma co marzyć, że cię tam wkręcę. Wysypiesz się, zwrócisz na siebie uwagę i obaj będziemy w dupie. –

Odstawił tacę na stertę palet. – Zabieraj. To ma być pięciogwiazdkowy serwis, kurde. Nadgarstek, łokieć, środek ciężkości. Nie tak... źle! No żeż kurwa! Zbieraj te kopane kubeczki i nalej wody. Jak tak dalej pójdzie, będziesz latał do sklepu po całą zgrzewkę. Woda swoje kosztuje.

– Dobra – wycedził Norbert, ustawiając kubeczki i dolewając wody. – Jedziemy z tym. Nadgarstek... Kurwa!

– Jeszcze będziesz tańczył z pełną tacą – zapowiedział Robson. – Cała noc przed nami. Dolej. I wytrzymaj tacę.

Strój składał się z wąskich czarnych spodni, białej koszuli z klonowanego jedwabiu ze stójką oraz czarnego kaftana, zapinanego na bambusowe kołki.

Mankiety koszuli należało wywinąć na rękawy kaftana, co wyglądało dość idiotycznie, do tego okazało się, że Norbert musi uczernić włosy i wysmarować je żelem. Co gorsza, zapuścić co najmniej tygodniowy zarost na podbródku i pod nosem.

– Po cholere?

– Bo masz wyglądać jak Tarik Korczyk. Mniej więcej. – Robson pokazał mu identyfikator. Nie zwykły, plastikowy z wtopionym hologramem, ale trawiony laserowo na płycie złocistego metalu, upstrzony napuszczonymi czerwienią ideogramami z logo restauracji. Hologram ze zdjęciem był niewielki, ale dobrej rozdzielczości. Facet miał pociągłą twarz, podobnie jak Norbert, żel na włosach i zarost powinny załatwić sprawę. Pod warunkiem, że nikt nie będzie się temu przyglądał ze zbyt dużym zaangażowaniem.

– Mówiłem ci – wyjaśnił Robson. – My jesteśmy niewidzialni. Jak duchy. Powinno się udać. Przychodzisz jako Tarik, masz blachę Tarika, wyglądasz choć trochę jak Tarik, to jesteś Tarik. Jeszcze jeden pieprzony pingwin od podawania drinków. Znasz kogoś, kto się zna na charakteryzacji?

– Znam – powiedział Norbert po namyśle. – Muszę mieć porządne holo tego Tarika. W dobrej rozdzielczości.

– Zaraz ci prześlę na omni.

– Da się tam wejść przedtem?

– Zapomnij. Najpierw wchodzi rządowi i wszystko sprawdzają, potem plombują pomieszczenie. Dopiero potem my przechodzimy procedurę i zbieramy się na zapleczu. Potem jest odprawa, tamci wpuszczają gości i blokują piętro. My kursujemy tylko między kuchnią i salą. Aż do skończenia wydawki. Potem przychodzi szef sali i ogłasza: „serwis skończony, kuchnia zamknięta”. Ustawiamy się przy drzwiach i żegnamy gości. Potem jeszcze raz kontrola, tym razem żeby sprawdzić, czy nic nie wynosimy, i do windy towarowej. Zdajemy kaftany, zjeżdżamy do garażu, jeszcze jedna kontrola i wychodzimy przez wyjście serwisowe.

Norbert obrócił w głowie kilka pomysłów.

– A da się wejść do kuchni?

Robson wyglądał na zgorzzonego.

– Do kuchni?! My jesteśmy sala. Chef Orunga ma ośmiu souschefów i trzydzieści

osób personelu. Kucharzy, pomocników, pomywaczy. Pomocnik u chefa Orungi to przy kelnerze ktoś jak pułkownik przy szeregowcu. Kucharz to generał, a souschef to anioł. Chef Orunga jest bogiem. My mamy dostęp tylko do okna. Okno to lada, na którą wystawia się dania do serwisu. Kontaktujesz się tylko z szefem sali. To znaczy on ci wydaje polecenia. To wszystko. Jedyne, co możesz powiedzieć niepytany, to „tak, chef!”, jedyne, co możesz zrobić, to zabrać serwis. Nie dyskutujesz. Kiedy nie dostajesz polecenia, wracasz na salę i krążysz wśród gości. Musisz odgadywać ich życzenia, zanim jeszcze przyjdą im do głowy. Nie podpierasz ściany, nie siadasz, nie idziesz do kibla, nie pijesz wody. Nie dopijasz drinków. Nigdy niczego nie jesz.

Norbert pokręcił głową, jakoś tak przypomniała mu się Karolina, nieustannie narzekająca na jego pracę. Że niepewna, że nieprawdziwa, że nieambitna, a nade wszystko niedająca Poczucia Bezpieczeństwa. I proszę: taki kelner na przykład. To dopiero ambitna i bezpieczna robota.

– Gościom też się zabiera elektronikę? – zapytał. – Żadnych omni, tabletów, telefonów?

– No co ty? Takim gościom? Jak to sobie wyobrażasz? To są VIP-y! Sami wyłączają je i odkładają do sejfu. Dokładnie tak jak my w Towarzystwie Degustacyjnym, ale to układ między nimi. Nikt nie chce następnej afery podsłuchowej.

Norbert westchnął. Mechanik miał rację. To była zagadka zamkniętego pokoju. Dodatkowo zabitego dechami od środka i zalanego betonem.

– My chcemy – przypomniał Robsonowi. – To właśnie usiłujemy zrobić.

Barki stały nieruchomo na mętnych wodach niegdysiejszego portu, spowite w mgły, zza których majaczyły zarysy zardzewiałych żurawi rozładunkowych i bloki dawnej elektrociepłowni. Ołowiane niebo pluło mżawką, która w irytująco niedostrzegalny sposób wsiąkała we włosy i osiadała na skórze, przenikając atmosferę wściekłym zimnem. Betonowe nabrzeże, gdzie kiedyś piętrzyły się gigantyczne hałdy zabijającego planetę węgla, teraz stało puste, zabarwione wtartym na trwałe czarnym, grafitowym pyłem. Wokół stroszyły się kępy krzaków, sterczały resztki jakichś baraków i konstrukcji, z których co tylko dało się unieść, pocięto na złom i sprzedano. W górze tęsknie pokrzykiwały rybitwy, poza tym było zupełnie pusto.

Kolejna ślepa plamka na mapie miasta. Obrośnięty gęstwiną krzaków, porzucony przemysłowy teren, do którego nie było właściwie dostępu. Elektrownia nie działała, służę zamknięto na stałe, kanał i port przy elektrowni zawsze znajdowały się jakoś poza obszarem postrzegania. Ich jedynym celem było zaopatrywanie bloków energetycznych w niebezpieczne paliwo, które miały przywozić barki. Potem ktoś wpadł na pomysł, żeby zrobić z nich pływające hotele, a w końcu zaholowano je na puste nabrzeże, gdzie stały martwym szeregiem, pokryte rdzą i resztkami złuszczonej farby. Część zatoneła, wystawiając z wody tylko martwe nadburcia, część utknęła w mule, a kilka wciąż stało wzdłuż pirsu. Po przebudowie nie przypominały już platform do przewozu węgla. Pokrywały je obłe mieszkalne nadbudówki z resztkami balustrad, niektóre miały też balkony z pozostałościami plastikowych skrzynek na domowe

uprawy.

Znalazł tę, o którą chodziło. Ostatnią w rzędzie i w stosunkowo najlepszym stanie. Miała nawet całe szyby w oknach. W czasach młodości nie była barką węglową. Była znacznie mniejsza i chyba przerobiona na pływający dom dla jednej rodziny. Kiedyś. W lepszych czasach, kiedy ludzie miewali jeszcze własne pomysły na życie.

Na pokład prowadził trap z kawałka stalowej kratownicy, który zachował łańcuchowe poręcze. Stalowe drzwi z okrągłym bulajem pośrodku były wpuszczone w ścianę i zamknięte, zamiast klamki zaopatrzone je w masywną dźwignię jak na pełnomorskim statku. Norbert szarpnął za nią bez skutku, po czym rozejrzał się bezradnie, przekonany, że pukanie w ten właz nie spowoduje żadnego słyszalnego dźwięku i ma tyle sensu, co dobijanie się do czołgu.

Zobaczył dwie pokryte czarnym szkłem kopułki kamer pod relingiem wyższego pokładu i czekał. Nie mógł zatelefonować i poprosić o otwarcie, bo nie miał numeru.

Dźwignia obróciła się z terkotem, cmoknęła uszczelka.

Pomieszczenie znajdowało się pod poziomem pokładu, należało zejść po stromych schodkach. Wnętrze było długie, tonęło w półmroku. Okrągłe okienka wzdłuż ścian zasłonięto wbudowanymi roletami, jak w samolocie, a jedyne źródło światła stanowiły dwie nakręcane lampy kempingowe stojące na obłym stole. Ich dynamy mruczały cicho, gdzieś w oddali kapąła woda.

Mechanik siedział za stołem na umocowanej do pokładu kanapie pokrytej szarą tapicerką. Podobna tkanina barwy popiołu pokrywała część ścian, tam gdzie nie tłoczyły się szafki z bambusowego laminatu. Na porysowanym blacie stały pancernik Mechanika, pusta puszkę po rybkach pełna niedopałków i wojskowy kubek termiczny ze składanym uchem.

Pośrodku podłogi wznosił się Mechanikowy moduł zagłuszający, z rozłożonymi panelami i mrugającymi w powolnym rytmie triodami.

– Ochroniarz nie robił problemów? – zapytał Mechanik. Stuknął w klawiaturę pancernika i skądś popłynął niski, modulowany pomruk, zmieniający częstotliwość w rytm jego słów, ale znacznie mniej irytujący niż kakotechno.

– Nawet na mnie nie patrzył – odpowiedział Norbert. – Spojrzał tylko na wiadomość od ciebie, odwrócił kamery na drugi koniec parkingu i pokazał mi drogę.

– To była wiadomość od tych, którzy tu mieszkają i płacą mi czynsz, a nie ode mnie – wyjaśnił Mechanik.

Na kuchennym blacie maleńkiego kambuza stał otwarty karton pełen metalizowanych foremek polowych racji żywnościowych, we wnęce pod schodkami zgromadzono stos zbiorników sprężonego powietrza do pneumogenerators, potężnych, po dwadzieścia barów, i pięciolitrowe butle wody pitnej. Norbert spojrział na to, ale nic nie powiedział.

W tych czasach paranoja nie musiała być rzadka i ograniczona tylko do Mechanika.

Zdjął mokry płaszcz, powiesił go na haku przy drzwiach i odpiął maskę z twarzy.

– Po cholere kazales mi w tym łazić?

– Żebyś się nie zaraził lizboną? – odparował Mechanik z krzywym uśmiechem. – Zresztą jeśli możesz zupełnie legalnie chodzić zamaskowany, trzeba korzystać.

– Maski są po to, żebyś ty nie zarażał, a nie żeby cię ochronić – wyjaśnił ponuro Norbert.

– Tak, ale ludzie nie chcą o tym wiedzieć. A dzięki nim każdy wygląda tak samo. Herbaty?

– Przemycana?

– Naturalnie.

Mechanik zakrzętnął się po kuchni, zaszczękały jakieś metalowe naczynia, zamruczał włączony pneumogenerator.

– Historia afer podsłuchowych sięga początku wieku – powiedział dobitnie. – Nie mówimy tutaj o prawdziwych podsłuchach, kiedy ofiara nie ma szans się zorientować, że jest inwigilowana, bo robią to tajne służby, policje czy wywiady. Mówimy o rewolucji Nowych Mediów. O czasach, kiedy Sieć, zwana wtedy Internetem, zaczynała już pomału przypominać MegaNet, a bardzo wiele urzędzeń zaczęło mieć zdolność rejestrowania danych, przechowywania ich i wysyłania do Sieci, na strony będące dalekimi przodkami naszych infoportali. Urzędzeń, które pomału nosili przy sobie wszyscy. W ten sposób każdy miał szansę zostać paparazzi.

– Znaczą papieżem? – zapytał Norbert.

– Niezupełnie. W czasach, kiedy istniała prasa, informacje i opinie drukowane na papierowym nośniku, czasopisma różniły się poziomem merytoryczności. Niektóre, nazywane brukowcami, publikowały informacje tak jak nasze infoportale. Chodziło o emocje, a nie obiektywizm. Paparazzi nazywano dziennikarzy, głównie fotografów, którzy śledzili znane osoby, włamywali im się do domów i podglądali je, żeby zdobyć coś kompromitującego. Inny rodzaj prasy...

– Wiem, co to była prasa, jestem w pewnym sensie dziennikarzem. Mówisz o historii mojego zawodu. Nie znałem tylko tego słowa: papa coś tam.

– Dobrze. Nie będę musiał ci wszystkiego tłumaczyć od podstaw. W każdym razie najpierw podsłuch to była domena specjalistów i rzadkiego sprzętu. Potem nagle każdy miał przy sobie gadżet, którym mógł zarejestrować i łatwo opublikować coś, co mogło być kompromitujące. W tamtych czasach poważna kompromitacja i skandal mogły naprawdę zakończyć karierę polityka. Nie tylko mógł stracić stanowisko, ale także wpływy, władzę i naprawdę wypaść z obiegu. Nie niełaska na parę miesięcy czy rok, nie cicha synekura, ale naprawdę koniec, a nawet więzienie. Wtedy żyły jeszcze resztki legendy o demokracji i iluzja tego, że każdy podlega tym samym prawom. Ale rodziła się już znana nam oligarchia. Politycy zaczęli lekceważyć otoczenie do tego stopnia, że zdarzało im się zapomnieć o włączonych mikrofonach, o mikroporcie w klapie, o obecności mediów, które mogły zarejestrować wypowiedź na odległość, zapominali o tym, że urządzenie rejestrujące może zostać podrzucone przez każdego i w każdym miejscu publicznym. Do połowy lat trzydziestych zdarzyło się kilkadziesiąt takich afer. Oligarchowie nauczyli się wreszcie, gdzie mogą zrzucić maski, a gdzie nie. To jest

obecnie przedszkole polityka. Jego podstawowa wiedza. Wciąż publiczny skandal jest w stanie zaszkodzić. Może nie wywoła realnej zmiany, tylko chwilowe zachwianie w rozgrywce rząd – opozycja, ale i tak ta gra jest sensem ich życia, a toczy się o wysoką stawkę.

– Dobrze. Ale do czego zmierzasz? Jak to się ma do naszego zagadnienia? Przecież nie mówiłem, że to łatwe do zrobienia.

– Cierpliwości. – Mechanik postawił przed gościem parujący metalowy kubek.

Norbert objął go dłońmi, zamknął oczy i wciągnął do nosa aromat, w którym zobaczył chińskie latawce w kształcie smoków, soczystą zieleń tarasowych upraw Madrasu, poczuł woń pachnideł Wschodu i usłyszał dzwoneczki na kostkach tancerek.

– Jak mówiłem, nawet te imbecyle nauczyły się uważać. Kropka. Zwłaszcza że mają na podorędziu dowolną technologię, służby i fundusze. To nie takie trudne, szczególnie że sprowadza się do wyścigu między pancerzem i pociskiem. Wystarczy korzystać. Jeżeli jest takie miejsce, gdzie mogą zachowywać się swobodnie i robić, co chcą, to znaczy, że ono naprawdę takie jest.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie istnieje urządzenie, które pozwoliłoby nam cokolwiek tam zarejestrować. Zrobiłem model i dziesiątki symulacji. Na wiele sposobów, z tym samym efektem. Totalna klapa. Jeśli ktoś to przygotował jako saferoom, to pomieszczenie takie właśnie jest. Nie tak trudno cokolwiek zamknąć i ekranować. Nie tak trudno zarejestrować pracę jakiegokolwiek elektroniki i wysledzić źródło transmisji. Dużo łatwiej, zauważ, wynaleźć zamek niż wytrych. Łatwiej opracować szyfr, niż go złamać. Jeśli ktoś reklamuje pomieszczenie jako azyl dla VIP-ów, to nie dlatego, że wystarczy tam przemycić rejestrator. Ukryć mikrofon w wisience w martini albo zrobić drona udającego muchę. Bezpieczne oznacza bezpieczne. Łatwo zamknąć pokój. Zabić kogoś, kto tam siedzi, bez naruszania drzwi i okien, to majstersztyk.

– Czyli nic z tego? – Pomimo rozczarowania Norbert pomyślał, że Mechanik chyba rzadko ma okazję pogadać. Wystarczyłoby „nic z tego”. Albo „odpadam”.

– Wspomniałem o wyścigu pomiędzy pancerzem a pociskiem. To jest wyścig, który nie ma końca, ponieważ jak dotąd nie pojawił się ani optymalny pancerz, ani ostateczny pocisk. Na każdą technologię jednej strony pojawia się odpowiedź drugiej. Zbroja, kusza. Mur, działło. Stalowy pancerz, pocisk kumulacyjny. Pancerz reaktywny, pocisk tandemowy. Osłony aktywne, laser. Można tak bez końca, w każdej dziedzinie. Atak, obrona. Ten wyścig jest solą mojego życia. Nigdy nie ustaje. Jeśli chcę zachować człowieczeństwo, pozostać jednostką wśród mrówek, ocalić wolność, cały czas muszę być w awangardzie. O krok przed sforą. Nasza sytuacja ma dwa aspekty. Po pierwsze, nie ma urządzenia, które pozwoliłoby złamać ich zabezpieczenia. Nie istnieje. Oni o tym wiedzą. A ktoś, kto uważa, że jego zabezpieczenia są pewne, przestaje być czujny. Po drugie, wspomniałem, że nie istnieje takie urządzenie. Nie powiedziałem, że nie istnieje sposób.

Norbert odstawił kubek, oparł się i uniósł brwi. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Po

nijakiej twarzy Mechanik plątał się nikły uśmiezek satysfakcji.

Norbert w końcu uniósł dłonie w niemym pytaniu.

– Żyjemy w trochę przerażających czasach – powiedział Mechanik. – Pociągnąłem za kilka sznurków, pogadałem z paroma gośćmi. Mówiłem ci, że muszę być cały czas w awangardzie. Moja sztuka surwiwału opiera się na kilku elementach. Rzecz jasna, chodzi o czujność, o ograniczone zaufanie, o myślenie kilka kroków do przodu, zacieranie śladów i inne rzeczy. Ale także o sprzęt. Gadżety. Tyle tylko, że w dzisiejszych czasach gadżety to nie tylko urządzenia mechaniczne czy elektroniczne. Modyfikowana kukurydza albo prion to też gadżety.

Norbert wyobraził sobie kamerę z ciasta filo i owoców.

– Istnieje sposób wykorzystujący eksperymentalną technologię – ciągnął Mechanik. – Wiem, że działa. Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że działa prawidłowo, ale ryzyko istnieje. Zawsze. Będziesz musiał sam zdecydować. Bardzo poważnie zważyć racje. Przemyśleć, czy twoje zadanie jest tego warte. Weźmiesz udział w eksperymencie. Nielegalnym jak wszyscy diabli.

– Dobrze, ale co miałbym zrobić? – zapytał ostrożnie Norbert.

Mechanik sięgnął do swojego barku, pociągnął zrost naramiennej kieszeni, wydobyl fiolkę z przezroczystego plastiku, w której zagrzechotały cztery pomarańczowe kapsułki. Postawił ją na blacie i wypił łyk herbaty.

– Będziesz musiał zażyć to na godzinę przed zadaniem, a potem po prostu uważnie patrzeć i słuchać.

– Robisz sobie ze mnie jaja.

– Staniesz się kamerą i mikrofonem. Rejestratorem. Twoje ośrodki pamięci krótkotrwałej zachowają pełen obraz. Każde słowo. To będzie zapis taki sam jak w pamięci twojego omni.

– A co potem? Narysuję komiks? Opowiem to komuś? Jak to wyjmemy z mojej głowy?

– PET. Najzwyklejszy tomograf emisji pozytonowej, taki jak do diagnostyki medycznej, tylko dokładniejszy. Urządzenie, które pokazuje przestrzenny obraz pobudzonych obszarów twojej kory. Naturalnie kluczem jest odpowiednie oprogramowanie. To efekt, którego pierwociny odkryto na początku wieku, podczas badań nad ludźmi w śpiączce. Najpierw proszono ochotnika, zupełnie przytomnego faceta, żeby podłączony do czujników wyobraził sobie, jak gra w tenisa, dajmy na to, albo wychodzi do ogrodu i obchodzi swój dom dookoła. Było to w czasach, kiedy wielu ludzi miało własne domy albo grało w różne gry w realu. W komputerze powstawał wzorzec pobudzenia kory, który towarzyszył takim wyobrażeniom. Potem to samo zadanie stawiano leżącym w śpiączce, pozornie bez kontaktu, badając ich takim samym tomografem. Wzór okazywał się bardzo podobny: uśpieni wyobrażali sobie analogiczny obraz, co przytomni. Wtedy, dla tamtych badaczy, najważniejsze było to, że ludzie uznani za warzywa są świadomi otoczenia, reagują na prośby i są w stanie je spełnić. Dla nas najważniejsze jest to, że tomograf pokazał wzór, któremu odpowiada

obraz. Można stworzyć bibliotekę takich obrazów. Kamień z Rosetty dla kory wzrokowej. Przy odpowiedniej mocy obliczeniowej to już nie będzie ogólne wyobrażenie obchodzenia budynku dookoła, ale konkretny budynek w konkretnym otoczeniu. Piksel po pikselu. Plik graficzny. A po dalszej obróbce film.

Norbert miał wrażenie, że cierpną mu policzki.

– Nie wierzę. Wystarczy podłączyć kogokolwiek do tomografu i odczytać, co ma w głowie? Zrobić z tego film?

– Dzięki Bogu, na razie nie. To nie tak, że odczytujemy wszystko, co masz we łbie. Nie da się tego użyć do interrogacji. Jesteśmy w stanie zdekodować tylko to, co zapamiętałeś z największą dokładnością. Niemożliwą do uzyskania na co dzień bez wyjątkowej koncentracji. Dlatego dostajesz te środki. Sprawią, że będziesz dosłownie chłonał obraz i dźwięk. Będziesz to miał wbite do głowy łącznie przez sześć godzin. Potem zapis zacznie blaknąć i rozpadać się, bo będzie w pamięci krótkotrwałej. Jak RAM. Odtworzysz go, bo będziesz tego chciał. Czysto i wyraźnie. Nikt cię nie zmusi, żebyś na zawołanie odtworzył to, czego on akurat chce. Żadna presja nic nie pomoże, a tylko zaszkodzi. Ani tortury, ani szantaż, ani narkotyki, ani serum prawdy. Twój zapis zostanie zamazany odczuwaniem cierpienia, strachem, oporem, działaniem narkotyku. Zresztą zapis z pamięci trwałej jest inaczej zakodowany. Pełen skrótów, kompresji, asocjacji, odwołań do twoich doświadczeń. Zapisu niewerbalnego. To wszystko tłumaczone na język graficzny generuje błędy. Szum. Nie ma także zapisu dźwięku, tylko świadomość znaczenia tego, co ktoś powiedział, a z tego nie zrobisz pliku możliwego do odtworzenia. Dlatego użyjemy tych pigułek i pamięci krótkotrwałej.

– Dobra, a gdzie jest haczyk? Jakies skutki uboczne? Czym ryzykuję?

– Na tym etapie wydaje się, że niczym. W ciągu paru godzin specyfik przestanie działać, a ty przestaniesz zapamiętywać wszystko, co widzisz. Zresztą był przedtem wykorzystywany do badań nad procesem uczenia. Farmakologiczny sposób, żeby nauczyć się nowego języka w parę dni. Zarzucono te badania, bo to nie była prawdziwa umiejętność, tylko technika trzech Z: zakuć, zaliczyć, zapomnieć. Święty Graal dla studentów, ale nic więcej. Tego nowego języka zapomniałbyś po tygodniu. Weźmiesz jedną tabletkę, nagrasz materiał, zdejmemy zapis i przepuścimy przez program, środek przestanie działać, wypłucze się z organizmu i koniec.

– Więc gdzie ryzyko?

Mechanik rozłożył ręce.

– To nie jest sprawdzony farmaceutyk dopuszczony do użytku. Rzecz w tym, że nie wiem. Teoretycznie wszystko powinno być okay. W praktyce... dotąd nikomu nie wyrosły pletwy, nikt nie oszalał ani nie padł trupem, ale tak naprawdę nie wiadomo. Zawsze to substancja neuroaktywna. Z drugiej strony prawie każdy w naszych czasach przynajmniej próbował takich arcydzieł domowej farmakologii, że w porównaniu z lodem, turbotoniną czy metaendorfiną to, co ci dają, to cukierek. Nie wspominając już o tym, czym naprawdę faszerują nas koncerty spożywcze i farmaceutyczne.

Norbert podniósł fiolkę i spojrzał na leżące w środku kapsułki.

– No dobra, ale jeśli to wykryją? Możliwe, że zrobią nam jakiś test na narkotyki.

Mechanik pokręcił głową.

– Nie pasuje do wzorca, nie znajdzie się jeszcze w moczu, nie zmieni ci zachowania.

Zbadają, co masz skumulowane we włosach, i będą szukali znanych sobie wybranych substancji, które stwarzają zagrożenie. Każdy coś tam w sobie ma. Z żarcia, z tych słynnych lekarstw na urojone choroby, z suplementów diety. Procedura, nawet em-es, nie może trwać tydzień. Będiesz miał normalne źrenice, normalne zachowanie. Aktywację rejestracji zauważysz jako nagle wyostrenie zmysłów, ale nic więcej. Będiesz skoncentrowany, a nie jakiś odurniały. Zachowasz podzielność uwagi. Na pewno wystarczająco, żebyś był w stanie podawać do stołu.

– Szkoda, że nie słyszałeś tych wszystkich zasad pięciogwiazdkowego serwisu. Wbijali mi to do głowy trzy doby bez przerwy. Po co mi aż cztery pigułki, jeśli mam zażyć jedną?

– Zabezpieczenie. Einmal ist keinmal. Nigdy nie opieraj planu o jedną szansę. To ogólna zasada.

Norbert potrząsnął fiolką, słuchając cichego grzechotu kapsulek, podskakujących jak kości w kubku. Odstawił ją na blat i pyknął z cyberetki.

– A stać mnie na to, skoro to takie super-hiper? Mieścimy się w umówionym budżecie?

Mechanik przytaknął.

– Mówiłem ci, że w pewnych dziedzinach muszę być na bieżąco. To na razie nie nadaje się do inwigilacji i kontroli, ale kierunek jest niebezpieczny. Na razie można to wykorzystywać raczej przeciwko „Onym”, ale jeśli nauczą się używać tego do własnych celów, muszę mieć szansę przygotować obronę. Nie tylko mieścisz się w budżecie, ale jeszcze wypełniasz jedną z moich przysług.

– Skąd to masz?

Mechanik parsknął.

– Chyba nie oczekujesz, że odpowiem na to pytanie?

– Ja mam to zażyć – odparł Norbert dobitnie. – Z pełnym zaufaniem pozwolić, żeby rozpuściło się w moim żołądku i przemeblowało mój mózg. Jeśli to coś, co kupiłeś od jakiegoś Ruska albo Albańca w podziemiach dworca...

Mechanik zachnął się lekko, jednak po chwili skinął głową, jakby z uznaniem.

– Poprosiłeś mnie o pomoc fachową. Czy mam opinię oszusta lub idioty? Ale doceniam, że okazujesz brak zaufania. To oznacza, że mądrzejesz. Dorastasz. Gratuluję. Odpowiem ogólnie. Nasz kraj otrzymał rolę rezerwuaru konsumentów i taniej siły roboczej. Mamy kupować, produkować, wykonywać wtórną pracę pomocniczą i sprzedawać. To dotyczy wszystkich dziedzin, także nauki. Nasi uczeni mają pracować nad tym, na co opiekują granty, to znaczy zwykle fabrykować dowody potrzebne lobbystom do wmuszania jednych rzeczy i zakazywania innych, uzupełniać szersze badania o elementy, które są żmudne i niewdzięczne, i tworzyć prace przyczynkarskie wobec obowiązujących, wiodących badań. Ich zadaniem nie jest tworzyć, odkrywać ani

niczego stwarzać. Mają wspierać uznany stan wiedzy i mu przyklaskiwać. W niczym nie mieszać. Od pomysłów jest ktoś inny. Chyba rozumiesz, że nie wszystkim to odpowiada. Większość to kunktatorzy, którzy chętnie idą wytyczoną ścieżką i cieszą się z bezpiecznej kariery. Ale są też wyjątki. Ludzie, którzy urodzili się do bycia uczonymi. Napędza ich fascynacja poznaniem. Próby zrozumienia świata, także poza narzuconą obowiązującą wizją. Szlag ich trafia szczególnie wtedy, kiedy natrafiają na coś przełomowego, a w efekcie jest im to odbierane i przekazywane do zabawy mądrzejszym i ważniejszym, a oni sami są kierowani z powrotem do obliczania za kogoś słupków. Powstaje grunt do narodzin oporu.

Norbert pyknął z cyberetki i spojrzął przez krótkotrwały obłoczek oparu. Słuchał z lekkim znużeniem, bo oto budził się Mechanik, którego wszyscy znali i kochali. Wsiadał właśnie na swojego konika, by po raz kolejny oprowadzić go po czarno-białym świecie, którym rządziły proste, tajemne reguły. Świecie, w którym dawno rozdano wszystkie karty, nic nie było tym, czym się wydawało, i nie istniały w nim żadne przypadki. Absolutnie wszystko było intencjonalne i nawet pogoda zależała od woli wszechpotężnych zakulisowych sił. Taki wykład mógł trwać bez końca.

Chyba jednak zmienił się Norbertowi wyraz twarzy, bo Mechanik przerwał nagle, unosząc ręce w geście zniecierpliwienia.

– Dobra. Pytałeś, skąd mam preparat. Tłumaczę, że istnieją okoliczności, w których ktoś mógł mi go przekazać, żeby wziąć w tym wszystkim udział i sprawdzić swój program, którego oficjalnie już nie ma. Może istnieć ktoś, kto chce wiedzieć, mimo że mu zabroniono, a ty patrzysz na mnie jak na świra. Jestem tylko ciekaw, jak wyjaśnisz fakt, że nasi uczeni od lat nie ogłosili światu nic istotnego. Czysto stochastycznie patrząc, któremuś powinno udać się coś zrobić, choćby przypadkiem.

Norbert wzruszył ramionami.

– Bo to marni naukowcy po marnych uczelniach. Kiepscy i tyle, jak wszystko u nas. Do tego ci nieliczni wybitni są permanentnie niedoinwestowani albo wykupywani przez międzynarodowe firmy i pracują dla nich. Ekonomia. Ludzie są skłonni iść po linii najmniejszego oporu. W dzisiejszych czasach nie robi się już wynalazków w garażu. To są okoliczności obiektywne.

Mechanik pokiwał smutno głową.

– Twój domowy komputer ma dziesięć razy większą moc obliczeniową niż tak zwane superkomputery stojące pięćdziesiąt lat temu w kilku wiodących placówkach badawczych na świecie, które produkowały setki nowych patentów rocznie. Masz omnifon i oprogramowanie, które pozwoliłoby ci tworzyć działające wirtualne prototypy, po prostu kreśląc palcem w powietrzu. Gdybym aż tak mylił się co do kształtu świata, powinniśmy mieć wysyp wynalazków rodem z garażu. Tymczasem siedzimy przy kempingowych generatorkach i jeździmy pneumobilami wielkości wózka bagażowego. Nasze największe osiągnięcie to turbinka napędzana energią sprężonego powietrza z butli nabijanej siłą mięśni. Zamiast rozwiązywać problemy, jak przystało naszej cywilizacji, dusimy się pod wyssaną z palca doktryną

zrównoważonego rozwoju. Dżu-Cze. I to dopiero są okoliczności obiektywne.

Podniósł fiolkę i postawił bliżej Norberta, jakby przestawiał pionek szachowy.

– To o tym powinieneś myśleć – oznajmił. – Idź do domu. Dokonaj wyboru. Prześpij się. Jeśli chcesz zaryzykować, tu masz narzędzia. Możesz to zrobić, jeśli chcesz. Idź i zdecyduj. Wysłałem ci link do strony, na której znajduje się jakaś bzdurna ankietka. Wybierasz opcję TAK albo NIE. Strona będzie aktywna do pojutra, potem zniknie, a jeśli wybierzesz NIE albo nic, poproszę cię o zwrot kapsulek.

Norbert wrzucił fiolkę do kieszeni płaszcza, skinął głową i ruszył do wyjścia.

– Jeszcze jedno! – zawołał Mechanik.

Odwrócił się od drzwi i uniósł brwi w niemym pytaniu.

– Przygotuj sobie torbę BiS – oznajmił tamten.

– Torbę co?

– Pojemnik „Bierz-i-Spierdalaj”. Niedużą torbę, plecak albo coś takiego. Wyobraź sobie, że musisz nagle zniknąć. Wstać i wyjść z domu, być może na zawsze. Pakujesz tam podstawowe rzeczy, niezbędne do przetrwania. Nie tak, jakbyś jechał na wakacje, tylko absolutne minimum. Kategoria pierwsza: rzeczy osobiste. Dokumenty, karty, pieniądze, omni. Osobiste dane na jakimś nośniku, ewentualnie jakieś przedmioty o wartości sentymentalnej, ale nie zegar z kukułką po prababci. Kategoria druga: surwiwal. Środki czystości, leki, zmiana bielizny, coś ciepłego. Nóż, jakiś bidon wody, latarka, zapas jedzenia na dwie doby, jak najmniejszy i jak najlżejszy. Batony energetyczne, prawdziwa czekolada, suszone racje żywnościowe. Jeśli masz cokolwiek podobnego do broni, zabierz.

– A po co mi to?

– Na wypadek sukcesu. Jeśli uda ci się zrobić to, co chcesz, prawdopodobnie będziesz musiał zniknąć. Nie wróżę ci wielkich szans, bo nie umiesz się ukrywać. Podstawowa rzecz to na przykład życie bez omnifona i pod fałszywą tożsamością, a do tego nawet nie będziesz umiał się zabrać. Dlatego czas jest kluczowy. Jeśli poweźmiesz najmniejsze podejrzenia, chwytasz torbę BiS i znikasz. Natychmiast. Bez zastanowienia. Wyłączasz sprzęt i wyjeżdżasz. Jak najdalej i najlepiej bez planowania. Chcesz się bawić gniazdem szerszeni, Fokus.

– Nie pierwszy raz – oznajmił Norbert zuchowato.

– Ale nie takich szerszeni. Uwierz mi. Używaj czipów gotówkowych, do nikogo nie dzwoń, nie sprawdzaj poczty, najlepiej nie aktywuj omni. Zgub go w pociągu albo metrze i natychmiast wysiądź. Kup sobie miniomnifon i czarnorynkową kartę prepaidową. Nie zostawiaj osobistych śladów. Noś maskę, dopóki trwa panika, potem czapkę z daszkiem lub kaptur. Ubieraj się zupełnie inaczej niż zwykle. Inny styl, inne kolory, ale nic krzykliwego. I przede wszystkim nikomu nie ufaj. Nikomu.

– Mam żyć tak jak ty?

Mechanik pokręcił powoli głową.

– Nie potrafisz. To, co ci mówię, to przedszkole. Zniknij na jakieś dwa miesiące, to może przeżyjesz.

Rec.5

Nie zwracał na siebie uwagi. Robił to, co inni. Nie miał zielonego pojęcia, kto w stłoczonej w szatni grupie kelnerów wie, kim jest, kto jest wtajemniczony, a kto ma to gdzieś.

Wiedział tylko, że jest przerażony, że w żołądku rozpuszcza mu się tajemnicza kapsułka, a skomplikowane, wielopierścieniowe związki organiczne stopniowo robią coś z jego mózgiem.

Kiedy weszli w pośpiechu, prawie ze sobą nie rozmawiając, Robson dyskretnie wskazał mu szafkę Tarika.

Wyciągnął identyfikator, aktywując zamek, i wbił prosty kod: 3302 – najwyraźniej data urodzenia od tyłu albo coś w tym rodzaju. To nie był sejf, tylko szafka ubraniowa z szarego laminatu. Jak w wojsku, więzieniu lub fabryce.

Otworzył drzwiczki i wzdrygnął się odruchowo, widząc w lusterku obcą twarz. Nie rozpoznawał niczego i nie umiałby stwierdzić, czy chodziło o oczy, zarost, inny kształt nosa czy ust. W ogóle nie chodziło o szczegóły, tylko o brak podprogowego impulsu rozpoznania. W lustrze widział obcą twarz nieznanego człowieka.

Skóra na twarzy ciągnęła jak pokryta tężącym gipsem, ale nie było tu nic takiego, co mogłoby się odkleić, rozmazać albo odpaść. Aneta wiedziała, co robi.

Upierała się też, że charakteryzacja zostanie na miejscu, choćby oblewał się potem. Siedział bitą godzinę w swoim fotelu z zamkniętymi oczami, czując wilgotny podmuch ślizgający mu się po policzkach, bijący z dyszy jej bzyczącego aparatu, podobnego do grubego pisaka. Czuł też jej oddech, pachnący solonym mango, kiedy pochylała się ku niemu, miękkimi ruchami nakładając warstwy polimeru tam, gdzie miało być czegoś więcej, oraz kolejne tekstury pochłaniające światło, gdzie trzeba było sprawić optyczne wrażenie, że jakiś fragment twarzy jest bardziej wklęsły niż w rzeczywistości. Cała ta sytuacja mogłaby być nieco erotyczna, gdyby w środku Norbert nie był zwiniętym w kłębek, przerażonym węzłem nerwów. W przerwie pozwoliła mu otworzyć oczy i wtedy przeraził się jeszcze bardziej, widząc w lustrze maskę pokrytą sinym wzorem plam, jak z teatru kabuki. Aneta siedziała pochylona tuż przed jego twarzą, z jednym okiem przesłoniętym displejem, a obok jego głowy majaczyło wielkie holo przedstawiające tego, kim miał się stać.

– Cśśś... – powiedziała, kładąc Norbertowi palec na ustach, a potem wymieniła pojemniczek przy swoim aerografie i położyła kolejną warstwę, sunąc pasmami po całej twarzy, jakby lakierowała karoserię.

A potem znowu pozwoliła mu spojrzeć prosto w osłupiałą, pociągłą twarz nieznanego

człowieka. Nic nie było widać, nawet z bliska. Nic. Żadnej charakteryzacji.

Tarik.

Nazywał się Tarik Korczyk.

Przebierali się w milczeniu, czasem tylko wymieniając złośliwości, ale wtedy zaraz ktoś wydierał się dowódczym tonem: „Cztery minuty! Ruszać się, kurwa!”, trzaskały drzwiczki szafek.

W każdej szafce znajdowała się plastikowa kuweta jak na lotnisku, do której mieli odłożyć wszystkie osobiste przedmioty. Norbert nie wziął prawie nic. Czip gotówkowy z jednym kilo euro, cyberetkę, dermoplast od bólu głowy i jednorazowy smartfon. Tandetnego tao-fenga na kartę, którą odłożył osobno.

Zaplecze Cesarskiej Pagody nie było malowanym światłem pałacem z kryształu i jaspisu jak główna sala, ale nie było też obskurne. Gładkie ściany pokryte płytkami, stal kwasowa poręczy i drzwi, gładki bambusowy laminat i aseptyczne światło z sufitowych paneli. Do windy szli jak banda statystów z filmu kung-fu. Wszyscy w czerni spodni i kaftanów, kontrastowanej błyskiem białych mankietów i skarpetek. Nieliczne kobiety miały włosy związane w koński ogon identycznymi kokardami.

To nastąpiło w windzie.

Stał, dygocąc w środku, przytrzymując się spoconymi dłońmi biegnącej wzdłuż ściany niklowanej poręczy, kiedy dźwig strzelił w górę Liaoning Tower, jak satelita wyrzucony z elektromagnetycznej katapulty. Miał wrażenie, że jego rozdygotane wnętrze rozpląszają się gdzieś o miednicę, więc stał, patrząc w wielkie lustro, w którym odbijała się grupka obcych ludzi, i nawet nie umiał się odnaleźć, jakby patrzył na cudze zdjęcie.

Gdzieś od pięćdziesiątego piętra winda zaczęła hamować i to było jeszcze gorsze. Przełykał ślinę, pewien, że zaraz się porzyga, kiedy nagle spłynął na niego głęboki, aksamitny spokój. Falami, gdzieś z dołu, jak działanie narkozy. Z każdym uderzeniem serca strach rozpląwał się i pozostawała tylko rzeczowa świadomość tego, co robi i co ma do zrobienia. Uczucie było tak potężne, że niemal padł na kolana.

Splątany węzeł pod jego mostkiem po prostu się rozwinął jak uspokojony wąż, drżenie ustało, a panika oblepiająca jego mózg niczym warstwa lodu po prostu delikatnie wyparowała, jak wsadzona do mikrofalówki.

Zamrugął z wrażenia oczami i rozpoznał postać w lustrze, która zrobiła to samo. Wyglądała podobnie, ale inaczej niż on, i to było bardzo interesujące. Wszystko, na co patrzył, było zajmujące i ciekawe. Wręcz fascynujące.

Ostrożnie pomyślał o czekającej go procedurze identyfikacji i o tym, co się stanie, jeśli zostanie zdemaskowany, i z lekką zgrozą odnotował wrażenie delikatnego podniecenia, ekscytacji, jakby miał wziąć udział w jakiejś grze i nie mógł się już doczekać. To wszystko, co miał zrobić, nie było już obłąkańczym ryzykiem i igraniem z tygrysem. Było intrygującą rozgrywką.

Drzwi rozsunęły się z dźwiękiem gongu, wypuszczając ich na korytarze zaplecza Jaspisowej, nie tak laboratoryjne jak te na dole, ale nadal bez przepychu.

Proste, techniczne wnętrza, tafle syntetycznego kamienia, szkła, niklowane rury, wypucowane drzwi i jaskrawe światło halogenowych lamp, ale Norbert czuł się jak w British Museum. Gdyby nie miał nic do roboty, przypuszczalnie zamarłby w bezruchu, kontemplując fascynującą konstrukcję lampy albo gaśnicy. Interesowało go wszystko, na co patrzył. Wszystko.

Zaczął wierzyć, że rzeczywiście staje się kamerą. Cały obraz przed oczami obrócił szczegółami, które normalnie rejestruje się tylko w centrum pola widzenia. Równocześnie widział każdy włos na otaczających go twarzach, każdy pieprzyk i por skóry, każdy słój na parkiecie z klonowanego palisandru, każdą grudkę farby na ścianach.

Słyszał oddechy, szelest jedwabiu czarnych kaftanów, skrzypienie podeszew i niemal każde bicie serca.

Szef sali był wysoki, chudy, ze skomplikowaną fryzurą wyglądającą, jakby urwał się z japońskiej kreskówki, składającą się w większym stopniu z żelu, silikonu, lakierów i wielogodzinnej pracy stylisty niż z włosów. Nosił kusy frak z takiego samego czarnego klonowanego jedwabiu i muszkę. Gdyby nie absurdalna rzeźba na głowie, przypominałby kamerdynera. Obrazu dopełniała jeszcze krótka niby-broda, niczym sznurek przyklejony do szczęki.

Obowiązkowa gadka motywująca przypominała raczej ultimatum. Niekończące się banały o „dawaniu z siebie wszystkiego”, „pracy w zespole” i „zaufaniu” przeplatane były słabo zawołanymi pogrózkami. Norbert dosłownie czuł ten bełkot na jakimś fizycznym poziomie, jakby każde słowo wypalano mu na powierzchni kory mózgowej. Pamiętał, że Mechanik uspokajał, iż to wszystko rozplynie się w jego pamięci za kilka godzin, ale w tej chwili miał wrażenie, że do końca życia będzie pamiętał kazanie o niewyobrażalnie wysokim poziomie obsługi, za który szef sali ręczy własną głową. Właściwie należało uznać, że w razie najdrobniejszego uchybienia ober najpierw zadba o to, by winny odszedł ze świata w męczarniach, a dopiero potem popełni rytualne samobójstwo.

Norbert potoczył powoli wzrokiem, jakby robił przejazd, potem zatrzymał spojrzenie na twarzy przełożonego, jak do kadrowania. Przydałby się plan pełny. Nie miał pojęcia, czy to coś da, ale w końcu kręcił. Zauważył, że odruchowo porusza palcami, jakby obsługiwał panel sterowania, i przycisnął dłoń do uda. Był kamerą.

Kamera, akcja!

Rejestrował.

Szef sali zaklaskał na koniec dziarsko, z okrzykiem: „do roboty!” i ruszyli przed siebie czarno-białym szeregiem, jak stado pingwinów szykujących się do skoku z lodowego klifu.

Za wahadłowymi drzwiami kolejny kawałek korytarza, wszystkie lampy pałające ostrym blaskiem, łysi mężczyźni w garniturach o nieruchomych twarzach jak manekiny. Pochłaniająca światło kosmiczna czerń marynarek, oślepiająca biel koszul, matowe soczewki wypełniające oczodoły niczym kropłowate płytki okopconej blachy,

kwadraty kodów QR tatuowane na wygolonych skroniach.

Skaner był najeżoną czujnikami futryną, jak na lotnisku, tylko że okrągłą, przypominającą raczej tunel.

Wpuszczano ich po jednym, więc przez dłuższy czas widział tylko opięte czarnym jedwabiem plecy stojących przed nim, blask lamp i niewiele więcej. Słyszał szum, brzęczenie i popiskiwanie aparatury.

Kiedy przyszła jego kolej, ruszył przed siebie przez tunel złożony z trzech pierścieni z wystającymi ryjkami detektorów. Słysząc było buczenie, kiedy zatrzymał się na rozkaz i rozłożył ręce, pierścienie obróciły się, martwo połyskując ślepiami skanerów, poczuł, jak jeżą mu się włosy, ładunki statyczne prześliznęły się po ramionach.

– Naprzód! Stać! Ręce na boki! Naprzód! Przechodzić!

Wyszedł z tunelu wprost na dwa kolejne manekiny, stojące po bokach z krótkimi kanciastymi karabinkami obwieszonymi elektroniką. Błysk stalowych ślepi.

Wahadłowe drzwi.

Przeszedł.

Wydano im takie same tace jak ta, z którą ćwiczył od drugiego dnia – kosztowne, z czernionego matowo tytanu, trawione w ledwo dostrzegalny wzór kojarzący się ze splecionym w kłębek smokiem. Na to sztywna, lśniąca bielą serweta, druga złożona, przewieszona przez przedramię.

Taca, serweta, naprzód!

Szereg pingwinów rozdzielał się jak w balecie na dwa, w lewo i w prawo, przed stojącym z założonymi rękami szefem sali, który wyglądał jak właściciel gladiatorów u wejścia na arenę.

Potem czekali z zastawionymi już tacami, a kolejny pomocnik we fraku stał przed zamkniętymi dwuskrzydłowymi wrotami i odliczał, pokazując dłoń z wystawionymi palcami, jakby miał dać sygnał do startu. Wybiła godzina, drzwi rozsunęły się na boki, ukazując pogrążoną w półmroku, malowaną pływającymi świetlnymi refleksami i lśnącymi płaszczyznami salę, a dwa szeregi pingwinów ruszyły. Zaczęło się.

Pamiętał zasady, rozumiał kody oznaczające, co ma zanieść i gdzie, mimo że jeszcze przed chwilą był zupełnie pewien, że nigdy tego nie spamięta, szkicowy plan sali jadalnej Jaspisowej miał przed oczami. Taca płynęła na jego dłoni bez udziału woli, stabilna jak lądowisko.

Na razie nie było gości, krążyli pomiędzy oknem wydawczym a długimi stołami, ustawiając bufet przekąskowy na długich jaspisowych stołach. Tace z tytanu wypełnione kolorowymi kompozycjami z nie wiadomo czego, ozdobione precyzyjnymi, piętrowymi rzeźbami z owoców.

Kręcił, bo został włączony i nie mógł tego zatrzymać. Wypatrywał pieczonych pand, szaszłyków z tygrysów, ale na razie słyszał tylko trajkotanie szefa, recytującego rozgłosnie karkołomne nazwy, które nie wiadomo, co znaczyły, ale nie mogły zrobić na publiczności Sieci większego wrażenia niż czysty mandaryński. „Szałwiowe tuilé z foie gras i truflowym demi-glace! Diablotki z homarowym carpaccio w emulsji

rambutanowej! Policzek z żabnicy pod pianą porzeczkową na chipsie kawiorowym! Grzanki brioszkowe ze słoniowym szpikiem i selerowym vinegrette! Kaczenice wędzone na śliwie ume, pod jarmużowym crème fraîche!”

Wtedy zrozumiał, że nic z tego nie będzie. Choćby podano tu pieczone niemowlę, wystąpi pod nierozpoznawalną nazwą, która na nikim nie robi wrażenia. Słoniowy szpik? Rzecznik Pagody natychmiast odpowie, że to poetycka nazwa czegoś, co robi się z tofu, rzodkiewki i witamin. Sam nie rozumiał połowy słów, mimo że wiedział, iż w obecnym stanie powtórzy je bez namysłu. Nie wiedział, co to jest tuilé, nie miał pojęcia, czym się różni kaczenica od kaczki. Większość odbiorców też nie będzie wiedziała. Znudzą się, zamiast zszokować i zapłonąć świętym oburzeniem. Politycy żrą jakieś „pytryfule w sosie mambo”? Ależ na zdrowie!

Dobry iwent musi mówić sam za siebie – obrazem i dźwiękiem. Bez wątpliwości. Komentarz tłumaczący, że słoniowy szpik pochodzi od chronionych dzikich zwierząt i musiał zostać przemycony albo że kawior astrachański jest zakazany nawet w Imperium Nowosowieckim i pozyskiwany tylko dla wierchuszki, albo że łyżeczka piany truflowoszafranowej kosztuje trzy razy więcej niż gram czystego uranu, to tylko słowo przeciwko słowu, na dodatek takie, którego nikomu nie będzie chciało się słuchać.

Kłapa.

O dziwo, nawet nie poczuł się rozczarowany. Z jednej strony rozumiał, że całe przedsięwzięcie skończy się niczym i jest tylko stratą czasu, ale z drugiej chemikalia krążące w jego krwiobiegu i zapełniające ośrodki pamięci krótkotrwałej piksel po pikselu tym, co widział i słyszał, nadal pieściły jego płyty czołowe uczuciem głębokiego zainteresowania, graniczącym z fascynacją. Nie przypominał sobie, żeby od lat był czymkolwiek tak zaciekawiony i zafascynowany. Po prostu nie mógł przestać.

Kręcił.

Musiał.

Salę bankietową, malowaną błyskiem w kryształach i cieniem na parawanie, migocące jak stosy klejnotów martwe natury z mięsa ryb i owoców, szeregi czarno-białych kelnerów krążących między kuchnią a stołami w monotonnym balecie. Na sali pojawiało się coraz więcej ludzi, ale to ciągle nie byli goście. Raczej najróżniejszy personel w stanie coraz wyraźniejszego podenerwowania.

Wypróbowano kilka rodzajów oświetlenia, włączono obrotową estradę. Nadeszli tancerze o ciałach pokrytych brokatem i strojach stosownych raczej na karnawał w Rio. Muzycy obsługujący laserowe syntezatory. Instrumenty przynieśli ochroniarze w zaplombowanych kewlarowych pudłach, pozwalając muzykom rozstawić niewidzialną orkiestrę. Holoharfy otoczyły ich ażurowymi konstrukcjami malowanymi światłem, które trącone dłonią wydawały dziwaczne, rozedrgane dźwięki, a sześciu ochroniarzy z ręcznymi skanerami obwachiwało każdy blok elektroniki, rękawice sterowników i każdy fragment świetlistego hologramu.

Wszystko to razem bardziej zaczęło przypominać przygotowania do

nowobogackiego wesela niż cokolwiek innego.

Po jakimś czasie ustawiono ich w szyku za wahadłowymi drzwiami, Norbert zdążył tylko zauważyć, że na sali pojawił się chudy, nieokreślonego wieku Azjata w świetlistych fioletach od Versace, jego ochrona też składała się z Chińczyków, ale nie przypominali manekinów, jak rządowa tajna służba, tylko raczej gwiazdy sportu z dzikimi, neonowymi fryzurami i markowymi ubraniami. Przybył pan Wu ze świtą.

Wszystko to były śmieci, do wykasowania. Bez treści, bez sensu. Uwertura, a co gorsza, przypuszczalnie uwertura niezapowiadająca niczego.

Środkiem, pomiędzy dwoma szeregami kelnerów, przemaszerował wysoki Mulat o rysach godnych zuluskiego księcia, w czarnych spodniach i białej jedwabnej bluzie, a za nim trójkątny szyk asystentów. Sam szef kuchni, Stanisław „Dwie Gwiazdki” Orunga-D’Orsaille, wraz ze swoją armią.

Za wahadłowymi drzwiami rozległy się głucho uderzenia gongu. Facet, który stał przed Norbertem, zaczął wycierać drżące dłonie w spodnie, ktoś zakrztusił się suchym, nerwowym kaszlem, jakby z trudem powstrzymywał wymioty, ktoś szepnął: „zaraz się zacznie”, inny głos mruknął jeszcze ciszej: „kurwa, nienawidzę tej roboty”.

A potem otwarto drzwi, wypuszczając ich dwoma czarno-białymi szeregami niosących tace pingwinów.

Norbert przyjmował szkło na tacę, unosił ją i ruszał swoją trasą. Niby świadomie wiedział, że nic się tu nie wydarzy, ale podkrecony chemią mózg był innego zdania. To polowanie. Wdarł się tutaj, gdzie nikt normalny nie miał wstępu, i rejestrował. Przynajmniej jeżeli wierzyć Mechanikowi. W każdej chwili coś mogło się zdarzyć. Każda chwila mogła przynieść sensację.

Niektóre twarze rozpoznawał, niektóre wydawały się znajome w nieokreślony, męczący sposób, a niektóre sprawiały wrażenie, jakby powinny być mu znane, choć nie wiedział skąd. Wszystkie natomiast były trochę inne, niż pamiętał z Netu. Niemal wszyscy wydawali się niżsi, trochę grubszy i dosłownie usiani drobnymi defektami urody, zupełnie jakby w serwisach przedstawiali jakieś szlachetniejsze i większe kopie samych siebie, a tu przywdziali nieco znoszone, upstrzone żyłkami, zmarszczkami i pieprzykami, domowe, skurczone wersje ciała.

Każda impreza towarzyska przechodzi przez drętwy rytualny etap, polegający na toczeniu pozbawionych znaczenia pogawędek, wstępnym popijaniu i pogryzaniu zakąsek. Wszystko zależy od tego, ilu liczy uczestników i na ile dobrze się znają.

Norbert rzadko kręcił typowo polityczne iwenty, nie robił też materiałów plotkarskich. Infoportale miały od tego swoich ludzi, którzy funkcjonowali od rautu do rautu, kręcąc się na obrzeżach panteonu politycznych i medialnych celebrytów, znających ich doskonale i wiedzących, co i jak należy pokazywać. Wolny strzelec nie bardzo miał tam czego szukać. W efekcie Norbert nie należał do ludzi, którzy rozpoznają polityków szybciej niż własnych krewnych.

Mimo to po dwóch czy trzech rundach po sali zorientował się, że dziś w Pagodzie bawi się koalicja rządząca. Po drugie, zrozumiał, że Robson miał świętą rację – był

niewidzialny. Taca i godny adepta kung-fu strój sprawiały, że goście odstawiali na jego tacę puste szklanki i sięgali po pełne, ani na chwilę nie zmieniając tematu i nawet nie zerkając w jego stronę. Mógł nagrywać i nagrywał, tylko że na razie nie było czego. Mężczyźni rozmawiali o samochodach, kobiety o kosmetykach i dzieciach. Jedni i drudzy plotkowali, ale głównie o ludziach opisanych już przez plotkarskie infoportale, więc też nie było z tego pożytku.

Wszyscy kłęli jak nastolatki ze slumsów.

Obowiązkowo. Trochę odreagowywali codzienną pijarową pozę, a trochę dlatego że, zdaje się, taki był obyczaj. Wulgarny język miał chyba stanowić względnie bezpieczną formę udowodnienia pozostałym swoich szczerych zamiarów. W zamierzonych czasach, w komunizmie, tę rolę pełnił alkohol. Kto bał się pić z pozostałymi, i to pić ostro, na cały regulator, na pewno bał się utraty samokontroli i zbytnej szczerości. Dalej grał, a to znaczyło, że przypuszczalnie donosił. Jeszcze dawniej, w historycznej Japonii, w szulerniach wszyscy grali bez ubrań, wszyscy bez wyjątku. Może nie całkiem nago, ale wystarczająco obnażeni, by pokazać, że nie oszukują i nie mają nic do ukrycia.

Tu było tak samo. Którykolwiek z obecnych, kto mówiłby literackim, eleganckim językiem, natychmiast ściągnąłby na siebie podejrzania. Byłby jak japoński szuler, który za wszelką cenę chce pozostać w yukacie na grzbiecie. Jak partyjny bonza odmawiający wódki.

Krążąc po salach Jaspisowej, Norbert stworzył już sobie trójwymiarową mapę porządkującą ludzką konstelację i podobne do ruchów Browna szlaki poszczególnych osobników. Wiedział już, gdzie stoją przywódcy koterii, a gdzie toczą się błahe rozmowy ludzi snujących się ze szklankami w dłoni i spotykających się na kilkanaście sekund w towarzyskim kontredansie, niczym obwąchujące się psy. W najszerszym miejscu głównej sali kłębiło się centrum tego wszystkiego. Niewielka ludzka mgławica, której ośrodkiem był premier.

Znacznie niższy, niż się wydawało, opalony na bursztynowo, pod kolor single malta, którego trzymał w szklance. Z jedną ręką w kieszeni włoskiego, konserwatywnego garnituru, mieniącego się milionem iskier jak niebo nad pustynią.

To nie był sektor Norberta, więc musiała wystarczyć mowa ciała. Pewnie na wspomaganie mógłby stanąć tak, żeby mimo wszystko usłyszeć rozmowę, ale nie było po co. Jedna ręka w kieszeni spodni, krzywy półuśmiech, sylwetka mówiąca: „Na razie cię słucham, ale zaraz spadaj”. Od czasu do czasu swobodny śmiech i błysk hodowlanych zębów. Dookoła grupka służalczo uśmiechniętych, jakby przykurczonych postaci, chcących przez chwilę pogrzać się w blasku chwały. „Patrzcie, rozmawiam z samcem alfa!”

Tam nie działo się nic istotnego. Nie przyszedł tu tropić drobnych intryg między kamarylami i personalnych rozgrywek. Coś takiego mógłby ewentualnie sprzedać jakiemuś politycznemu analitykowi, w sumie za grosze. To nie była jego specjalność. Przyszedł po iwent. Porządny, który potrząśnie MegaNetem. Obudzi na chwilę tępego

wielookiego stwora.

Jesteście sami, nikt obcy was nie widzi, chronicie się za bluzgami, możecie robić, co chcecie, wyluzujcie wreszcie! Zamówcie pandę!

Faza beznadziejnego sztywniactwa trwała trochę ponad godzinę. Przez ten czas Norbert krążył z tacą drinków albo uzupełniał zimny bufet w kolejne stopy cudacznymi zakąskami. Gdyby nie chemiczne pobudzenie, łechcące mu mózg nienaturalnym zainteresowaniem, chyba by odpuścił.

Wszystko zmieniło się, kiedy premier wyszedł. Dyskretnie, ale i tak na oczach wszystkich. Podszedł do kobiety, którą Norbert rozpoznawał jako jakąś minister. Zdrowia? Opieki? Równości? Wszelkiej pomyślności?

Najwyraźniej to była jej impreza. Premier uściskał jej dłonie, wykonał pantomimę ilustrującą to, jak bardzo chciałby zostać dłużej, jak bardzo jej dziękuje i ceni, ale ach, te wszystkie obowiązki, już i tak jest spóźniony, ten nieznośny sekretarz już pogania i on naprawdę musi.

A potem odpłynął, otoczony niewielką przyboczną świtą jak rojem gwiazd nad pustynią, zatrzymał się tylko, by uściskać pana Wu oraz chefa Orungę-D'Orsaille'a.

A potem stopniowo wszystko zaczęło się zmieniać. Gdzieś w powietrzu pojawiło się wrażenie swobody, jak subtelny, trudny do opisanego, ale zauważalny zapach. Goście przestali się kręcić ze szklankami i uprawiać small talki, potworzyły się grupki, obsiadające stoliki. Zamówienia na koktajle nagle wyschły. Teraz zamawiano prawdziwy alkohol. Na tacach pojawiły się samochłodzące butelki sowieckiej wódki i zestawy kieliszków. Japońska i kazachska whisky. Mocne i dużo.

Roznosiło się je tak samo jak poprzednie wymyślne szkło wypełnione warstwami o różnych fakturach i smakach. Z żelkami z oliwek i pianką martini albo pomidorowym kawiolem o smaku wódki i piórkami tabasco. Taca, środek ciężkości, krok. To chwilowo była jego druga natura. Przelotnie zaciekał się, czy za parę dni wciąż będzie to potrafił.

W drzwiach kuchni raz minął Robsona.

– Niedługo się zacznie – mruknął tamten, niemal nie otwierając ust.

Norbert skinął głową. Lekko, ledwo dostrzegalnie.

Najwyższy, kurwa, czas.

To bolało. Stopniowo, coraz wyraźniej dane odkładające mu się w głowie stawały się fizyczne. Rozpychały się w zwojach warstwy szarej, naciskały od wewnątrz na gałki oczne, były jak wypełniające czaszkę litry ciężającego betonu. Kiedy zjeżdżali towarową windą na parking, był już przeładowany obrazami i dźwiękami. Przelewały się z puchnącego mózgu, grożąc eksplozją. Czuł je nawet w żołądku, wzbierające żrącymi falami żółci i podchodzące do gardła.

Na szczęście wszyscy stojący w windzie kelnerzy prezentowali się równie kiepsko, bladzi, spoceni i wymaltretowani. Tak samo jak on trzymali się lustrzanych ścian i tak samo sprawiali wrażenie, że zaraz się poprzewracają. Tyle tylko, że oni byli po prostu skrajnie wymęczeni, a on był chory od nadmiaru danych.

Miały fizyczny wymiar. Strukturę wypełniającego go lodowatego śluzu. Miały kolor – brudnożółty i zielonkawy, jak ropa. Oraz zapach. Gęsty odór gnijącej soi, z ostrą nutą rozpuszczalnika. I smak – kwasu i sparzonych piór.

Każda sekunda w opadającej windzie ciągnęła się bez końca. Po prostu stał i stał, walcząc z dreszczami i uczuciem puchnięcia. Nie mógł zemdleć. Nie tutaj, nie w podziemnym garażu. Bał się opuścić powieki albo poruszyć głowę, która wydawała się rozdęta jak balon i mogła pęknąć w każdej chwili, rozbryzgując cuchnący śluz po ścianach windy i ciałach stojących wokół.

Kolejna bramka skanująca i kolejnych czterech agentów, identycznych jak manekiny. Błysk wygolonych czaszek, barwne migotanie kodów na skroniach, dyski komunikatorów przyssane tuż koło ucha, oczodoły wypełnione matową czernią, pistolety ostentacyjnie błyskające pod połami czarnych jak kosmos marynarek. Nawet nie pachnieli jak ludzie – wiało od nich ozonem i rozgrzanym plastikiem.

Plastikowa kuweta z garścią jego drobiazgów przejechała po pokrytej rolkami półce, zaniósł ją na rozstawiony pod ścianą garażu blat i stanął na moment oparty czołem o ścianę, a potem gapił się na opakowaną w chitynę kartę i prosty jednorazowy tablet. Nie mógł sobie przypomnieć, jak się go włącza i aktywuje. Miał ochotę się rozplakać. Lodowaty, cuchnący śluz wypełniał mu czaszkę i wysadzał oczy. Udało mu się rozedrzeć kopertkę i znaleźć szczelinę slotu na obudowie, ale wszystko to było zbyt precyzyjne dla jego roztrzęsionych dłoni. Kiedy karta czwarty raz wpadła do kuwety, Robson zabrał mu aparat z dłoni i zainstalował czip.

– Masz to? – mruknął ledwo słyszalnie.

– Wszystko – wybełkotał Norbert. – Odezwę się.

Dookoła kelnerzy szeleścili kurtkami, kolejni przechodzili przez mruczącą bramkę, rozmawiali półgłosem, co chwila odzywały się powitalne melodyjki omnifonów, syczały drzwi wypuszczające kolejnych na poziom zero, ktoś uruchomił tam na dole turbinę pneumobila, potem następną. Dużo dźwięków tła. Nawet jeśli ktoś się uprze analizować materiały monitoringu, jest nadzieja, że nieznaczny pomruk przez nieruchome usta, podejrzane „Masz to? – Wszystko” zniknie w ogólnym szumie.

W pamięci aparatu był tylko jeden numer, opisany jako „taksi”. Smartfon rozpoznał to słowo za trzecim razem i aktywował połączenie głosowe. Norbert odczekał dwa sygnały i się rozłączył.

Parking dla pracowników znajdował się z tyłu hotelu, wepchnięty między stare, ściśnięte razem kamienice i jakąś rozgrzebaną budowę. Nadchodził siny, lodowaty przedświt, wokół snuła się mgła. Otulił się nową sportową kurtką z kapturem i ruszył w ciasny zaułek, między blaszane drzwi jakichś zapleczy, ściany obrosnięte widmowymi koralami holograffiti i pocięte kontenery na odpady, z pociętymi szlifierką kątową zamkami. Było pusto.

Przeszedł pewnie ze dwadzieścia metrów, kiedy zgiał się wpół, zdarł z twarzy maskę i zwymiotował gwałtownie na brudny chodnik. Wbrew temu, co czuł, wcale nie żółtozgnięłym śluzem, ale czymś brązowym, kojarzącym się z przeżutą marchwią.

Przeszło mu przez myśl, że to tajemnicze zjawisko. Cokolwiek człowiek by zjadł, zawsze wymiotuje marchwią.

Zakrztusił się jeszcze raz, od spazmów łzy pociekły mu z oczu, ale poczuł przelotną ulgę, tylko po to, żeby ogarnęła go kolejna fala dreszczy.

Podnieśli go, kiedy wspinał się mozolnie po ścianie przepelnionego kontenera. Chwycili pod ramiona, zobaczył z prawej strony czarne rękawy i przeraził się, że to ochrona, że już wiedzą. Ale człowiek po lewej miał beżowo-niebieski turystyczny anorak, obsyty odblaskowymi taśmami. Zobaczył okrągłą, pospolitą twarz, zupełnie obcą, a kiedy z wysiłkiem znowu odwrócił głowę, rozpoznał Mechanika holującego go pod drugie ramię. Mechanika w czarnej wojskowej parce z wypchanymi kieszeniami.

– Fokus, to ty?! – zawołał Mechanik.

– Ja. – Wydawało mu się, że odpowiedział. – Moja głowa... Coś jest nie tak... Coś jest... źle...

– Co z nim?

– Ty mi, kurwa, powiedz!

– Nic mu nie będzie. Tak bywa. Przejdzie mu, kiedy stymulator się wypłucze.

– Nie zarzyga samochodu?

– Nie. To jest psychosomatyczne. Tak naprawdę nic mu nie jest, zresztą już nie ma czym. Pewnie migrena. Czasem się zdarza. Na razie, póki go nie sczytamy, nic mu nie mogę podać.

Wlot zaułka przegradzał krzywo zaparkowany czarno-czerwony hafei mikron z uniesionymi do góry drzwiami, jak pękaty żuk gotów do lotu.

Pozwolił się prowadzić, przytrzymał się tylko porysowanego dachu, kiedy manipulowali przednim fotelem.

– Dobra – powiedział nieznajomy w anoraku. – Zmieścisz się z tyłu?

– Jakoś to będzie – rzucił Mechanik.

Norbert wsunął się na fotel obok kierowcy i zwinął w kłębek, otulając połamami kurtki.

– Zimno... – wybełkotał.

Pokrywy drzwi opadły, sprężone powietrze ruszyło łopatki turbin i pękaty pojazd zawrócił w miejscu, ruszając w mglisty przedświt.

Nawet nie wiedział, dokąd jadą. Jeszcze nie włączono świateł, wszędzie snuła się mgła, mżawka osiadała na szybach. Kilka razy zasnął na mgnienie oka, ale wtedy natychmiast znajdował się z powrotem w Jaspisowej, patrzył na opalone, lśniące twarze z cukrowobiałymi zębami szczerzonymi w uśmiechu, widział konwulsyjne, straszne ruchy tamtych dwóch tancerek i zanoszących się ze śmiechu gości, wyrrywających sobie pilota.

To było jednosekundowe wspomnienie, które uderzyło w niego jak cios. Wystarczyło, że stracił kontrolę nad ciężkimi powiekami, i natychmiast spadał w tamto mroczne światło, zapachy i dźwięki. Wibrujące tony świetlnej harfy, pijackie wrzaski i śpiewy. Znowu czuł na pękającej z bólu dłoni ciężką, zimną tacę.

A potem znów miniaturowy samochód, napędzany sprężonym powietrzem,

zamglone, obce ulice zatopione w półmroku.

Zaparkowali między jakimiś industrialnymi budynkami, wśród stert betonowych płyt i śmieci, pod kratownicowymi schodami. Prowadzili go gdzieś, Mechanik szamotał się z żelaznymi drzwiami z namalowanym numerem, grzechocząc staroświeckimi kluczami do tradycyjnego zamka.

Norbert nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje, starał się tylko nie przeszkadzać i nie pozwolić wypełniającemu go lodowatemu śluzowi wylać się na zewnątrz.

W ciemnym pomieszczeniu kroki i głosy odbijały się echem jak w piwnicy. Dygotał w mroku, ktoś posadził go na składanym turystycznym krzeselku, ostre plamy światła z czołowych latarek wydobyły surowe pomieszczenie, przemysłowe kafle na podłodze zastawionej żebrowanymi walizami ze wzmocnionego włókna szklanego, jego towarzysze krzętały się przez chwilę, słyszał pstrykanie przełączników, z szumem ożył pneumatyczny generator, za moment z głuchymi trzaskami włączyły się oślepiające reflektory na stojakach, niczym w studiu. Norbert siedział skulony, obejmując się ramionami, i bezmyślnie obserwował kłęby pary wydobywające się z jego ust.

Mechanik ustawił na podłodze przenośną nagrzewnicę – cylinder na płozach z uchwytem do przenoszenia, i podpiął kolejny kabel. Wentylator ruszył z szumem, halogenowe żarniki zapłonęły rubinową czerwienią i powiało ciepłem. Rozstawione wokół reflektory też grzały i Norbert stwierdził, że przestał ziać parą, a po chwili mógł rozpiąć kurtkę, ale cały czas jego głowa pulsowała nieznośnym bólem i przepełniał go lodowaty śluz.

Mechanik klęczał przy otwartych kontenerach, podpinając jakieś kable, pośrodku pomieszczenia stało łóżko polowe, przed nim laminatowe blaty rozłożone na kozłach, na których ustawiono trzy pancerniki i kilka holoemiterów, nieznajomy współnik stał za tym i wyglądał, jakby dyrygował niewidzialną orkiestrą. W odpowiedzi budziły się programy, na holodisplejach rozwijały się startowe animacje, w powietrze płynęły świergoty powitalnych melodyjek.

– Zaraz będziemy gotowi – powiedział Mechanik. – Zdejmij kurtkę i buty, Fokus. Położysz się na kozetce i założymy ci czujniki, a potem zgramy to wszystko. Wszystko będzie okay. Jestem przy tobie, rozumiesz? Uspokój się.

– Moja głowa... Mechanik...

– Wszystko pod kontrolą. Wyluzuj.

Pomogli mu usiąść, nieznajomy założył Norbertowi na głowę azurowy czepek złożony z połączonych okrągłych czujników na podkładkach, wysmarowanych czymś śliskim i zimnym, a potem podłożył mu pod potylicę coś, co przypominało połowę dybów albo japońską poduszkę makura. Zamknął też górną połowę i czaszka Norberta znalazła się wewnątrz obręczy. Coś elastycznego objęło mu nadgarstki i kostki u nóg.

– Nie za mocno?

Szarpnął się w przerażeniu, ale pasy trzymały jego kończyny i dociskały je do ramy łóżka.

– Co to, kurwa, jest?! Mechanik!

– Spokój, Fokus, tak trzeba. To będzie jak niespokojny sen, czasem się zdarza, że ludzie mimowolnie odtwarzają ruchy, miotają się, są jak lunatycy. Zerwiesz połączenie, zrobisz sobie krzywdę, a mamy tylko jedną próbę. Zagryź to.

Podał Norbertowi przezroczysty kawałek plastiku, przypominający silikonowy pierożek.

– A to co znowu?!

– Chcesz sobie odgryźć język?

– Posłuchaj – odezwał się ten drugi. Miał aksamitny, spokojny głos, z bardzo dobrą dykcją, jak spiker. Głos wykładowcy, lektora. – To nie boli. Położysz się, założę ci gogle z displejem. Najpierw wyzerujemy urządzenie. Będę cię prosił, żebyś wyobrażał sobie różne rzeczy. Kolory, obiekty, miejsca. Najpierw te, które zobaczysz na displeju, a później pojawią się uspokajające wzory, a ty będziesz tylko wizualizował obrazy z pamięci. Potem skupisz się i zaczniesz sobie przypominać wydarzenia wczorajszego wieczoru. Po prostu zaczniesz je wspominać. Od początku. Po jakimś czasie grafika w goglach wprowadzi cię w rodzaj transu. To będzie przypominało sen, dzięki czemu twoja kora zacznie przetwarzać szybciej i nie będziesz tego przeżywał w czasie rzeczywistym. Szczytywanie potrwa trochę ponad godzinę. Mniej więcej. Pasy są po to, żebyś nie wykonywał mimowolnych gestów, a nie dlatego, że będziesz miał konwulsje albo że coś cię będzie bolało. Jeśli to są przykre wspomnienia, będziesz czuł emocje, ale nic fizycznego. Nic ci nie grozi. Po wszystkim odpoczniesz, a potem poczujesz się normalnie. Zrozumiałeś?

Norbert skinął głową.

– W porządku? Możemy zaczynać?

Najlepiej skończmy, pomyślał, ale znowu potwierdził.

Zagryzł giętki kawałek tworzywa, czując się jak bokser przed walką.

Displej był elastyczny i tak lekki, że prawie go nie czuł. Po prostu widok betonowego sufitu z resztkami świetlnych paneli został przykryty obrazem błękitnego nieba, po którym sunęły leniwie letnie obłoczki.

– No dobra – powiedział Lektor. – Zaczynamy. Wyobraź sobie letnie niebo. Dobra, mamy. A teraz zielen.

– Co to jest?

– Wyobraził sobie pomalowaną ścianę. Widzisz fakturę? Chciałem powiedzieć, wyobraź sobie rośliny. Trawę, liście, krzaki. Takie jak na displeju. Muszę ustawić edytor. Dobra... Teraz kobietę, tę, którą wyświetla program.

– Podobna, ale... – znów głos Mechanika. Z cieniem zwątpienia.

– Jest nieźle. Jak wpadnie w trans, będzie czyściej.

– To ma posłużyć jako film, nie może wyglądać jak grafika z gry.

– Zaraz się ustawimy. Zaufaj mi, będzie dobrze. Ten program zaczynał jako silnik od wojskowego symulatora. Czerwony, zielony, żółty! Dobra...

Po jakimś czasie obraz w displeju zmienił się, wizerunki zastąpiły przelewające się

abstrakcyjne wzory, jak staroświecki wygaszacz ekranu z czasów, kiedy monitory ulegały zużyciu od wyświetlania nieruchomych obrazów.

– Wyobraź sobie teraz ładną aktorkę.

– Co to jest?!

– Normalka. To jest normalny zapis z pamięci długotrwałej. Pamiętasz ideę osoby, a nie jej obraz. A teraz puśćmy filtr i proszę: poznajesz?

– Nie jestem specem od filmu. Rzadko coś oglądam.

– Samantha Nix w „Drodze upióra”. Podoba mu się, więc tak ją przechowuje w głowie. Jako symbol.

– Mówiłeś, że z normalnej pamięci nie można.

– Bo nie można. Tu dokładnie wiemy, co miało być: aktorka. Jest baza danych, z którą można porównać. A jakbyś nie wiedział, kogo sobie wyobraża, to do czego to przyłożysz? Do wszystkich kobiet na ziemi? Poza tym to tylko jedna klatka. Jakby wyobrazil sobie choć sekundę akcji, wszystko by się rozjechało w mgły, dymy i piksele. To, co my zgramy, jest kodowane inaczej. To wspomnienie z pamięci krótkotrwałej.

I tak to trwało. Wyobrażał sobie psy, krajobrazy, przedmioty i ludzi. Jakby brał udział w występie iluzjonisty, hipnotyzera.

A w końcu Lektor powiedział: „Dobra, teraz odpocznij”.

Norbert poczuł, że stopniowo odpływa. Przestał czuć pasy, silikon ściśnięty w zębach, napiętą membranę polowej kozetki pod plecami. Nie słyszał kojącego głosu Lektora, stracił świadomość betonowego bunkra i polowego laboratorium rozstawionego wokół, znikł szum generatorów i nagrzewnicy. Wzrok odpływał w aksamitną ciemność razem z rojami maleńkich, kolorowych fraktali, jak żyłatek z rafy, nurkujących ławicą w szmaragdową głębię. On też był świecącą drobiną planktonu i płynął razem z nimi, coraz głębiej, w ciszę i spokój.

Nagle usłyszał dobiegający zewsząd głos, który powiedział: „Jest wczorajszy wieczór, osiemnasta. Wchodzisz do Liaoning Tower”.

I wtedy runął głową w dół.

Stał, dygocąc w środku, przytrzymując się spoconymi dłońmi biegnącej wzdłuż ściany niklowanej poręczy, kiedy dźwig strzelił w górę Liaoning Tower, jak satelita wyrzucony z elektromagnetycznej katapulty. Miał wrażenie, że jego rozdygotane wnętrzości rozplaszczają się gdzieś o miednicę, więc stał, patrząc w wielkie lustro, w którym odbijała się grupka obcych ludzi, i nawet nie umiał się odnaleźć, jakby patrzył na cudze zdjęcie.

Gdzieś od pięćdziesiątego piętra winda zaczęła hamować i to było jeszcze gorsze. Przełykał ślinę, pewien, że zaraz się porzyga, kiedy nagle spłynął na niego głęboki, aksamitny spokój. Falami, gdzieś z dołu, jak działanie narkozy. Z każdym uderzeniem serca strach rozplątywał się i pozostawała tylko rzeczowa świadomość tego, co robi i co ma do zrobienia. Uczucie było tak potężne, że niemal padł na kolana.

To niezupełnie przypominało hipnozę, przynajmniej tak sądził. W ogóle nie było podobne do niczego, może do majaków w malignie. Albo do streszczenia całego życia,

które ponoć przeżywają ludzie w obliczu śmierci. Ciąg błyskawicznych scen, uczuć, zapachów, obrazów i dźwięków.

Jak upiorna kolejka górską, wioząca go przez nocną imprezę w Jaspisowej. Światła smagające pomieszczenie, sylwetki w migotliwych wieczorowych strojach, niczym aksamitna czerń pokryta diamentowym pyłem, gwar rozmów, śmiechy. Taca zastawiona powykręcanymi kieliszkami, jak kępy kryształowych kwiatów.

Przejazd na pocisku w kaskadzie rozmów, błysków i wielorybich jęków świetlnej harfy. Kobieta tańcząca w klatce ze światła, naga albo może w kreacji wymalowanej blaskiem na jej ciele, i dłonie muskające wielobarwne słupy światła, odpowiadające uroczystym, rozedrganym dźwiękiem rurowych dzwonów.

Rozmowy.

Wtedy już miał to opracowane. Taca ze szklankami na dłoni, powolny krok, stanąć gdzieś poza światłem i czekać. Jak stojak. Nie ukrywać się. Stać niby na widoku i pod ręką, a jednak w cieniu.

– Nie rozumiem, a co on nam przeszkadza? Przecież nie robi w polityce!

– Młody, kurwa! Weź się, lamusie, nie odzywaj. Zaraz wrócą Koks i Kudłaty i normalnie narobisz wstydu!

– To mi wytłumacz, zanim wrócą.

– Co wytłumacz?! Co?! To jest jebane przedszkole! Koleś robi interesy poza krajem, tak? Płaci większość podatków na jakichś Kajmanach, tak? I nagle się pojawia jak dobry wujek, będzie zakładał szkoły dla januszy? Sra forsą i może mi powiesz, na co mu armia jakichś inżynierów w tym kraju?

– A co nas to obchodzi? Tylko straci kasę.

– Co?! Odkąd w Pyrlandii potrzeba januszy z technicznym wykształceniem? Wiesz, czym on się zajmuje? Na czym zarobił? Neoinżynieria! Energetyka termojądrowa! Nanotechnologie! Biotechnologie! Nie wiesz, jaki jest układ, czy co? Podpisaliśmy ekonomię zrównoważonego rozwoju, tak? Gwarantujemy przejście na głęboką ekologię czy nie? I nagle jeden cwaniak będzie nam zmieniał strukturę szkolnictwa? Wypierdzielał jakieś prywatne szkoły dla niby-talentów? Chcą się kształcić, niech robią dyplomy z wielokulturowej etnologii albo nauk społecznych! Jak to będzie wyglądało? My klepiemy układ, a cichcem tolerujemy jakieś inwestycje w neotechnologie? To może jeszcze z powrotem zaczniemy grzebać w tych niby-łupkach?! Albo se atom odjebimy?! Myślisz, że nie wiem, że już się zwałchał z Kolibrami od Miklaszewskiego? Zapytaj Skutera! Już zaczynają coś pierdzielić o jakimś technoprzełomie i nowej gospodarce! A my ciągle mamy pięć tera euro rocznie do zabulenia za ślad węglowy! Ciągle! Technosrełom!

– Przecież co może jeden gościu! Oni nie mają szans! Sondaże...

– Kurwa, młody, przestań pierdolić! Sondaże są dla januszy! Wiesz, co się może stać, jak sypnie im kasą?

– No to co możemy zrobić?

Tamten prostuje się w odpowiedzi, olśniewająca biel zębów w opalonej twarzy.

– Nie interesuj się. Zobaczysz co. Sprawdzaj w Necie i ucz się. Już jest na niego poszczute. Hejterzy już się za niego biorą. Za niedługo janusze dowiedzą się o nim takich rzeczy, że będzie im się rzygać chciało na sam jego widok. I wtedy się załatwi sprawę.

Światła, plecy w garniturach, jęk harfy. Jak przejazd ultraszybkim pociągiem przez ciąg zdarzeń. Szklanki, lśniące oczy, błysk białych zębów. Wrzaski. Śmiechy. Bulgot zmrożonej wódki, cytrynowy kawior koziółkujący w kieliszku.

Marionetki...

Najpierw myślał, że to po prostu striptizerki, i nie zwrócił większej uwagi. Dopiero potem zobaczył pilota.

Ich lśniące ciała świeciły neonowym blaskiem jak ryby głębinowe, muzyka malowała na nich obrazy, jakby były ekranami. Jedna wyglądała jak pantera o ruchomych, płowo-czarno-białych cętkach, druga miała białą, jakby zmrożoną skórę, po której wił się bluszcz. Powoli oplatały ją lodygi i liście, rozwijały się kielichy kwiatów. Obie splecione w niespiesznym tańcu, muskające się nawzajem dłońmi i czubkami języków.

Wypili na wyścigi, pierwszy stuknął odwróconym kieliszkiem o blat i wyciągnął rękę po pilota.

– Dawaj, dawaj! Moje!

Wyglądało to jak prymitywna konsola do gier. Zabawka. Przeznaczona do trzymania w obu dłoniach, dwa obłe uchwyty połączone płaskim panelem, wszystko pokryte mechanicznymi przyciskami i joystickami. Facet jednym gestem rozwinął sobie przed oczami displej cieniutki jak bańka mydlana, jego kciuki tańczyły po sterowniku, koniuszek języka wysunął się lekko z ust.

Norbert dyskretnie wymienił im puste kieliszki i cofnął się lekko w cień. Nikt go nie zauważył, wszyscy gapili się na okrągły podest, na którym poruszały się tancerki. Sennie i erotycznie, w wystudiowanych baletowych ruchach, jakby nie podlegały grawitacji, taniec przywodził na myśl unoszące się na rafie delikatne morskie stworzenia. Ich ruchy wydawały się trochę nieludzkie. Dopiero po chwili zauważył, że stopy dziewcząt unoszą się nad lustrzaną powierzchnią sceny, a ich ciała opadają powoli, jak nadmuchane balony, a potem tak samo wolno wybijają się znowu w górę.

Mężczyzna dalej klikał sterownikiem, ale przez chwilę Norbert nie wiedział, do czego to ma służyć – facet robi coś z muzyką? Z samym podestem? Światłem?

Na razie kręcił, nie bardzo wiedząc, co tu widzi, ale instynkt podpowiadał mu, że to może być iwent. Zresztą w kontekście zwyczajny, pocziwy peep-show na imprezie partii rządzącej, na co dzień siejącej frazesami o równości i prawach mniejszości, to już było coś.

Taniec pantery robił się coraz bardziej wyuzdany i przestawał przypominać taniec. Zmienił jej się wyraz twarzy, gesty przestały sugerować erotyzm, tylko stały się coraz bardziej zachłannymi pieszczotami, muzyka rzeczywiście zrobiła się ostrzejsza, ale chyba nie o to chodziło. Sterownik musiał chyba służyć do czegoś innego, bo facet

wykonywał tyle ruchów, że najwyraźniej wprowadzał jakieś skomplikowane komendy, tylko nie wiadomo było do czego.

Dopiero po jakiejś sekundzie zaczęło do Norberta docierać, że to, na co patrzy, to nie jest erotyczna choreografia. Dziewczyna-bluszcz wydawała się zaskoczona zachowaniem partnerki, wyraz lekkiego strachu i zdziwienia na jej twarzy raczej niczemu by nie służył, nadal usiłowała kontynuować występ, choć najwyraźniej nie wiedziała, jak ma reagować, żeby to nadal uchodziło za taniec. Pantera sprawiała wrażenie nie mniej bezradnej. Na pokrytej holograficznym makijażem twarzy pojawił się rumieniec, Norbert widział, jak przygryza wargi albo otwiera usta w niemym okrzyku, jakby za wszelką cenę usiłowała kontrolować własne emocje, ale powoli traci panowanie. Coś w wyrazie jej oczu i ledwie słyszalnym w kakofonicznej muzyce chrapliwym jęku, kiedy przyciągała dłoń partnerki do swojego podbrzusza, sugerowało, że pod eksplodującym w niej pożądaniem czai się panika.

Siedzący obok koleś wypił swoją kolejkę, wrzucił do ust zakąskę i wyrwał tamtemu sterownik.

– Dawaj, moja kolej. Tak to każdy głupi potrafi. Patrzcie, jak to się robi!

Założył displej, przebierając palcami po przyciskach, z kciukami na manetkach. Pantera z chrapliwym jękiem objęła nogę partnerki i zjechała po niej, rzucając biodrami jak pies, który usiłuje kopulować z czyjąś nogą. Jednocześnie bluszcz nagle spojrzała w dół i z przerażeniem zaczęła zgarniać coś z ramion, a potem z piersi i brzucha, jakby oblażyła ją mrówki. Wyglądało to, jakby usiłowała zetrzeć wijące się po niej hologramy. Potem wpiła nagle dłonie we włosy, jakby próbowała wytrząsnąć z nich robaki. Jej twarz dosłownie z sekundy na sekundę stała się dzika, z wytrzeszczonymi oczami wypełnionymi przerażeniem. Mężczyzna zarechotał, zagłuszając muzykę i gwałtowne okrzyki tancerki.

– Dawaj, mała! Tak się to robi! To jest kontrola!

Pantera nagle puściła partnerkę i stoczyła się na podest, miotając się w gwałtownych konwulsjach. Skręciła się jak gąsienica, ukazując straszną twarz pokrytą lamparcimi cętkami, z wywróconymi w tył oczami, które wypełniały same białka, i z gęstą, spienioną śliną na ciemnych wargach. Bluszcz wyła, drąc paznokciami ramiona i policzki, na skórze zostawały podchodzące krwią pręgi. Muzyka ucichła na moment, słyhać było, jak pantera miota się po parkiecie, bębniąc piętami i głową w lustrzaną powierzchnię, i przeraźliwy krzyk bluszcz, która nadal szarpiąc się za włosy, rzuciła się nagle przez salę, sadząc wielkimi, panicznymi susami długich nóg, przewróciła niewielki stolik i roztrącając gości, wypadła na taras widokowy penthouse'u Liaoning Tower, położony niemal czterysta metrów nad poziomem ulicy.

Mężczyzna stał osłupiały ze sterownikiem w dłoniach i nie naciskał już niczego, powtarzał tylko: „kurwakurwakurwa...!” – jak mantrę.

W zasadzie ochroniarzy nie było widać. Wydawali się jeszcze mniej zauważalni niż kelnerzy krążący ze swoimi tacami, ale nagle wokół zrobiło się ich pełno.

Jeden z nich wskoczył na podest, odrzucając połę marynarki, i z trzaskiem rzepów

rozpiął płaską saszetkę, którą miał przy biodrze. Przykleknął przy miotającej się dziewczynie, szybkim ruchem wepchnął jej pod głowę zrolowaną serwetę, wcisnął w zęby jakiś biały walec, wyglądający jak zwinięty opatrunek, i przycisnął bluszcz do parkietu kolanem i przedramieniem. Równie błyskawicznie wolną ręką wyjął coś z saszetki, jakby krótki, gruby marker, zdarł zębami skuwkę i przytknął dziewczynie ampulkę do ramienia.

Za nim na drugim planie przemknęły kolejne dwie czarne, dyskretne sylwetki, wlokąc między sobą panterę, która zwisała im z ramion bezwładnie, z głową kołyszącą się na piersi jak piłka i snopem czarnych włosów spadających na brzuch.

Następna czarna sylwetka przesłoniła obraz, łysy, obleczony czernią manekin z tatuowaną skronią delikatnie wyjął gościowi z dłoni sterownik, założył porzucony displej i zaczął metodycznie wciskać przyciski.

Gość stał dalej jak przedtem, tylko teraz powtarzał w kółko: „janiczniezrobiłem, janiczniezrobiłem, nicjejkurwaniebędzie...”.

– Co tak stoisz?! – syknął ktoś tuż obok Norberta. – Wytrzymaj krew z podestu, polej im kolejkę! Serwis, kurwa! Ruchy! Co się gapisz?! Nic się nie dzieje!

Wszystko trwało ledwie kilka sekund. Norbert otrząsnął się z osłupienia i ruszył do stolika. Wymienił kieliszki na pełne, z wewnętrznej kieszeni wyjął opakowanie z nawilżaną ściereczką przewidzianą właśnie na takie okazje, gdyby któryś z gości napaskudził, i wszedł na podest. Krwi nie było dużo. Trochę kropel z rozbitego nosa, rozmazane smugi i ze dwie niewielkie kałuże, pantera chyba rozbiła głowę o twarde parkiet. Dwóch ochroniarzy wyprowadzało dziewczynę dygocącą jak w febrze gdzieś na zaplecze. Muzyka znów grała, ktoś w oddali wrzeszczał: „Piijemyy!”. Bliżej słychać było, jak inny tłumaczy spokojnym, profesjonalnym głosem:

– Nie, pani przewodnicząca, mała kontuzja podczas tańca. Nic poważnego, już się wszystkim zajęliśmy.

Podniósł się z podestu, chowając zwiniętą ściereczkę w dłoni, i poszedł umyć ręce, a potem uzupełnić tacę. Widział swoje dłonie, spokojne jak skała. Nawet zdziwił się przelotnie, że nie drżą.

Był kamerą.

Chłonał to, co widzi, i niczego nie czuł. Niczego poza zainteresowaniem.

Taras.

Oświetlona dyskretnymi lampami wyspa na szczycie Liaoning Tower, biegnąca dookoła penthouse’u, blisko czterysta metrów nad ziemią, wokół ciemność wygaszonego miasta, kontrapunktowana wznoszącymi się w pobliżu kryształowymi wieżami wielkich korporacji. Nieliczne neony, większość zapisana ideogramami w szczęśliwej czerwieni i złocie, pojedyncze łacińskim alfabetem. W dole, w morzu czerni, migotały pojedyncze światełka, jak ogniska barbarzyńskich koczowisk.

Płynął ze swoją tacą na wyciągniętej dłoni wśród ręcznie robionych stolików z klonowanego palisandru, z misami, gdzie na taflach aromatyzowanej jaśminem wody dryfowały orchidee i płomyki uwięzione w kryształowych kloszach.

A na tym etapie również niedopałki, które należało ostrożnie wyłowić i usunąć, podobnie jak nadgryzione przekąski, umazane sosami tytanowe talerze i porzucone kieliszki.

Wiatr wzdymał muślinowe parawany, które osłaniały dyskretne gabinety.

Wokół rozbrzmiewał gwar imprezy, chichoty hostess najróżniejszej płci, dziarskie okrzyki.

Wymieniał kieliszki, wymijając stojących wokół jak tancerz, mistrzowsko manewrując tacą. Jakiś znajomo wyglądający facet siedział pochylony, z obwisłą twarzą, obracając kieliszek, i cicho śpiewał dziewczynie o azjatyckich rysach jakiś posępny rosyjski kawalek.

Ktoś kiwał się przy samej balustradzie i korzystając ze szpary między płytami pancernego szkła, oddawał mocz w dół, na miasto.

Stali w innym miejscu przy barierze, na uboczu. Kobieta i mężczyzna. Tak samo jak wszyscy tutaj w zasadzie bez wieku, opaleni, z cukrowobiałymi zębami. Oboje w ciemnych, oficjalnych strojach i niemal trzeźwi. Oboje o znajomych w ten nieokreślony sposób twarzach, widywanych na infoportalach, ale ginących w tłumie podobnych.

Sam nie wiedział, co przyciągnęło jego uwagę, chyba ton, w jakim rozmawiali. Ciszej niż inni, poważnymi, ostrożnymi głosami.

Zajął się sprzętaniem pobojuwiska przy stoliku dwa metry od nich, skryty półmrokiem i oddzielony powiewającymi białymi płachtami parawanu, drukowanymi w matowy cień lecących żurawi.

– Kogo mam zapytać, jak nie Ciebie? – przekonywał mężczyzna tonem, w którym pobrzmiwało niemal błaganie. – Nie wiem, co zrobić.

– Najlepiej nic nie rób – odparła kobieta. Jej głos był dość przyjazny, ale lekko władczy. Gość stał niżej w hierarchii dziobania i coś usiłował załatwić.

– Tak, wiem, wszystko jest pod kontrolą, rząd wie lepiej, nie wolno panikować. Ale ja chcę... Muszę wiedzieć, jak jest naprawdę. Moi rodzice są starzy, ojciec żony też, mamy dzieci. Boję się o nich. Wywieźć ich gdzieś z kraju? Na jak długo? A przede wszystkim zaszczepić? Czytałem, ale sama wiesz, co piszą portale. Nic nie wiadomo, same domysły. A lada chwila może być za późno.

– Jak ja ci mówię, że wszystko jest pod kontrolą, to znaczy, że naprawdę jest. Nie będę ci ściemniać, ale do pewnych informacji nie masz dostępu. Po prostu nie mogę.

– Czyli jednak...

– Nie kombinuj. Nie jest tak, jak myślisz. Nie o to chodzi, że utajniamy rozmiary epidemii, tylko o zupełnie inne rzeczy. Nie mogę ci powiedzieć, a ty nie masz prawa nawet pytać.

– Nie... Ja tylko chcę wiedzieć, co najlepiej zrobić.

– Stać nas na twoją rodzinę?

– Słucham?

– Pytam, czy to są beneficjenci zero? OS musi na nich łożyć? Wiochmeni, stary portfel? Bezrobotni? Można ich uznać za nawis demograficzny?

– Rodzice są starzy...

– Ale to nie są janusze, tylko twoja rodzina! Nic im nie będzie. Nie musisz ich nigdzie wywozić. Po pierwsze, niech przez jakiś miesiąc za bardzo nie wychodzą, zwłaszcza tam, gdzie jest dużo ludzi, a po drugie, i to jest najważniejsze, niech się nie zbliżają do służby zdrowia, a już niech cię ręka boska broni na cokolwiek ich szczepić. Żadnych przychodni, szpitali, pogotowia. Nic. Jakby im cokolwiek było, tylko nasza klinika. Wyłącznie! Jakby były problemy, powołaj się na Siwego. To sobie zapamiętaj i wszystko będzie wporzo. Rodzinę uspokój. Lizbona im nie grozi. Nic więcej ci nie mogę powiedzieć. Kończymy, nie mogę tyle z tobą rozmawiać, ktoś zacznie kombinować.

– Baśka, ja...

– Nie ma sprawy, kiedyś się przydasz. Tylko tej rozmowy nie było, łapiesz? Nigdy nikomu ani słowa, mówię serio. Nawet nie wiesz, jak serio.

Pod koniec rozmowy patrzył na nich uważnie, starając się dobrze uchwycić momenty, kiedy łopocące płachty odsłaniały ich twarze.

Kręcił. Spokojnie, profesjonalnie, niczego nie czując. Niczego poza zainteresowaniem.

Potem znowu krążył po sali, wymieniał kieliszki, nalewał, podawał tace.

Ktoś rzygał w kącie, ktoś obmacywał hostessę niewiadomej płci, banały. Wielu wyglądało na naćpanych, ale nie widział nikogo, kto wciągałby staroświecki proszek przez rurkę. To byłoby prostackie. W jakiejś grupce podawano sobie z namaszczeniem cyberetkę, wszyscy chichotali z sennymi, lunatycznymi twarzami i żrenicami zwężonymi jak szpilki. Inni obnosili ramiona oklejone dermoplastami, które teoretycznie mogłyby dawkować cokolwiek, choćby leki od bólu głowy.

Poza tym taca, ostrożny, niespieszny krok, komendy maître, gwar, muzyka świetlnej harfy.

Nie wiedział, która jest godzina. Nie miał omnifona, displeja, nic elektronicznego. Właściwie nie miał niczego. Już nie pamiętał, jak to jest nie wiedzieć, która godzina, i nie móc tego sprawdzić. Trochę przypominało to somnambuliczne czekanie na lotnisku, ale tam przynajmniej na wszystkim wokół wyświetlał się aktualny czas. Takie samo było tylko surrealistyczne poczucie uwięzienia pośród obłąkanych.

Upłynęło trochę lepkiego, mrocznego bezczasu, kiedy coś się zmieniło.

Najpierw oświetlenie.

Dyskretny półmrok pozostał, tylko wzdłuż podłogi zapłonęły skierowane w górę czerwone reflektory i rozległ się blaszany, uroczysty dźwięk gongu, a z sufitu spłynął snop złotego blasku, oświetlając samego chefa Orungę. Stał w swojej bluzie, z opuszczoną głową, jak konferansjer dawnego cyrku.

Zapadła cisza. Chef stał przez chwilę, jakby popadł w głębokie zamyślenie i zapomniał, gdzie jest i w jakim celu. Po kilku uderzeniach serca i uroczystej pauzie uniósł gładką, niepokojącą twarz, najwyraźniej pochodzącą spod ręki naprawdę drogiego biostylisty.

– Szanowni, najznamienitsi goście... – właściwie niemal wyszeptał natchnionym,

trochę nieobecnym głosem, ale dzięki nagłośnieniu wyszeptał każdemu wprost do ucha. – Nadszedł czas na atrakcję wieczoru. Kulinarną atrakcję. Skromny posiłek, który wam serwowaliśmy dotąd, był kompromisem. Staraliśmy się przychylić wam smaki, produkty i techniki tak, by umilić wam czas i zaspokoić wasze zmysły. Ale moja filozofia gotowania to sztuka. Sztuka totalna. Sztuka wyzwolona. Do granic okrucieństwa i rozkoszy. Życia i śmierci. Sztuka przeznaczona jedynie dla wybranych. Dla tych, którzy mają odwagę odrzucić konwenanse i przekroczyć granice. Zapraszam was na jedyny w swoim rodzaju, unikatowy posiłek, który pochodzi z zapomnianych receptur dawnej kuchni Wschodu. Odkryłem ten przepis i dałem mu tchnienie nowoczesności. Wydobyłem z niego pełnię. Posiłek, który jest spektaklem, doświadczeniem i objawieniem. Ta potrawa jest przeżyciem eschatologicznym. Trzeba przejść granicę agonii, by odrzucić uprzedzenia i wkroczyć w dziedzinę najwyższej rozkoszy. Nie ukrywam, że to nie jest doświadczenie dla każdego. Na pewno nie dla zwykłego człowieka. Jest przeznaczone dla chętnych do przekraczania granic, tych, którzy chcą stanąć doświadczeniem tam, gdzie nie ma miejsca dla przeciętności i jej ograniczeń. Kiedy rozlegnie się drugi gong, otworzą się drzwi do Jaśminowej Sali. Zapraszam tych, którzy są gotowi na spotkanie z nieznanym. Nie zapomnicie tego przeżycia.

Światło zgasło, dając taki efekt, jakby chef Orunga-D’Orsaille zniknął. Pozostała jeszcze sekunda ciszy, w której Norbert usłyszał podwójne, ostre kliknięcie, pochodzące z aparaciku używanego przy tresurze psów. Urządzenia ukrytego w dłoni szefa sali.

„Wszyscy do kuchni, natychmiast!”

Kiedy wchodził do kuchni i zajmował miejsce w półokręgu innych zobojętniałych ze zmęczenia pingwinów, przemknęło mu przez myśl, że jak na steki z delfina albo pieczoną pandę, to było przesadnie dużo gadania.

– Najpierw zanosicie do Jaśmina zestawy sosów i dodatków, tu nie ma żadnej filozofii – zaczął szef sali tym swoim sierżanckim tonem. – Potem, kiedy zacznie się właściwa wydawka, wy będziecie tylko asystować. Prezentacją i przygotowaniem dania zajmą się souschefowie, wy jesteście pomocnikami. Macie stać i wykonywać polecenia. Podawać sztuce i przybory. Jak przy operacji. Zawozicie wózek z daniem, przed wami idzie souschef. Podstawiacie wózek, robicie krok w tył, potem wykonujecie polecenia. Jarzycie?! Zając, kurwa, by sobie poradził i dla takich debili jak wy to też jest możliwe. Jak mi który narobi bydła przy gościach, zacznie histeryzować, mdleć czy cokolwiek, to żeż, kurwa, nie chciałbym być na waszym miejscu! Gały wydłubię i podam na miękko, bando lamusów, żywcem nakarmię wami szczury. Ktoś myśli, że nie podoła, to teraz, w tej chwili, zostawiać bluzę i wypierdalać mi stąd. Teraz! Jutro możesz jeden z drugim zabierać się za odzysk odpadów, bo ja wam gwarantuję, że nikt was nie zatrudni nawet w garkuchni wiochmenów, ale przeżyjecie. Bo jak spierdolicie mi tę wydawkę, to pożałujecie, żeście zaraz po urodzeniu nie poszli na organy.

Jaśminowa Sala była dużo mniejsza niż ta, w której odbywała się główna część imprezy, kazano im zastawić tylko kilkanaście okrągłych azjatyckich stolików z

otworami pośrodku, przygotowanymi pewnie do zamontowania czegoś wspólnego dla wszystkich biesiadników – jakiegoś palnika, misy albo obrotowego półmiska.

Miseczki sosów, drobno pociętych, różnokolorowych glonów i warzyw, barwnych jak farby papek, układano dookoła otworu na ruchomym kręgu blatu. Wokół talerze z łupka, na tym kolejne miseczki, sztucce, serwetki, kieliszki, cały garnitur. Zwyczaj kelnerska krzątanina.

Norbert wyrównywał właśnie sztucce, kiedy do pomieszczenia weszła wysoka istota niejasnej płci, doskonale androgyniczna, ale o niewątpliwie azjatyckich rysach, podkreślonych jeszcze scenicznym, czarno-białym makijażem. Towarzyszący jej dwaj ochroniarze i typ z obsługi w garniturze pochyłili się w ukłonie, kiedy postać okutana w czarną jedwabną szatę i z fryzurą jak ułożoną za pomocą krzesła elektrycznego weszła na podest, uderzeniem kantem dłoni między kolana ułożyła jedwab między nogami i przyklękła na macie. Jeden z ochroniarzy przyniósł jej w dłoniach prostokątne puzdro z laki i schylił się w kolejnym ukłonie. Postać uniosła upiorną białą maskę i wydobyła z pudra prostokątny instrument z gęstym rzędem strun, coś jakby leżącą harfę albo raczej cymbały, i położyła przed sobą. Jej paznokcie miały po piętnaście centymetrów długości i zostały polakierowane w czarno-czerwone pasy, niczym skamieniałe żmije koralowe. Osobnik włączył zasilanie instrumentu i pochylił głowę, zasłaniając białoczarną twarz fryzurą niczym zastygłą w czasie, zakrzepłą eksplozją.

Norbert skończył przygotowanie stołu i wrócił do kuchni.

Tuż za drzwiami stał już tłum kelnerów oraz rzędy wózków kelnerskich do flambirowanych potraw, lśniących chromem blatów, kółek i rurek, jak gotowe do rajdu o puchar supermarketu. Na wózkach spoczywały całe komplety srebrnych utensyliów, owinięte w ściereczki niczym instrumenty do operacji, ale nie było kociołków ani palników.

Wchodząc przez wahadłowe drzwi, Norbert zderzył się z dziewczyną z drugiej sekcji. Była blada, rozczochrana, nie miała na sobie bluzy i wpadła na niego w drodze na zaplecze. Miała czerwoną, mokrą twarz, ciekło jej z nosa i wyglądała na rozhisteryzowaną.

– Pierdolę – wyjęczała. – Ja to pierdolę... Mam dość... Ja już nie mogę...!

Odepchnęła go i trzasnęła drzwiami na korytarz serwisowy. Szef sali stał przy ladzie do wydawania z założonymi rękami i nieruchomą twarzą. Spojrzał na ochroniarza przy wejściu i podniósł krótko brwi. Tamten odlepił się od ściany i zniknął za tymi samymi drzwiami.

Gdzieś za nimi rozległ się ponownie spiżowy jęk gongu.

– Do roboty! – wrzasnął raptem szef sali. – Wydawka! Brać wózki i do magazynu, wracacie z souschefami. Mordy w kubeł i wykonywać polecenia!

Magazyn przypominał laboratorium dzięki białej terakocie, lustrzanym ścianom i oślepiającemu technicznemu światłu. Tylko że kiedy otworzyli ciężkie podwójne drzwi, to było, jakby weszli do piekła.

Uderzył ich wrzask. Fizycznie, prosto w twarz, w serce, w sam środek duszy.

Przeraźliwy chórálny krzyk ni to zwierząt, ni to dzieci, ni potępionych dusz. Skoncentrowany ładunek paniki, trwogi, lęku i przerażenia.

Souschefowie krzżeli się przy stalowej klatce w swoich nieskazitelnie odprasowanych czarnych bluzach, z wymyślnymi fryzurami i przypominali kapłanów jakiejś zaginionej barbarzyńskiej cywilizacji.

Norbert podtoczył swój wózek i kręcił. Był dronem. Żywą kamerą. Wszystko, co widział, rozświetlało synapsy jego pamięci krótkotrwałej i zapisywało się, a kora odpowiadała pobudzeniem, dającym ciepłe uczucie głębokiego zaciekawienia. Przeraźliwy wrzask spływał do ośrodków pamięci w doskonałej jakości super Hi-Fi. I tyle.

Gdzieś w środku, za wszystkimi procesami i barierą podkręconego mózgu, krył się osłupiały i zdezorientowany właściwy Norbert, ale nie miał zbyt wiele do gadania. Dron miał ściśle wytyczne.

Kręcił.

Wyciągane z klatki wrzeszczące stworzenia usiłowały czepiać się prętów, ale pomiędzy nimi tkwiła napięta drobna siatka, poza tym souschefowie wiedzieli, co robią.

Dłonie w grubych rękawicach chwytaly tam, gdzie należy, i wydobyte z klatki stworzenie mogło tylko wić się, wytrzeszczać bezradnie orzechowe oczy i szczyrzyć ostre zęby, usiłując rozpaczliwie kąsać, ale nie mogło niczego dosięgnąć. Było jednym wijącym się i wrzeszczącym kłębem brunatnego futra, dopóki souschef nie umieścił go w cylindrycznej klatce z lśniących prętów.

Norbert czekał z wózkiem i rejestrował. Zobaczył twarz. Zobaczył błysk zupełnie ludzkiego przerażenia w orzechowych oczach i zobaczył dłonie.

Małpy.

Niewielkie, ogoniaste azjatyckie małpy. Takie same, jakie widział kiedyś w Wietnamie i Tajlandii. Nie pamiętał, co to za gatunek, ale nie były rzadkie. Całymi bandami włóczyły się na targowiskach, okradając stragany i obskakując turystów. Gerezy? Kapucynki?

Małpki.

Souschef manipulował przy klatce, odkręcał jakieś śruby, aż obniżył górną część z otworem pośrodku. Małpka, cały czas wrzeszcząc przeraźliwie ludzkim głosem i kręcąc się wewnątrz, wetknęła tam głowę, żeby precyzyjnie się na zewnątrz, ale wtedy souschef przekręcił coś, co zmniejszyło otwór, który skurczył się wokół jej szyi jak dyby. Małpka została uwięziona w klatce z głową wystającą na zewnątrz, zaciskając dłonie na chromowanych prętach i cały czas krzyząc.

Samotna ludzka myśl przedarła się przez umysł Norberta, uświadamiając go, że tamte małpki w Azji krzyzczały przeraźliwie głośno, a ten dźwięk jest o wiele cichszy, że ogłuchłby wśród wrzasku kilkunastu tamtych małp.

I dopiero wtedy zauważył, że jasny placek na jej głowie to nie jest krąg jaśniejszego futra, tylko żółtawa naga kość, obwiedziona cienkim strupem. I że podobna blizna ukazuje się na gardle, kiedy zwierzę usiłuje wyciągnąć głowę w górę, w nadziei, że

jakoś wyśliznie się z pułapki. Ktoś te mały oskalpował. I ktoś uszkodził im struny głosowe, ale precyzyjnie. Tak, żeby nadal mogły krzyczeć, lecz nie nazbyt głośno.

Przez ułamek sekundy zwierzę patrzyło na niego przytomnym, świadomym spojrzeniem, upiornym w bursztynowych psich oczach, i znowu zaczęło wrzeszczeć, ale inaczej. To nie był protest, odgłos paniki ani wrzask czystego strachu. To był krzyk o pomoc. Kiedy ich oczy spotkały się na moment, coś strzeliło jak iskra. Jakaś międzygatunkowa nić zrozumienia i zwierzę rozpaczliwie wołało go na ratunek, błagało o litość.

Souschef narzucił na klatkę czarny jedwab, jak pelerynę magika, i spojrział na Norberta.

Jego oczy były błękitne i martwe, przypominały dwa kamienie.

– Taka robota – powiedział schrypniętym głosem. – Jedziemy z tym. Wejście B. Nie głównym, to jest teraz dla gości.

Norbert nie miał pojęcia, gdzie jest wejście B, ale inni już pchali swoje wózki z kwilącymi przeraźliwie cylindrami nakrytymi jedwabnym kirem, więc po prostu potoczył się za nimi.

Jaśminową Salę wypełniała muzyka.

Postać na podeście klęczała przed swoim instrumentem, trącając struny, i śpiewała przeraźliwie wysokim tonem, od którego mogła popękać zastawa. Goście mieli już pełne kieliszki i rozmawiali z ożywieniem, ale w oczach Norberta wydawali się identyczni. Jak banda dokładnie takich samych opalonych, zoperowanych, nastrzykanych botoksem i silikonem marionetek. Szczerczących oślepiające zęby i spowitych w migotliwą czerń kostiumów.

– Do czwórki – zachrypiał pod nosem jego souschef. Pamiętał, gdzie jest czwórka. Wszystko pamiętał. I skulony w zamkniętej sterowni jego mózgu wstrząśnięty człowieczek, będący nim samym, obawiał się, że już na zawsze.

Kucharz wysunął spod stolika jakiś stelaż, umieścił na nim klatkę z pojękującym stworzeniem i jednocześnie, niczym iluzjonista, zdjął zasłonę i wsunął stelaż pod stół. Klatka znikła, nim ktokolwiek zdążył zobaczyć jej zawartość.

Potem poruszył jakąś dźwignią i przerażony, oskalpowany, wrzeszczący łebek wysunął się przez otwór.

Biesiadnicy aż podskoczyli.

– Ja pierdolę, mała!

– Ty, ale jaja, słuchaj, ona żyje!

– Będziemy wpierdalać żywą małą?

– No co ty, zajebią ją!

– Ona jest pod stołem? Ugryzie mnie!

– Spokojnie, ona jest w klatce. Nie słyszeliście o tym? Jak byłem w Pekinie...

– Panie Denisie, pan to chyba już wszystko widział...

Światła lekko przygasły, a muzyka zaczęła robić się coraz bardziej niepokojąca i jeszcze bardziej kakofoniczna. Postać z harfą znów zaczęła śpiewać przeciągłym,

wibrującym głosem bez słów, ale tak nisko, że czuło się drzenie przepony.

Małpka odwróciła spanikowany, zapłakany pyszczek, szczerząc zęby, i znów zaczęła krzyczeć.

– Szczypce – zachrypiał souschef. Norbert odsłonił ścierkę i znalazł kleszcze, zakończone dwiema sierpowatymi szczękami. Kucharz pochylił się lekko nad stołem i zacisnął narzędzie na czaszce małpki.

Oczy zwierzęcia wyszły z orbit, wrzask stał się prawdziwie przeraźliwy, ale tylko Norbert słyszał go naprawdę. Dźwięk ginął w jęku harfy i modulowanym buczeniu, wydawanym przez istotę klęczącą za instrumentem.

Gdzie jest ta granica? Kiedy należy odłożyć kamerę i sięgnąć po karabin? Pokazać światu historię czy wziąć w niej udział?

– Och, nie mogę patrzeć...! – oznajmiła dama przy stole, nadal patrząc. – Ją to boli?

– Co ty, to małpa! Co ją może boleć?

Chrupnęło, jak przy rwaniu zęba. Souschef sięgnął do stołu, odłożył szczypce i chwycił lśniące dłuto oraz równie szykowny, polerowany młotek. Przyłożył ostrze i zadał trzy pewne uderzenia, w trzech miejscach. Krótkie, ale brutalne, jak trafienia strzałkowymi pociskami z automatu Korobowa. A potem uchwycił pokrywę czaszki z trzaskiem rwącej się tkanki, zdjął ją jak kościaną miskę, odłożył na stół.

Zwierzę pod blatem ciskało się gwałtownie, łamiąc palce na prętach klatki, wyjąc z bólu i wrzeszcząc o pomoc, która nie nadchodziła.

Norbert stał jak statyw i patrzył. Kręcił. Jego koledzy chwiali się ledwo dostrzegalnie na nogach. Po ich twarzach przebiegały krótkie nerwowe skurcze, komuś skakał rytmicznie policzek, ktoś oddychał głęboko i przełykał raz za razem ślinę. Ktoś stał zupełnie nieruchomo od pasa w górę, ale jego nogi dygotały jak w ataku febry. Wyglądali jak ludzie pod ścianą, czekający na salwę i usiłujący poskromić panikę.

Sam poczuł, że jego prawa ręka dygoce, jakby co uderzenie serca smagano go wyładowaniem.

Souschef ujął dwie srebrne łyżki i ostrożnie przebiwszy błonę pajęczynową, zagłębił je w bladej, drżącej, pożyłkowanej masie wypełniającej czaszkę, jak biały orzech włoski.

Płyn mózgowo-rdzeniowy zmieszany z krwią wypełnił kołnierz ściskający szyję małpki i popłynął rynienką.

– Podstaw sosjerkę – zachrypiał souschef.

Więc można patrzeć beczynn timer, by przeżyć i pokazać to światu. To da więcej niż jeszcze jedna samobójcza szarża.

Pod stołem zwierzę nadal szamotało się w klatce, mimo że jego mózg wydobywano z czaszki jak pudding z miski, mimo że instruowano, że należy skropić go cytryną, a następnie polać kolejnymi sosami. Tyle że już nie krzyczało, wydawało z siebie jedynie rozpaczliwy jęk przechodzący w rżenie.

Jakiemu światu? Pokażesz to tylko tępej wielookiej bestii MegaNetu. O czasie skupienia uwagi piętnaście minut. A ona zrozumie z tego tylko tyle, że oto ostateczny dowód na wyższość weganizmu. Nic więcej. Nic. Jedynie koniec własnego nosa i własna

ideologia. Iwent to emocje.

– Zajebiste.

– Och, ja nie mogę... Ja jestem weganką.

– Pomyśl, kto jeszcze na świecie może sobie pozwolić na coś takiego. Będiesz wiedziała coś, co wie niewielu.

– Wiesz, jak to smakuje?

– No?

– Jak władza. – Mężczyzna wskazał palcem na sufit. – Ta prawdziwa.

Kiedy wrócili z wózkami na zaplecze, wyglądali jak rozbity oddział. Ktoś odstawił starannie wózek, a potem usiadł pod ścianą i przewrócił się na bok, dygocąc. Ktoś zemdłał tuż za progiem. Ktoś stał zgięty wpół, z pięściami wspartymi o kolana i szlochał sucho, kilku runęło do toalety, tratując się w drzwiach i zwijając w torsjach. Kilkoro po prostu płakało rozpaczliwie. Norbert oparł się o ścianę i rozprostował parę razy palce. Jego ramiona co sekunda podrygiwały w skurczach, ale dłonie mu się nie trzęsły.

Był dronem. Kręcił.

Szef sali dał im całe pięć minut.

– Wolno się napić wody – zawołał. – I do roboty, kurwa! Serwis się sam nie robi!

Rec.6

Rany boskie – oznajmił Mechanik w zadumie. – Zdajesz sobie sprawę z tego, co tu masz?

Norbert siedział na polowej kozetce, okryty złotym kocem z folii termicznej niczym ofiara wypadku czekająca na pomoc psychologa, i trzymał w dłoniach parujący kubek bulionu. Na ramieniu czuł stwardniałe, bolesne jak siniak miejsce, gdzie ten drugi facet władował mu ultradźwiękowym iniektorem dawkę witamin B i łagodnych trankwilizatorów. Teraz kręcił się gdzieś po pomieszczeniu, w pośpiechu zwijając kable i umieszczając sprzęt w kewlarowych pudłach. Dwa pancerbooki miały kodami na ekranie, kasując tysiące plików, jeden za drugim.

– Jeszcze tego nie ogarnąłem, ale chyba coś mam.

– No, masz. Jak przejrzysz materiał przy montażu, to będziesz wiedział. Wbrew pozorom ten najmocniejszy kawałek jest najmniej efektowny. Na tym czipie masz cały zapis i skompresowany program, którym był obrabiany, na wypadek gdyby coś zaczęło się sypać. Na tym drugim film jest już normalnym plikiem, takim, jakich zwykle używasz, możesz go montować w zwykłym programie. Przeszedł przez obróbkę trzy razy, jest nie do odróżnienia od zwykłego nagrania. Ale co do treści... Te dwie tancerki na neurotykach na pewno sprzedasz, tak samo jak małpki. Ale ta rozmowa na balkonie... To jest grubsza rzecz. Nawet jak ktoś to puści, to raczej długo nie powisi. Nieważne, ile będzie miało wejść. Zastanów się, czy chcesz to publikować.

– Bo jakiś koleś dowiedział się, żeby nie szczepić rodziny?

– Bo się dowiedział, że jeśli będzie ich trzymał z dala od służby medycznej, to nie dostaną lizbony. I że jej nie dostaną, bo nie są nawisem demograficznym. To jest dowód na inżynierię społeczną na poziomie eugeniki, człowieka. Po ludzku: ludobójstwo. Sam zdecydujesz. Tylko pamiętaj, co ci mówiłem. Przygotuj torbę BiS i lepiej szykuj się na dłuższe wakacje. Może ci się tu zrobić naprawdę ciepło.

– Dobra – odparł wymijająco Norbert. – Pomyślę, muszę się z tym ogarnąć. Mechanik...?

– No?

– O co tam chodziło z tym sterownikiem?

– Droga, nielegalna, zboczona zabawka. Pochodna neurotyków. SINS. Nie słyszałeś?

– Niewiele, nie bawię się w takie gówna.

– Software Inducted Neuro Stimulation. Nowe. I robi się modne.

– Że niby cyfrowe narkotyki?

– Mniej więcej. – Mechanik przyłożył po dwa palce do czaszki, gdzieś w okolicy ucha.

– W normalnej wersji bierzesz dwa specjalne neurodyski i zakładasz tutaj, a potem bierzesz czip z czarnym oprogramowaniem i przesyłasz sobie do kory mózgowej pobudzenie. Choćby przez omnifon. Zresztą podobno są nawet aplikacje. Zwykle kupujesz gotowe i dostajesz, co chcesz. Najczęściej działanie halucynogenne i euforyczne, ale mogą być i wielokrotne orgazmy. Najlepsze jest to, że normalnie czip działa coraz słabiej, wystarczy na trzy, cztery razy, a potem jest do wyrzucenia. Musisz kupić następny, inaczej to nie byłby żaden interes. Głupki myślą, że skoro nie ma w tym chemii, to nic im nie będzie. W tym wypadku to było skombinowane ze sterownikiem. W ten sposób możesz sterować impulsami pobudzającymi mózg komuś. Oczywiście, musi mieć sprzęgi w czaszce. Dostajesz wtedy zdalnie sterowanego człowieka. Co prawda kontrolujesz tylko niektóre emocje, ale wystarczy. Zwłaszcza że masz gotowe biblioteki stymulacji. Seksualnych, halucynacji, różnych rzeczy. Pewnie nawet się na to zgodziły, tylko nie wiedziały, co się stanie, kiedy tamten cioł zaczął majstrować przy parametrach. Mógł im wysmażyć korę, i być może to zresztą zrobił.

– To uzależnia?

– Silnie drażni ośrodki rozkoszy w mózgu, inaczej, niż działa naturalne pobudzenie, więc je znieczula. Zresztą w dwudziestym wieku neurologi podłączyli mózgi szczurów w podobny sposób, tylko prymitywnie, na kablach, i dali im możliwość włączania pobudzenia. Padały z wycieńczenia, cały czas naciskając dźwignię. To jest bardziej skomplikowane, może dawać stany oświecenia, wizje, istna bioelektryczna nirwana. Związek chemiczny pobudza ci struktury mózgu, podbija wydzielanie neuroprzekaźników, ale w końcu się wypłukuje. Tutaj wsiadasz na korę elektrochemicznie i zmuszasz ją do produkcji tego, co trzeba, własnymi środkami. Przesterowujesz samą biochemię mózgu.

– Zrobiłeś sobie kopię tego wszystkiego?

– Im mniej wiesz, tym lepiej. Nie bój się, ja tego nie opublikuję. To twoja działka i twój cyrk. Możesz chodzić?

– Chyba tak, tylko jestem wykończony. I nogi mi się trzęsą.

Gość w anoraku zamknął ostatni kontener i wyniósł je gdzieś na zewnątrz, taszcząc po dwa, jak walizki na dłuższe wakacje.

– Panowie, sprawa zakończona.

Mechanik rozpiął jedną z niezliczonych kieszeni i wyjął z pokrowca kartę gotówkową.

– Tak jak się umawialiśmy.

Tamten stał przez chwilę, obracając kartę w palcach.

– Dzień, dwa może się pan czuć rozbity. To minie. Proszę wziąć coś przeciwbólowego i porządnie się wyspać. Nigdy się nie widzieliśmy. Powodzenia.

W piwnicy została tylko kozetka i akumulatorowa lampa kempingowa. Mechanik zabrał ją i skinął głową w stronę wyjścia.

Mikron, którym tu przyjechali, zniknął. Został tylko pogrążony w słabym świetle plac, spowity mgłami pod betonowo szarym niebem. Mechanik odszedł gdzieś, a

Norbert patrzył w sine niebo, zastanawiając się, jaka to pora dnia.

Mechanik wyłonił się spomiędzy kontenerów na dwumiejscowym pneumobilu z porysowaną owiewką, wyglądającą jak przezroczyste jajo na trzech kołach.

– Podrzucę cię do domu – powiedział i wysiadł, robiąc dostęp do tylnego siedziska.

– Masz mobil? – zdziwił się Norbert.

– Nope. Miałem u kogoś małą przysługę.

Norbert wcisnął się przez wycięty w bani owiewki owalny otwór na wąskie siodełko, plecy Mechanika przesłoniły mu widok, rozległ się świst turbinki i ruszyli w mgłę, rozchlapując kałuże.

W domu wziął prysznic, długi, prawie dziesięciominutowy, umył zęby, przejechał po szczęce laserowym depilatorem, użył dezodorantu, wody kolońskiej, osuszył się podmuchem gorącego powietrza, założył świeżą bieliznę, czyste ubranie i dalej czuł się brudny.

W jakiś mistyczny, wewnętrzny sposób. Jakby miał brudną duszę. Albo karmę. Albo co tam jeszcze. Nie chodziło o wyrzuty sumienia. Nie czuł się winny, tylko w jakiś sposób zbrukany. Zupełnie jakby obryzgało go coś lepkiego i cuchnącego.

Oba mikrodyски leżały na stole, oznaczone A i B. Czarne, matowe, ciężkie od danych, niewiele większe od paznokcia. Czuł, że dopóki się ich nie pozbędzie, nie zazna spokoju. To nie było takie trudne. Z materiału można było bez problemu wykroić ze cztery porządne iwenty oraz cztery trailery. Pokazać je na CheckitOut, HydeSite i paru innych infoportalach, a potem wystawić iwenty na giełdzie i czekać na rozsądne propozycje. Póki nie wrzuci ich w otchłanie MegaNetu, gdzie ich miejsce, nie wróci do równowagi.

Mógł zarobić. I to solidnie.

Tylko że mógł zarazem zrobić coś okropnego ze swoim życiem. Nie wiedział, czy Mechanik miał rację, czy też przeżywał swój zwykły atak paranoi. Siedział przy kuchennym blacie i patrzył na dwie czarne płytki, leżące obok nadgryzionej kanapki z nielegalną szynką i ogórkiem.

Po jakimś czasie wzbogacił kompozycję o butelkę śliwownicy, kieliszek i filiżankę kawy i dalej patrzył na czipy. Czuł się tak, jakby stał w otwartych drzwiach samolotu albo na skraju urwiska. W miejscu, które dzieliło jego życie na dwie połowy. Terminus Est.

Dwa kieliszki i dwa jinlingi później nadal na nie patrzył.

A potem wstał powoli, włączył omni, pancerbooka i odpalił dyski, opuścił ekran, uruchomił MovieMastera. Kręcił się na swoim fotelu, wymachując rękami, odpalając programy, rozwijając okna i podfunkcje, z jinlingiem w kąciку ust i z displejem przed oczami, wyglądając jak nawiedzony dyrygent.

W miarę jak montował materiał, a ciąg zdarzeń z Jaspisowej przewijał mu się przed oczami, czuł, że strach przechodzi, wypalony przez wściekłość. Nie potrafiłby powiedzieć, czy powoduje nim słuszny gniew walczącego o prawdę, złość na poczucie zbrukania, zwykły gniewny bunt czy chęć zemsty za zapłakany pyszczek małpki, patrzący na niego z błaganiem o pomoc, której nie udzielił.

To była jego robota, więc ją wykonywał. Tyle mógł zrobić, więc robił.

Kiedy skończył, było już popołudnie. Przejrzał wszystkie materiały, po czym odpalił program, który dawał mu szansę na anonimowość. Połączenie wystartowało przez jednorazowy czip, który po wysyłce miał iść na śmietnik. Jego pliki pomknęły przez Sieć różnymi drogami, po drodze zmieniając tożsamość – udawały gry, transakcje giełdowe, grafiki, losowo prezentując różne adresy IP.8. Kijów, Dżakarta, Lanzhou, Wierchojańsk, Punta Arenas. Za każdym razem program ustanawiał szyfrowane połączenie VPN i maskował, co się dało. Każdy iwenciarz tak robił, to była stała procedura. Gdyby komuś naprawdę zależało, w końcu ustaliłby jego adres, ale dużym nakładem sił i środków i nie natychmiast. Serwer giełdy iwentów oficjalnie znajdował się w Santo Domingo na Dominikanie i nie tak łatwo byłoby zmusić jego właściciela do ujawnienia danych zalogowanego użytkownika.

A potem przygotował wszystko na sprzedaż, ustawił swoje trailery jak oddziały ruszające do boju i wysłał.

Poszło. Teraz mógł tylko czekać.

Trzy trailery pod wspólnym, odpowiednio infantylnym tytułem „Elytasiebawi”.

Przynęta na zblazowaną zbiorową świadomość MegaNetu. Coś, czym można pomachać przed pyskiem wielookiej bestii.

Ustawił powiadomienia, czekając, aż ruszy licznik wejść i ockną się thrillmenadżerowie z portali informacyjnych. Nie musiał się tym zajmować. Wszystko szło automatycznie i za pośrednictwem serwera. Kiedy przyjdzie czas, dostanie kodowaną wiadomość o środkach na anonimowym kajmańskim koncie.

Wylogował się, wyrwał z gniazda jednorazowy router, rozłożył go i wyłuskał ze środka kartę, którą pociął nożyczkami ze szwajcarskiego scyzoryka. Nie miał saperskiego narzędzia jak Królik. Kawałki wyrzucił z balkonu i spojrzał, jak rozlatują się niczym konfetti wśród podmuchów zacinającego drobnym deszczem wiatru.

W sinym zmroku zamajaczył czarny, kryjący wewnątrz zbiorniki z helem dysk policyjnego drona. Daleko. Norbert cofnął się do mieszkania, mając niejasne wrażenie, że Mechanik zaraził go paranoją.

Na razie nic nie miało prawa się dziać. Nawet jeśli system był tak wrogi i sprawny, jak wierzył Mechanik, nie miał powodu zwrócić na Norberta uwagi. Serwer nie umieszczał iwentu bezpośrednio po otrzymaniu, żeby utrudnić porównanie czasu połączeń i emisji materiału. Niech przewali się przez niego kilka setek innych kodowanych korespondencji, niech zادهczną się ślady.

Wystarczyło zasłonić okna i puścić jakąś kojącą muzykę. Znaleźć jakiś bezmyślny program w głębinach Netu i zaparzyć herbatę. Nalać kieliszek śliwowicy. Zrelaksować się i przestać przejmować. Przestać rozmyślać o pożeranych żywcem małpkach, zdalnie sterowanych tancerkach i podejrzanym szczepionkach. Odpocząć.

Odprężyć się.

Wstał i zaczął krzątać się po mieszkaniu, grzebiąc w szufladach, otwierając szafki i przygotowując torbę BiS, zalecaną przez Mechanika. Nie wiedział po co, ale przyniosło

mu to ulgę.

Złagodziło rodzący się gdzieś w środku strach.

Był iwenciarzem. Wyszukiwanie takich sytuacji i zamieszczanie ich było jego pracą. Tak jak dawnych dziennikarzy. Tylko że w tamtych czasach dobrze udowodniony materiał był już nie do zatrzymania – drukowano go na papierowym nośniku, a potem sprzedawano za grosze na każdym kroku. Istotna informacja miała swoją wagę. Wagę treści liter na papierze. Sprawdzano ją, potwierdzano, gazety miały swoją renomę. Wtedy mawiano „czarno na białym”, mając na myśli coś, co jest niepodważalnym faktem. Coś, czego nie można zignorować. Wtedy oburzeni ludzie z papierowymi gazetami w ręku obalali już rządy. Pojedyncze egzemplarze czasopism mogły przetrwać setki lat.

Teraz informacja była tylko elektronicznym pierdnięciem. Czymś, co mogło na chwilę przyciągnąć uwagę wielookiego potwora. Czymś, co jeśli nie zniknęło, to najwyżej było pretekstem do trwającej dwie doby pyskówki. A jeśli zniknęło, stawało się niebyłe niemal natychmiast.

Razem ze swoim autorem.

Norbert nie miał złudzeń, że torba zawierająca najważniejsze elementy jego dobytku i zapasy na trzy dni może tu coś zmienić, ale pakując ją, miał wrażenie, że nad czymś panuje. Że planuje na kilka ruchów do przodu.

Jeśli zarobi na tym, będzie mógł wyjechać. Poszukać miejsca, gdzie coś może się dziać, zapolować na kolejny iwent.

Torba okazała się bardziej wypchana, niż można było się spodziewać, a kiedy postawił ją na podłodze, poczuł się jak idiota. Miał tam swojego jednorazowego tao-fenga na kartę, przerobionego pancerbooka, który mógł meldować się w Necie w miarę anonimowo, swój blok pamięci z osobistymi danymi, wszystkie czipy, w tym te dwa trefne, opisane A i B. Przedpotopowy składany nóż, który kupił kiedyś na straganie wiochmenów, termobluzę z kapturem, dwie zmiany bielizny, małą kosmetyczkę, zapinany na gekko pojemnik z gadżetami do pracy, które kupił razem z nowym omni – wszystkie drony, kamery i displeje, jeszcze zapas kart prepaidowych i czipy gotówkowe w postaci pliku kart na okaziciela, każda po kilo euro. Liquidy do cyberetki, papierosy, zapalniczkę. Do tego jakieś zupki, wysokobiałkowe batony, kabanosy.

Część porad, które znalazł w Necie, dotyczących „zestawów ucieczkowych” zignorował. Tworzyli je ludzie szykujący się do koczowania na jakichś bagnach albo bezludnych wyspach, gotowi na inwazję z kosmosu lub atak zombie. Nie miał zamiaru wędrować po mieście ze śpiworem, pięcioma litrami wody, obwieszony łopatami i menażkami. I tak leżał przed nim solidnie wypchany niewielki plecak, którego normalnie używał jako bagażu kabinowego.

Wyobraził sobie, że chwyta go w ręce i wybiega z domu. Wydawało się to absurdalne, ale tak teoretycznie torba zawierała właściwie całe jego życie. Zostawiłby nieszczęsne bonsai i na samą myśl o tym zrobiło mu się przykro, ale prócz tego cała reszta była zbędna. Trochę ubrań, parę drobiazgów. Szkoda byłoby zostawiać wiochmeńskie

zapasy przemycanego i chałupniczego towaru rozpychające się w kuchni, ale w gruncie rzeczy uświadomił sobie, że naprawdę jest nomadą. Siedział w klitce, którą nazywał domem, ale to była kwestia przyzwyczajenia. Przez okno widział dość dużo nieba, miał tu swój futon i fotel.

No i swoje drzewko.

Nie chciało mu się śledzić losów swoich filmów. Wiedział, że serwis automatycznie poinformuje go na bezpiecznym kanale o rozpoczęciu i zakończeniu aukcji, a potem będzie mu przysyłał wyniki wejść. Nie chciało mu się nawet otwierać żadnego kanału filmowego ani rozrywkowego.

Po prostu tkwił w swojej klitce, skulony w fotelu, i jakoś nie wydawała mu się ciasna, tylko przytulna. Jak kryjówka. Czuł się trochę jak dzieciak schowany przed światem w szafie. Za oknem miasto szumiało i pulsowało elektronicznym wizgiem syren. Jedna cichła, a po paru sekundach odzywała się kolejna.

Wiatr ciskał irytującym wodnym pyłem, którego nie było widać, ale przenikał całe ciało na wylot jak lodowate promieniowanie. W półmroku garbaty, kanciasty policyjny MRAP objeżdżał powoli osiedle wiochmenów, z wirującymi na dachu wieżyczkami czujników. Poza tym ulice były prawie puste. Nieliczni przechodnie przemykali chodnikami skryci w kapturach, z filtrującymi maskami na twarzy, pod podświetlonymi mdłą luminescencją kopułami parasoli, jak meduzy.

Po burym niebie snuły się zygzakami czarne grzyby dronów miejskiego monitoringu, jak posępne latawce. Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby wylądował na wyjątkowo niegościnniej planecie. Cofnął się do mieszkania, zasunął balkon i opuścił żaluzję.

Spróbował otulić się jakimś durnym, pogodnym programem z mętnej toni MegaNetu, ale nic z tego nie wychodziło. Programy kulinarne pouczyły go w kwestii nawyków żywieniowych, nakazywały mu jeść larwy i owady, i to najlepiej wyhodowane w najbliższej okolicy, albo przez ekran przeskakiwały postaci bojowników Kalifatu, wrzeszczące nad klęczącymi jeńcami z rękoma spętanymi plastikowymi taśmami. Programy podróżnicze? Tu nakłaniano go do oszczędzania wody, pokazując spękana ziemię w Etiopii i tłumy wychudzonych nieszczęśników z kanistrami na głowach, szczątki roztrzaskanego przez neosowiecką rakietę japońskiego samolotu kołyszące się na falach, podając równocześnie statystyki zanieczyszczenia oceanu spowodowane przez katastrofy w ruchu pasażerskim. Potem rozjuszono twarze prymitywnych i nieświadomych obywateli bezmyślnie odmawiających szczepień profilaktycznych, potem wychudzone dzieci konające na lizbonę, gdzie indziej znowu nakazywano mu ćwiczenia. Prezentowano alternatywne style życia portretami nawiedzonych, ewidentnie naćpanych ludzi. Edukowano w programie „dobrowolnego ubóstwa”. Gdzie nie przeskoczył, pouczano go, zmuszano do czegoś albo grano na jego uczuciach. Kazano się reformować i zmieniać. Każdy program, który wydawał się neutralny, okazywał się zaangażowanym, wychowawczym materiałem, dawno poza granicą propagandy.

Uciekł z kanałów rozrywkowych i wyszukał w końcu jakiś film sensacyjny, ale zamiast akcji, bezmyślnej awantury i radosnej przygodowej sieczki znowu zobaczył przesłanie o nikczemności zachodniej cywilizacji, niszczącej wszystko dla zysku.

Zrozumiał, że wariuje. Zaczyna zmieniać się w Mechanika. Zbliżał się czas okręcenia głowy folią aluminiową.

Włączył muzykę, zaparzył herbatę i nalał sobie śliwownicy. Nie zawsze było tak okropnie.

Czasami świeciło słońce i pojawiała się zieleń, zawsze była nadzieja, że spotka kobietę, która wniesie w jego życie trochę radości, umiał znajdować i tworzyć iwenty, w Necie czasami można było znaleźć coś godnego obejrzenia. Zawsze mógł kiedyś zarobić tyle, żeby stać go było na kręcenie kawałków podróźniczych, pełnych życzliwych egzotycznych ludzi i urzekającej przyrody. Świat nie składał się tylko z policyjnych pancerek i brodatych barbarzyńców mordujących kogo popadło. Jakiś głębszy cel istnienia mógł spotkać za każdym rogiem. Miał przecież jakichś przyjaciół.

Tylko chwilowo nie chciało mu się w to wierzyć.

W końcu poszedł spać.

Z torbą BiS w zasięgu ręki.

Wnętrze celowo zaprojektowano jako obskurne. Ktoś zadał sobie niemało trudu, żeby ściany wyglądały jak oblezione pleśnią, spod której wystawał goły beton, zadbano o przewody wijące się po ścianach, za stoliki służyły palety transportowe z bambusowego laminatu, siedziało się na wypełnionych piaskiem workach z klonowanego lnu, ozdobionych celowo wykonanymi zaciekami.

O tej porze było prawie pusto, nieliczni hipsterzy siedzieli nad mętym piwem z tataraku i miseczkami prażonych chrząszczy. W powietrzu zgrzytała industrialno-progresywna muzyka, dopełniając kakofoniczne wnętrze.

Znalazł sobie dyskretne miejsce w kącie, w półmroku ledwie rozpraszanym przez dwuwatowe diody. Ociekającą kurtkę przewiesił przez sąsiedni pusty stolik, torbę postawił przy nodze.

Był nieogolony i ledwie zmusił się do wyjścia w wieczny półmrok sieczony topniejącym śniegiem, ale czuł, że jeśli posiedzi jeszcze dłużej w domu, niedługo przestanie się myć i zapalać światło.

Robson wyglądał jeszcze gorzej. Trudno było ocenić, gdzie spędził ostatnie dni, ale chyba nie w domu. Był blady, miał worki pod oczami i trzęsące się dłonie. Usiadł przy krawędzi stolika, jakby w każdej chwili miał się zerwać i uciec.

Norbert powąchał kawę z prażonych bukowych orzechów i orkisz, w której pływały jakieś trociny.

– Co to za miejsce? – zapytał.

– Takie, w którym nigdy nie bywam – odpowiedział Robson zdławionym głosem. – Jak poszło?

– Dobrze – odparł oględnie. – Jesteśmy na portalach trzeci dzień. Liczniki idą jak opętane. Do tej pory przekroczyliśmy dwa i pół mega wejść. Zarobiłeś pełną stawkę i

pięcioprocentową premię. Jak dotąd. Nie wiem, jak długo się utrzymamy, ale na razie wywołaliśmy trzęsienie ziemi. W komentarzach jest mnóstwo awantur, zaprzeczeń i wystąpień. Wyroili się hejterzy, moim zdaniem zawodowi. „Fałszywka, dno, zenująca podróba”. Opozycja miota się, jakby im ktoś wysmarował dupy benzyną. Ale nasze stawki idą dobrze.

– Słuchaj – powiedział Robson, rozglądając się na boki. Znowu tym zduszonym, dziwnym głosem. – Chcę zmienić umowę.

– Umowa to umowa – zauważył sucho Norbert. – Takie są stawki. Zgodziłeś się.

– Nie o to chodzi. Chcę gotówkę i znikam. Łapiesz? Nie chcę procentu. Zapłać mi pięćdziesiąt kilo od razu i koniec. Nie znamy się, nie kontaktujemy.

– A skąd ci wezmę pięćdziesiąt kilo w gotówce?

– Przecież sam mówiłeś...

– Myślisz, że mi płacą gotówką? Na jakim świecie ty żyjesz? Ile teraz jest limitu na transakcje czipowe...? Półtora kilo na przelew? A prawdziwą gotówką możesz zapłacić za ten bełt, który tu nazywają piwem, i niewiele więcej.

– Dobra, to zrób mi przelew.

– Nawet jeszcze tyle nie zeszło.

– Może być czterdzieści, byle od razu.

– Co się dzieje? Nie lepiej poczekać? Tylko na tym stracisz.

– Nieważne. Potrzebuję gotówki. Po prostu mi zapłać, okay? Chcę się z tego wymiksować.

– Chodzi o firmę? Nie skojarzą cię. Nikogo nie skojarzą.

– Jaspisa nie ma. Penthouse zamknięty, trwa remont. Wypruli wszystko do zera. Nigdy nie było takiego miejsca. W Pagodzie panika. Pan Wu wyjechał, szef Orunga wyjechał. Souschefowie i kierownik sali dostali frymła, jeżdżą po nas jak po psach, ale nie o to chodzi. Już tam nie wracam. Znikam z miasta.

– Lepiej spokojnie przeczekać. Jak teraz nagle wyjedziesz, to będzie podejrzone.

Robson rozejrzał się po ścianach i pochylił lekko w stronę Norberta. Miał ciężki oddech, jakby wbiegł właśnie na szóste piętro.

– Tarik zniknął – wydusił w końcu.

– Zapłaciłeś mu działkę, to się zwinął.

– Nie. Nie wyjechał, nie wyprowadził się. Zniknął. Wyszedł z Pagody po wczorajszej zmianie i nigdzie nie dotarł. Jego dziewczyna go szuka, jego omni nie odpowiada, profil martwy. Rozumiesz? Dociera do ciebie? Dopadli go. A ja będę następny.

Plasnął dłonią o stół i znieruchomiał, bo spojrzeli na nich inni. Odczekał chwilę, a potem zaczął mamrotać jeszcze ciszej.

– Przelej mi forszę, Fokus. Zatrzymaj sobie resztę, procenty, premie. Potrzebuję kasę i już. Natychmiast.

– Prześlij mi konto – powiedział Norbert i aktywował omni. – Ale to może zostawić ślady.

– Wali mnie to. Wyplacę sobie w czipach gotówkowych. Wiem gdzie. Znam ludzi.

– Stracisz na tym.

– Zdrowie ważniejsze.

Norbert aktywował połączenie z bankiem, oparł kciuk na ekranie omnifona, a potem kilkoma gestami przelał Robsonowi pieniądze. Na jego displeju chmura wirtualnych monet przepłynęła między aparatami, zostawiając za sobą migotliwy ogon złotego pyłu. Jak symbol śladu, który pozostał w przestrzeni MegaNetu. Jeden człowiek przelał drugiemu swoje pieniądze. Podejrzane. Bardzo.

Robson zamarł na moment, patrząc w przestrzeń przez swój displej. Kiedy tylko przelew został zaksięgowany, przerwał połączenie gestem i wstał.

– Trzymaj się. – Patrzyli na siebie przez sekundę, a potem Robson wyciągnął rękę, niechętnie, jakby z obawą, że się czymś zarazi. Jakaś kobieta ubrana w stylu kawaii zarżała wysokim śmiechem, zasłaniając usta dłonią.

Norbert popatrzył, jak tamten wychodzi, dopił z wysiłkiem swoją alternatywną, słodzoną stewią niby-kawę, a potem przepłukał usta łykiem wody z jednorazowego chitynowego kubka. Niemal wszyscy klienci mieli na szyjach maski ochronne, a jedna dziewczyna usiłowała pić, uchylając tylko osłonę, jakby maska chroniła ją magicznym zaklęciem.

Czuł, jak gdzieś w środku, za splotem słonecznym, rodzi mu się paranoja. Jak zwinięty w kłębek mały kolczasty smok. Dopadli Tarika – powiedzmy. Ale jakim cudem? Nie mieli tam wewnętrznych kamer – na tym polegała wyjątkowość Jaspisowej. W montażu dopilnował, żeby nie zostawiać śladów. Wyrzucił wszystkie ujęcia załogi. Została goła treść iwentu. Oczywiście, tamto ujęcie z lustrem w windzie wyciął jako pierwsze. Skąd mieliby trafić akurat do Tarika? Najbardziej prawdopodobne było, że tamten po prostu spanikował, kiedy obejrzał filmy w Necie, i zwiął. I tyle. Dawny, racjonalny Norbert byłby tego absolutnie pewien. Ale smok zwinięty nad jego żołądkiem miał własne zdanie.

Dizajnerskie slumsy knajpa udawała tak dokładnie, że nie mógł już tu wytrzymać. W głowie się nie mieściło, że ktoś wydał kupę forsy i zatrudnił plastyka, żeby stworzyć wrażenie obskurnej, zagrzybionej piwnicy. Wystarczyło wziąć piwnicę i wpuścić tam na miesiąc bandę bezdomnych. Za darmo. I skądś brali się kretyni, którzy przychodzili tu z własnej woli za ciężkie pieniądze pić udający piwo dekopt z tataraku wśród sztucznego brudu i artystycznie zniszczonych gratów. „Dekonstrukcja przestrzeni miejskiej”. „Doktryna dobrowolnego ubóstwa”.

Dobry Boże.

Posiedział jeszcze chwilę i wyszedł.

Zewnętrzne drzwi wiodły na mały pasaż prowadzący przez cały budynek – można było wyjść na jedną ulicę albo na drugą. Przejście okupowali Afrykanie, handlujący chińskim oprogramowaniem i tajemniczą tandetą. Ci przynajmniej czymś handlowali. Norbert wyszedł na ulicę przeciwną do tej, z której wszedł, boleśnie świadom okolicznych kamer i tego, że w razie czego raczej nie śledzi go czający się za rogiem agent w ciemnych okularach. To była naiwna sztuczka, która miała poprawić mu

nastrój, ale nie poprawiła.

Nagle miał świadomość obecności kryjących kamery kopulek z dymnego szkła, wszędzie wokół uczepionych latarni, ścian budynków, narożników, ciemnych i bezdusznych jak oczy pająka. „Uczciwi nie mają się czego obawiać”. Ta, jasne. Może tylko nieuczciwych.

Witamy w krainie paranoi.

Ani Tarik, ani Robson nie znali jego nazwiska. Tarik nawet go nigdy nie widział. Wziął forszę za to, że został w domu i oglądał „Taniec ze zwierzętami”. I tyle. A nawet Mechanik był zdania, że telepatia nie jest specjalnością rządowych agentów. Zresztą czego mieliby od niego chcieć? Mleko już się rozlało – choćby go rozstrzelali, nic tego nie zmieni. Iwenty nie były kojarzone z autorami, szczególnie takie iwenty. Autor sam decydował, kiedy chce pracować na własną markę, a kiedy zachować anonimowość. Byli tacy, którzy do każdego, nawet błahego filmiku generowali nowy nick. „Elytasiebawi” poszło pod losowo wygenerowanym pseudonimem, więc nie było sensu karać dla przykładu gościa, o którym nikt nie słyszał. Nikt by się tego nie dowiedział i nikogo by to nie obeszło. Ktoś rąbnął jakiegoś typa. Podobno iwenciarza albo i nie. Przekaz – zero.

Mały kolczasty smok i tak wiedział swoje.

Do HotPointCafe mało kto przychodził na kawę. I mało kto w towarzystwie. Przytulne wnętrza retro, lśniące chromem, polerowaną stalą i plastikiem w ciepłych barwach, podzielono na małe gabinety, w których z reguły siadał jeden klient. Sprzedawano tu napoje i jakieś zakąski, ale przede wszystkim dawano darmowy dostęp do Netu. To było miejsce, w którym można w komforcie usiąść, włączyć swój omni albo aktywować miejscowego kontrolera wprasowanego w blat stolika i odpłynąć w głąbiny Sieci. Byli tacy, którzy mieli tu wirtualne biura, gdzie mogli pozałatwiać spotkania i korespondencję w przerwie podczas wędrówki po mieście, w zamian kupując kolejne kubki kawy i przekąski, ale dla iwenciarzy oznaczało to tradycyjne miejsce na oficjalne spotkania. W miarę anonimowe, prawie jak pradawne kafejki internetowe.

No i prawie nie zwracano tu uwagi na chmurzenie cyberetek.

Kupił sobie orzechowe latte i wylegitymowawszy się aplikacją zdrowia, dowodzącą, że nie przekroczył dopuszczalnego limitu spożycia cukru, prawdziwego pączka. Zyskał w ten sposób prawo do własnego przedziału, osłoniętego pomarańczowymi ekranami, oraz dostęp do kontrolera. Przelał do pamięci kawiarni własnego awatara, zalogował się do poczty i aktywował kontakt do faceta z „bardzo poważnego infoportalu”, który naprzykrzał mu się jeszcze od czasów Dubaju.

Nie miał na to ochoty i bardzo poważnie wątpił, żeby tamten na serio miał mu cokolwiek ciekawego do zaproponowania. Jednak jakaś część jego osobowości, która zachowała przynajmniej resztki odpowiedzialności, upierała się, że trzeba przynajmniej sprawdzić, a poza tym przyszło mu do głowy, że to część kamuflażu. Grania roli zwykłego iwenciarza, który robi swoje, w nic nie jest zamieszany i wcale nie chowa się pod futon.

Jako awatara wybrał „Lustrzanego Człowieka”, który wyglądał tak, jak się nazywał – rてciowy humanoid o manekinowatych rysach, podobnych trochę do fizjonomii Mechanika.

Wypił połowę kawy, zjadł pączka i usunął talerzyk. Kubek kawy na stoliku wyglądał profesjonalnie, a ciastko i cyberetka nie. Do umówionego terminu spotkania zostało dziesięć minut.

Fragment parawanu przed jego twarzą odwrócił się na drugą stronę, ukazując obiektyw, Norbert założył displej i schował cyberetkę do kieszeni.

Jego rozmówca wyglądał tak korporacyjnie i konwencjonalnie, aż się rzygać chciało. Miał przystrzyżoną w zygzaki bródkę, pomarańczową koszulę z żabotem i szmaragdową marynarkę, wyświetlającą geometryczne wzory.

– Witam, panie Fokusie – zaczął.

Norbert najeżył się lekko. Nienawidził tej pseudopoufałej, cwaniackiej formy. Ani „Fokus”, ani „proszę pana”. Niby z szacunkiem, ale w gruncie rzeczy protekcyjnie. Kiedy ktoś obcy zaczynał od „panie Norbercie”, od razu było wiadomo, że wpadło się w sidła oszusta. A tu jeszcze „panie Fokusie”. Znam pańską ksywę, jesteśmy bliskimi kumplami, proszę pana.

– Na wstępie chcę oświadczyć, że dla naszej jak najlepszej współpracy ta rozmowa jest rejestrowana. Czy wyraża pan zgodę?

– Zapewniam pana, że ja również ją rejestruję. Oczywiście w trosce o jak najlepszą współpracę. Najpierw proszę mi wyjaśnić, jak do mnie dotarliście. Bez tego nie będę mógł kontynuować rozmowy.

– Ależ, panie Fokusie... Nie dotarliśmy. Korzystamy z okienka komunikacyjnego pod pańskim głównym blogiem, jako jednego z użytkowników infogieldy. Jak mówiłem panu wcześniej, reprezentuję bardzo poważny infoportal i interesują nas dokonania niezależnych infoblogerów, więc monitorujemy ruch na NewsTubie. Jest pan autorem wielu iwentów, które przekroczyły progową liczbę wejść, a z naszych symulacji wynika, że z siedemdziesięciopięcioprocentowym prawdopodobieństwem jest pan twórcą co najmniej dziesięciu iwentów o ukrytym autorstwie, które utrzymywały się w czołówce przez co najmniej trzy dni. Dlatego mamy dla pana propozycję.

– Słucham.

– Chcemy odbudować tak zwane dziennikarstwo. Rozumie pan... Stworzyć media z prawdziwego zdarzenia, rzetelne źródło informacji, a nie tylko sensacji.

– Każdy infoportal tak twierdzi.

– Ale dobrze pan, panie Fokusie, wie, jak to wygląda. Sensacja, trzyminutowe spoty, żadnego poszerzenia, żadnego przekazu. Same emocje. Emocje są oczywiście wartościowe, ale muszą być pozytywnie nakierunkowane.

– To znaczy?

– Rolą mediów jest kształtowanie opinii. Ukazywanie zjawisk w prawidłowym kontekście, i właśnie to zamierzamy zrobić. Chcemy, żeby odbiorca wyrobił sobie prawidłowe zdanie o tym, co widzi. Przypadkowy iwent to za mało. Szukamy ludzi,

którzy będą umieli kręcić iwenty świadomie, ukazując ich kontekst. Ci, którzy będą to potrafili najlepiej, i to jest najlepsze, panie Fokusie, będą przez nas zatrudnieni. Tak jak w dawnych mediach. Nie będą musieli żyć z wejść ani produkować na własną rękę. To my będziemy zapewniali środki, sprzęt i pokrywali koszty podróży. Choć nie ukrywam, że najbardziej będą nas interesowały sprawy lokalne, tu, w kraju. Nie będzie pan musiał być anonimowy ani działać w pojedynkę. Na pewno ma pan dość tej partyzantki.

Norbert słuchał, choć miał wrażenie, że czuje jakiś swąd. Jakoś mu się nie podobał ani ten pajac, ani jego propozycja.

– Jakie iwenty was interesują? Są specjalistyczne portale dokumentalne i ledwo żyją. Te trzyminutowe spoty są dlatego, że większość ma problem z koncentracją i szybko się nudzi.

– Na pewno nie chodzi nam o to, żeby nudzić. Dlatego zwracamy się do fachowców. To muszą być zajmujące, szybkie materiały z werwą i nutką sensacji, tylko że dające dodatkowy przekaz. Podam panu przykład. Stelmach.

Norbert czekał przez chwilę, ale nic więcej nie nastąpiło. Odruchowo zrobił niepewną, pytającą minę, ale szansa na to, że tamten odczyta cokolwiek z lustrzanej fizjonomii jego awatara, była zerowa.

Rozłożył ręce i pokręcił głową.

– Niestety, nie wiem, o czym pan mówi.

– Jak to, nie słyszał pan o Najdżelu Stelmachu?

– Dopiero wróciłem z zagranicy. I nie interesuję się polityką.

– Panie Fokusie... W dzisiejszych czasach polityka to jest to, co pan je, styl życia, bezpieczeństwo, pogoda nad pańską głową, zdrowie, pańskie pieniądze. A to interesuje każdego. Dobrze, szczegóły sobie pan sprawdzi. Ale tak w dwóch słowach: Stelmach to biznesmen. Bilioner. Uwikłany w najbardziej wątpliwe interesy, jakie można sobie wyobrazić: technologie energetyczne, nuklearne, inżynierię genetyczną. Człowiek jak nie z tej epoki. Bardzo niebezpieczny. Oczywiście, dorobił się za granicą, a jego korporacje są praktycznie ponadnarodowe. Powiązany z najbardziej bezwzględnyimi firmami paliwowymi i zbrojeniowymi. A teraz pojawia się w tym kraju i od razu zaczyna wspierać najbardziej radykalne i niebezpieczne partie opozycyjne. Szaleńców, oszołomów, awanturników politycznych. To jest coś, co trzeba uświadomić ludziom. Trzeba znaleźć dostęp i stworzyć porządny, wstrząsający iwent. Proszę pamiętać, że taki typ, który rozdaje na prawo i lewo pieniądze, może być postrzegany jako dobry wujek z zagranicy. Chodzi o to, żeby pokazać jego prawdziwe oblicze. Zanim doprowadzi do destabilizacji.

Norbert wzruszył ramionami.

– Nie zajmuję się hejtem politycznym. I nic nie wiem o tym człowieku.

– Ale jaki hejt?! Hejterzy mają szkolenia i ustalone wytyczne, które muszą realizować. My szukamy ludzi, którzy stworzą własny, prawdziwy materiał, są kreatywni i wykazują inicjatywę. Tak właśnie działają prawdziwe media. My rzucamy ogólny pomysł, wiedząc, jakie jest zapotrzebowanie, a pan realizuje temat według

własnej wiedzy i umiejętności. Więc jak, panie Fokusie? Niech pan mi da Stelmacha, a ja dam panu pracę. Co pan na to? Chce pan zostać prawdziwym dziennikarzem? Wiem, że tak. Czytałem pańskie posty na listach dyskusyjnych.

– Muszę się zastanowić. Przyjrzeć się tej sprawie.

– Ma pan tydzień. Taki jest, jak wy to mówicie...? Deadline. Nie będzie pan jedyny, panie Fokusie. Konkurencja.

Rec.7

Coś szykowało się na mieście.

Tylko tym razem Norbert wiedział co. Stał z boku, w wąskim przejściu pomiędzy zesłowiecznymi blokami z wielkiej płyty, i kręcił konwój policyjnych pancerek sunących wszystkimi pasami trasy. Nie włączali syren, ale osłonięte siatką alarmowe niebieskie triody migąły ostrym, stroboskopowym rytmem.

Będą chcieli wejść na osiedle wiochmenów, a to zawsze kończyło się tak samo.

Tym razem chodziło o obowiązkowe szczepienia przeciwko prionowi lizbona w środowisku podwyższonego ryzyka.

Przez ostatnie dwa dni Norbert sprawdzał dane na temat epidemii i coraz mniej mu się to podobało. Ogniska choroby znajdowały się w różnych miejscach, ale głównie w Europie Środkowej i trochę nad Morzem Śródziemnym. Wyglądało to tak, jakby lizbona była plagą zesłaną na kraje obciążające budżet Europy. A tutaj – przekleństwem zesłanym na wiochmenów. Jakąś klątwą na niepokornych.

Albo to, albo zwariował. Zaraził się paranoją Mechanika. Wszędzie widział jakieś spiski i drugie dno, wypatrywał kamer, kluczył po ulicach, rozglądając się jak złodziej. Ostrożność to jedno, ale ten stan psychiki był jakimś koszmarem. Nieustannie rzucał oczami na prawo i lewo, jakby coś mogło na niego wyskoczyć z każdego cienia.

W nocy albo nasłuchiwał, albo miotał się po futonie, dręczony przeraźliwymi zmorami.

Poszedł kręcić materiał, żeby zająć czymś myśli.

Osiedle było przygotowane do obrony. Otaczały je barykady wzniesione z czego się tylko dało. Spiętrzono tam pogruchotane kawały betonu, oplecione naściągany Bóg wie skąd zardzewiałym złomem, pospawanym migomatem w coś, co przypominało żelazobetonowy żywopłot.

Na ziemi niczyjej, którą stanowił dawny parking, stały już transportery, ciężkie wozy bojowe i ciąg wojskowych pojazdów sanitarnych. Paramedycy wokół nich ukradkiem chmurzyli cyberetki w szczelnych kombinezonach, przez odsunięte drzwi sanitarek widać było odłączone hełmy z kapturami i plastikowymi wizurami, z tyłu lśniły szybkozłączki systemu oddechowego. Złapał jeszcze zbliżenie na ultradźwiękowe iniektory z podłączonymi zbiornikami pełnymi bezbarwnego, oleistego płynu, ułożone rzędami w kewlarowych pudłach. Zbiorniki nie miały żadnych oznaczeń prócz kodu LP04.1 i paska barwnej folii. Czerwonego, żółtego albo niebieskiego.

Przecisnął się przez tłum gapiów, żeby podejść bliżej, ale tam natknął się na kordon policji w żółto-granatowych pancerzach i hełmach z osłonami policzkowymi. Przed

tłumem z wizgiem pneumatycznego silnika toczył się dron podobny do miniaturowego traktora, ciągnący rozwijającą się na asfalcie barierę. Elementy zapory rozkładały się z potrząskiwaniem, a wszystko przypominało gigantyczny łańcuch DNA.

Dalej, przy pojazdach, znowu kręcili się policjanci, ale ci mieli cięższe, czarne pancerze i masywniejsze hełmy z kuloodpornymi wizurami. Wyglądali jak roboty z dawnych filmów. Zobaczył litery SPAT na plecach. Ściągnęli antyterrorystów.

Gwar tłumu i dobiegające z obłęzonego osiedla skandowanie brzmiały jak grzmot oceanu.

W tłumie tkwiło jeszcze co najmniej dwóch zawodowych iwenciarzy. Nie znał ich, po prostu rozpoznawał sposób, w jaki stali, to, jak sztywno trzymali głowę, i jej precyzyjne ruchy, kiedy zmieniali kadr. To, jak się przemieszczali. Oprócz tego, gdzie nie spojrzął, ktoś stawał na palcach, mając tandetne okulary do omnifona na twarzy, widoczne z daleka dzięki jarzeniowym oprawkom. Z tego miejsca powstanie tyle identycznych iwentów, że Sieć od nich spuchnie. Równie dobrze mógł iść do domu.

– Pan się nie odwraca i wyłączty to na chwilę – usłyszał tuż za plecami. Schrypnięty, niski głos. Znajomy w jakiś nieokreślony sposób.

Wrażenie było takie, jakby Norberta kopnął prąd, ale lata praktyki zadziałały. Nie wrzasnął, nie odwrócił się i nie podskoczył. Zamiast tego uniósł dłoń i ostentacyjnie zrobił gest przerwania rejestracji.

Ściągnął displej i dopiero wtedy się obejrzał.

Za nim stał starszy obcy mężczyzna.

– Zipas jestem, śliwówkę pan u mnie na bazarze kupuje.

Norbert na moment stracił rezon. Tamten zawsze wyglądał... no, jak wiochmen. Bujna siwa broda, długie włosy związane rzemieniem, krótka kurtka z grubej, klonowanej tureckiej skóry, ciężkie buty. Teraz ogolony, we fluorescencyjnym anoraku, wyglądał jak zwykły staruszek. Może trochę masywny.

– Wyciąłbym pana.

– Pewność to pewność. Nie muszę się martwić. Stąd pan nic nie nakręci. Chce pan zrobić zdjęcia od środka, to chodź pan za mną.

Poszli w głąb osiedla, zgiełk tłumu został w tyle, zniekształcony echem w kanionie starych wieżowców. Zipas kluczył gdzieś pomiędzy budynkami, aż znaleźli stary betonowy pawilon handlowy o zakratowanych oknach i ścianach najeżonych holograffiti. Budynek miał wewnętrzne podwóreczko, zupełnie puste. Przewodnik Norberta sięgnął za kratę osłaniającą okno i znalazł krótki łom, a następnie podważył żeliwną klapę kanału burzowego i odsunął ją na bok.

W dół prowadziły wbite w beton stalowe klamry i wydawało się sucho, trochę tylko zalatywało mułem. Zipas ponownie wspiął się na górę z łomem w ręku, rozległ się zgrzyt sunącego po betonie ciężkiego żelastwa i zapadła ciemność.

Norbert stał tam przez chwilę, aż usłyszał obok siebie szelest kurtki Zipasa i zaraz błysnął snop światła z maleńkiej triodowej latarki.

Pomyślał, że każdy prawdziwy wiochmen zawsze ma przy sobie nóż i latarkę.

Szli ledwie kilka minut, ale ciemność i ciasnota sprawiły, że droga ciągnęła się w nieskończoność. Za którymś zakrętem pojawiło się odległe światło i mogli wynurzyć się pomiędzy niskimi, kilkupiętrowymi blokami, jakie składały się na osiedle wiochmenów.

Norbert znów usłyszał odległy pomruk tłumu i komunikaty z policyjnego głośnika, odbijające się echem. Zupełnie nieczytelne, stąd brzmiały jak szczekanie. Nie rozumiał ani słowa, ale łatwo się domyślił, co to było.

Wokół panował chaos. Płakały dzieci, ludzie biegali w różne strony z torbami i pakunkami w rękach, wszystkie kanały były pootwierane, podawano zawiniątka ludziom wewnątrz, hurgotały wózki, którymi przewożono worki ziemniaków, skrzynki warzyw i jabłek. Całą wolną przestrzeń pomiędzy budynkami przeznaczono na uprawy, ale teraz wyglądały na zupełnie zdewastowane, najwyraźniej wyrwano i wykopano wszystko, co się dało, a teraz ewakuowano to kanałami poza osiedle.

– Niech pan to pokaże – powiedział Zipas. – Kiedy nas rugowali, to się działo w ciszy. Nikogo nie obeszło. A komentarze były w rodzaju: „Na biednych nie trafiło”, „Chcieli sobie uciekać na wieś, to niech bulą”, „Ale się przejąłem, że kogoś nie stać na wille w lesie”. A większość z nas wpakowała majątek życia w domy, których nie można było już nawet sprzedać. Nic nam nie zostało.

– I tak zrobią z was wariatów, którzy się boją szczepionek.

– Taa... Szczepionki. A dlaczego od razu przymusowo i nas w pierwszej kolejności? Od razu z czołgami? Widział pan na mieście jakichś chorych? Nie mówię o przestraszonych w tych maseczkach, ale chorych? I nie w Necie, tylko tu, w mieście? Jakieś karetki na ulicach, parkujące co chwila pod blokami? Jeżdżą i wyją, ale raczej tak jak zawsze. My niby jemy nielegalne białko i jesteśmy w grupie ryzyka, ale ja tu żadnych chorych na coś dziwnego nie widzę. I w innych osadach też nie słyszałem. A szczepionki szczepionkami, a przy okazji nas stąd wykurzą. To pustostany. Takie są przepisy.

Wyszli na brzeg osiedla, bliżej barykad. Wokół przebiegali obrońcy, wyglądający jak z jakiejś starej postapokaliptycznej gry. Każdy miał jakiś hełm – motocyklowy, narciarski albo kask budowlany. Większość miała przy sobie maskę lakierniczą, przeciwgazową, a przynajmniej jednorazowy pochłaniacz. I broń – chałupniczo wykonane kusze, pneumatyczne karabinki z okazałymi zbiornikami sprężonego powietrza, jakieś maczugi pospawane ze złomu. Wszystko sprawiało wrażenie chaosu, a jednak podporządkowanego większemu planowi. Obrońcy trzymali się grupkami, pewnie podzieleni na jakieś pododdziały.

– Pan to założy, jak się zacznie. – Zipas wręczył Norbertowi maskę ochronną z pomarańczowej gumy, z założonym pochłaniaczem, okrągłym jak puszcza. – Będzie gaz, na pewno zacznie się palić.

Minęli sterty plastikowych skrzynek pełnych butelek. Norbert pomyślał, że obrońcy przygotowali sobie coś do picia, ale szyjki zakorkowano czymś walcowatym i wystającym, starannie oklejonym papierem. I wszystkie były staroświeckie, z

organicznego szkła. Cokolwiek to było, to raczej nie śliwowica.

Od tyłu barykady miały dospawane platformy i drabinki. Obrońcy biegali po nich, najwyraźniej zajmując stanowiska.

– Co to za jeden? – zapytał któryś. Miał na głowie motocyklowy kask z uniesioną częścią twarzą. Palił papierosa i trzymał opartą o kark kuszę z rurową prowadnicą i gumowym naciągiem. Kiedyś coś takiego służyło do łowienia ryb.

– Miastowy. Iwenciarz. Będzie kręcił, co tu się dzieje.

– Dobra, ale ja go pilnować nie będę. E! Tam pan nie stawaj, bo trafią.

– Przecież nie będą do was strzelać.

– Będą, będą. Teoretycznie non lethal. Pociski pudrowe, gumowe, elektryczne... Mają tego szajsu po uszy. Łamie kości, wyrzuca z butów. Jak pana zmiecie z platformy, nie będzie co zbierać.

Kręcił.

Ludzi, którzy stali w kolejce do dostawczego pneumobila, mężczyznę stojącego na platformie, który wydawał im wycięte z blachy albo grubej sklejk tarcze.

– TO DLA WASZEGO DOBRA! – grzmiało z głośników. – POZWÓLCIE SOBIE POMÓC! CHCEMY TYLKO PODAĆ WAM LEKARSTWO! POMYŚLCIE O SWOICH DZIECIACH! POMYŚLCIE O BEZPIECZEŃSTWIE! WYJDŹCIE PRZED BARYKADE, PERSONEL MEDYCZNY ZAJMIE SIĘ WAMI I MOŻECIE WRACAĆ DO DOMU, NIKT WAS NIE BĘDZIE NIEPOKOIŁ!

Równocześnie zahurgotał silnik wielkiego opancerzonego transportera odblędniczego, który zaczął rozkładać na dachu pomost desantowy na hydraulicznych wspornikach, z przodu uniósł się masywny lemiesz pługa, nad kabiną wykwitły talerze emiterów MIVER, na burtach otworzyły się ukośnie jeszcze jakieś osłony, policjanci ze SPAT-u ustawili się za nimi w dwóch kolumnach. Słyszał się, jak inne pojazdy odpalają silniki. Najpierw ryk zapłonu, a potem narastający świst potężnych wodorowych turbin Wankla.

– CHCEMY WAM TYLKO POMÓC! JESTEŚCIE ZAGROŻENI EPIDEMIĄ ŚMIERTELNEJ CHOROBY! CHCEMY WAS ZABEZPIECZYĆ! SZCZEPIONKI WAM POMOGĄ!

Pojazdy ustawiały się w wąską kolumnę za kanciastym wozem torującym, który sprawiał wrażenie jakiejś średniowiecznej maszyny, tylko wykonanej z wielowarstwowego kompozytu i ceramicznego pancerza. Na parkingu rzędy policjantów przemieszczały się ciężkim, pancernym truchtem, chrzęszcząc kewlarem zbroi. Daleki tłum za parkingiem, odgradzony kolczastą spiralą DNA, zaczął wiwatować i gwizdać jak na meczu.

Wewnątrz barykady ludzie biegali w różne strony, jedni wspinali się na pomosty, inni kryli w bramach albo szukali jakiejś osłony, by za nią przycupnąć.

Norbert zrobił szeroki plan od potężnych, najeżonych lufami pancerek do wnętrza twierdzy, gdzie królowało średniowiecze – maczugi z zębatek nabitych na rury kanalizacyjne, jakaś tajemnicza katapulta ze starego samochodowego resora, butelki z paliwem w skrzynkach, ludzie w przypadkowych osłonach głowy, kryjący się za

lichymi tarczami z blachy.

Trochę to wyglądało, jakby kosmici napadli na osadę wikingów.

Czuł dawny spokój, jakby to wszystko go nie dotyczyło i fakt, że patrzy przez displej, gromadząc obrazy, czynił go nietykalnym. Przez displej obraz upstrzony kontrolnymi znaczkami i komunikatami rejestratora, ostrzejszy niż w rzeczywistości, wydawał się tylko materiałem. Czymś, nad czym się pracuje, a nie przeżywa osobiście. Pracował. Kręcił. Znów był w swoim żywiole. Był świadkiem.

Oczami świata.

Gdzieś w głębi niepokoiło go, że mieszka o dziesięć minut drogi stąd. Czuł się jak w obcym kraju. Gdzieś w strefie wojny, może na pograniczu Kalifatu Sunny, w Szwecji albo na południu Francji. Takie rzeczy nie powinny dziać się pod domem.

Zrobił zbliżenie na obrońców na murze, wtulonych bokiem w osłony, przykucniętych, trzymających nisko głowy. Pięści zaciśnięte kurczowo na pałkach z rur albo osadach pneumatycznych karabinków, proce i masywne kolejowe nakrętki jako pociski obracane w spoconych palcach. Ktoś nerwowo dopalał papierosa, ktoś modlił się bezgłośnie, przekładając w dłoni ogniwa motocyklowego łańcucha jak paciorki różańca.

– Maski! – rzucił ktoś półgłosem i natychmiast zaczęto powtarzać rozkaz wzdłuż barykady, pospiesznie zrzucając kaski i hełmy, naciągając pochłaniacze i regulując podpinkę. Ktoś klepnął Norberta w ramię ponaglająco, dopiero po sekundzie zrozumiał, że też musi założyć. Przerwał transmisję, przez chwilę szarpał się z elastyczną opaską, maska przyssała mu się do ust i nosa, w pochłaniaczu coś szeleściło i chrobotowało. Przemknęło mu przez głowę, że to zepsuje dźwięk. Ktoś jeszcze wcisnął mu do ręki lakiernicze gogle.

– SZCZEPIENIA SĄ DLA WASZEGO DOBRA! – grzmiał dalej głośnik. – CHODZI O ZDROWIE I BEZPIECZEŃSTWO! AKCJA SZCZEPIENI JEST OBOWIĄZKOWA. UCHYLANIE SIĘ JEST PRZESTĘPSTWEM ZAGROŻONYM KARĄ!

Znalazł w kieszeni gumowe zatyczki do uszu i wepchnął je w kanały słuchowe, siorbiąc pochłaniaczem. Po Dubaju przez tydzień piszczało mu w uszach.

Łomot był taki, że mimo całego swojego niby-doświadczenia przysiadł na mgnienie oka, chowając głowę w ramiona. Kakofonia nakładających się na siebie serii wystrzałów i niemal równocześnie całe salwy eksplozji z góry. Niby brzmiały ciszej niż wystrzały z broni bojowej, ale gdyby nie zatyczki, na pewno by ogłuchł. Granaty gazowe rozpadały się na walcowate podpociski, które odbijały się od ziemi, ścian i fragmentów barykady, ciągnąc za sobą siwe smugi dymu. Wystarczyła sekunda i całą okolicę zasnuł nieprzenikliwy obłok. Dyskowate anteny MIVER-ów nad kabiną pojazdu torującego zaświeciły kręgami ostrzegawczej czerwieni. Równocześnie rozległ się syk i z dwóch węży strażackich zainstalowanych za barykadą wystrzeliły kity rozpylonej wody. Wiochmeni ustawili prądnice tak, by rozbijały strumienie niemal na mgłę. To nie było takie głupie, woda pochłaniała mikrofałę i zmieniała się natychmiast w gęsty obłok gorącej pary.

Pojazd ryknął silnikiem i wbił lemiesz w barykadę z łoskotem i jękiem gnącej się blachy.

Nad tym wszystkim nadal łomotały wystrzały jeden za drugim, rozlegały się krzyki i skandowanie, wszystko tonęło w kłębach gazu. Cała konstrukcja zapory skrzypiała i kołysała się, wóz pancerny zaryczał silnikiem, cofnął się i uderzył ponownie. Jakieś metalowe kawałki z łomotem runęły na asfalt, platforma kilka metrów od Norberta oberwała się i obwisła, dwóch ludzi z wrzaskiem runęło na chodnik. Zrobił na nich zbliżenie, jeden spadł na plecy i leżał zupełnie nieruchomo, drugi krzyczał przez pochłaniacz stłumionym głosem i usiłował się odczołgać, wlokąc za sobą bezwładną nogę.

Przy kolejnym uderzeniu ta część platformy, na której kulił się za osłoną, też zaczęła się bujać, lecz inaczej niż reszta barykady, słyszał skrzypienie oraz trzask pękających spawów. Skoczył niemal na czworakach w stronę drabinki, ale kiedy do niej dopadł, oberwała się i Norbert runął w dół z ponad trzech metrów, prosto na ustawione rzędem metalowe kontenery na śmieci.

Nie zdążył wrzasnąć, miażdżące uderzenie wyrzuciło mu powietrze z płuc. Przez kilka sekund walczył o oddech, wydając astmatyczne zipnięcia w pochłaniacz, przekonany, że jeśli nawet nie został sparaliżowany, to nie ma ani jednej całej kości. Dopiero po chwili zorientował się, że może się niemrawo poruszać i nie odczuwa charakterystycznego kłującego bólu złamania. Leżał na czymś stosunkowo miękkim i sypkim. Piasek. Kontenery wypełnione były luźnym piaskiem, a on jakimś cudem niczym nie uderzył w metalową krawędź.

Wóz torujący parł naprzód z rykiem silnika i giętego metalu, pchając część zmiażdżonej konstrukcji na lemieszu i wlokąc za sobą jazgocące na betonie fragmenty barykady. Niebo pruła kanonada wystrzałów, ale nie było widać, kto strzela, z czego i do kogo.

Wokół zaczęli zeskakiwać ludzie, zrobiło się na moment tłoczno, ktoś podał Norbertowi rękę, pomagając wygramolić się ze śmietnika.

Na lemieszu i pancерnej kabinie pojazdu rozkwitły płomieniste rozbłyski, rzygając oleście czarnym dymem i rozlewając się w plamy ognia. Kolejne butelki sypały się z obu stron, aż na dachu pancerki obróciła się płaska wieżyczka łypiąca pajęczymi oczami skanerów, ze sterzącą grubą lufą zakończoną masywnym hamulcem wylotowym, plując krótkimi seriami mierzonych wystrzałów. Pojazd znów cofnął się o metr i ruszył naprzód, zaplątany w kratownice i kołyszące się arkusze blachy niczym dzik w gęstwinie malin.

Cofali się.

Bez paniki, niespiesznym truchtem, co kilka kroków odwracając się i idąc tyłem, z pogiętymi tarczami na wysokości tułowia. Norbert kuśtykał osłonięty ich szeregiem od barykady i kręcił, starając się nie ruszać głową, świadomy, że psuje nagranie świszczącym ziajaniem przez pochłaniacz. Nad ich głowami z brzękiem sypały się szyby, jakieś pociski rykoszetowały od muru, rozpryskując obłoki zmielonego betonu,

a niebo huczało łoskotem kanonady.

Pojazd przebił się w końcu, wlokąc po betonie iskrzącą płataninę metalu, za nim do osiedla wlał się potok SPAT-owców w czarnych pancerzach, osłoniętych rzędem tarcz balistycznych.

Grupa Norberta cofała się do kolejnej barykady z mebli, worków z piaskiem i kontenerów na śmieci, dużo słabszej niż ta pierwsza. Kilku kuśtykało jeszcze bardziej niż on, jednego prowadzono pod ramiona, całą twarz miał zalaną krwią, która ciekła spod pękniętego narciarskiego kasku.

– Dalej! Dalej! Spokojnie! Spokojnie się wycofywać! – ktoś przekrzykiwał odgłosy strzelaniny pewnym, rzeczowym głosem. – Nie trzyj oczu! Pluj i płacz! W ogóle tego nie dotykaj!

Za nimi wybuchł krzyk. Desperacki, bojowy okrzyk z kilkunastu gardeł, i dwie grupy obrońców uderzyły na kolumnę antyterrorystów z obu stron. Nawet przez zatyczki w uszach Norbert słyszał odgłosy uderzeń, skwierczenie wyładowań i pojedyncze trzaski, zobaczył kłębiący się chaotycznie tłum, który zasłonił czarne pancerze SPAT-u, a potem jeszcze – że padają jeden po drugim.

Truchtający obok niego człowiek wrzasnął nagle i upadł na ziemię, dławiąc się krzykiem i miotając w konwulsjach. Na jego lewym udzie tkwił walcowaty pocisk niczym czarny korek od butelki, wbity w mięsień czterema rozstawionymi hakami jak odnóża kraba. Pocisk wydawał skwierczący odgłos, pomiędzy hakami skakały małe wyładowania.

– Nie dotykać go! – krzyknął ktoś. Inny podskoczył nagle, wpadł na ścianę bloku i zwałił się na chodnik w jakiejś niemożliwej wykręconej pozycji, zupełnie nieruchomy, jak porzucone ubranie.

– Do barykady! Biegiem!

Inni wiochmeni pojawili się na koronie zapory, podając uciekającym ręce i przeciągając na drugą stronę. Korzystając z chwilowej osłony, siadali na ziemi, ktoś stał pochylony, z rękoma opartymi na udach, i miarowo słuwał na beton, ktoś płukał usta i polewał twarz wodą z plastikowej butelki, dwóch ludzi z noszami zabrało rannego, tego z rozbitą głową, tylko człowiek, który leżał pod ścianą bloku, dalej tam spoczywał, ostatecznie i strasznie nieruchomy, a ten drugi, trafiony paraliżującym pociskiem, podrygiwał wciąż w słabych skurczach, z ustami pokrytymi pianą.

– Jak ewakuacja? – To znowu ten ktoś z dowódczym głosem, Norbert wciąż nie zauważył, który to.

– Musimy wytrzymać dziesięć minut – odpowiedział facet w motocyklowym kasku, z twarzą zamaskowaną czarną trójkątną chustą ze wzorem w małe trupie czaszki.

– Cholernie długo. Już tu prawie są.

Norbert miał ochotę zwałić się na ziemię jak inni, ale zepsułyby ujęcie, więc tylko oparł się o ścianę i spojrzał w stronę wyrwy w barykadzie. Tam było po starciu, z atakujących leżeli wszyscy. Jedni bezwładnie, porozrzucani dookoła, inni rzędem, z rękami na karku. Grupa antyterrorystów kręciła się pomiędzy nimi, ale było jasne, że

zaraz znów ustawią szyk.

Ci, którzy wycofali się razem z nim, zaczęli zajmować stanowiska na barykadzie, podawano im pałki, tarcze, znalazło się kilka pneumatycznych karabinków, a nawet przedpotopowy rewolwer rodem z Dzikiego Zachodu, z długą, kanciastą lufą oraz czarnoprochowy karabin, długi na półtora metra, który pasowałby raczej do filmu o piratach.

– Dość już nakręciłeś, człowieku – odezwał się Facet z Głosem.

Norbert wreszcie go zobaczył – tamten nosił starą motocyklową kurtkę z wszytymi kewlarowymi ochraniaczami, a głowę chronił czerwonym strażackim kaskiem z własnym pochłaniaczem. Teraz odpiął go z jednej strony i maska zwisała krzywo, ukazując przystrzyżoną rudo-siwą brodę. Wskazał Norbertowi przejście między blokami.

– Tam za kartofliskiem są włązy do kanałów burzowych. Trzymaj się lewej strony. Trzy zakręty, a potem prosto, aż zobaczysz światło chemiczne, nad nim jest bezpieczne wyjście. Spadaj stąd, człowieku, za chwilę będzie za późno. To nie twoja wojna.

Odwrócił się, zapinając pochłaniacz, i sięgnął po pałkę.

Norbert powstał sekundę czy dwie, a potem ruszył. Właściwie chciał odruchowo zaprotestować, kiedy przyszło mu do głowy, że Facet z Głosem zwyczajnie ma rację. Materiał właściwie miał, brakowało tylko zakończenia, którego nie mógł nakręcić.

Pomiędzy tamtymi blokami znajdował się skwer, zmieniony potem w poletka i sad. Teraz wszystko zostało zdeptane, na asfaltowym eksparkingu poniewierało się trochę pogubionych warzyw, przewrócony wózek bez jednego koła i jakieś śmieci, ale nie było tu już nikogo. Jeden z włączów kanału burzowego był wciąż lekko odsunięty, więc Norbert nie musiał się z nim szarpać ani szukać jakiegoś łomu. Kanonada niedalekich wystrzałów i chóralny wrzask huczały echem między starymi ścianami bloków.

W bocznej kieszeni kurtki znalazł zapinany na gekko, sztywny futerał, otworzył go i wyjął jednego mikrodrona.

Aparat ożył mu na dłoni, bzycząc cichutko, na pewno ciszej niż osa. Wirujące miniaturowe pędniki otoczyły Norberta lekką poświatą. Puścił drona w powietrze, a potem kilkoma gestami zaprojektował wstępną trasę przelotu. Dron zawisł mu przed oczami, po czym przesunął się kilka razy po liniach prostych, nieruchomiejąc na sekundę jak prawdziwy owad. A potem pomknął w niebo, nie większy od chrabąszcza. W oddali kanonada przybrała na sile, rozległo się też kilka głuchych eksplozji.

Norbert odsunął ciężką jak nieszczęście klapę i wśliznął się do kanału, a potem, stojąc na śliskich, wbitych w beton kłamrach, uniósł włącz na dłoniach i umieścił go na miejscu, pozostawiając wąską szczelinę, w którą mógłby zmieścić się chrząszcz.

W kanale było właściwie sucho, ciemno i kiedy ostrożnie zsunął maskę na szyję, stwierdził, że nieco zalatuje mułem. Odgłosy wystrzałów i eksplozji były stłumione i trochę nierzeczywiste. Doszedł do wniosku, że w niektórych okolicznościach otoczenie się betonem daje poczucie bezpieczeństwa.

Włączył wizję i mrok kanału zniknął, przesłonięty obrazem zasnutego dymem

osiedla z jakichś trzydziestu metrów. Klockowate budynki, chmury gazu, rozbłyśki, a pod spodem wojna mrówek.

Wojna, która dobiegała końca, a jej finałem było bezapelacyjne zwycięstwo czarnych mrówek.

Kazał swojemu owadowi obniżyć lot, ustabilizował obraz, wyczyścił, poprawił parametry, a potem zaczął kręcić. Zajął mu to dziesięć minut.

Pokazał, jak przez wyrwę w barykadzie do osiedla wjeżdżają jedna za drugą wojskowe sanitarki, które wypływają ludzi w pełnych kombinezonach przeciwskażeniowych, z pochłaniaczami na plecach, osłoniętych hełmami ze szczelnymi kapturami i lustrzanymi wizurami.

Pokonani klęczeli rzędem, z rękami spiętymi z tyłu jednorazowymi kajdankami. Niektórzy nieźle poturbowani, zalani krwią, z szybko puchnącymi wybroczynami wokół oczu, zdarto im kaski i hełmy, które leżały na stercie razem z ich improwizowaną bronią. Wielu pluło, kaszłało i zalewało się łzami z powodu wciąż unoszących się w powietrzu resztek gazu. Wielu ciekło z nosa. Jakoś to paskudnie wyglądało.

SPAT-owcy przeszukiwali budynki, a potem wywlekali z nich następnych, w różnym wieku – dzieci, dorosłych i starych.

Tych także skuwano wśród krzyku i płaczu i zmuszano, by ukłękli w jednym rzędzie.

Sanitariusze w swoich karnawałowych przebraniach kosmitów montowali ultradźwiękowe iniektory – duże, pistoletowe, przypominające jakiś sprzęt weterynaryjny, a dwóch z nich maszerowało wzdłuż szeregu wiochmenów, wyciągając dłonie z jakimś płaskim urządzeniem, które wypływało okrągłą nalepkę na pierś klęczącego. Czerwoną, zieloną albo niebieską. Zaglądali im w twarze, unosili powieki palcami w grubych rękawicach, a potem znakowali. Wydawało się, że bez ładu i składu, bez żadnego systemu. Czerwony, zielony, niebieski. Według tajemniczych kryteriów.

Norbert widywał już szczepienia, także kiedyś w Afryce, podczas epidemii gorączki nilowej, i nigdzie nie sprawiało to takiego paskudnego wrażenia. Antyterrorysta podchodził z przodu, z bronią gotową do strzału w dłoniach, a sanitariusz od tyłu i aplikował szczepionkę w szyję, przytrzymując delikwenta za włosy.

Niektórzy zaszczepieni przewracali się. Osuwali na bok albo do przodu, jakby składali komuś pokłon. Potem ruszali się niemrawo, niezbornie próbując wstawać, i wyglądali, jakby opadły ich dreszcze.

Norbert, podobnie jak każdy, kogo znał, uważał wiochmenów za dziwaków, a ludzi walczących ze szczepionkami za fanatycznych, irracjonalnych obłąkańców. Tu jednak patrzył na coś, czego nie ogarniał umysłem. Po co tak brutalnie? Dlaczego ci ludzie się przewracali? Wszystko było jakieś nieadekwatne, jakby lekarz powybił przeziębionemu zęby, żeby wmusić mu aspirynę. Gdyby tydzień temu ktoś mu zaproponował szczepionkę, która uodporni go na lizbonę, nawet by się nie zastanawiał. Teraz, sam właściwie nie wiedząc dlaczego, był pewien, że chce tego uniknąć.

Mimo wszystko scena, chociaż jej nie rozumiał, stanowiła dobre zakończenie. Uznał,

że skoro jemu daje do myślenia, to może innym też.

A potem przechwycił swojego drona, ryzykując, bo oddziały ruszały w jego stronę i aparat wyprzedził pierwszych antyterrorystów dosłownie o dziesięć metrów.

Nie miał latarki, więc szedł w ciemnościach, sunąc wyciągniętą lewą ręką po ścianie, aż trafił na boczny korytarz. Maszerował szybko, ale wlokło się to bez końca. Nie miało żadnego znaczenia, czy ma otwarte, czy zamknięte oczy, w obu przypadkach widział to samo. Głęboką, grobową czerną.

Gdzieś z tyłu ciasną betonową ciemność kanału wypełniła seria ogłuszających eksplozji i po paru chwilach poczuł charakterystyczną woń, podobną do mdłego zapachu czeremchy oraz spalonego celulozoidu. Natychmiast wstrząsnął nim kaszel, oczy zapiekły jak oblane kwasem. Po omacku założył pochłaniacz i gogle, ale i tak zaczął się ślinić, łzawić i lało mu się z nosa. Gdyby granat był bliżej, po prostu by go rozłożyło.

Gdzieś daleko zamajaczyła mu słaba zielonkawa poświata, więc ruszył tam truchtem, potykając się, zataczając i kaszląc w pochłaniacz.

Dotarł do światła i podniósł z ziemi plastikową rurkę, w której połączone związki chemiczne jarzyły się fosforycznym blaskiem.

Wypchnął żeliwny krąg wjazdu, właściwie pewien, że pierwsze, co zobaczy załzawionymi oczami, to buty stojących wokół studzienki antyterrorystów.

Ale nie było nikogo.

Wyśliznął się z kanału, rozejrzał ostrożnie, ale w pobliżu nie było kamer, dronów ani innych ludzi. Osłaniały go jakieś stare garaże, tył pawilonu sklepowego i wypalone karoserie porzuconych samochodów. Stał przez jakiś czas oparty dłońmi o własne uda, kaszląc, smarkając, plując i płacząc, i usiłując za wszelką cenę nie dotykać piekących oczu. Ubranie przesiąkło mu chemiczno-kwiatowym odorem gazu, zmieszany z błotnistym smrodem kanału.

Odczekał trochę, na tyle, że mógł zacząć iść, widząc przy tym mniej więcej dokąd, nie wpadając na latarnie i rozpoznając okolicę. Nadal lało mu się z oczu, a skóra na dłoniach i twarzy piekła jak oblane kwasem. Przeszedł jakieś sto metrów w przypadkowym kierunku i zorientował się, gdzie jest.

Z oddali dochodziło piskliwe zawodzenie syren.

Wrócił do domu, zmienił ubranie i oblał twarz mineralną z pojemnika, bo wciąż nie było wody.

Pomogło, choć niewiele.

Zmontował film, podłączył kolejną jednorazową kartę, którą po użyciu pociął i wyrzucił za balkon, i wysłał iwent.

A potem siedział apatyczny, walcząc z przygnębieniem. Dawno nie miał tak dobrej passy, a mimo to nie czuł satysfakcji. Zupełnie jakby przy okazji dowiedział się o świecie zbyt wiele i zmieniło mu to perspektywę. Przedtem wiedział, co sądzić o rzeczywistości, która go otaczała. Teraz zobaczył na własne oczy rzeczy, w które wcześniej by nie uwierzył. Nie żeby miał jakieś złudzenia choćby co do polityków, ale nie zaprzętał sobie nimi głowy. Funkcjonowali w równoległym świecie, do którego nie

miał wstępu, i wystarczyło. A teraz zobaczył ich z bliska i wszystkie najbardziej wydumane pogłoski na ich temat okazały się potwierdzone albo prawdopodobne. Parę zdań wybełkotanych przez pijanych dupków o manierach gangsterów owocowało brutalną pacyfikacją o parę przecznic od jego domu.

Przypomniał sobie bardzo stary film, jeszcze dwuwymiarowy, w którym bohater zażywał pigułkę i nagle przestawał widzieć otaczający go normalny świat, bo ten okazywał się tylko wirtualną iluzją, a lądował w strasznym, zniszczonym i zdominowanym przez maszyny, który był realny. Tamten człowiek nie mógł już wrócić do normalnego życia, tylko musiał walczyć o przetrwanie.

Norbert czuł się bardzo podobnie. I najchętniej zażyłby jakąś pigułkę, żeby z powrotem zamknąć się w swoim powierzchownym życiu i zapomnieć o sprawach kryjących się w cieniu i pod warstwą rzeczywistości.

Wyszedł na balkon i spojrzał na osiedle „swoich” wiochmenów, pogrążone w ciszy, wyglądające jak porzucone. Jeszcze niedawno po prostu by na nie spojrzał, myśląc o niebieskich migdałach. Teraz wiedział, że może już jutro wepchnie się tam konwój potężnych wozów bojowych w srebrno-niebiesko-żółtym malowaniu, które wyplują tłum opancerzonych jak kraby antyterrorystów, i to osiedle podzieli los poprzednich.

Wiochmeni odejdą albo zostaną wyłapani, a on straci miejsca, gdzie kupował swoje nielegalne wędliny i używki. Kolejny element, który czynił życie znośniejszym, przepadnie bezpowrotnie.

Robił iwenty ważne i popularne, licznik się kręcił. Zawsze chciał, żeby tak było, i powinien czuć się spełniony, a teraz czuł się jak wypalona skorupa. Zastraszony i bezradny, nawet nie miał pojęcia, jak należy żyć w tym nowym, ponurym i wrogim otoczeniu.

Zasłonił okna, puścił muzykę, zaparzył kawę, nalał sobie śliwowicy, ale niewiele to pomogło. Miewał już podobne napady przygnębienia i wiedział, że jeśli zrobi to, na co ma największą ochotę, czyli zwinie się w kłębek pod kocem, będzie jeszcze gorzej. Demony, które go dręczyły, siedziały w jego głowie, a nie za oknem. Jeśli odetnie bodźce z zewnątrz, wypuści je na wolność.

Znalazł się w paranoicznym świecie i nie potrafił jeszcze się w nim odnaleźć. Potrzebował porady, i to od wykwalifikowanego, dyplomowanego paranoika, jedyne go znanego mu człowieka, który umiał w takim świecie żyć. Musiał znaleźć Mechanika. Musiał się nauczyć, jak chodzić po ulicach, załatwiać codzienne sprawy i nie dać się zniszczyć systemowi, który nagle zaczął dostrzegać w każdym cieniu. Ta myśl przyniosła mu ulgę. Przynajmniej było to coś konkretnego.

Coś do zrobienia.

Już wcześniej próbował potrząsać Netem, ale zupełnie bez skutku. Mechanik rozplynął się w powietrzu, jak to miał w zwyczaju, i żadne próby odnalezienia go nie przynosiły zupełnie nic.

Widmowy Casanova nie pojawił się w poczcie Norberta, nie odwiedził go żaden tajemniczy kolarz, żadna wiadomość nie pojawiła się na zaparowanym lustrze, nie

przyniesiono mu niezamówionej pizzy z listem w środku. Na jego balkonie nie pojawił się gołąb z mikrofilmem w kapsułce uwiązanej do łapki.

Pozostała tylko barka w starym rzeczonym porcie na tyłach porzuconej elektrowni.

Do bramy trzeba było spory kawałek podejść pieszo, więc widział już z daleka. Kilkuosobowy tłumek, policyjny wóz patrolowy blokujący wejście i migający niebieskimi lampami. Deszcz siąpił w szare wody kanału, a w oddali za kępą krzaków wznosił się słup czarnego dymu, wwiercający się w ołowiane niebo.

Nie przeraził się. Nagle spłynął na niego jakiś martwy, lodowaty spokój.

– Co tu się stało? – zapytał stojących. Wysoki facet w pomarańczowym anoraku unosił nad głową omnifon, usiłując znaleźć dobre ujęcie.

– Bomba – oznajmił staruszek w staroświeckiej dyplomatce, z szyją owiniętą szalikiem.

– Jaka bomba?! – zaprotestował ktoś. – Skłotersi tam mieszkali, mieli butle z nielegalnym propanem i wywaliło. Dobrze, że nikogo więcej nie było. Dostali, co chcieli. Kto by starą barkę wysadzał!

Zza zarośli wyjechał ambulans, kołyszac się na ścieżce wzdłuż kanału. Powoli, bez syren i włączonych świateł. Za nim wyjechał potężny wóz strażacki, lśniący czerwienią i bielą w deszczu. Też bez syren i błyskania. Dwóch idących obok strażaków niosło aluminiowe składane nosze, na których spoczywał podłużny kształt opakowany w czarny worek. To coś w worku wydawało się małe jak dziecko, ale Norbert wiedział, że zwęgleni ludzie się kurczą.

– Przejdźcie! Rozejść się! – Policjanci cofnęli swój samochód i rozepchnęli gapiów na obie strony bramy.

Od ulicy toczyła się nijaka furgonetka na ogniach wodorowych, z drzwiami ozdobionymi napisem „Zarząd Zieleni Miejskiej”.

– A w ogóle jazda mi stąd! Tu nie ma nic do kamerowania!

Wciąż ogarnięty tym ogłuszającym, dziwnym spokojem, Norbert ruszył z powrotem bez słowa i nie oglądał się. Policjant miał rację.

Tu nie było niczego do kamerowania.

Już nic.

Do domu wracał, klucząc, wsiadając i wysiadając, przez podwórka i zaułki, wsiadł do metra tylko po to, by przejść na drugą stronę wagonu i zaraz wysiąść. Przeciskał się przez tłum i robił rozmaite sztuczki pozwalające zgubić ogon, ale nie miał pojęcia, czy to ma jakikolwiek sens. Jeżeli ktoś go śledził, to może pękał ze śmiechu przed monitorami, obserwując jego szamotaninę. Może po prostu miotał się jak bezgłowy kurczak.

Norbert cały czas zachowywał spokój, ale to nie był naturalny spokój, tylko zwyczajny szok. Wiedział o tym i zastanawiał się, co się z nim stanie, kiedy adrenalina wypali się w jego żyłach. Zawali się, zaśnie, dostanie ataku paniki? Wpadnie w katatonię niczym zaszczuty zajac?

Zdecydował się wyjechać, ale rzecz jasna, musiał wrócić po swój zestaw ucieczkowy.

Swoją torbę BiS. Wśród niewielu nauk, jakich zdołał mu udzielić Mechanik, najważniejsza brzmiała, że zestaw uciezkowy ma sens tylko wtedy, jeśli się z nim nie rozstajesz. Posłuchał i oczywiście od razu złamał tę zasadę. Wmówił sobie, że nie wiedzieć dlaczego, decyzję o ucieczce podejmie u siebie w domu.

No i musiał wracać.

Stojąc pod domem, skryty w kapturze, przez chwilę obserwował swój balkon i okno. W środku było ciemno, tylko że to nic nie oznaczało. Na ulicy też nie dostrzegł żadnych tajemniczych pojazdów ani żadnych podejrzanych typów wyglądających na rządowych agentów. Osobnik stojący w deszczu i gapiący się bez celu na budynek też był tu tylko jeden.

On.

W pewnym momencie Norberta ogarnęło olśnienie. Rozpiął gekko kieszeni i wydobył etui ze swoimi miniaturowymi dronami. Uruchomił zapis i posłał elektronicznego chrabąszcza w powietrze, tak samo jak wtedy, podczas pacyfikacji osiedla. Zdefiniował obraz szerokokątny i wzmocnił światło odbite.

Aparacik pomknął w górę, Norbert, mrużąc pod nosem, odliczał piętra, dron zawisł przed jego balkonem, wpatrując się w szybę, a potem podleciał bliżej. Drzwi balkonowe były uchylone od góry, pamiętał, bo tak je ustawił przed wyjściem. Niewiele, ale urządzenie rozmiarów oliwki zdołało wśliznąć się do środka. Obleciało pokój, zajrzało za kuchenną ladę, wleciało do łazienki przez odsunięte lekko drzwi. Nikogo. Mieszkanie było puste.

Kazał kamerce opaść na stolik kawowy i ruszył przez ulicę.

Wewnątrz nie zapalił nawet światła. Żadnych sentymentów. Torba i w drogę.

A jednak nie udało mu się wyjść natychmiast. Spojrzał przez okno na zatopione w szarości osiedle wiochmenów, usiadł na minutę w swoim ulubionym fotelu, pogładził drzewko bonsai.

A potem zrozumiał, że się rozkleja, złapał swój plecak i wyszedł.

W windzie dotarło do niego, że nie ma pojęcia, dokąd iść. Musiał jak najprędzej opuścić miasto, i to możliwie anonimowo. Kupić jakiś bilet bez rejestracji, płacąc czipem gotówkowym. Pojechać w przypadkowym kierunku. I to wszystko zanim adrenalina przestanie działać. Już czuł, że nadciąga wielkie zmęczenie, zaczynają go boleć nogi jak po długim biegu, a gdzieś wewnątrz rodzi się nerwowy dygot, jakby ogarniały go dreszcze.

Winda zatrzymała się po dwóch piętrach, drzwi otworzyły się z sykiem i wsiadło trzech facetów. Natychmiast wszystkie problemy, które zaczynały kłębić mu się w głowie, rozpierzchły się niczym stado nietoperzy i znikły. Pozostał jeden – musiał dojechać tą windą na parter i wysiąść o własnych siłach.

Nie chodziło o to, że ich nie znał. Budynek był duży, niezbyt drogi, a lokatorzy wymieniali się często. Nie chodziło też o to, że wszyscy trzej byli Afrykanami.

Chodziło o to, że wyglądali na Nigeryjczyków.

Przez kilka sekund Norbert wmawiał sobie, że to nic, taki zbieg okoliczności, w końcu

też chodzili po ulicach i przecież nie wszyscy byli gangsterami, a jeśli ci nawet byli, to przecież mieli własne sprawy. Ale właśnie wtedy jeden z nich odkleił od swojej kurtki okrągłą reklamową nalepkę i nałożył na kratkę wywietrznika na suficie, gdzie kryła się kamera. Drugi równocześnie wyciągnął z kieszeni klucz czipowy i zresetował panel sterujący windy, po czym kazał jej jechać na drugi poziom parkingu. Poziom, który pamiętał czasy, kiedy wielu ludzi stać było na samochody, a teraz stał pusty, zamknięty i dostępny tylko dla administratora.

A ten facet z całą pewnością nie był administratorem. Zwłaszcza że trzeci z nich wyciągnął zza pazuchy kanciasty, krótki pistolet i pchnął Norberta lufą w czoło, wbijając go w ścianę. Silnik zamruczał i winda ruszyła w dół. Napastnik trzymał broń płasko, z dziwnie wykręconą ręką, i jak twierdzili znawcy, podobno tak nie można było w nic trafić, bo przy strzale trzymana w ten sposób broń szarpała w bok.

Chyba że opierało się lufę o cel.

Albo było nigeryjskim gangsterem.

Lufa pistoletu, odciskająca lodowaty, twardy krąg na czole Norberta, stała się jedynym punktem wszechświata, który zachował jakiegokolwiek znaczenie. Zupełnie jakby wyssała z niego wolę i zdolność myślenia, pozostawiając sam instynkt. W danej chwili tylko jeden – przerażenie. Przepadły winda, białka oczu napastników, pozostały strach i odcisk lufy. Chęć zniknięcia, zapadnięcia się w siebie, wycieknięcia szczelinami do szybu windy albo przemiany w parę i rozplynięcia się przewodami klimatyzacyjnymi. Nie przyszło mu do głowy, żeby walczyć, wzywać pomocy albo choćby oddychać. Czuł tylko krąg zimnej stali, kryjący wewnątrz pocisk jak przyczajonego, zwiniętego węża.

Wszelkie porady różnych wszechwiedzących wujków z MegaNetu okazały się bezwartościowe. „Zapamiętaj napastników, zapamiętaj jak najwięcej szczegółów”. Tak. Lufa. Zimna, metalowa, wbita w czoło nad lewą brwią. Pełna zamrożonej eksplozji, gotowej do uwolnienia w każdej sekundzie. Zatrzymane w czasie piorunowe uderzenie, rozrywające mózg i rozbryzgujące jego jestestwo po zmętniałych ścianach z taniego szarego laminatu.

Nie wiedział, jak wyglądali, nie pamiętał nawet, ilu ich było. Nic nie wiedział. Była tylko piszcząca mgła, uderzenia serca łomocące gdzieś daleko jak bęben i – lufa.

„Wykonuj ich polecenia. Czekać na okazję”.

Ale tamci nie wydawali poleceń. Zresztą i tak by ich nie zrozumiał. Rozumiał jedynie nieme polecenie metalowej przyssawki siedzącej parzącym zimnem na czole. Małego kręgu żelaza.

Winda szarpnęła i stanęła, drzwi schowały się w ścianie z doskonale znanym dźwiękiem gongu, ukazując mroczną, wilgotną jaskinię nieczynnego parkingu. Nie było tu nawet światełek awaryjnych. Tylko echo kroków i odległy plusk wody w rynnach. I ciemność.

Wyszarpnęli go z windy, lodowaty dotyk lufy zniknął nagle, zastąpił go miażdżący ucisk twardej plastikowej opaski zaciskowej na nadgarstkach, na twarz spadł mu

czarny, szorstki, cuchnący jakby rybą worek. Powlekli Norberta kilka kroków, a potem ktoś zdzielił go potężnym boksemerskim ciosem prosto w dołek. Eksplozja miażdżącego, mdlącego bólu zwinęła go w kłębek jeszcze w locie. Runął na ziemię, niezdolny nawet do krzyku, bo całe powietrze po prostu uciekło z płuc jak z przekłutego balonu. Podnieśli go i miotnęli w ciemność jak paczką. Coś twardego trzasnęło Norberta po goleniach, bezlitosnym zderzeniem, jak z metalową sztabą, natychmiast rąbnął w coś twarzą, trzasnęła klapa, rozległ się wizg wodorowej turbiny.

I tyle. Od wyjścia z windy upłynęły ze trzy sekundy, został zapakowany, wrzucony do bagażnika i nawet nie zipnął.

W filmach porwani bohaterowie starają się zapamiętać, gdzie jechali, liczą zakręty, nasłuchują charakterystycznych odgłosów, a potem wiedzą, gdzie ich uprowadzono. Norbert zwijał się z bólu rozdzierającego mu jelita, tnącego oba golenie i miażdżącego twarz. Priorytetem nie były dla niego zakręty, tylko chwytanie powietrza przez lepiący się do ust, szorstki worek, puchnąca gwałtownie szczęka, gorące, gęste krople kapiące z łuku brwiowego niczym z płonącej świecy.

Kiedy jako tako doszedł do siebie, zauważył tyle, że jest w jakiejś przestrzeni ładunkowej, nie wiadomo, czy bagażnika, czy czymś większym, choćby na pace dostawczaka, i że co chwila miota nim w różne strony, co ze spiętymi z tyłu dłońmi kończyło się bolesnym zderzeniem z bokiem pojazdu, podłogą albo jakimiś metalowymi gratami. Nie potrafiłby stwierdzić nawet, czy jadą do przodu, czy do tyłu, ani jak długo to już trwa.

Pojazd skręcał, szarpał, dodawał gazu, hamował, podrzucało go na wertepach i za każdym razem Norbert walczył o życie.

I aż do końca podróży nie udało mu się oprzytomnieć, obudzić, zacząć działać ani wziąć się w garść. Pozostał przerażonym, zaszczutym zwierzęciem. Kupą bezwarunkowych odruchów zamkniętych w worku gówna i galarety. Do tego stopnia, że prawie nic z tego nie zapamiętał.

Rec.8

Podłogę pokrywały szare przemysłowe kafle i grube, potłuczone szkło. Betonowy hangar z wąskimi, zabudowanymi luksferami oknami, o szarych ścianach pokrytych wielobarwnymi holograffiti. Inskrypcje polskie, arabskie, w joruba, po albańsku i mandaryńsku, wszystkie sklejone w jeden niezrozumiały kształt, jakby ściany pokrywał wielobarwny neonowy liszaj.

Nie założyli mu pomarańczowego kombinezonu, ale to wcale nie było pocieszające. To nie miała być rytualna egzekucja na cześć Kalifatu.

To miało być przesłuchanie.

Obdarli go do naga, bo taka jest praktyka. Nagi człowiek od razu jest bezbronny, upokorzony i musi spodziewać się najgorszego. Mało kto awanturuje się i sprzeciwia goły i związany.

Zdarli z niego ubranie i przypięli do ciężkiego metalowego fotela pokrytego porwanym obiciem, z którego wyłaziła gąbka. Mebel nie tylko kojarzył się z jakimś sprzętem medycznym. To niegdyś był fotel dentystyczny.

Tak po prostu.

Jasne, że szarpał się, wrzeszczał i kopał na widok pomieszczenia i fotela, i szumiącego pneumatycznego generatora, i przemysłowego reflektora na stojaku, i laminatowego blatu ustawionego prowizorycznie na stertach palet, i graffiti na ścianach, i plastikowych walizek. A przede wszystkim na widok kolekcji archaicznych metalowych narzędzi rozłożonych rzędami na tym stole.

Pewnie.

Dostał kolejnego miążdżącego sierpowego, precyzyjnie wbitego jak hak tuż pod mostkiem, prosto w splot słoneczny, a potem przysmażyli go taserem i przypięli do fotela. I tyle.

Jeden z nich miał dredy, drugi wielkie białe zęby i kropkowany wzór z plemiennych blizn na policzkach, kolejny wyglądał jak niedorostek z miękką krótką bródką i nosił futbolową bluzę.

Mruczał generator, podmuchy wiatru wmiatały przez dziury po luksferach drobny wodny pył, który wirował w snopach światła z podwójnych reflektorów.

Podnieśli oparcie do pionu z terkotem archaicznych zapadek. Norbert dygotał jak jeszcze nigdy w życiu. Mięśnie przechodziły fale drgawek, miał zupełnie zablokowany oddech, a potem znowu dławił się spazmami, jakby właśnie przebiegł maraton.

Przez cały czas jednak miał wrażenie, że to wszystko nie może być niczym innym niż tylko koszmarem. Przypominał sobie te wszystkie sny, kiedy był pewien, że to się dzieje

naprawdę, a potem nagle wyskakiwał w ciemność rzeczywistości jak korek spod wody i lądował z tłukącym się sercem w przepeconej pościeli.

Cały czas usiłował się obudzić.

Porywacze wchodzili i wychodzili, krzątali się po pomieszczeniu, a wyglądało to, jakby szykowali studio do nagrania.

Któryś poprawił reflektor.

Inny otworzył kilka plastikowych walizek wyłożonych gąbką, wyciągając zwinięte kable zapłonowe zakończone krokodylkami, miniaturową akumulatorową wiertarkę, w sam raz do prac modelarskich, sekator, kilka plastikowych butelek jakichś cieczy, archaiczną strzykawkę, wielką, pewnie weterynaryjną, zakończoną zardzewiałą igłą.

Dwóch Nigeryjczyków wniosło do pomieszczenia blaszany zbiornik zaopatrzony w uchwyty, ciągnąc go z hurgotem po ziemi. Kolejny przyszedł, taszcząc okazałe plastikowe kanistry. Założył grube gumowe rękawice sięgające aż do łokci, ochronne okulary i przystąpił do ostrożnego napełniania zbiornika czymś parującym i cuchnącym kwaśno i ostro, jakby chlorem i mocnym płynem do czyszczenia.

To chyba wtedy Norbert zaczął wrzeszczeć. Wzywać pomocy, szarpać krępujące go taśmy. Miotać się na wszystkie strony. Stomatologiczny mebel był tak ciężki, że nawet się nie zakołysał. Ani drgnął.

Nikt go nie uciszył. Krzątali się dalej.

Trwało to tak długo, aż ochrypl i opadł z sił. I dotarło do niego, że znajdują się gdzieś, gdzie nawet najprzeróżniejsze wrzaski nie zostaną usłyszane albo nikogo nie obejdą. To po prostu nie miało znaczenia. Byli na pustkowiu, gdzieś na pograniczu piekła i nicości.

Wstawili do pomieszczenia składane turystyczne krzesło i stoliczek, umieścili na nim przenośny głośniczek w formie walca migającego kolorowymi diodkami, na koniec do pomieszczenia wkroczył wielki Nigeryjczyk o posturze boksera, zupełnie łysy, o okrągłej, masywnej twarzy. Ten nie nosił się w pstrokatym stylu chłopaka z blokowiska, tylko w konserwatywnej czerni szytego na miarę garnituru oraz ultravioletowej bieli włoskiej koszuli. Gdyby nie sygnety na grubych bokerskich palcach, można by go wziąć za bankiera.

Łysy sięgnął za pazuchę i nieomal z obrzydzeniem wyciągnął jednorazowego tao-fenga na kartę. Musnął wyświetlacz palcem, odczekał chwilę, a potem powiedział: „gotowe”. Było to jedyne słowo, jakie dotąd padło w hangarze. Smartfon wylądował na stoliku, głośniczek zamigotał radośnie i kolorowo, a potem zaczął wyświetlać nad sobą wędrujące do góry jadowicie błękitne holograficzne kółka.

– To może odbyć się szybko i humanitarnie albo trwać przeraźliwie długo i w męczarniach – odezwał się grzmiący, przetworzony przez wokoder głos. Nie dało się nawet stwierdzić, czy należy do kobiety, czy mężczyzny. Miał histeryczny, nawiedzony tembr, pewnie wzięty od czarnego charakteru z jakiejś gry. Trochę syczący jak szept, a trochę zawodzący. Niebieskie kółka pulsowały do rytmu.

Zabzyczało. Z dłoni łysego boksera wystartował mikrodron, który migocąc śmigielkami, zatrzymał się przed twarzą Norberta. Na tyle blisko, że mężczyzna widział

drobne ruchy owadziego oka kamery.

– Interesuje mnie tylko jedna rzecz – ciągnął nawiedzony przesłuchujący. – W jaki sposób przemyciłeś rejestrator do chronionej strefy. Co to za sprzęt, kto go dostarczył i skonstruował.

Norbert chciał coś powiedzieć, ale ze zgrozą stwierdził, że nie pamięta ani jednego słowa. W głowie czuł pustkę, do tego z wyschniętego na wiór gardła wydobył się tylko skrzek.

– Dajcie mu wody – rozkazał głos.

Oparcie opadło z terkotem do tyłu, razem z głową Norberta, przytwierdzoną kolejną taśmą biegnącą przez czoło. Ktoś zacisnął mu nos i trysnął prosto w gardło z bidonu zakończonego krótką rurką. Przełknął kilka łyków, po czym zachłysnął się i zaczął topić, parskając, prychając wodą i wydając jakieś spazmatyczne, bulgocące ryki, które przeraziły jego samego. Fotel uniósł się ponownie, pozwalając mu kaszleć i wydawać świszczące zipnięcia, które rozrywały mu płuca.

– Pytanie już znasz – oznajmił głos. – Teraz potrzebujesz motywacji i chwili do zastanowienia nad odpowiedzią. Zanim jej udzielisz, przeżyjesz wstępne tortury, żeby uświadomić sobie wysokość stawki oraz konsekwencje przemilczenia lub kłamstwa. Zaczynać, skończycie, kiedy powiem. Jedno ograniczenie: ma być zdolny do mówienia. Nie tak jak poprzednio.

Norbert zaczął szarpać się i wrzeszczeć, jeszcze zanim rozwinęli kable i młodzik w futbolowej bluzie FC Barcelona umieścił w zaciskach długie na dziesięć centymetrów igły. A potem ruszył w jego stronę, a Norbert zaczął miotać się tak, że mało nie pozrywał mięśni.

Bezszywnie.

I wtedy huknęło. Nagle i ostro, ale odgłos nie był ogłuszający i towarzyszył mu jakby trzask wyładowania. Zupełnie jak niedawne uderzenie błyskawicy, powietrze wypełnił nawet metaliczny zapach ozonu.

Zapadła ciemność. W poprzedzającym ją rozbłysku Norbert zdołał zauważyć tylko spadającego drona i usłyszał nawet trzask, z jakim urządzenie zderzyło się z posadzką. A potem pozostał jedynie mrok i chór ostrych, obcych wrzasków w joruba.

Chór, który utonął w terkocie wystrzałów. I seriach niebieskawych, stroboskopowych rozbłysków, które pokazywały sylwetki ludzi zatrzymanych w najdziwniejszych pozach, jakby tańczyli jakiś dziki taniec.

Łomot broni nie był tak ogłuszający, jak powinien. Brzmiał jak zza ściany, do tego z jakimś głuchym pogłosem. Nie zagłuszał krzyków, łoskotu przewracających się skrzyń, a nawet szcękę sypiących się na podłogę staroświeckich, metalowych łusek. Raz i drugi w rozbłysku wystrzałów Norbert dostrzegł czarne sylwetki o twarzach bez oczu, lekko lśniących zielonkawym fosforycznym blaskiem.

Wszystko trwało trzy, może cztery sekundy.

A potem zapadła na chwilę absolutna ciemność.

– Czysto!

– Czysto!

– Czysto!

– Cel! Na drugiej, za skrzyniami!

Pojedynczy wystrzał rozrywający pomieszczenie zmieszał się z głuchym, stłumionym terkotem i przeraźliwym wrzaskiem.

Ciemność, mosiężne dzwonięcie skaczącej po podłodze łuski.

– Opad... Czysto!

Ciężki szmaciany łomot. Charkot.

– Kontrola!

Kilka pojedynczych wystrzałów, jeden po drugim, z różnych miejsc. Znów stukot łusek.

– Status celów?

– Dobra, pozamiatane. Światło!

I zapłonęło światło. Niewielkie przenośne lampy z piekielnie mocnymi halogenami. Ukazując poprzewracane skrzynie, podłogę zbryzganą jaskrawą, szkarłatną krwią i leżące poskręcane, nieruchome sylwetki. W powietrzu wisiały pasma sinego dymu, cuchnęło kordytem i rzeźnią.

Stojący w pomieszczeniu ludzie unosili kanciaste gogle, gasząc zielonkawy poblask, który malował ich twarze fosforyczną poświatą. Mieli na sobie jednakowe kombinezony barwy sadzy i obwieszane ładownicami kamizelki. Norbert nie miał zielonego pojęcia, kim są. Czarne sylwetki, w dłoniach dość staroświecko wyglądające pistolety maszynowe. Małe, blaszane, szare, z przednim chwytem i tłumikami na lufach. Właściwie nie bardzo się orientował, kim sam jest. Wiedział tylko, że jest związany i dygocze jak w febrze. Coś mu mówiło, że to nie jest żadna policja i że to nie koniec.

– Czas?

– Sześć dwadzieścia!

– Ruchy!

Natychmiast zaczęli się krzątać. Rozeszli się pospiesznie, ale najwyraźniej wiedzieli, co robią. Nikt nikomu nie wchodził w paradę. Dwóch wyszło i zaraz wróciło, ciągnąc po posadzce foliowe czarne worki. Usłyszał świst suwaków, kiedy wytrząsano na podłogę bezwładne, przelewające się ciała. Młodych mężczyzn o czarnych włosach i śniadej skórze, brodatych i wąsatych.

Ktoś podszedł do Norberta, w jego dłoni nagle pojawił się obosieczny nóż. Norbert przeraził się, napiął mięśnie, ale zaraz usłyszał chrzęst ciętej plastikowej taśmy i poczuł, że ma wolną nogę, a za chwilę drugą. Mężczyzna oswobodził go, a potem pomógł usiąść. Poczul na twarzy silne, obleczone lateksem palce, jak dłonie robota.

W tle pozostali uwijali się przy niezrozumiałych czynnościach. Stawiali do pionu przyniesione trupy południowców, głowy tamtych kolebały się bezwładnie, nogi rozjeżdżały na boki. Jeden podtrzymywał zwłoki, drugi wciskał im w martwe dłonie swój pistolet maszynowy, potem solidne pchnięcie i ciała waliły się z łomotem na

ziemię.

Ten przy Norbercie uniósł mu twarz do góry, błysnęło ostre światło, prosto w oko, a zaraz w drugie.

– Podnieś ręce – usłyszał. Podniósł ręce. Tamten obmacał mu żebra szorstkimi, bolesnymi ruchami, nacisnął opuchliznę nad okiem. Norbert jęknął odruchowo. – Wdech – usłyszał po chwili.

– Co z nim? – zakrzyknął ktoś z głębi pomieszczenia. Taszczono tam kolejne ciało, tym razem zbryzgane i nagie. Przez krwawo-czarną jamę w miejscu ust widać było, że człowiek ten nie ma zębów.

Jego dłonie wyglądały jeszcze gorzej, wszystkie palce poobcinano przy pierwszym stawie.

– W porządku! – zawołał felczer. – Straumatyzowany, obsrany i obity, ale bez złamań. Wyżyje. Ubieraj się. – To już było do Norberta. – Tu masz nasączane chusteczki. Tylko szybko.

– Pięć minut! – krzyknął ktoś.

Tamci unieśli bezzębnego i ostrożnie wpuścili do czekającego na podłodze zbiornika, tego samego, który młodociany kibic napełniał z kanistrów.

Zbiornika przeznaczonego dla Norberta.

Świadomość sytuacji spłynęła na niego jakoś tak nagle, w jednym rozbłysku. Wyrwał się felczerowi, nagi, mając na sobie tylko rozsznurowane buty.

Łysy bokser leżał trochę na wznak, a trochę na boku, z nogami we włoskich butach wplątanych w turystyczne krzeselko. Zszarzała twarz zalana krwią wpatrywała się jedynym okiem w betonowy sufit, zamiast drugiego straszyl krwawy krater, na przemoczonej koszuli widać było jeszcze kilka otworów, niezbyt poważnych, wydawało się, że można je zakryć ołówkiem.

Norbert jednak widział tylko krwawą mgłę. Dopadł martwego boksera z nieartykułowanym rykiem, kopiąc go z całych sił. Tamten był tak ciężki, że ledwie przesunął się na podłozie, tylko głowa odskakiwała mu w bok, jak dziwnie twarda piłka.

– Co się dzieje?!

– No co...? Odreagował. Nawet zdrowo.

– Zabierz go, bo ślady pozaciera. Daj mu jakiegoś „głupiego Jasia” czy co.

– Gwarantuję ci, że nikt do pierdoły nie podejdzie ze strzykawką przez miesiąc.

Norbert zasapał się natychmiast i został z rękoma opartymi o uda, kaszląc i dysząc. Felczer chwycił go za ramię i odwłókł na bok. A potem rozdarł pakiet nasączanych chusteczek.

– No już, człowieku, jesteś bezpieczny. Oczyszczyć się, zabieramy cię stąd. Brudne do worka i ubieraj się.

– Trzy minuty!

– Kończyć!

– Kim jesteście...? – To było pierwsze artykułowane zdanie, jakie Norbert powiedział

od dawna.

– Potem!

Ubierał się, siedząc na podłodze, bo bał się podejść do zanieczyszczonego i pokrwawionego fotela, przy którym wciąż leżały pocięte kawałki taśmy. To nie było jego ubranie, tamto zostało zmięte i rozrzucone, tak jak zostawili je napastnicy. Pozostali zbierali się w pośpiechu, sprzątając worki, lampy i cokolwiek, co mogło świadczyć o ich obecności. Zostały nowe trupy, bezzębny gotujący się w syczącym i bluzgającym cuchnącymi oparami zbiorniku, broń i łuski.

A także aluminiowa walizka, którą ktoś przyniósł i postawił z tyłu, za skrzyniami.

– Tu są jego rzeczy!

– Co?

– Różne graty, wygląda jak torba BiS.

Norbert uniósł się i ruszył tam jak lunatyk.

– Dobra, jeszcze lepiej! Zostaw, jak jest!

– Nie... – Ledwie usłyszał własny głos. – Muszę... Nie mogą dysków...

– Tylko to, co niezbędne. Nie bierz omni, i tak zdechło. To był granat EMP. Usmażył wszystko, co włączone. Masz już opiekę, nie potrzebujesz batoników ani gaci.

Zdążył złapać tylko saszetkę, w której miał mikrodyki, fiolkę z kapsułkami i kilka drobiazgów.

– Biegiem!

Pociągnęli go przez odrapane korytarze oblepione holograffiti, wszędzie leżały śmieci i gruz, światła potężnych latarek skakały po ścianach i suficie i to wyglądało już zupełnie jak gorączkowy koszmar.

A na zewnątrz czekały karetki.

Trzy jaskrawożółte i czerwone ambulansy, pokryte napisami z logo jakiejś nieokreślonej kliniki.

Wsiadali przez odsunięte boczne drzwi, w środku nie było noszy ani leżanek, ani żadnego sprzętu medycznego, tylko rzędy siedzeń wzdłuż burt. Ktoś go pchnął, ktoś pociągnął, prosto na wystające z burty siedzisko.

Kolejne sanitarki już ruszały. Z wizgiem turbin Wankla, nie zapalając świateł, w zupełnej ciemności. Wozy kołysały się na wybojach, rozchlapując błoto, mijały ciemne, kostropate bryły porzuconych przemysłowych budynków, straszące połamanym betonem i najeżone prętami zbrojeniowymi.

Wyjechali w końcu na jakąś pełną dziur drogę, wśród majaczących w mroku nocy krzaków i zburzonych budynków.

Wewnątrz pojazdu też było ciemno, przez wymrożone na białą szyby niewiele dałoby się zobaczyć. Norbert widział tylko niewyraźne sylwetki, tak samo jak przedtem w magazynie. Kierowca siedzący z przodu miał na twarzy ten sam nieznaczny poblask noktowizyjnej zieleni, sączący się spod wyświetlacza na twarz.

Ktoś podał mu plastikowy pojemnik, w którym coś pluskało. Napił się i poczuł smak letniej herbaty z korzennym alkoholem gdzieś pod spodem. Rum. Mocny, ledwo

zabarwiony herbatą.

– Wypij całe – usłyszał i postanowił posłuchać. Zakrztusił się raz, ale wypił chciwie wszystko do dna.

Drżenie zaczynało ustępować, oddech też się uspokajał. Nie widział, gdzie jest i dokąd jedzie, ale żył. Czuł ciężar całego dnia, jak wlewa mu się w mięśnie gęstym jak syrop bólem zmęczenia. Rum rozgrzewał mu żołądek.

Obudził się nagle, bo coś się zmieniło.

Okazało się, że jadą normalną drogą, na światłach, a lampy na dachu sieją czerwono-niebieskie rozbłyski. Mijane budynki były ciemne i tylko w niektórych oknach mżyło blade światło lampy zasilanej nakręcanym dynamem.

Nawet nie wiedział, kiedy znowu opadły mu powieki. Jakby zanurzył się prosto w czarną, spokojną wodę.

Sufit był drewniany, pokryty belkowaniem. Pachniało żywicą, drogą wodą kolońską i jakby wypraną bawełną. Znów zamknął oczy. Nie pamiętał, kim jest, a w każdym razie nie miał ochoty się nad tym zastanawiać, ale leżał wygodnie i coś mu mówiło, że będzie dobrze, dopóki nie otworzy oczu i jakoś nie zatrzyma tego nieświadomego bezczasu. Tkwiał w komfortowej pustce, ale wystarczyło kilka uderzeń serca i już było za późno. Nie miał się co oszukiwać.

Obudził się.

I już wiedział.

Spadło na niego w jednej sekundzie – eksplozja na tyłach elektrowni, paranoiczne miasto pełne pajęczych oczu na ścianach i słupach, ucieczka, winda, Nigeryjczycy, ból, przerażenie, wanna kwasu, wiertarka, krew, głuche salwy w stroboskopowej ciemności, trupy, fałszywe karetki.

W jednym koszmarnym gestalcie.

Powinien dostać zawału. Zwinąć się w kłębek pod łóżkiem albo z wrzaskiem wyskoczyć przez okno. Tymczasem przypomniał to sobie jakoś obojętnie, jakby wracał do niego nocny koszmar. Dobra, okropny, ale już spowity mgiełką przebudzenia. Zdarzyło się, minęło.

To nie było normalne.

Usiadł gwałtownie na łóżku. Przede wszystkim nie był związany. Nagi, okryty lekką, cienką kołdrą, na obu przedramionach miał przyklepione pstrokate dermodyski, po kilka na każdym, jak egzotyczne wrzody, na żebrach naklejono śnieżnobiały opatrunek. Klips czujnika ścisnął mu serdeczny palec. Na policzku i łuku brwiowym też trochę ciągnęło, najwyraźniej cały był w nalepkach, jak wyścigowy bolid.

Nic go nie bolało, choć czuł się trochę odrętwiały.

Coś zaświergotało elektronicznym popiskiwaniami. Na prawo od łóżka stał barek z tekowego drewna, na którym zapłonął podwodną zielenią ekran notebooka. W trójwymiarowej głębi pływały jakieś siatkowe płaszczyzny i wykresy. Dopiero po chwili zrozumiał, że to jego własne funkcje życiowe.

Pokój tonął w półmroku dzięki ciężkim płóciennym zasłonom, ale i tak było widać,

że nie przypomina szpitala.

Ktoś zapukał do drzwi, po czym natychmiast je otworzył. Norbertowi najpierw przebiegło przez głowę, że wprawdzie nie wie, gdzie jest, ale do celi więźnia chyba się nie puka, a potem – że oni może chcą, żeby tak właśnie pomyślał.

– Dzień dobry – oznajmiła niewysoka brunetka w jasnej bluzie, nadającej jej jakoś medyczny wygląd. Zasłony rozjechały się, ukazując, jak mu się zdało, ogromny pokój z lekko staroświeckimi, prostymi meblami, wyglądającymi jak z autentycznego litego drewna. Zobaczył biurko, otwarty kominek, głębokie fotele obite skórą, gruby dywan. Za oknem stała gęsta mgła, w której majaczyły bezlistne widma drzew i rozmyte plamy jakichś rdzawozielonych wzgórz, jak pospieszny pejzaż machnięty rozcieńczoną akwarelą.

Kobieta przysunęła sobie od biurka obite pikowaną skórą obrotowe krzesło i usiadła naprzeciw Norberta, splatając nogi w natryskowych legginsach. Otworzyła jeszcze gekko małej, pękatej torby i wyjęła kilka prostokątnych, lśniących urządzeń, które ułożyła na barku obok komputera. Obróciła do siebie ekran i wpatrywała się przez chwilę w pulsujące zygzaki, lekko zmarszczywszy brwi.

Jej płócienna, krótka bluza okazała się szaroniebieska, z kieszenią na piersi i sięgającymi łokci rękawami. Nie wiedział, skąd skojarzenie z medycyną. Może utylitarny krój, solidne podwójne szwy, sztywna stójka pod szyją? Równie dobrze to mogła być bluza kucharska.

– Proszę usiąść na łóżku – powiedziała, wyjmując z kieszonki na piersi rysik i sięgając po jakieś urządzenie, które mogło być alkomatem, latarką, ale równie dobrze paralizatorem.

Usiadł, osłaniając biodra rogiem kołdry. Za ten gest mogłaby go oskarżyć o podtekst seksualny, ale miał to gdzieś. Był nagi, a ona była kobietą, i to całkiem niebrzydką. Miała trochę płaską twarz i wąskie czarne oczy, które sugerowały odrobinę azjatyckie geny. Nie była piękna, ale jakoś tak wydawała się pociągająca w pewien dyskretny, nienachalny sposób.

Wyciągnęła dłoń i zdjęła mu klips z palca.

– Jak pan się nazywa? – zapytała, sięgając po tablet. – To tylko test. Muszę sprawdzić, w jakim pan jest stanie. Nie mam rejestrować pańskich danych.

Zawahał się, ale odpowiedział. Stuknęła w ekran. Raz. Nic nie napisała, ale przecież mogła to nagrać.

– Wie pan, jaki mamy dziś dzień?

– Ja... straciłem przytomność – powiedział niepewnie. – To znaczy... coś mi podano i...

– A jaki był dzień, zanim pan stracił przytomność?

Zastanowił się, ale odpowiedział. Ponownie stuknęła rysikiem w tablet.

– Pamięta pan, co się wydarzyło?

– Chwileczkę. Zostałem uprowadzony. Potem uwolniony i znowu uprowadzony. Gdzie jestem?

Odłożyła tablet.

– Jest pan w prywatnym sanatorium. Ja mam tylko sprawdzić, w jakim jest pan stanie psychofizycznym, i ewentualnie zaordynować leczenie.

– To jakiś rządowy ośrodek, tak? To wczoraj to była komedia, która miała mnie zmiękczyć?

Uniosła brwi i stuknęła w ekran, ale przedtem musnęła go palcem, jakby chciała znaleźć jakąś rubrykę, która znajdowała się daleko pod spodem.

– A dlaczego pan tak uważa?

– Bo mam powody.

Patrzył na swoje przedramiona, nie mogąc uwierzyć, że jest taki spokojny. Patrzył na rzędy kolorowych plastikowych kóleczek, którymi je oblepiono. Nie wiedział, co to jest, ale przydałoby się więcej. Na zapas.

– Jest pan gościem prywatnego sanatorium.

– Prywatnego, tak? Niestety, nie mogę za nic zapłacić. A mogę wyjść przynajmniej?

Wiedział, co będzie dalej. Zostanie umyty, ugłaskany, nakarmiony, a potem znowu piwnica, fotel dentystyczny i kable rozruchowe – tak dla kontrastu.

– Nie, dopóki nie skończę badania. Wciąż pan jest w szoku.

– Jasne. No a potem?

– Najpierw na pańskim miejscu wzięłabym prysznic i ubrała się. Ewentualnie zeszła do jadalni na śniadanie.

– Gdzie jestem?

Pokręciła głową.

– Pewnie wkrótce ktoś panu odpowie na wszystkie pytania. Nie jestem upoważniona. Jeśli panu teraz powiem, że jest pan w górach Trascău, w rezydencji Muntenia i nie musi pan za nic płacić, i tak mi pan nie uwierzy. Jestem przecież rządową agentką. A teraz, jeśli czuje się pan skrępowany, na komodzie jest ubranie. Na razie proszę założyć tylko slipy, muszę pana zbadać.

Odłożyła tablet i podeszła do okna, patrząc w ścianę mgły i majaczące dalej widma wzgórz.

Góry Trascău... Że niby Włochy jakieś?

Ubranie leżało złożone w schludny stosik, wszystko prosto ze sklepu, spakowane w chitynowe torebki. Znalazł slipy i założył, a potem wrócił do łóżka i usiadł.

Przez jakiś czas dotykała go w różnych miejscach zimną końcówką skanera, zerkając w bok na ekran notebooka. Urządzenie od czasu do czasu popiskiwało, raz zaczęło bzyczeć jak golarka, drgnął, kiedy znienacka ukłuło go w ramię. Kazała mu wstawać, siadać, oddychać albo i nie oddychać.

Kiedy skończyła, podniósł się nagle i podszedł do drzwi balkonowych. Złapał uchwyt klamki i pociągnął.

Nic się nie stało.

Wiedział, że tak będzie. Zaraz się dowie, że to dla jego własnego bezpieczeństwa.

– Do góry – odezwała się.

– Słucham?

– Trzeba pociągnąć do siebie i przekręcić klamkę do góry – oznajmiła, stukając rysikiem w ekran tabletu.

Zrobił tak i drzwi się otworzyły. Wionęło zimną wilgocią, zapachem żywicy i zbutwiałych liści.

– Przeziębci się pan. Jesień w Karpatach to nie żarty.

Zamknął balkon.

– Przez kilka dni powinien pan odpoczywać. Urazy goją się dobrze, nie ma śladów obrażeń wewnętrznych. Opatrunki na twarzy można zdjąć jutro. Zostawiam panu plastry przeciwbólowe. Proszę naklejać jeden dziennie, poniżej łokcia. Na razie nie stwierdzam głębokiego szoku pourazowego, ale jest pan na środkach stabilizujących. To są te drugie plastry, też zostawiam. Proszę się obserwować. Mogą wystąpić natrętne myśli o tym, co pana spotkało, koszmary senne, stany lękowe. Może pan się bać kontaktu z pozornie niezwiązanymi rzeczami, które będą się panu kojarzyć z traumą. Obcych ludzi, zamkniętych przestrzeni albo opuszczania znajomych miejsc. Może pan mieć problemy z zasypianiem lub z codziennymi czynnościami. Proszę na to uważać.

Wyjęła ze swojej torby prostokątne pudełko z żółtego plastiku. W środku w gniazdach wyciętych w piance leżało kilka obłych pojemników i dwa dozowniki. Wyglądało to jak przerośnięte krople do nosa.

– Te są przeciw nagłym stanom lękowym. Jeśli ogarnie pana strach bez przyczyny, proszę wziąć po jednej dawce do każdego nozdrza i wciągnąć. Działa po dwóch, trzech minutach. Jedna doza na dobę powinna wystarczyć. Te drugie, zielone, są przeciwko napadom depresji. Dawkowanie takie samo. Musi się pan oszczędzać ze względu na urazy, zwłaszcza uważać na zębra. Aha, prawa górna czwórka została obluzowana, ale to już paramedyk panu wkleił, powinno się przyjąć. W razie jakiegoś pogorszenia proszę kogoś poprosić, żeby mnie wezwali.

Pozbierała swoje rzeczy, wyłączyła tablet i schowała do torby, a potem pożegnała się zdawkowo i wyszła. Odczekał chwilę, aż jej kroki umilkły na korytarzu, i podszedł ostrożnie do drzwi.

Były otwarte.

Otworzył je jeszcze kilka razy, żeby się upewnić, ale zamek nie został zablokowany. Obok drzwi na mosiężnym haczyku wisiała karta magnetyczna.

Obszedł cały pokój, brnąc w grubym oliwkowym dywanie, a potem zajrzał do łazienki.

Oślupiał, widząc jej ogrom, lśniące tafle polerowanego piaskowca i malachitu, lustro, w którym zobaczył się aż do kolan, wannę wielkości jego całej łazienki tam, w domu, kabinę prysznicową z tyłoma chromowanymi dyszami i pokrętłami, że wydawało się, iż można za jej pomocą przenieść się w czasie.

Sprawdził, czy jest woda, a skoro była nawet ciepła, wziął szybki prysznic, usiłując rozgryźć znaczenie skomplikowanych paneli sterujących. W efekcie na przemian omiały go a to delikatna mżawka, a to strugi bijące jak przy tłumieniu zamieszek.

Miał grube ręczniki, płaszcze kąpielowe, bambusową tacę pełną wytwornie wyglądających kosmetyków, a nawet laserowy depilator i wodę kolońską.

Wrócił do pokoju umyty i wysuszony, owinięty grubym, kosmatym szlafrokiem. Wszystko to wyglądało jak w hotelu, ale takim, na jaki nigdy nie mógłby sobie pozwolić. Brakowało tylko haftów z logo oraz naklejek z zakazami. W łazience nie zawieszono nawet kazania na temat oszczędzania wody, prądu czy detergentów. Wszystko było wypolerowane do połysku albo zupełnie nowe.

Drzwi balkonowe nadal się otwierały i mógł wyrzucić na zewnątrz, ale zmarzł i zobaczył tylko mgłę oraz ledwie majaczące w oddali drzewa. Dużo drzew. I jeszcze skały, i połać zrudziałej, krótko przystrzyżonej trawy. Gdzieś w oddali krakały jakieś ptaki. Poza tym żywego ducha.

Wrócił do pokoju i przeszukał go. Miał dwa komplety bielizny, wciąż w opakowaniach prosto ze sklepu, miękkie buty na płaskiej podeszwie, płócienne spodnie koloru khaki, niebieskawą koszulę wyglądającą na turystyczną, pełną kieszeni w nieoczekiwanych miejscach, i lekką, kosmatą bluzę. Znalazł jeszcze swoją zapinaną saszetkę, w której spoczywały dyski z zapisanym materiałem, programem do odczytywania kory wzrokowej, rysik z cienkopisem i latarką, plastikowa fiolka z kapsułkami od Mechanika, blaszana zapalniczka po ojcu oraz miniaturowy pojemnik z przyborami do szycia i karta-klucz do mieszkania, do którego nie mógł już wrócić. Efekt nerwowego pakowania torby ucieczkowej.

Tyle tylko, że poza tym nie miał już nic.

Absolutnie nic. Począwszy od dokumentów przez karty, czipy gotówkowe. Nic.

Nie miał omni, nie miał swojego pancerbooka, noża, ubrań, dostępu do konta. Nic.

Zero.

Był niczym noworodek.

Nie miał nawet cyberetki i płynu do niej.

Na koniec uświadomił sobie, że nie ma datasejfu.

Kiedy to zrozumiał, przed oczami zrobiło mu się ciemno i musiał usiąść. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby nie te wszystkie plastry, chyba by zemdłał. Albo się rozplakał.

Albo jedno i drugie.

Wszystkie te pliki to był jego dom. Gromadzone przez całe życie. Zdjęcia, filmy, muzyka. Wspomnienia. Dom.

Dopóki mógł je odtworzyć, w zasadzie było mu obojętne, gdzie się znalazł. A teraz został ogołocony.

Bez nazwiska, bez pieniędzy, bez wspomnień.

Kiedy poprzednio stracił omni, przez kilka dni jego życie toczyło się tak, jakby brakowało mu jednej ręki i jeszcze oka. Tylko że wtedy mógł pójść legalnie do operatora i wszystko odtworzyć. Mógł wypłacić pieniądze. Mógł cokolwiek.

Siedział w fotelu na wprost wygasłego kominka i usiłował to jakoś ogarnąć. Gdyby nie chemia krążąca mu we krwi, mógłby się przynajmniej zamartwiać, a tak po prostu siedział i się gapił. Zupełnie jakby się zawiesił.

Wpatrywał się w szklane wielokątne naczynie pośrodku stołu, aż nagle rozpoznał je z niedowierzaniem. Autentyczna popielniczka. Obok stała lakierowana cedrowa szkatułka i niewielki przycisk z półszlachetnego kamienia, zwieńczony srebrem. Otworzył skrzyneczkę i wyciągnął tekturowe płaskie pudełko papierosów, jak coś sprzed stu lat. Tłoczone złoto litery głosiły: „Karelian & Sons”. Relikt z czasów, gdy używki pakowano elegancko, a ludzie sięgali po nie, kiedy chcieli. W szkatułce była jeszcze druga paczka, kilka cygar w metalowych tulejkach i staroświeckie pudełko drewnianych zapalek.

Kamienny przycisk istotnie okazał się zapalniczką, więc zapalił, czekając na alarm, ale nic się nie działo, poza tym, że kawałek sufitu nad jego głową odsunął się z cichym szmerem, ukazując metalową kratkę wyciągu.

Na komodzie dostrzegł miniaturowy ekspres, obok w drewnianym pudełku kapsułki w przegródkach – różne kawy, herbaty, czekolada. Ekspres wyglądał na kosztowne cacko, imitował urządzenie z epoki pary, z mosiężnymi rurkami i emaliowaną metalową obudową. Kawa była prawdziwa.

Zabrał ją do stolika i siedział tak, popijając z filiżanki i patrząc, jak smużki dymu znikają w suficie.

Za oknem zaszumiał wiatr, deszcz zaczął dzwonić o szyby.

Wypił kawę, ubrał się i zabrał swoją szaszetkę, papierosy i zapalki. Czyli w zasadzie cały posiadany majątek.

Korytarz wyłożony drewnem wyglądał jak wnętrze pudełka na cygara. Norbert mijał kolejne drzwi, brnąc w miękkim niczym mech dywanie, w miodowym, stłumionym świetle mosiężnych kinkietów. To wszystko przywodziło na myśl dobry hotel, tylko raczej niewielki. Tuż przy schodach minęła go czarnowłosa dziewczyna w pastelowym mundurku. Walcowaty automat sprzątający toczył się przy jej nodze wiernie jak zmechanizowany pies.

– Bună dimineată, domnule. – Uśmiechnęła się.

To nie był włoski. Nie znał tego języka.

Zszedł dwa piętra, mijając witrażowe okna. Na parterze zobaczył coś w rodzaju recepcji z kontuarem i stojącym za nim mężczyzną.

– Bună dimineată, domnule – usłyszał ponownie. Mężczyzna wskazał ręką, dodając po angielsku: – Witamy w Karpatach. Zapraszamy do jadalni, sir.

Zatem mówiono tu nie tylko po klingońsku.

Jadalnia była utrzymana w tym samym eklektycznym, ponadczasowym stylu co reszta hotelu. Lekko retro i przytulnie. Koło dziesięciu małych drewnianych stolików, mosiężne lampy, lniane obrusy. Żadnych ludowych wzorków, które mogłyby się z czymś skojarzyć, długi stół zastawiony bemarami i półmiskami oraz mężczyzna w bieli, który powitał go kolejnym „Bună dimineată”, stojąc nad olbrzymią patelnią, grzejącą się na otwartym palenisku.

– Jajka dla pana, domnule? Jajecznicza, sadzone, omlet?

W hotelach, w których zwykle się zatrzymywał, jajka występowały jako pozbawiony

smaku, zbity blok miękawego kitu z proszku, ewentualnie wegańska, syntetyczna imitacja. Tutaj spoczywały w wiklinowym koszyku na podściółce z siana, organicznym na stoiskach wiochmenów. Poprosił o sadzone i otrzymał je do stolika na miniaturowej patelence, a potem przeszedł się wzdłuż bufetu. Potrawy były obce, ale nie aż tak egzotyczne, żeby ich nie rozpoznawał. Były parówki w autentycznych osłonkach jelitowych, sery, jakieś obwarzanki z miękkiego ciasta, wypełnione sernikowym nadzieniem, miękki, ostrawo pachnący, słony twaróg, cienkie smażone kiełbaski zwinięte w spirale, szynka, pieczywo. Kilka potraw przypominało z lekka tureckie specjały, inne były całkiem europejskie.

Jadł samotnie w pustej jadalni, czując, jak przepełnia go poczucie podejrzliwości. Wciąż miał wrażenie, że nadal majaczy. Obudził się w luksusowym hotelu na jakimś górskim pustkowiu, dostał opiekę medyczną, rzekomo wszystko za darmo, ktoś podsunął mu popielniczkę i egzotyczne papierosy. Hotel, w którym wolno palić? Śniadaniowy bufet pełen slowfoodowych potraw godny milionera? Nawet kawa była prawdziwa i zaparzone mu ją w ciśnieniowym ekspresie. Nie było tu nikogo innego. Skąd te góry żarcia? Owoce, słodycze i ciastka, bez żadnej aplikacji kontroli zdrowia? Prawdziwe jajka? Wyciskany sok z pomarańczy? Popielniczka w pokoju?

To była jakaś enklawa, w której otwarcie pluto w twarz doktrynie zrównoważonego rozwoju i dobrowolnego ubóstwa.

Albo odjazd na lekach psychotropowych.

Zjadł, zamówił drugą filiżankę espresso ze śmietanką i wziął sobie następny sernikowy obwarzanek, kiedy do jadalni wszedł kolejny gość. Wysoki, szczupły, o ogorzalej twarzy i bardzo krótko przyciętych włosach, z których właściwie ocalał tylko pasek biegnący przez ciemność. Facet miał na sobie turystyczne spodnie, koszulę z milionem kieszeni i sportową, grubo tkaną marynarkę.

Był też w jakiś dziwny sposób znajomy.

Norbert nie miał pojęcia, kto to, ale miał pewność, że musiał go gdzieś widzieć. Było to irytujące uczucie, jak żdźbło między zębami.

– No cześć – powiedział tamten po polsku. – Nie wiem skąd, ale jakoś czułem, że to będziesz ty. Prawdziwy z siebie wrzód na dupie.

Norbert przełknął kawałek ciastka i teraz pracował tylko nad tym, żeby nie przypominać kozy.

– Nie kojarzysz, co? – zauważył mężczyzna. Odwrócił krzesło i usiadł okrakiem, splatając ramiona na oparciu. – Kiedy widzieliśmy się ostatni raz, umawialiśmy się, że wracasz grzecznie do domu i nie pokazujesz nas na filmie. Dałem ci nawet pięćdziesiąt dirhamów. Kiedy Szaman powiedział, że mamy mu znaleźć iwenciarza, który wpakował się w naprawdę głębokie szambo, nie szukaliśmy nikogo konkretnego, ale jakoś tak podświadomie pomyślałem o tobie. I proszę. – Strzelił palcami. – Intuicja.

Norbert powoli sięgnął po filiżankę, która okazała się pusta. Przypomniał sobie, tylko nie mógł uwierzyć.

– Tak, to ja – oznajmił mężczyzna. – Tajger.

Przyłożył dłoń do czoła, imitując wygięty daszek bejsbolówki.

– Jeden z gości, którzy wynieśli twoją skopaną dupę spod Burj Khalifa w Dubaju.

Kojarzysz?

Filizanka ewidentnie pozostawała pusta.

– Chodźmy do oranżerii. Dostaniesz inną kawę i może koniaku. Pogadamy, zapalimy i wyjaśnimy sobie różne rzeczy.

Przeszkłone ściany oranżerii wychodziły na utopiony we mgle senny ogród, na kominku spokojnie płonęło grube polano, wśród tkwiących w donicach drzewek ustawiono okrągłe stoliki i obite miodową skórą fotele. Tu także były popielniczki, a kiedy usiedli, dziewczyna w uniformie przyniosła na tacy kawę i ciasteczka.

– To jest ten moment, kiedy możesz zadawać pytania – zauważył Tajger, mieszając w filiżance. Upił łyk wody ze szklanki.

Norbert wrzucił do kawy dwie kostki cukru i zamieszał. Nie o to chodziło, że nie chciał niczego wiedzieć, tylko zwyczajnie miał pustkę w głowie.

– Nie pytaj tylko: „dlaczego ja?” albo: „czy istnieje Bóg?” – uprzedził Tajger.

– Ale pytanie „dlaczego ja?” jest akurat dobre – odparł Norbert. – Co się tu dzieje? Gdzie ja jestem? Co tu robię?

– „Dokąd zmierzamy?” – odpowiedział Tajger. – Jesteś w rezydencji Muntenia. Na terenie rumuńskich Karpat. Szczerze mówiąc – uśmiechnął się – właściwie w Transylwanii. Jesteś tutaj, bo to jest bezpieczne miejsce. Kryjówka. Oficjalnie prywatna rezydencja. Nikt nie wie, że tu jesteś, i dopóki sam nie narobisz hałasu w Necie, nikt nie będzie wiedział. Istnieje spora szansa, że bezpieka znalazła twojego trupa i zamknęła sprawę.

– Po kolei – poprosił Norbert. – Jaka bezpieka? Mnie porwali... no... Migranci... Afro...

– Porwała cię nigeryjska mafia. Konkretnie: University of Havoc. Dlatego że wykonywali czyjeś zlecenie. „Onych”. „Oni” chcieli wiedzieć, w jaki sposób udało ci się nakręcić iwent w najlepiej strzeżonym miejscu na północ od Dunaju. Jakim cudem byle szczurek, bez obrazy, nagrał materiał i sprawił, że teraz rząd musi kornie tłumaczyć się przed chińską wierchuszką. Dlaczego ich mocodawcy wpadli po szyję w łajno. Nigeryjczycy mieli to z ciebie wyciągnąć, kiedy niestety, wytropili ich Albanace, którym wcześniej nadepnęli na odcisk. Ludzie Ermira Hysaja. Doszło do strzelaniny, w której zginęli wszyscy z University of Havoc i dwóch Albanacy. Ty już wtedy nie żyłeś. „Oni” stracili nagle połączenie, bo granat EMP ugotował całą działającą elektronikę.

– Kim był ten człowiek utopiony w kwasie?

– Też Albanac. Diler neurostymulatorów spod szkoły córki jednego z naszych. On i jego dwaj kuzyni. Faktycznie ludzie Ermira. Gość obecnie jest tobą. Zanim zaczniesz się zżymać, pomyśl, że ta wanna była dla ciebie. W środku są resztki bez zębów, nie do identyfikacji. To nie był zwykły kwas, bye, bye, DNA. Dookoła leżą twoje rzeczy, trupy Albanacy, ukochane przez nich starożytne włoskie automaty Spectre, biedni Nigeryjczycy i sporna walizka pełna neurostymulatorów. Pech. Po prostu pech. Zdarza się.

– Ale skoro nie wiedzą, jak to zrobiłem, to jak na mnie trafili?

Tajger wzruszył ramionami.

– Nie da się usunąć wszystkich śladów. „Oni” mają dojścia do dobrych programów. Zlokalizowali cię po odbiciach. Na małych powierzchniach, których nawet nie zauważyłeś. Odległe szyby, naczynia, blaty stołów, choćby łyżka. Potem poszli po nitce. Zdjęcia z kamer i tak dalej.

– A kim wy jesteście? Następną mafią?

– Skąd. Jesteśmy legalnie działającym przedsiębiorstwem kontraktorskim. W przytłaczającej większości legalnie. W sensie ogólnoludzkim. Badland Solutions, do usług.

– Fajnie. A skąd niby wiedzieliście o tym wszystkim?

– Tacy jak my biorą się z jednego źródła. Z tego samego, z którego biorą się chłopcy „Onych”. Z tym że takie firmy jak nasza są na końcu drogi. Najpierw służysz w różnych dziwnych jednostkach, gromadzisz doświadczenie, misje, kursy, chcesz być najlepszy i wtedy robisz się niewygodny. Pyskujesz, zaczynasz oczekiwać co najmniej analogicznych do twoich kompetencji u przełożonych. Wtedy dostajesz kopa. Jak masz szczęście, trafiasz do jeszcze dziwniejszych służb. Tylko że państwo to niewdzięczna suka i też w każdej chwili możesz wylądować na bruku. Wtedy masz trzy drogi: albo, jeśli jesteś szmatą, na ulicy u Chińców, Albanacy, Nigeryjczyków czy innych szmatogłowych, albo w ochronie parkingu czy nocnego klubu, albo, jeśli jesteś uzależniony od adrenaliny i naprawdę szciesz drutem kolczastym, u nas. A to oznacza, że generalnie się wszyscy znamy. I jesteśmy w stanie wydobyć cynk. Szaman, nasz obecny zleceniodawca, zgłosił zapotrzebowanie na dobrego iwenciarza, za którym władzuchna nie przepada, więc pogrzebaliśmy i trafił się cynk. To nic osobistego. Trafiłeś w odpowiednie miejsce i czas.

– Że niby ktoś z „Onych” sprzedał wam własną operację? Mam w to uwierzyć?

– Żadnemu z chłopców od „Onych” nie spadł włos z głowy, i to wcale nie dlatego, że ich nie mają, więc nasz człowiek nie skalał sumienia aż tak bardzo. I niezupełnie ktoś z „Onych”, tylko ktoś pracujący dla „Onych”, a to różnica. „Oni” to „Oni”.

Tajger wykonał dyskretny gest dwoma palcami i kelnerka postawiła przed nimi dwie pękate szklaneczki.

Norbert wypił łyk trunku i odstawił kieliszek, widząc, że pomimo oklejonych plastrami ramion drżą mu ręce.

– A gdybym tak postanowił teraz wracać do domu?

Tajger pociągnął łyczek, wygrzebał z kieszeni paczkę sudanów, a potem wskazał w głąb spowitego mgłami ogrodu.

– Kilometr na północny wschód jest wyjście z posiadłości. Dalej jest zwirowa droga przez góry. W dolinie masz szosę E Pięćdziesiąt Osiem, z Bistriły do Vatra Dornei. Na wysokości Dornișoary powinien być przystanek. Och, mój Boże, przecież nie masz pieniędzy ani omni, ani papierów... To nic, to tylko szesnaście kilometrów, a w Vatra Dornei możesz iść na żandarmerię, oni cię odstawią do Sighișoary, do naszego

konsulatu. Jeśli gadasz po francusku.

Strząsnął popiół i wypił łyk kawy.

– Miałem wszystko przygotowane – mruknął Norbert właściwie do siebie. – Cziipy gotówkowe, torbę BiS...

– No. A University of Havoc tropił cię co najmniej z pół godziny. – Tajger łyknął ze szklanki i poprawił kawę.

– A jaka jest inna opcja?

– Pomyślmy... Nie masz forsy, nie możesz się za bardzo przemieszczać, nie masz sprzętu do robienia iwentów, właściwie prościej byłoby powiedzieć, że niczego nie masz. Dostaniesz się do konta, to cię namierzą... Co tu robić...? Co tu robić? Na twoim miejscu poważnie rozważyłbym poszukanie jakiejś pracy. Przyzwoicie płatnej, ciekawej, może w jakiejś staroświeckiej firmie, która dba o swoich ludzi i prezentuje takie dziewiętnastowieczne podejście do swojej działalności? To tylko luźna sugestia. W końcu możesz być mistrzem surwiwalu i zaszyć się tu, w Karpatach. Zbudować szałas, zakładać wnyki, skonstruować łuk... To jedne z największych pierwotnych lasów w Europie, wciąż żyją tu niedźwiedzie, ale zwykle boją się ognia. Albo może agroturystyka? Na wsi zawsze znajdzie się jakaś robota. Przy owcach, na polu, w ogródku... Możliwości jest mnóstwo.

– A co miałbym u was robić? Jesteście najemnikami czy kimś w tym rodzaju?

– To nie ja chcę cię zatrudnić. Ja miałem cię tylko znaleźć. Za parę dni pojawi się Szaman i pewnie będzie chciał z tobą pogadać.

– A kto to właściwie jest?

– Sam ci wszystko wyjaśni. Powiem tylko, że to biznesmen. Bilioner. Żaden mafioso, chociaż człowiek specyficzny.

– To znaczy?

– Niedzisiejszy. Trochę ekscentryczny. Mówią, że wizjoner, awanturnik w dziewiętnastowiecznym stylu. Poszukiwacz białych plam na mapie. Nie interesują go specjalnie polityka ani układy, za to usiłuje realizować swoją wizję świata. Trochę wariat, moim zdaniem. Nie chodzi mu o biznes dla samego biznesu. Chętnie zarobi, ale w sposób, który uważa za słuszny, i jeszcze przy tym musi się dobrze bawić. Inwestuje w rzeczy, które uważa za potrzebne, a nie tylko zyskowe. Stać go.

– Och, Boże... – jęknął Norbert. – A ta wizja świata...? To pewnie słynny Nowy Porządek czy coś takiego?

Tajger parsknął.

– Szaman? Powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. Nienawidzi utopijnych ideologii i przymusu życia pod linijkę. Polazł samotnie na biegun tylko po to, żeby pokazać, że się da. Niby że z dzisiejszym sprzętem każdy może. Zakładał podwodne miasto, inwestuje w orbitalne hotele, podmorskie złoża hydratu metanowego, wodór, takie rzeczy. To technologia ma rozwiązywać problemy, a nie ideologia. Białe plamy na mapie, pirackie skarby, gorączka złota, to jest coś, co go kręci. Czasem mi się wydaje, że tak naprawdę ma czternaście lat, tylko jest cholernie inteligentny. Nadawałby się na postać z

kreskówki, ale władza nad światem to ostatnie, co go obchodzi. On chce tylko, żeby świat się nie wtrącał. Do nikogo. Też w sumie utopia.

– A do czego mu jesteście potrzebni? Wojny toczy czy co?

– Do mnóstwa rzeczy. Mamy szerokie spektrum działania. Kontrwywiad gospodarczy, ochrona przedsięwzięć w trudnych rejonach, ratownictwo bojowe, AT. Wojny? Strzelaninę od wojny różni tylko skala. Raz założył placówkę reintrodukcji tygrysów ussuryjskich w prowincji Bayan-Olgii. Tylko że one są Chińcom konieczne potrzebne do tradycyjnej medycyny, więc zrobił się rynek. W Chinach za zabicie tygrysa teoretycznie jest czapa, ale w Mongolii już nie, bo ich tam normalnie nie ma. A w prowincji spotykają się granice Nowosowietów, Kazachstanu, Chin i Mongolii. Zrobił się syf, jego ludzie nie dawali rady, to byli miejscowi, cieszyli się z roboty, ale za tygrysy nikt nie będzie umierał. No to posłał nas. Można by powiedzieć, że w końcu zrobiła się z tego wojna. Mała, choć dość żwawa. Zrobiliśmy porządek i tyle. Innym razem turbany z Nowego Dżihadu weszli do takiego starożytnego miasta na północy Turcji i zaczęli je wysadzać, a potem dali znać, że rozpieprzą wszystko do reszty, jeśli Europa nie zapłaci im haraczu. Ale poza tymi świątyniami tam nic nie było, trzy chaty, dwie kozy i piasek, żaden tam obszar strategiczny, więc politycy tylko drapali się w główki. Szaman normalnie dostał szału i na drugi dzień siedzieliśmy w samolotach. Zajęliśmy pozycję, oczyściliśmy, utrzymaliśmy, po dwóch tygodniach przywlokła się niezwyciężona armia turecka i bohatercko odzyskała starożytne dziedzictwo kulturowe, a myśmy znikli bez śladu. No, takie tam. Zaraz wojna? Czy ja wiem...? Kontrakt obejmował „zabezpieczenie substancji zabytkowej przed dewastacją w strefie działań militarnych”.

– To Polak jest?

– W sensie genetycznym, obywatelstwo zaś przy jego polach działania i majątku... No, to jest kwestia umowna. Pewnie Komory albo inne Kajmany. Mówi po polsku, jada bigos, kibicuje. Poza tym kosmopolita.

– Czego może ode mnie chcieć?

– O to to się jego musisz pytać. Ale skoro prosił o iwenciarza, to chyba nie chce cię zatrudnić w wieży wiertniczej. Podejrzewam, że chce, żebyś zrobił iwent.

Zamilkli. Norbert obejrzał swoje dłonie.

– Nie ma nazwiska?

– Ma, i pewnie ci się przedstawi, ale w jego macierzystej firmie i dla bezpośrednich współpracowników jest Szamanem i już. Taka maniera. Rodzinna firma, wszyscy się znamy, wszyscy na ty albo po ksywie.

– Co mam tutaj do czasu robić?

– Tutaj się dochodzi do siebie. Taki pracowniczy ośrodek wypoczynkowy z sanatorium. A ty jesteś nieźle poobijany, i to pod każdym względem. Większość pracowników Szamana, którzy dostali w kość choćby na platformach wiertniczych, trafia tu odsypiać, najadać się i w wolnych chwilach pić. W razie czego jest też personel medyczny i są psychologowie. Na dole jest bar, a kiedy zjeżdża się więcej ludzi, pojawia się też personel rozrywkowy. Teraz takich atrakcji nie należy się spodziewać, bo jesteś

jakby pomiędzy zmianami. Napij się, pooglądaj telewizję, odeśpij i wylecz. Aha, z twojego pokoju nie dostaniesz się do Netu inaczej niż jako bierny użytkownik. Możesz popatrzeć i posłuchać. Względem bezpieczeństwa. Spaceruj i rozkoszuj się spokojem. Tu nikt cię nie znajdzie.

Ostatnie zdanie mogło zabrzmieć złowrogo albo kojąco. Norbert zdecydował się na drugą wersję. Trochę dzięki uspokajającemu chemicznemu koktajlowi w żyłach, a trochę dlatego, że zaczęła mu kiełkować nadzieja, iż jednak nie wyląduje na dentystycznym fotelu w piwnicy. Tajger sprawiał wrażenie, że sposób, w jaki Norbert zdobył nagranie, zupełnie go nie interesuje.

Pogawędzili jeszcze chwilę i tym razem to najemnik zadawał pytania. Wyglądało to trochę na luźną wersję rozmowy kwalifikacyjnej.

Dziwnej rozmowy.

Chciał wiedzieć, jakie Norbert zna języki, gdzie dotąd był, czy kiedykolwiek nurkował, co sądzi o sytuacji politycznej. Jakie były najbardziej niebezpieczne sytuacje, z którymi zetknął się jako iwenciarz (nie licząc porwania przez Nigeryjczyków). Czy widział z bliska zwłoki (nie licząc odbicia z rąk Nigeryjczyków i egzekucji pod Burj Khalifa). Czy kiedykolwiek z czegoś strzelał. Czy kiedykolwiek do niego strzelano (nie licząc Burj Khalifa). Pytał nawet o zdrowie.

Pytał i robił notatki, słuchając odpowiedzi. Nie na tablecie ani omni, ale pisakiem w archaicznym papierowym notesie, oprawionym w oliwkową tkaninę i spiętym gumką.

W końcu zatrzasnął notes, strzelił elastyczną opaską, starannie schował pisak.

– Straciłem wszystkie pieniądze – zauważył Norbert. – Tamten bar jest płatny?

– Masz kartę do pokoju, wystarczy, że ją pokażesz – oznajmił Tajger. – Przyjmij, że masz all inclusive. Na razie odpoczywaj i lecz się. Przynajmniej kilka dni. Pewnie z tydzień. Tu jest spa, siłownia, są bary, sala kinowa, bilardowa. Miłej zabawy.

Posłuchał, ale tak naprawdę nie bardzo miał wybór.

Pogoda nie zachęcała do spacerów, nad lasem i majaczącą w oddali doliną wisiała mgła, mżawka bębniła o szyby. Piesze górskie wędrowki w cienkich zamszowych mokasynach i podszytej wiatrem bluzie na grzbiecie?

Dopóki magiczne plastry działały, nie było tak źle. Czuł dziwny, nienaturalny spokój, pod którym drzemało szaleństwo. Czuł je, jakby stąpał po skorupie wystygłej lawy, a pod nią wciąż wrzała pomarańczowa, pożerająca wszystko na drodze magma.

Obite żebra i twarz bolały, tylko jeśli je uraził. Łuk brwiowy i szczeka ciągnęły, gdy mówił albo żuł zbyt energicznie, a kiedy wstawał lub siadał zbyt gwałtownie, bok dźgał go krótkim, tępym bólem, który rozchodził się w kilka sekund wśród chemicznej mgiełki.

Na samą myśl o tym, że miałyby znaleźć się pomiędzy ludźmi, gdzieś na ulicy, przechodziły go ciarki. Tam na każdym kroku czaiła się śmierć. W pensjonacie prócz niego mieszkało zaledwie parę osób. Czasem mijał ich na korytarzach, w jadalni jakieś kilkuosobowe towarzystwo okupowało jeden stolik na drugim końcu sali, kilku samotnych siedziało nad swoimi talerzami, rozsiani po pomieszczeniu jak wyspy na

oceanie. W swoim pokoju czuł się najlepiej, nawet mgła za oknem wydawała się chronić go przed światem. Mógł siedzieć samotnie przy kominku, w którym paliły się prawdziwym, otwartym ogniem drewniane polana. Przy recepcji znajdował się jakby miniaturowy sklepik, w którym zrobił zakupy, pokazując tylko klucz. Bez żadnych ceregieli wydano mu butelkę przyzwoitej armeńskiej brandy, paczkę jednorazowej bielizny i bezcłowe papierosy nieznannej produkcji.

Wszędzie tu panował jakiś staroświecki spokój. Tkwił w drewnianych meblach, aksamitnych zasłonach, pikowanych pluszowych i skórzanych obiciach kanap. Gdziekolwiek Norbert chciał przytulić głowę czy ciało, tam znajdował miękką tapicerkę, poduszkę albo lekki jak puch koc.

Ekran na ścianie nie tylko pozwalał korzystać z MegaNetu, ale też z ogromnej bazy filmów, muzyki i gier, oraz łączyć się z obsługą. Karta-klucz działała jak omni, jeśli tylko była w pobliżu, mógł kilkoma gestami wysłać do recepcji zamówienie na posiłek do pokoju, włączyć film albo uruchomić grę. W oranżerii i pokoju klubowym na półkach stały papierowe książki.

Schodził na posiłki, które za każdym razem były obfite i nieprzyzwoicie dekadencjne. Żadnych owadów, żadnego planktonu, „nowych smaków”, żadnej dekonstrukcji. Podawano pieczone jagnię i prosię na węglach, gulasze i steki, podsmażane ziemniaki, świeże i grillowane warzywa. Nieodmiennie proponowano parującą mamałygę w postaci purée albo jako zrumienione na grillu kwadraty stężącej polenty.

Norbert robił to, co poradził mu Tajger. Dochodził do siebie.

I na ogół bardzo mu się to podobało.

Siedział w barze na dole, wśród polerowanego mahoni, mrożonego szkła i pluszu, albo w pokoju klubowym, tym samym, w którym rozmawiał z Tajgerem. Sączył brandy lub lokalną śliwkową ćujkę i słuchał muzyki. Nie gadał z nikim.

A potem zauważył, że większość gości postępuje tak samo jak on.

Stronili od pozostałych, chroniąc się w głębokich fotelach albo gabinetach baru. W obu tych miejscach po zmroku zapalano tylko dyskretne lampki, zalewające ciepłym światłem najwyżej blat stolika, kryjąc w półcieniu siedzącego przy nim człowieka. Nie byłby w stanie określić nawet, ilu tam siedziało gości. Wszyscy chowali się po kątach, nie widząc się ani nie słysząc nawzajem.

Przypominało to luksusowy klasztor z regułą milczenia.

Ewentualnie to wszystko może było normalne w położonym na odludziu hotelu w Transylwanii.

Dopadało go co jakiś czas przeświadczenie, że gdyby nie kolekcje plastrów, byłoby z nim kiepsko.

Pomimo leków, kilku głębszych przed snem i wszechotulającej ciszy budził się, gwałtownie chwytając powietrze, przekonany, że wrzucają go do ciemnego, kanciastego bagażnika, że ucieka przez puste korytarze labiryntem pokrytego graffiti, obskurnego betonu i wszędzie trafia na blaszaną wannę, gdzie widzi kipiącą żrącymi bąblami powierzchnię mętnego kwasu, z którego wynurza się nagle czerwona,

obłącząca ze skóry, rozpadająca się twarz trupa.

Jego twarz.

Siedział potem w głuchej karpackiej ciemności i ciszy, słysząc własny oddech i walenie serca.

Wciągał do nosa dawkę aerozolu z pojemnika i czekał, aż wszystko rozplynie się we mgle chemicznego ukojenia.

Zaczął się bać, czy ten środek nie uzależnia, ale upłynęło dopiero parę dni. Poza tym zażywał go nawet rzadziej, niż powiedziała lekarka.

Chyba lekarka.

Jeśli nie dręczyły go piwnice University of Havoc, co jakiś czas opadał go lęk z powodu Szamana. Widział go pod postacią każdego łotra w każdym filmie akcji. Tajemniczego, szalonego i potężnego, sięgającego po władzę nad światem i mającego go w rękę. Oczekującego, że Norbert spełni swoją rolę w jego obłąkanym planie.

Co gorsza, to akurat przychodziło na jawie.

Zaczął podejrzewać, że wszystko, co go spotkało, zostało przez tego Szamana zaaranżowane. Od początku do końca. Od Dubaju albo jeszcze wcześniej. Wszystko. Zlecenie na iwent w Jaspisowej, neurotechnologia, Mechanik...

Mechanik?!

Zastanawiał się, co na jego miejscu zrobiłby Mechanik, ale miał pustkę w głowie. Fakty były takie, że Mechanik wyleciał w powietrze, a on siedział teraz tutaj, bez grosza przy duszy, nie mając kompletnie nic, nawet porządnej kurtki, polowali na niego jacyś gangsterzy, rząd, zbiry najęte przez polityków, którzy chcieli jego głowy, a jedyny, który miał dla niego propozycję inną niż kula w łeb i wanna kwasu, to był właśnie Szaman.

Szaman, który rozegrał z nim partię i dał mata, jeszcze zanim rozstawiono porządnie figury.

Człowiek, który wysłał mu na odsiecz gości niewahających się przed zamordowaniem co najmniej siedmiu niewinnych... No dobra. Siedmiu przypadkowych... Okay, siedmiu ludzi.

Człowiek, który posługiwał się najemnikami, tak jak inni posługują się programistami albo kierowcami. Bandą żołdaków zabijających za pieniądze.

Bo człowiek, który poszedł na biegun, chciał chronić tygrysy i zabytki.

Albo Norberta.

Bo czegoś od niego chciał.

Miałby nakręcić iwent. Tylko z czego?

Najbardziej Norberta gryzło to, że wszelkiej maści terroryści, dżihadyści i tyrani też mieli swoich iwenciarzy.

Jeżeli cokolwiek miało mieć znaczenie, musiało zostać rzucone przed wielooki, tępy pysk bestii MegaNetu. Choćby to miało być wysadzenie Paryża czy przejęcie władzy nad światem, musiało zostać pokazane, żeby zaistniało.

Kolejnej nocy siedział przy kominku po kolejnym koszmarze, czekając, aż porcja

wstrzykniętego do nosa specyfiku zacznie działać. Panowała głucha cisza, taka dzwoniąca w uszach, w której słyszał wyraźnie uderzenia własnego serca. Atak paniki ustawał, ale nie bardzo chciało mu się wracać do łóżka. W końcu włączył stojącą lampę do czytania przy kanapie i wyciągnął papierosy.

Krzyk był stłumiony, ale przeraźliwy. Dobiegał gdzieś z za drzwi i jeszcze dalej, ale Norbert aż podskoczył, upuszczając zapalniczkę. Przez chwilę siedział sparaliżowany nagłym strachem, przekonując samego siebie, że ktoś puścił zbyt głośno film, lecz i tak miał ochotę schować się w szafie.

To nie był okrzyk przerażenia kogoś, kto budzi się z choćby najstraszniejszego snu. To był wrzask kogoś, kto ocknął się z nogą uwięzioną w potrzasku na niedźwiedzie albo zobaczył diabła siedzącego na brzegu łóżka.

Krzyk rozbrzmiał i ucichł.

Norbert skinął drżącą ręką, każąc się rozsunąć zasłonom, te wpuściły do pokoju rtęciowy, słaby poblask. Chmury rozeszły się trochę, ukazując rozdęty, siny księżyc, płynący nad zębatą linią świerków.

Mężczyzna w oddali znów krzyknął, ale głos mu się załamał i zabrzmiało to trochę jak szloch. Tym razem dobiegający jakby z korytarza.

Norbert wstał, zacisnął zęby, zgniótł papierosa w popielniczce, wciągnął spodnie i koszulkę, wsunął buty.

Być może dlatego, że krople zaczęły działać, a może miał już dość chowania się pod łóżkiem na każdy szelest. Sam nie wiedział.

Mężczyzna stał kilka metrów dalej, opierał się wygoloną głową o ścianę i szlochał cicho, zaciskając opuszczone pięści. Był wysoki, potężnie zbudowany i prawie nagi, miał na sobie tylko trójkątne slipy. Norbert podszedł do niego czujnie i zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

– Hej, źle się czujesz...? – zapytał po angielsku, unikając idiotycznego „wszystko w porządku?”, które go w takich sytuacjach wyjątkowo irytowało. – Zawołać pomoc?

– Proszę... – wybełkotał tamten ze sztywnym akcentem, nie odrywając czoła od ściany. – Człowieku... wejdź do mojego pokoju i zasłoń okno. Ja... nie mogę... To straszne...

– Okay, nie ma sprawy – powiedział Norbert ostrożnie.

Drzwi od pokoju były uchylone. W środku stały dokładnie takie same meble jak u niego, tylko śmierdziało czymś chemicznym, jakby apteką, i jak się wydawało – moczem. Przy łóżku na barku stał monitor medyczny i stojak z jakimiś kroplówkami, z których zwisały rurki. Jego karta tu nie działała, więc po prostu zsunął w dół rolety i szarpnął na siłę ciężkie zasłony, odcinając pokój od rtęciowego miedziaka zbliżającego się do pełni księżyca, smolistej linii świerków i księżycowych cieni na trawniku.

Zrobiło się ciemno, więc na pamięć znalazł jeszcze niewielką lampkę opodał kominka i zapalił ją, żeby nie wpaść na fotel po drodze.

– No już – powiedział uspokajająco. – Wszystko w porządku.

Mężczyzna odwrócił się nagle i chwycił Norberta za koszulkę. To nie był atak,

wyglądało raczej, że chce się czegoś przytrzymać. Jedno oko zaklejał mu opatrunek, a pół twarzy pokrywała niemal srebrzysta blizna jak od jakiegoś oparzenia. Podobne plamy przypominające zamrożone gałęzie pokrywały ramiona mężczyzny, u jednej dłoni brakowało dwóch palców. W zgięciu ramienia tkwiły umocowane plastrami końcówki wenflonów.

– Za drzwiami jest nicość – wyrzeźił rozdygotanym głosem. – Czarna nicość bez końca. Lodowata nieskończoność. Nic tam nie może żyć... Jest tylko nicość. I czerń. Nie ma nic... Nic... Rozumiesz?!

– Rozumiem – odpowiedział Norbert, panicznie rozważając, czy zdoła osiągnąć ciężkiej metalowej gaśnicy.

– To dlaczego...? – wybełkotał obcy. – Dlaczego wciąż słyszę, jak krzyczą tam w ciemności...? Tam nie ma nic... ani światła... ani powietrza... ani temperatury... Bo to jest nicość! Więc dlaczego oni ciągle krzyczą?!

Na schodach rozległy się kroki. Norbert rozpoznał niewysoką brunetkę w medycznej bluzie, z torbą w ręku, obok niej maszerował mężczyzna w takim samym szaroniebieskim uniformie.

– Proszę wracać do pokoju – nakazała lekarka zdecydowanym tonem, kiedy podeszła do nich. Jej towarzysz ujął łysego pod ramię i stanowczo uwolnił Norberta z jego uchwytu.

– Ten człowiek krzyczał – powiedział Norbert. – Potrzebuje pomocy.

– Po to tu jesteśmy – odparła. Łysy jegomość puścił ścianę i pozwolił prowadzić się do pokoju.

– Niech pan się kładzie, sir – wygłosił pielęgniarz tonem godnym strażaka. – Ten człowiek przeżył wypadek i wciąż jest w szoku. Musi dostać leki i nie będzie już pana niepokoił. Jest pod dobrą opieką. Wszystko jest pod kontrolą. Dobranoc.

– Dobranoc – powiedział Norbert zamykającym się drzwiom.

A potem wrócił do siebie, zamykając drzwi na zasuwkę, i nalał szklaneczkę brandy. Nie chciał się kłaść i śnić o krzyczących w nicości.

Po tym zdarzeniu zaczął odrobinę zwracać uwagę na współmieszkańców. W większości byli to atletyczni mężczyźni, odziani w ni to turystyczne, ni to militarne ubrania, drelichowe spodnie z suwakami i kieszeniami. Niektórzy nosili jakieś ciemne firmowe koszulki polo z zagadkowym napisem na plecach NIGHT SHIFT #3. Krótko ostrzyżeni, z tatuażami na ramionach. W grupie znalazło się też kilka kobiet, ale wszyscy trzymali się na uboczu. Sprawiali wrażenie takich, którym lepiej nie wchodzić w drogę, lecz nikogo nie zaczepiali. Doszedł do wniosku, że to zmęczona załoga wieży wiertniczej.

A jednak coś z nimi było nie tak.

Któregoś popołudnia przestało wreszcie padać, więc wyszedł na krótki spacer wokół hotelu, ot tak, żeby wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem. Budynek kojarzył się ze schroniskiem narciarskim, z podmurówką z ciosanego kamienia, zdobiony ciemnymi belkami, nakryty spadzistym dachem. Norbert krążył wśród świerków, ozdobnych

krzewów i sterczących w niebo szarych skał, nie schodząc z pokrytej kamiennymi płytami ścieżki. Było chłodno, ale jego cienka bluza nadspodziewanie dobrze chroniła przed zimnem i wilgocią.

Teren okazał się spory, w dolinie lśniła tafla stawu albo jeziora, gdzieś tam Norbert natykał się na drewniane wiaty ze stołami i ławami, otoczone kamieniami miejsca, w których najwyraźniej palono otwarty ogień.

Facet siedział na jednym takim kamieniu, zasłoniętym przyszyżonymi krzakami, z widokiem na jezioro – i szlochał cicho, z pochyloną głową i rękoma opartymi o kolana. Norbert zatrzymał się jak wryty, a potem wycofał ostrożnie, gratulując sobie, że jego miękkie mokasyny pozwalają mu stąpać po chodniku bezgłośnie.

Innym razem natknął się na nich w barze w piwnicy, tym przypominającym dawny angielski pub. Lubił siedzieć w miodowym świetle zabytkowych neonów, reklamujących nieistniejące od dawna gatunki alkoholi, wśród polerowanego drewna i miękkiej, pikowanej tapicerki. Znajdował sobie wolny gabinet i rozmyślał, patrząc na niewielki holoekran pod sufitem. Nie włączał dźwięku, ostatnimi czasy jakoś nabrał upodobania do ciszy.

To dlatego ich usłyszał.

Okupowali ławę w gabinecie w najdalszym kącie, zastawili stół kuflami i kieliszkami i siedzieli wokół jakiejś kulistej lampy, która nie pasowała do wyposażenia baru i którą najwyraźniej przynieśli ze sobą. Najpierw zauważył tę lampę, bo była spora i dziwaczna.

A potem usłyszał muzykę. Przerażliwie staroświecką i niepokojąco melancholijną. Słuchali w kółko dwóch pewnie stuletnich kawałków, które przedzierały się przez kurtynę dźwiękową w ich kącie, tak że w końcu zaczął rozpoznawać pojedyncze frazy: Can you hear me, major Tom? Can you hear me, major Tom? albo z tego drugiego kawałka: I've got a ticket to the moon... I'll be rising high above the Earth so soon.

Leciało to bez końca, ale najwyraźniej wcale im się nie nudziło. Ballady musiały być dwudziestowieczne, to wtedy grano takie oszczędne i tęskne, harmonijne linie melodyczne. Wystarczyło ledwie kilka instrumentów, jakaś gitara, pianino, perkusja. Tamci siedzieli ponuro, wznosząc kieliszki, i chyba z rzadka się odzywali, jeśli w ogóle. Jedyne, co przenikało przez pole głuszące, to tęskne i monotonne: „Kontrola naziemna do majora Toma... Kontrola naziemna do majora Toma... Jak mnie słyszysz, majorze Tomie...?”.

A to znaczyło, że przy ich stoliku leciało to na cały regulator.

Idąc do baru, spojrzął na tę ich lampę i zmartwił.

To, co wziął za otwarty z przodu, kulisty klosz, okazało się jakimś skomplikowanym kaskiem stojącym na blacie, ale w otwartej wizurze majaczyła twarz mężczyzny. Postawili na stole kask z głową w środku?

Po jakiejś sekundzie zorientował się, że to hologram, i do tego dziwnie podbity światłem, najwyraźniej wstawili wyświetlacz do środka razem z niewielką świeczką w foliowej foremce. Efekt był dosyć upiorny. Mężczyźni siedzieli ponuro, jeden nalewał

wszystkim rumu z butelki, kobieta z czerwonymi oczami opierała sąsiadowi głowę na ramieniu, patrząc w przestrzeń. Norbert zobaczył, że poruszają ustami, jakby śpiewali razem z nagraniem.

Tajemnicza kontrola naziemna z przeszłości rozpaczliwie nawoływała majora Toma, nie uzyskując odpowiedzi.

– Można się przysiąc? – zapytał mężczyzna. Stał obok jego ulubionego barowego gabinetu, trzymając w każdym ręku kwadratową szklankę. – Mam sprawę, a nie chce mi się tworzyć jakichś oficjalnych sytuacji. Norbert Roliński, jak sądzę?

Norbert zmartwiał. Spodziewał się, że zostanie gdzieś wezwany, że w hotelu zaroi się od ochroniarzy, którzy zaprowadzą go do jakiegoś monumentalnego gabinetu, wywiozą helikopterem na prywatną wyspę albo coś takiego, a nie że tajemniczy Geniusz Zbrodni dosiądzie się do niego w doskonale znanym pubie w piwnicy. Cała konstrukcja wyobraźni Norberta zawała się w zgliszcza, więc zdobył się tylko na jakieś potakujące mruknięcie i nieokreślony gest dłonią.

Facet wsunął się na ławę i postawił przed nim sześcienne szklankę, w której zakołysał się bursztynowy płyn. Odziany był w koszulkę polo i piaskowe turystyczne spodnie pełne kieszeni. Jak właściwie każdy w tym hotelu. Miał jak gdyby znajomą twarz o regularnych rysach, mocne brwi i zaczesane do tyłu szpakowate ciemne włosy. Wyglądał na kogoś starszego, niż się wydawało, ale bez śladów bioinżynierii. Podniósł swoją szklankę i powąchał płyn.

– Mam nadzieję, że pan lubi whisky. Kazałem podać bez lodu, bo mawiam, że gdyby to się piło z lodem i wodą, to „uny by to tak pakowały”. To jest single malt. Specyficzny smak. Nawet jak panu nie zasmakuje, to unikat. Doświadczenie godne zapamiętania. Prawdziwa szkocka.

– Nie ma już prawdziwej szkockiej – wybąkał Norbert.

– Jest, tylko kosztuje jakieś nieprzytomne pieniądze. Trzeba milionera, żeby sobie na to pozwolić.

Wyciągnął dłoń.

– Jestem Najdzel Stelmach – oznajmił, a Norbert usłyszał w głowie coś jakby odgłosy trafiających na siebie fragmentów układanki. Tak, to ta twarz. „Niebezpieczny człowiek”, twierdził pan Poważny Infoportal. – To ja tu pana ściągnąłem.

Uniósł się lekko i ucisnął Stelmachowi dłoń.

– Chce pan zrobić na mnie wrażenie?

Stelmach zaśmiał się krótko.

– Jasne, że tak. Częstować czymś takim bogatego snoba, dla którego to normalka, to żadna frajda. Za spotkanie!

Norbert przełknął łyk i zastanowił się.

– Dobra. Nie wiem, czy jest warta majątek, ale dobra na pewno.

– Cena to wypadkowa mnóstwa rzeczy, nie tylko jakości. Tu chodzi o dostępność i snobizm. Kiedyś zwykły, przeciętny człowiek mógł sobie na to pozwolić. Może nie na co dzień, ale czasem kupić komuś w prezencie, dlaczego nie? Właśnie to, że straciliśmy

takie drobiazgi, to jest przekleństwo naszych czasów.

– Nie znam się na whisky aż tak, żeby warto było mnie odbijać i tu przywozić.

– Jezu, ale pan jesteś spięty. Spokojnie! Pogadajmy, napijmy się. Nie ściągnąłem pana z powodu pogawędek o whisky. Są rzeczy, na których się pan zna. Oglądałem pańskie filmy. Wszystkie. Znaczą pańskie i „chyba pańskie”.

– O czym tu gadać? Ma mnie pan w ręku – oznajmił Norbert i wyjął z kieszeni płaskie pudełko papierosów. Zaczął odliczać na palcach. – Uratował mi pan życie. Jestem spalony. Nie mam dostępu do pieniędzy, nie mam domu, nie mam nic. Czegokolwiek pan chce, albo się zgodzę, albo mogę iść pieszo do tej tam, Pierduszoary, i stamtąd od razu zadzwonić z budki do University of Havoc.

– Uratowanie pana kosztowało sporo wysiłku, pieniędzy i starań – oznajmił Stelmach sucho. – Ludzie z Badland Solutions ryzykowali w tym celu życie. Kilku złych ludzi je straciło. Wszystkim nam byłoby przykro, gdyby to poszło na marne. Poza tym to nie ja pana wpakowałem w to szambo. Cokolwiek pan o mnie słyszał, to w tej sprawie poprosiłem tylko, żeby znaleźli kogoś takiego, o takich zdolnościach i w takiej sytuacji. Resztę wykreował pan sam.

Pokazał dłonie w obronnym geście.

– To nie jest zarzut. Nie mówię, że sam pan sobie winien. Przeciwnie. W przeszłości ludzie pańskiego zawodu też ginęli, usiłując ujawnić prawdę. Nie oni byli temu winni, tylko różne tyranie. Teraz jest tak samo. Wszyscy mają siedzieć cicho albo powtarzać slogany. Pan nie chce siedzieć cicho. Jest mi pan potrzebny nie dlatego, że pan nie ma wyjścia, tylko z powodu tego, co pan umie i kim pan jest.

Odepchnął się od stołu i spojrzał na Norberta z krzywym ironicznym uśmiechem.

– Jestem bilionerem – powiedział. – Poważnie. Jakbym chciał zatrudnić dobrego iwenciarza, żeby nakręcił mi cokolwiek... jak pan myśli, co bym musiał zrobić?

Strzelił palcami.

– Tyle...! Tak mniej więcej. Skol! – Uniósł szklanę. – Odupść pan sobie! Nie szantażuję. Przeciwnie, jeśli pan weźmie udział w moim przedsięwzięciu, to właśnie jako niezależny dziennikarz. Nakręci pan iwent, jak pan zechce. Tak obiektywnie, jak tylko pan potrafi. Żadnej cenzury.

– Zależy, co to ma być. Jakieś przejęcie władzy? Zamach?

Stelmach parsknął whisky. Odstawił szklanę i pochylił się nad stołem w stronę Norberta.

– Chcę ukraść Księżyc.

– Widziałem taką kreskówkę w dzieciństwie. „Ja, nikczemnik”, czy coś takiego.

– Też ją widziałem, dlatego to panu mówię.

– Chce pan ukraść Księżyc. A ja mam być jednym z tych żółtych potworków podobnych do czopka?

– Pan ma być sobą. Dokładnie jak w Dubaju, jak w tej cholerniej chińskiej knajpie. Tych żółtych stworków mogę wynająć, ile chcę. Jeszcze po jednym?

– To pańska forsa. Chętnie, ale równie dobrze mogę postawić kolejną kazachską.

Mam tu all inclusive, wie pan.

Stelmach skinął palcami, barman podszedł do nich, nalał whisky i postawił butelkę na stole.

– Powiem panu tak: większość ludzi sądzi, że to, jak świat wygląda, jest nienaruszalne. Stałe. Geopolityka, ustalenia między mocarstwami, nauki społeczne, Sunna, Nowosowiety, Europa, Chiny, Indie. Wbija im się to do głowy, uczy w szkole, wmawia w MegaNecie. Koniec. Świat jest zamknięty, karty dawno rozdane. Tylko główni rozgrywający mogą coś jeszcze ugrać. Światowy kontynent jako plansza. Koniec. Nie ma się o co szarpać, jeśli się nie należy do głównej ligi. Skończymy jako Kalifat? Prowincja Chin? Europy? Nowosowietów? To nie zależy od nas.

– Pan sądzi inaczej?

– Wiem, że założenie, iż układ geopolityczny jest wieczny, jest błędem. Historia pokazała to wiele razy, choćby pod koniec dwudziestego wieku. Wtedy też niby było pozamiatane i jeszcze chronione przez nuklearny overkill. I nagle w ciągu roku zmieniło się wszystko. A do czego, pańskim zdaniem, służy doktryna zrównoważonego rozwoju?

– Bo kiedyś zakładano, że ekonomia będzie rosła w nieskończoność, a to niemożliwe. Nie ma już tyłu zasobów.

– Więc musimy narzucić sobie zasady dobrowolnego ubóstwa i wegetować na resztkach. Marznąć, oświetlać się pneumatycznymi generatorkami, racjonować wodę, prażyć kawę z żołądźmi, klecić meble ze śmieci. Ale to dotyczy tylko niektórych. Chińczycy tak nie robią, Neosowietci też nie. Sunna oczywiście ma to gdzieś. Właściwie nikt poza Europą.

– I Ameryką Północną, i Australią. Chodzi o wyrównanie poziomów. Nie wiem, czy to mądre, ale tak mówią. Zlikwidować globalne rozwarstwienie, wprowadzić równomierną dystrybucję kapitału.

– Przez dystrybucję nędzy? I to jeszcze sztucznie wymuszoną? A co to pomoże tym, którzy już wcześniej byli biedni? Równie dobrze może pan sobie wydłubać oko, żeby ulżyć choremu sąsiadowi.

– A co możemy zrobić? Wszystko rozbija się o surowce i energię. Nie mamy źródeł energii. Za to mamy dług węglowy, który musimy spłacać. Mimo że się go już nie wydobywa.

– Nakręcił pan kiedyś film o ludziach, którzy go kopią mimo wszystko.

Norbert machnął ręką.

– Oni się grzali tym węglem. Jak w dziewiętnastym wieku. Nie byliby w stanie produkować prądu.

– A wie pan, że w tym samym rejonie, gdzie pan kręcił, działa spółka Baoshang National Energy i kopie ten sam węgiel?

– Oni nie mają regulacji dwutlenku węgla. Co z tym zrobić? Sam pan widzi: geopolityka.

Szaman uśmiechnął się tajemniczo i uniósł szklanke, a potem wyjął z kieszeni

przedpotopową fajkę z czarnego drewna i puszkę.

– Kiedyś, kiedy w Europie zrobiło się za ciasno, ludzie wsiedli na statki i popłynęli dalej. Kiedy nie można się dopchać do planszy, trzeba poszukać innej.

– O czym pan mówi?

– O tym, że kiedy brakuje ziemi, trzeba poszukać nowej. Kiedy technologia przestaje wystarczać do rozwiązania problemu, trzeba opracować nową. Kiedy brakuje paliwa, trzeba wynaleźć inne. To zabrzmiało jak przemądrzała gadka bilionera, ale nie ma przeszkód. Nie istnieją. Są problemy, które potrzebują rozwiązania.

Otworzył puszkę, wyciągnął szczyptę aromatycznych brązowych kłaczek i zaczął je wpychać do fajki. Wskazał Norberta cybuchem.

– Z innej beczki. Co by pan chciał robić jako iwenciarz? Po pańskich filmach widać, że nie szuka pan byle czego. Nie wystarczy, że ktoś zleci z oblodzonych schodów. Gdyby mógł pan robić, co pan chce?

– To trudne pytanie. Skąd mam wiedzieć, na co bym trafił? Chciałbym robić rzeczy ciekawe i istotne. Nie przejmować się regułami infoportalu i nabijaniem wyłącznie wejść za wszelką cenę. Chciałbym robić coś, co ma treść.

– A chciałby pan dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł wcześniej? Pokazać coś jako pierwszy iwenciarz w historii? Coś, czego nikt przedtem nie pokazywał? Niech pan to sobie wyobrazi. Gdyby ktoś taki jak pan mógł płynąć na statku Kolumba? Gdyby mógł pan pokazać ludziom stłoczonym po ciemku w blokowiskach, że można ruszyć poza horyzont? Że można znów oświetlić ich domy?

– Nadal nie mam pojęcia, o czym rozmawiamy. Jaki statek Kolumba? Gdzie miałyby popłynąć?

Stelmach wyjął z ust fajkę i dźgnął cybuchem w kierunku sufitu. Norbert odepchnął się od stołu i oparł wygodnie, patrząc na rozmówcę. Pokręcił głową powoli.

– Pan mnie wkręca. – Zrobił rękami bezradny gest wokół głowy. – Jak?! Za co?

Stelmach uśmiechnął się.

– Ludzie tam latali. W czasach, kiedy mogli tylko marzyć o technologiach, jakie my mamy na wyciągnięcie ręki.

– Ale przestali. Bo za dużo to kosztowało i było zbyt niebezpieczne. Pamięta pan tę misję marsjańską? Tych, co powariowali i pozabijali się nawzajem?! No i nic nie dawało. Organizować wycieczki za miliardy, żeby przywieźć parę kamieni? Państwowe agencje kosmiczne zajmują się bezzałogowym badaniem kosmosu, a nie „eksploracją”, bo to się nie opłacało. A panu się opłaca? Niby jakim sposobem?

Stelmach sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął cienki metalowy przedmiot. Lśniące trzynastocentymetrowe wrzeciono. Wręczył Norbertowi.

Ten wziął przedmiot do ręki i obejrzał. Był to bardzo stary, zabytkowy pisak. Ot, jak rysik do tabletu, tylko metalowy. Miał skuwkę do mocowania w kieszeni, przycisk, który wysuwał wkład, oraz mały okrągły guziczek z boku, który chował go z powrotem, z drugiego końca wytoczono cienkie bruzdy dla pewniejszego uchwytu.

– No, staroświecki pisak. Kulkopis się nazywał. Dwudziesty wiek.

– Długopis, ściślej rzecz biorąc. Połowa lat sześćdziesiątych. Fisher AG Siedem Space Pen. Zaprojektowany dla NASA. Po długotrwałych badaniach za kupę pieniędzy. Z zewnątrz to po prostu długopis, ale wkład jest hermetyczny i pod ciśnieniem. Działa w zero grawitacji, pod wodą, na zatłuszczonym papierze, pod każdym kątem, w szerokim zakresie temperatur, nie przecieka.

– Fajny zabytek. Dlaczego pan mi go pokazuje?

– Bo każdy program kosmiczny to było rozwiązywanie od zera miliarda takich problemów, których my nie musimy rozwiązywać. Przede wszystkim tak samo działa ołówek. Tamci nie byli tacy głupi, sami na to wpadli, ale bali się ówczesnych ołówków w drewnianej obsadce, bo jest łatwopalna, a ukruszony kawałek grafitu będzie dryfował w nieważkości, może się gdzieś dostać i narobić szkód. Podczas pisania powstaje grafitowy pył, który bez grawitacji będzie się unosił. Jest palny i przewodzi prąd. Ale tak samo jak ten w pocie czoła opracowany wynalazek działa dzisiejszy rysik w komplecie z tabletem i każdy współczesny cienkopis. Problem z głowy. To jest cząstkowa odpowiedź na pytanie „jak?”. Oczywiście ilustracja. Odpowiedź brzmi: znacznie taniej niż oni. Przykład. Każdy z ówczesnych astronautów szkolił się latami. To byli wybrańcy, pojedynczy z tysięcy ochotników. Uważano, że aby przetrwać lot w kosmos, trzeba kogoś o idealnym zdrowiu, niemal nadczłowieka. Turystyka orbitalna dowiodła, że wystarczy być w przyzwoitej kondycji i tyle. To, co panu proponuję, to tylko krok dalej.

– Tak pan mówi, jakby to było nic.

– Na orbicie jest teraz dwanaście hoteli. Niektóre to pic, kapsuły na parę osób, ale są. I odwiedzają je czasem nawet bajecznie bogaci emeryci. Prócz tego ledwo siedem stacji badawczych, wszystkie należą do prywatnych korporacji, i tylko cztery, powiedzmy, państwowe.

– No to co, bo nie rozumiem? Ile kosztuje pobyt w takim hotelu? Giga euro?

– W dwóch z tych hoteli mam udziały. Po prostu tam pana wyślę. A potem dalej.

– Nie wierzę.

Stelmach wskazał gestem bar i wszystkich gości.

– Ja tam byłem. Oni wszyscy tam byli.

– Oni wszyscy byli w kosmosie?

– Na Księżycu. To trzecia zmiana. Robotnicy budowlani w gruncie rzeczy. Budują tam hotel. Kosmoturystyka ma ogromną przyszłość, a ja jestem wizjonerem, proszę pana. Hotele na orbicie są dochodowe, to buduję kolejny. Większy i bardziej dochodowy. Tak oficjalnie.

– Ale jaki w tym sens?

– Istnieje pewien izotop. Powstaje tam na miejscu pod wpływem promieniowania kosmicznego. I jest potencjalnym paliwem. Doskonałym paliwem. W pewnym sensie nawet odnawialnym, bo tworzy go promieniowanie kosmiczne działające na księżycowy pył. Wiadomo o tym od początku wieku, tylko że wykorzystanie go to była teoria. Potrzebna była jeszcze technologia. Ja mam kilka instytutów badawczo-

wdrożeniowych i udało nam się ją opracować. Chwilowo to ja mam know-how. Oczywiście, prędzej czy później ta technologia zacznie być znana. Nie utrzymam monopolu długo i wtedy mocarstwa się ockną. Rzucą się na Księżyc jak głodni na pizzę. Zacznie się nowa era kolonizacji. Tylko że wtedy my już tam będziemy. I tym razem już nie damy się ubiec ani zepchnąć na boczny tor.

Norbert milczał przez chwilę, a potem wskazał dłonią w ciemny drugi koniec sali.

– Widziałem, jak odprawiali jakiś rytuał, chyba stypę po kimś.

Stelmach rozłożył ręce i pyknął z fajki. Jego dym pachniał suszonymi śliwkami i uciekał błękitnymi pasmami w stronę sufitu.

– Tak. Zginęło trzech ludzi. Były dwa wypadki. Zdarzają się. Nie będę pana czarował. To jest niebezpieczne. Ludzie giną na platformach wiertniczych, na morzu, w podmorskich habitatach, giną lotnicy, strażacy. W kosmosie i na Księżycu też będą ginąć. To nie są misje samobójcze, tylko niebezpieczna praca. Mniej więcej tak jak na polarnych trawlerach. Może trochę bardziej. Oficjalny program kosmiczny padł między innymi dlatego, że chciano go prowadzić w warunkach zupełnego bezpieczeństwa, ale tak się nie da. Po tragedii Jasona od razu założono, że ludzie wariują w przestrzeni. Tymczasem nie wiadomo, co tam się stało. Pan poleci jako oficer prasowy i nie będzie się pan pakował w zagrożenie, przynajmniej w granicach możliwości. Lecimy zdobywać nowe ziemie, nie można odpuszczać tylko dlatego, że komuś coś się może stać. Oczywiście staramy się wszystko przewidzieć, sprzęt jest testowany. Wszyscy są ochotnikami, sporo zarabiają, mają wysokie ubezpieczenia i pełną opiekę. Wiedzą, co ryzykują.

– Ja nie bardzo.

– Bardziej pan ryzykuje, zostając tutaj. Nawet nie to, że pana ktoś dorwie i zamorduje, ale że pan się wypali, dalej walcząc o sens swojej pracy. Świat będzie pana zmuszał do produkowania ekscytujących obrazków bez treści, a i tak jest pan bez szans wobec kogoś, kto zjeżdża wózkiem sklepowym do stawu. Ja proponuję panu zostać najbardziej znanym iwenciarzem na świecie. Kronikarzem mojego przedsięwzięcia. Proponuję nową tożsamość, płatny kontrakt, ubezpieczenie, sprzęt, a do tego wszystkie zyski z iwentów pozostają przy panu. Nie znam pańskich potrzeb, ale spokojnie ustawi się pan do końca życia. No i robi pan coś, co ma sens. Ile pan potrzebuje czasu do namysłu?

Norbert podniósł do ust szklanke i pociągnął dwa długie łyki. A potem wyjął z paczki papierosa i zapalił. Nic nie czuł. Zupełnie nic. Pewnie przez te plastry. Wyobraził sobie dwa dni rozterek i noce spędzone na przewracaniu się w pościeli i spacerowaniu po pokoju.

– Wchodzę w to – oznajmił.

Stelmach wyciągnął do niego dłoń.

– Jestem Szaman – oznajmił. – Po prostu: Szaman. Nie „pan Szaman”, a już szczególnie „prezes” czy coś takiego.

– A dlaczego „Szaman”?

– Kiedy byłem młody, ludzie uważali, że potrafię robić niemożliwe rzeczy.

Rec.9

To nie miała być randka, tylko spotkanie w interesach, ale i tak czuł przyjemne podniecenie. Nie spotykał się za często z kobietami tej klasy. W jego prywatnej tajnej klasyfikacji co najmniej osiem punktów na dziesięć. Ot, szczupła, długowłosa brunetka z wąskim, wypukłym nosem, mocną szczęką i migdałowymi, niewiarygodnie niebieskimi oczami pod wyraźnymi brwiami. Można by tak opisać miliony kobiet, lecz ta miała jakąś taką kombinację rysów, jak dostosowaną specjalnie dla niego, że aż go zatkało. Fizycznie. To było takie uczucie, jakby ją zawsze znał. W pierwszej chwili nawet za bardzo nie zrozumiał, co do niego mówi i o czym. Nie chodzi o to, że powszechnie uznano by ją za skończoną piękność. Tylko że była jak wyhodowana dokładnie pod wzorzec, który nosił gdzieś w sobie i nawet o tym nie wiedział.

Wrażenie było tak silne, że nabrał chęci, żeby położyć się gdzieś w cieniu. Nie przypominał sobie takich pensjonarskich reakcji u siebie. Reakcja posttraumatyczna? Skutki uboczne po lekach?

Dopiero kiedy sobie poszła, z trudem dotarło do niego, że zaprosiła go o jedenastej do sali klubowej przy werandzie. Żeby „załatwić formalności”. Że jest asystentką Szamana, że ma na imię Nikoleta, że jest Polką.

Zwalczył w sobie chęć ponownego wzięcia prysznicza oraz przebrania się, bo tak po prawdzie nie bardzo miał w co. Ostatecznie przyszedł do klubu godzinę wcześniej. Sala była kompletnie pusta, a kiedy Nikoleta weszła punktualnie o jedenastej, dziewczyna za barem opuściła stanowisko i zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Przyniosła kosztownie wyglądającą teczkę, usiadła naprzeciw, postawiwszy wpierw na blacie kawę, i uśmiechnęła się, ukazując duże zęby, na których jej wargi układały się we wspaniale zmysłowy kształt. Miała na sobie białą luźną sukienkę z surowego lnu i płócienne baletki. Błysnęła smukłą, jak projektowana w tunelu aerodynamicznym łydka. Zrozumiał, że jeśli będą toczyć jakieś negocjacje, to jest zgubiony. Zgodzi się na pracę w zamian za prawo do napisania dla niej wiersza albo coś w tym rodzaju. Musiał wziąć się w garść, i to zaraz.

– Jestem tylko posłańcem – oznajmiła – ale to będzie tak, jakbyś naraz spotkał Świętego Mikołaja, wielkanocnego króliczka i Wrózkę Zębuszkę. Właśnie obchodzisz najbogatsze urodziny w życiu. Zacznijmy od tego...

Wyjęła ze swojej teczki arkusz e-papieru i przesunęła na blacie. Aktywował go muśnięciem, dokument poinformował, że zawiera piętnaście stron tekstu.

– To są dane, które musisz zapamiętać. Wbić do głowy, śnić o nich. Nazywasz się Norman Rolsky. Właśnie zostajesz obywatelem Saint Lucii. To karaibska wyspa w

archipelagu Wysp Nawietrznych, część Małych Antyli. Miły klimat, rafy, morze, dżungle, czasem przyjdzie cyklon. Mieszkasz na przedmieściach Vieux Fort na południu. W dobrą pogodę możesz z okna zobaczyć Saint Vincent. Gratulacje, God save the king. Jak zobaczysz, biometryka zostaje praktycznie bez zmian. Musisz wykuć historię życia, informacje o nowym domu. Numery ubezpieczenia medycznego, PIN-y do kart kredytowych, kody i loginy. Jest tego trochę.

– Saint Lucia?! Karaiby?!

– Szczęściarz z ciebie.

– No ale na ile to jest legenda? Mam tam dom czy co?

– Jest tam wynajęty na firmę bungalow jako twoje mieszkanie pracownicze. Dostaniesz kartę do drzwi i możesz tam mieszkać. Tylko w najbliższym czasie będziesz w podróży służbowej, więc raczej nie będziesz miał na to czasu. Obywatelstwo jest absolutnie autentyczne. Paszporty i inne papiery też. Dzisiaj przyjdzie jeden koleś i zrobi ci zdjęcia, dokumenty dotrą za parę dni. Potrzebujemy też kodów dostępu do twojej dawnej chmury. Fachowiec będzie ci musiał sfabrykować jakąś przeszłość w Sieci. Zdarza się, że sprawdzają, czy MegaNet jakoś reaguje na podejrzaną tożsamość.

– Karaiby?!

Wzruszyła ramionami.

– Tam też mieszkają ludzie.

– Będziecie wchodzić na moją chmurę i nie namierzają was?

– Nie przesadzaj! Żaden z ciebie Abu Hamza. Zresztą oni są chciwi poczucia kontroli.

Uwielbiają co chwila krzyknąć: „ratunku, wilk!”. A odkąd wymyślili pojęcie „nowego terroryzmu”, jakby tego prawdziwego było mało, mają pewnie miliardy podejrzanych, a ich AI dławią się danymi. Oficjalnie nie podpadłeś, chciała cię dopaść jakaś lokalna sitwa. A ci mają silne przesłanki, że zostałeś skasowany. Pewnie kontrolnie załatwili sobie, żeby poszczuto na ciebie jakieś gończe boty, raczej rutynowo, i tyle. Raczej nie na skalę globalną. Dopóki nie zaczniesz się logować po staremu i witać ze znajomymi, nic się nie stanie. A nasz człowiek będzie umiał tam wejść i wyjść, nie trącając żadnych potykaczy ani dzwonek. Potrzebuje tylko trochę starych zdjęć, zresztą też do obróbki. Część tych rzeczy załatwi nasz fotograf, szykuj się na sesję zdjęciową. A teraz złap rysik i podpisz deklarację obywatelską, dokumenty zmiany nazwiska, papiery paszportowe, ubezpieczenie społeczne. Od tego punktu tutaj podpisujesz się nowym imieniem i nazwiskiem. Nie popierdziel tego, to jest autoryzowany rządowy dokument, raz złożonego podpisu już nie można skasować. Najpierw weź tablet i napisz sto razy „Norman Rolsky”. Przywyknij. Dobra, to ta część rozmowy, której nie było. Witam, panie Normanie. Teraz zajmiemy się twoim kontraktem na stanowisku terenowego konsultanta PR firmy SilverSands Co.

– Tak się nazywa firma Szamana?

– Tak się nazywa jedna z wielu firm Szamana. SilverSands zajmuje się operacją, w której weźmiesz udział. Najpierw lojalka...

Podsunęła kolejną połyskliwą kartkę z polimeru, zawierającą w sobie całą stertę

dokumentów. Lojalka zobowiązywała go do zachowywania ścisłej tajemnicy przekazanych mu informacji poufnych, tajnych, ściśle tajnych, ściśle tajnych specjalnego znaczenia. Długa lista konsekwencji złamania tego zobowiązania nie zawierała jakichś fizycznych gróźb, ale stanowiła zawiły spis sugerowanych konsekwencji prawnych, które przyprawiłyby Franza Kafkę o koszmary i załamanie nerwowe.

Podpisał.

Jak cyrograf. Pociągnął nawet lekko nosem, ale asystentka wcale nie pachniała siarką, tylko kwiatami bugenwilli, z lekko piżmową nutą gdzieś w tle. Kolejne strony wypływały ze srebrzystych głębin e-papieru, jakby wynurzały się spod powierzchni oświetlonej księżycem toni.

Umowa o pracę w ramach kontraktu. Firma SilverSands, stanowisko, horrendalnie wysokie z jego perspektywy uposażenie, ubezpieczenia, delegacje, fundusz operacyjny, zakres obowiązków.

Podpisywał i stawał się teoretycznie zamożnym człowiekiem, takim ze średniej menadżerskiej półki, i to w skali światowej, a z drugiej strony jeszcze nigdy w życiu nie był tak głęboko i bezlitośnie zatrudniony. Całe życie pracował jako wolny strzelec, co najwyżej na jakichś nieco lewych chwilowych kontraktach, i teraz czuł się, jakby stopniowo tracił tożsamość. „Świadomy przysługujących mi praw...” Coraz bardziej przypominało to pakt z diabłem.

„Jedzą, piją, lulki palą...” – przemknęło mu przez głowę, kiedy składał kolejny podpis swoim nowym nazwiskiem.

Norman Rolsky, public relations field consultant, media officer.

Długie i bizantyjskie, jak tytuł jakiegoś pośledniego średniowiecznego księcia.

Siedział tak naprzeciw najpiękniejszej diablicy, jaką widział w życiu, i skrzypiąc rysikiem po lśniącej tafli polimeru, bez końca podpisywał swój cyrograf.

Z drugiej strony zyskiwał prawa autorskie do wszelkich materiałów i pełnię praw do ich sprzedaży. Miał je sprzedawać jako zwykły iwenciarz i mógł zachować wszystkie zyski.

Zajął to prawie godzinę. W grach i filmach potępiony składał jeden podpis, a diabeł porywał pergamin, rechocząc szyderczo, i zniknął w kłębach siarki.

Nikoleta weszła za bar, krzątała się tam przez chwilę, po czym wróciła z tequilowym piwem dla siebie i lampką brandy dla niego. Sięgnęła do sąsiedniego stolika po szklaną popielniczkę z wtopioną reklamą prehistorycznych cygar i postawiła na stole.

– To trzeba uczcić. Witamy na pokładzie.

Zawahał się, a potem wyjął z kieszeni papierosy.

– A gdzie mentalność kolektywna, zdrowy styl życia, kodeksy korporacyjne?

– Uprawiam escrimę. Jem produkty organiczne, biegam. Wszystko jest dla ludzi. Nie ma przymusu. Poza tym jesteśmy u siebie. W bezpiecznym domu. Poza zasięgiem. Przyjmij, że pracujesz w dziwnej firmie. Teraz przejdziemy do przyjemniejszej części. Słyszysz dzwoneczki u sań? Nadlatuje Wróżka Zębuszka.

Wyjęła z teczki kolejny arkusz e-papieru.

– Następne dokumenty? – Starał się, żeby nie brzmiało to jak jęk.

– Te są inne. To katalogi. Potrzebujesz trochę rzeczy do pracy. Czas potrząsnąć świnką z twoim funduszem operacyjnym. To nie są katalogi taniochy operatorów sieciowych. Nie wybieraj rzeczy modnych i eleganckich tylko takie, które mają w opisie specyfikację MIL-STD-dziewięćset-H-sześćset. To są rzeczy certyfikowane dla armii i powinny wytrzymać wszystko. Upadki, wstrząsy, temperatury, pył, promieniowanie. Do samej pracy w terenie już na miejscu masz przygotowany specjalny sprzęt. Możesz szaleć, aczkolwiek w granicach rozsądku. Weź dwa omni: pancerny oraz solidny, ale wyglądający normalnie, do używania na co dzień. Ubrania turystyczno-surwiwalowe i coś eleganckiego i niezwracającego uwagi, w czym będziesz mógł się pokazywać na ulicy, w samolotach i hotelach. Coś pasującego do menadżera w podróży. Sam wiesz, co ci będzie potrzebne, zapisz też, jakiego oprogramowania potrzebujesz. Sprzęt masz dostać gotowy do pracy.

Dwa dni później zamówione rzeczy znalazły się w jego pokoju i to rzeczywiście było jak Boże Narodzenie. W jednej chwili miał tylko ubranie na grzbiecie i garść drobiazgów, a w następnej jego dobytek niemal wypełniał pomieszczenie dziesiątkami kartonów i paczek. Do wyniesienia rozbebeszonych pudeł, kłębów pęcherzykowej chityny i skrobiowych wypełnień potrzeba było trzech sprzętaczek. Jego stary, ukochany pancerny był zdolny do wytrzymania upadku z dwóch metrów albo przejechania przez ciężarówkę. Ten nowy prawdopodobnie można było rozjechać czołgiem, a potem wrzucić do krateru czynnego wulkanu i dalej by działał. Norbert miał aż dwa omni – wzmocnionego monolitha, który nie zwracał specjalnie uwagi, oraz wojskowego karbona z wielozakresowym kodowaniem sygnałów, na cztery karty i zabezpieczonego przeciw wszystkim plagom tego świata. Całą walizkę gadżetów dla iwenciarzy, o których dotąd mógł tylko pomarzyć.

Nawet kufry i buty miał specjalne, bo katalogi, które dała mu Nikoleta, zostały wystawione przez takie sklepy. Oferowały najrozmaitsze towary dla ludzi, których istnienie poza filmami sensacyjnymi wydawało się wątpliwe. Prawdopodobnie arktyczni górnicy byli tam najnudniejszymi klientami. Wszystko, nawet najgłupsze drobiazgi, było tam certyfikowane, poddane testom, wykonane z zapasem odporności. Istnienie niektórych miało sens, ale pozostałe wydawały się wyrafinowanym żartem. Nigdy na przykład nie podejrzewał, że istnieje coś takiego jak „taktyczny kufel”. Natomiast znalazł w ofercie i kupił sobie taki sam prehistoryczny kosmiczny długopis, jaki pokazywał mu Szaman. Zaskakująco tanio.

Nawet eleganckie ubranie, które wybrał, miało wzmocnione szwy, ukryte kieszonki i różne zaskakujące funkcje.

Producent kufrow i walizek dawał dożywotnią gwarancję na wszystko, cokolwiek mogłoby się zdarzyć, nawet na wypadek wojny i apokalipsy, z wyłączeniem tylko dwóch rzeczy: katastrofy lotniczej i działalności dzieci do lat siedmiu.

Czuł się dziwnie, odkrywając w sobie na nowo radość posiadania. Teraz był

Normanem Rolskym, konsultantem terenowym, cokolwiek to miało oznaczać, a Norman Rolsky ubierał się w sklepach dla agentów specjalnych, zapewne jadał w przyzwoitych restauracjach i otaczał się solidnymi, kosztownymi przedmiotami o potwierdzonej trwałości.

I, jak wiele na to wskazywało, skrycie i beznadziejnie podkochał się w asystentce swojego szefa.

Do tego jeszcze mieszkał na Karaibach.

Prawie pół godziny spędził, gapiąc się na elegancko wyglądające dokumenty wystawione przez rząd St. Lucii. Na własne dziwnie opalone oblicze, częściowo zasłonięte przez holo z efektownym godłem, przedstawiającym burbońskie lilie i róże Tudorów na przemian. Siedział i usiłował to wszystko ogarnąć.

Biały bungalow stojący na zboczu, w otoczeniu kłębow kwitnących bugenwilli.

Norman Rolsky.

To nie było takie proste jak na filmach. Wyglądało na to, że nieźle miesza w głowie. Już w tej chwili zdawało mu się, że patrzy na własną przeszłość jak na doświadczenia innego człowieka. Jego obecne codzienne, domowe rytuały nie miały wiele wspólnego z życiem, jakie toczył przedtem, a bardzo wiele z willą Muntenia. Przedtem masę energii poświęcał na konspirację, by wymykać się spod kontroli państwa opiekuńczego, i przechytrzenie systemu, ilekroć chciał zdobyć jakieś używki, produkty podlegające kontroli zdrowia, zarobić albo po prostu uzyskać odrobinę prywatności i zrobić coś, nie będąc obserwowanym. Daleko mu było do Mechanika, ale to była druga natura Norberta. Nawet specjalnie o tym nie myślał. Po prostu kombinował jak każdy.

Norman Rolsky w ogóle nie zaprzętał sobie tym głowy. Chyba nawet nie pamiętał, jak to się robi. Bardzo możliwe, że na St. Lucii nikt nikomu nie liczył kalorii, trójglicerydów ani jednostek alkoholu czy cukru. Być może tam każdy mówił, co chciał, i nie musiał przyczyniać się do spłacenia śladu węglowego po przodkach, długu publicznego, poświęcać się dla ekonomii zrównoważonego rozwoju ani budować wielokulturowego społeczeństwa. Diabli wiedzieli, jak było na St. Lucii. W każdym razie na pewno nikogo to wszystko nie obchodziło w prywatnej rezydencji Muntenia, położonej na zamkniętym terenie gdzieś w rumuńskich Karpatach.

Norman Rolsky nie szukał pokątnych sprzedawców organicznych produktów białkowych, bo znajdował je rano elegancko ułożone na półmisku. Jeżeli miał wieczorem ochotę na szklaneczkę, schodził do baru i ją zamawiał. Na razie na koszt firmy, a gdyby nawet kazano mu za to płacić, zarabiał dość, żeby się tym nie przejmować. W ogóle nie pilnował godzin, jeśli chciał się wykąpać, ani nie musiał czekać na włączenie prądu. Mieszkał w miejscu, które miało własne studnie i generatory.

To nie tylko była kwestia plastikowych kart z holo St. Lucii, ze zdjęciem, odciskiem palca, wzorcem DNA i innym nazwiskiem. Norman Rolsky i Norbert Roliński zamieszkiwali jeden mózg i chwilowo nie bardzo potrafili się porozumieć. Obaj martwili się, że zapadają na syndrom osobowości wielorakiej, i żaden nie wiedział, czy

można się tego tak po prostu nabawić.

Rzecz jasna, Norbert Roliński wiedział, że jest Norbertem Rolińskim, zwanym Fokusem, który odgrywa rolę Normana Rolsky'ego. Tyle tylko, że z nich dwóch to Rolsky miał dokumenty, pracę, mieszkanie i obywatelstwo, a nawet ubezpieczenie medyczne, a Roliński praktycznie nie istniał. Rolsky mógł w każdej chwili udowodnić swoją tożsamość, natomiast według wszelkich przesłanek Roliński został rozpuszczony w mieszaninie kwasów azotowego i ortofosforowego przez nigeryjską mafię University of Havoc.

No i był jeszcze mieszkający w środku, obudzony po ostatnim spotkaniu z Mechanikiem smok paranoi, który ani na chwilę nie pozwalał o sobie zapomnieć. Trochę przycichł w przytulnych pomieszczeniach Muntenii, ale teraz był zdania, że wpakowali się z jednego szamba w drugie.

Tajger pojawił się jak zwykle znienacka. Po prostu znalazł Norberta w barze i dosiadł się do stolika, sprowadzając jeszcze dwoje takich jak on – znacznie niższego faceta z ruchomym holotatuazem na barku i wygolonymi skroniami oraz dość krótko przyciętą brunetkę z wielkimi ciemnymi oczami, ustami w kształcie śliwki i drobnym, wyraźnym podbródkiem. Wszyscy troje w piaskowych spodniach z niezliczonymi kieszeniami – sam też już miał takie – oraz w ciemnych koszulkach z krótkimi rękawami.

– To są Fosa i Ptaker – wyjaśnił Tajger. – SilverSands przydzieliło cię oficjalnie do nas, więc ci dwoje zajmą się twoim treningiem. Twoja lekarka twierdzi, że fizycznie już się posklejałeś, a od wstrząsów traumatycznych masz plastry, więc jakoś się nadasz.

– Treningiem czego? – zapytał.

– Wszechstronnym treningiem wydolnościowym. Nie będziemy od ciebie wymagać Bóg wie czego, ale niańczyć też nie zamierzamy. Fosa jest kwalifikowanym psychologiem pola walki i zajmie się stroną psychofizyczną, a Ptakers kwestiami technicznymi. Chodzi o to, żebyś przeżył podróż i na miejscu był w stanie działać w terenie. Nie będziemy cię nosić.

– To będzie trochę jak w lunaparku – rzuciła Fosa. Miała uważne, głębokie spojrzenie. Jakby patrzył w dwie studnie. – Pojedziemy do paru parków rozrywki, pojeździsz na karuzeli, kolejką górską, te rzeczy.

– Mam kręcić film – powiedział.

– Ale w specyficznym miejscu. Trzeba trochę przygotowania. To jak wyprawa na biegun albo Everest.

– A konkretnie: co mam zrobić?

– Jutro o szóstej, w dresie, w recepcji. O szóstej rano.

Norbert westchnął. Życie Rolsky'ego nie zawsze było usłane różami. Przysadzisty Ptaker na razie milczał, splótłszy dłonie na blacie. Wokół jego barku leniwie wił się wypukły, barwny wąż.

– Spakuj się – oznajmił Tajger. – Na trzy dni, do małej walizki. Za parę dni gdzieś pojedziesz, i to może być nagle.

Zaczął się od biegania świtem, we mgle albo mżawce, po skalistych ścieżkach

dookoła Willi Muntenia. To nie tak, że Norbert w ogóle nie miał kondycji. Dużo chodził – taka praca, czasami po otrzymaniu paru ponagleń z ministerialnej apki zdrowia chadzał na basen albo siłownię, ale nie przepadał za tym.

Przez pierwsze kilka dni, kiedy Fosa dawała mu wreszcie spokój i pozwalała wziąć prysznic, a potem iść na śniadanie, czuł się, jakby obito go kijami. Własna przepecona twarz w lustrze wyglądała przerażająco, pokryta jakimś białymi i czerwonymi plamami, wszystko go bolało, ledwie się ruszał. Dotąd zazwyczaj uważał skrycie, że całe te treningi są piekielnie nudne. Teraz zmienił zdanie – tortury raczej nie są nudne. Fosa męczyła go jeszcze w środku dnia, w zakątku między skałami, gdzie wzniesiono niewielki tor przeszkód. Tam dla odmiany robił pompki, podciągał się na zimnym stalowym drążku, rozciągał ścięgna, aż zaczynały mu trzeszczeć. Jedyne efekty, jakie z tego płynęły, polegały na tym, że Norbert chodził jak zreumatyzowany starzec, a czuł się jeszcze gorzej. Do tego nie przypuszczał, że drobna dziewczyna będzie na niego wrzeszczeć tak obrzydliwie kaprańskim tonem.

Któregoś dnia zapytał, jaki będzie z niego pożytek, jeśli pozrywa ścięgna i przyczepy mięśniowe.

– To tylko rozgrzewka – odparła. – Łatwy dzień był wczoraj.

– Co ja mam tam robić?!

– Przeżyć – odpowiedziała. – Do tego przyda ci się trochę kondycji.

Trwało to czas jakiś.

Pewnego dnia, zaraz po nieprzyzwoicie wczesnym śniadaniu, Ptaker włożył mu do pokoju pokaźną kewlarową skrzynię, którą ciągnął na kółkach za teleskopową rączkę niczym przerośniętą walizkę. Wewnątrz wśród piankowych przekładek kłębiło się mnóstwo części z szarego plastiku, białej, połyskliwej tkaniny i czarnego tworzywa. Dopiero kiedy Norbert zobaczył hełm, dotarło do niego, z czym ma do czynienia.

Był taki sam jak ten, który ludzie z tajemniczego NIGHT SHIFT #3 ustawili kiedyś na stole w barze podczas stypy. Przypominał większą wersję kasku motocyklowego, z wizurą jedynie z przodu, a nie wielką przeźroczystą banią jak na filmach. W jakiś sposób dopiero ten widok uświadomił Norbertowi, co się święci. Do tej pory wydawało się, że to jednak jakiś bluff.

Smok paranoi zasyczał i wczłgał się gdzieś pomiędzy jelita.

– Strój roboczy – powiedział Ptaker. – Sprawa prosta. Musisz się nauczyć go zakładać samemu. Element po elemencie i kontrola po kontroli. Najpierw będę pomagał, potem ty sam. Pokazuję i omawiam...

Patrzył na szary, skomplikowany hełm z wystającymi niszami kryjącymi kamery, skanery, anteny łączności, patrzył i słuchał – system łączności bliskiego zasięgu, przesłona przeciwsłoneczna, przesłona opancerzona, przesłona uszczelniająca.

– Nawet jeśli osłona zostanie uszkodzona, nie stracisz ciśnienia. Sama się uszczelni. Nawet jakby ją ktoś przestrzelił.

Patrzył i słuchał. Z boku widniało trapezoidalne logo SilverSands, a na ciemieniu czarne litery ROLSKY. Osłona się uszczelni, gdyby ją ktoś przestrzelił. A co się będzie

działo w środku?

– Oczywiście to jest treningowa atrapa. Prawdziwy będzie dużo cięższy, ale tego nie zauważysz. Najpierw hełmofon. To zakładasz na spód: ochraniacze, czujniki, słuchawki. Dopasuje się pneumatycznie do hełmu, żeby ci łeb w tym nie latał i żebyś się nie rozwalil w razie jakiegoś wstrząsu o wnętrze. Naszymi hełmami można kręcić, normalnie jakbyś obracał głowę. Na kryzie masz elastyczne złącze. Ale zaczynasz od pieluchy. To nie do końca prawdziwa pielucha, ta część zewnętrzna jest wielorazowa, ta z przodu wymienna. Tu instalujesz kutasa, dociągasz rzepy. Zakładaj, bez krępacji. W warunkach polowych nie ma gdzie iść na stronę. Panuje tłok.

Rozebrał się do naga, a potem założył, starając się nie okazywać skrępowania. Pieluchomajtki były bardziej upokarzające niż niewygodne, ale i tak trochę przeszkadzały, tyle że nie były aż takie grube, jak się obawiał. Potem musiał wciągnąć jeszcze bieliznę – miękki kombinezon, szary, z nadrukowanymi jakimiś przewodami układającymi się w sieć na całym tułowiu, niczym linie chi do akupunktury. Zakładał się łatwo, ale chwilę później cały strój napiął się, jakby chciał go udusić. Teraz wyglądał jak chiński manekin lekarski.

– Zrobiło się strasznie obcisłe – powiedział.

– Dopasowane do zero g – odrzekł Ptaker, przyglądając się Norbertowi z rękami założonymi do tyłu. Wąż spłynął w dół jego ramienia, oplótł je, a potem schował łeb pod krótki rękaw. – Po jakimś czasie kręgosłup może się rozciągnąć nawet parę centymetrów, te galoty temu zapobiegają. Ściągają się, żeby trzymać cię do kupy. Do tego dochodzi zanik mięśni. Dlatego musisz przypakować, żeby było z czego zrzucać, i to mimo że się na miejscu ćwiczy. Kiedyś, w dawnych czasach, po miesiącu na orbicie ludzie nie mogli wstać, wozili ich na wózkach, przechodzili fizjoterapię. Na miejscu będzie łatwiej, mamy tam zero szesnaście g, jest trochę jak w wodzie, ale zawsze. I tak trzeba ćwiczyć.

Nawet skarpetki były jakieś wyrefinowane, grube, z przewodami i z kilku warstw. Hełmofon ze słuchawkami zewnętrznymi miał miękkie boki i sztywną ochronną płytę przez ciemię.

– Kiedyś to szyli na miarę i kosztowało kosmos. My mamy cztery rozmiary i same się dopasowują. Jak nie masz dziwnych proporcji, od biedy możesz założyć cudzy skafander i jakoś to pójdzie. Teraz portki.

Dolna część była połączona z butami, gruba i jakby skurczona, od góry zakończona szeroką obręczą z metalu i laminatów. Norbert włożył stopy w obszerne buty i podciągnął obręcz do pasa, rozciągając nogawki.

– Teraz góra – ciągnął Ptaker. – Normalnie będzie na stelażu z uniesionymi rękawami. Wchodzisz w buty, naciągasz gacie, wsuwasz się od dołu w UTA, to ta górna część, i spinasz w pasie. Przytrzymam ci to, nie wziąłem stelaża, bo za wielki.

Wsunął się w górną część kombinezonu, która objęła go śliską, miękką wyściółką, głowa precyzyjnie się przez owalny, sztywny kołnierz wznoszący się nad karkiem.

– Teraz musisz sięgnąć do górnej części pasa kciukami, a do dolnej palcami. Nie tutaj,

przed biodrami masz takie uchwyty, samo się spasuje. Dobra, teraz obrót w lewo. Proste jak zakręcanie słoika.

Coś szczęknęło, obie części złączyły się, wewnętrzna wyściółka nadęła się lekko, wypychając kombinezon. Było mu miękko, ale i tak czuł się, jakby zamknięto go w manekinie do testów zderzeniowych. Wyobraził sobie zakręcanie słoika w warunkach zero grawitacji.

Z hełmem było ciężiej, dopóki nie wyczuł, jak umieścić ciężką banię na przewodnicach kołnierza. Majstrował nim, kręcąc to w jedną, to w drugą stronę, aż nagle jakieś przewodnice trafiły na miejsce, hełm sam przekręcił się lekko z trzaśnięciem i siedział. Coś się w nim znowu nadęło, stabilizując Norbertowi głowę.

Grube rękawice nakładało się podobnie, obręcze na nadgarstkach zaskoczyły i obróciły się.

Potem zakładał zbroję, wielowarstwowe skorupy na golenie, kolana i przedramiona, stabilizując je klamrami i paskami gekko. O dziwo, palce pancernych rękawic zrobiono tak, że w jakiś sposób czuł, czego dotyka. Na czubkach palców miał elastyczne wystające końcówki i chyba od biedy dałoby się w tym obsługiwać klawiaturę.

– Teraz LSU – oznajmił Ptaker, stawiając do pionu obszytą szorstką pancerną tkaniną skrzynkę z jakimiś uniesionymi ukośnie w górę osłonami, jak pokrywy żuka. – To jest Live Support Unit, system podtrzymywania życia. Twoje ciepło, woda i powietrze. Coś, co ma dożywotnią gwarancję.

– To znaczy? – Mimo uniesionych przesłon głos brzmiał głucho, jak z wiadra.

– Zepsujesz, umrzesz. – Ptaker uniósł plecak ze stęknieniem i przyłożył Norbertowi do sztywnej płyty na plecach. Coś kliknęło, coś zapięło się z trzaskiem i wydało pneumatyczne fuknięcie. Podniesione płyty opadły mu na barki i zatrzasnęły się na piersi. Kolejne wygięte elementy objęły biodra i dopasowały się z ostrym kliknięciem. –

Zamknij pierwszą przesłonę. Sięgasz do uchwyty i ciągniesz w dół. Otwierasz z WRC, nadgarstkowego panelu sterowania, CPU, głównego panelu, który masz na piersi, albo awaryjnie ryglami, które masz pod pokrywami na osłonie szcękowej.

Norbert pociągnął w dół. Osłona o skomplikowanym kształcie zjechała mu na twarz i zatrzasnęła się. Natychmiast zaczęło go swędzieć ucho uwięzione pod muszlą słuchawki i skrzydełko nosa. Potem też prawa brew. Odruchowo uderzył rękawicą o pancerną przyłbicę. Jego oddech szumiał jak odległe morze.

Zaświergotała melodyjka, jak odgłos bambusowych dzwonek wiatrowych, na wewnętrznej stronie przesłony wykwitło logo SilverSands, potem posypały się zielone litery kodów maszynowych, błysnęły rzędy jakichś ikonek.

– Kontrola systemów zakończona – oznajmił damski głos. – Kontrola szczelności zakończona. LSU gotowość operacyjna. Tlen sto procent. Bateria sto procent. LCVG gotowe, nieaktywne, różnica temperatur zero procent. CPU wszystkie systemy sprawne. Komunikator sprawny we wszystkich zakresach. LMU pięćdziesiąt sześć A jeden Gladiator w gotowości operacyjnej. Do rezerwy: dziewięć godzin, pięćdziesiąt osiem minut. Operator Rolsky, tętno podwyższone, systemy życiowe w normie.

Ptaker zrobił gest otwierania połączenia głosowego w pobliżu swojego omni przy pasie. Norbert usłyszał, jak coś piknęło mu w uchu.

– Wygląda, że działa. Wygodnie?

– Kurde, samo stanie w tym to wysiłek.

– Przesadzasz. Jest trzy razy lżejszy niż te z początku wieku. Nawet LSU było wtedy jak szafa. Poruszaj się, zobaczysz. Możesz kucnąć, usiąść, wstać, podnieść coś z ziemi. Pomachaj rękami. Tamci w pozycji wyjściowej mieli je wywieszane do przodu jak kangury.

Poruszył się, pochylił i przykucnął. Bardziej czuł, niż słyszał, jak klekocą skorupy zewnętrznego pancerza. To było jak gimnastyka z plecakiem, ale dało się wytrzymać. Aż stracił równowagę i runął bokiem na podłogę, hełm grzmotnął o ziemię, ale hełmofon i wewnętrzne wkładki zmieniły to w elastyczny wstrząs, jak piśszczotliwy klaps rękawicy bokserskiej.

– I dobrze, jest okazja przećwiczyć – oznajmił Ptaker. – Wstajemy. Przekręcasz się na bok, podciągasz kolana, potem grzbietem do góry i wstajesz.

– Jak w tym cokolwiek zrobić?

– Się chce, to się da radę. Przywykniesz. Mieliśmy faceta, który tak się przyzwyczał, że zapomniał hełmu, wychodząc. Zatrzymali go w służbie, bo jego CPU narobiło wrzasku, kiedy już zrzucił ciśnienie. Dobra, rusz teraz językiem po podniebieniu.

– Co?!

– Językiem po podniebieniu, kurna, którego słowa nie rozumiesz, żołnierz?! Znaczy ten... sorry... No rusz. Łaskocze, ale przywykniesz.

Poruszył, zastanawiając się, do czego jeszcze będzie musiał przywyknąć. Na wklęsłej przesłonie pojawił się kursor.

– Widzisz kursor? Najedź na ikonkę ze skafandrem i kłapnij zębami, nie przygryzając języka. Językiem sterujesz, kłapnięcie to enter. Jak w tych dziadkowych pecetach z myszkami. Otwórz zakładkę LMU, to znaczy Lunar Mobility Unit, to jest to, co masz na sobie, kliknij na HVA, Helmet Visor Assembly, dalej „open”. Potem znowu LMU, „system off”. To jest system awaryjny, jakbyś nie mógł sterować gestami. Możesz mieć czymś zajęte ręce.

Zasyczało, osłona skoczyła do góry i znikła pod okapem hełmu. Poczul na policzkach chłodne powietrze.

– Dobra, zdejmuj. Na wszystkich złączkach masz pod przesłonami rygle. Podnosisz je, potem wszystkie czynności w odwrotnej kolejności. Pieluchę możesz zostawić.

– Po co?

Ptakers spojrział w górę i w prawo.

– Godzina dwadzieścia sześć minut. Tyle ci to zajęło, i to z moją pomocą. A masz to robić sam, i to szybciej, niż potrwa striptiz od tyłu. To tylko jeden ze sposobów zakładania LMU. Można jeszcze spiąć wszystko i odchylić częściowo zamontowane LSU, wtedy wchodzisz do całego kombinezonu przez plecy. Potem zamykasz plecak jak drzwi, hełm i gotowe. Ale do tego dojdziemy. Na razie zakładasz klasycznie i schodzimy

poniżej dziesięciu minut.

Norbert zdjął hełm i położył go ostrożnie na stoliku do kawy, raczej w obawie o stolik.

– Nie ma sprawy – oznajmił zrezygnowanym tonem. – Kiedyś w trzy dni nauczyłem się podawać do stołu w pięciogwiazdkowej restauracji.

– Jeśli to był serwis VIP-owski, to szacunek – powiedział Ptaker.

Przez pierwsze dni podczas zaprawy Norbert wymiotował ze zmęczenia, na pusty żołądek, żółcią. Potem dostawał bolesnej kolki w przeponie i bolały go wszystkie mięśnie, nawet takie, o których nie miał pojęcia, że w ogóle istnieją, na przykład pomiędzy żebrami. Tak zaczynał każdy dzień.

Później przez kilka godzin zakładał i zdejmował skafander, a potem jeszcze biegał w nim po ogrodzie, czując się jak uciekinier ze szkolnego przedstawienia.

Jeszcze później zakładał displej i ślęczał nad symulacją, ucząc się wszelkich możliwych funkcji swojego nowego stroju. Miał trzy panele sterujące: na nadgarstku, na piersi i wewnątrz hełmu. Noszenie kombinezonu przypominało noszenie na sobie kokpitu bojowego myśliwca. Symulacja wymyślała mu przeróżne sytuacje awaryjne i podsuwała rozwiązania. Uczył się, jak wymieniać baterie i zbiorniki z tlenem, jak wymieniać pochłaniacze dwutlenku węgla, jak załatać nieszczelność powłoki, jak korzystać z systemu łączności, jak obsługiwać służbę powietrzną. Kiedy coś opanował, powtarzał zadania na panelach sterujących prawdziwego skafandra, który miał własny program edukacyjny. Przypominało to piekielnie skomplikowaną i nudną jak sto nieszczęść grę. Trudne było nawet obsługiwanie wbudowanych w hełm czterech latarek o różnych trybach świecenia.

W każdym razie był zajęty, ale dobrze sypiał i stopniowo przestał naklejać uspokajające plastry. W końcu wystarczyło, że raz na kilka dni strzyknął sobie do nosa uspokajającym aerozolem.

Dawali mu spokój tylko w weekendy, wtedy mógł odetchnąć, ale i tak chodził wiecznie niewyspany. Dlatego kiedy zamiast pędzić go po ogrodzie wokół pensjonatu, Fosa pozwoliła mu pójść na symboliczne śniadanie, upierając się, żeby zjadł tylko płatki i wypił kawę, a potem zapakowali go do busa i ruszyli gdzieś, czuł się jak na szkolnej wycieczce.

Nijaki, szary minibus z przyciemnianymi szybami normalnie przewoziłby co najmniej kilkanaście osób, ale Norbert już przywykł, że wśród tych ludzi nic nie było tym, na co wyglądało. Wnętrze przypominało raczej limuzynę, brnęło się tam w puszystej wykładzinie, foteli dla pasażerów było tylko sześć i każdy zajmował tyle miejsca, co cztery normalne. Przy fotelu znajdował się składany stolik, w zasięgu ręki był dystrybutor z napojami, a nad głową opuszczany ekran. Oprócz kierowcy i Norberta jechali Ptaker i Fosa oraz jakiś facet, którego nie znał, a który przedstawił się jako Nurek.

Ledwie ruszyli, kołysząc się na górskiej drodze przez las, Norbert rozłożył fotel, zapadł się w skórzaną siedzisko i natychmiast zasnął, ukołyszany kroplami deszczu na

szybie.

Ocknął się gdzieś po trzech godzinach, kiedy stanęli na jakimś pustkowiu. Droga z betonowych płyt kończyła się bramą z pustą betonową strażnicą, w obie strony ciągnął się obwisły płot z siatki zwieńczonej spiralami drutu żyletkowego, za płotem zaś rozpościerało się równe, porośnięte trawą nic i majaczyły tam we mgle szare, płaskie budynki.

Nigdzie w zasięgu wzroku nie było nikogo ani niczego godnego uwagi. Tylko mgła i mżawka. A jeszcze dalej ciemna linia lasu i góry.

Siedzieli.

Na bramie wisiały dwie blaszane tablice. Jedna z napisem FORȚELE AERIENE ROMĂNE, 71 BAZĂ AERIANĂ CMPIA TURZII i niebiesko-żółto-czerwonym kręgiem, a druga z przekreślonym człowieczkiem i groźnie wyszczerzonym hasłem ZONA MILITARĂ TRECEREA OPRITA. Człowieczek miał nienaturalnie wielką głowę, ale po bliższym przyjrzeniu się wyszło na jaw, że to otwór po kuli, która przebiła blachę i zerwała plamę farby dookoła.

Kamery pod dachem stróżówki wyglądały na obwisłe i martwe, jak wszystko wokół.

– Co robimy? – zapytał Norbert.

– Czekamy – odpowiedział Ptaker.

– Ale po co tu przyjechaliśmy?

– Na karuzelę.

Kierowca zachmurzył cyberetkę, więc Norbert sięgnął po swoją.

Gdzieś pomiędzy budynków wynurzyła się kanciasta terenówka, mignęła światłami i podjechała do bramy. Kierowca zrobił gest otwierania połączenia i powiedział kilka zdań po rumuńsku, z terenówki wysiadł facet w cywilnym ubraniu i wszedł do wnętrza pustej stróżówki. Przez chwilę nic się nie działo, po czym brama zaczęła się odsuwać na przeraźliwie skrzypiących rolkach. Potem facet wrócił do swojego samochodu, zawrócił i poprowadził ich drogą pomiędzy budynkami.

Mijali pokryte popękany betonem pasy startowe, gdzie ze szczelin wyrastały małe drzewka, porośnięte trawą walcowate hangary, za odsuniętymi pancernymi grodziami majaczyły tępe dzioby przeraźliwie starych, dwudziestowiecznych sowieckich myśliwców.

Nigdzie żywego ducha, minęli tylko kilka autodronów pokrytych aktywnym kameleonim kamuflażem, które toczyły się na żłobionych oponach, a potem stawały i unosiły moduł bojowy, odprowadzając ich spojrzeniem skanerów i sześciolufowych działek, jak śmiercionośne, szybkostrzelne bociany.

Podjechali pod jakiś budynek i dopiero tam kręcili się jacyś ludzie.

Ptaker i kierowca wysiedli, zostawiając działający silnik i odsunięte boczne drzwi, pogadali z tamtymi, coś im wręczyli, jeden z tamtych pokręcił głową. Zamienili kilka zdań, a potem ktoś się roześmiał i podał Ptakersowi dłoń.

Fosa, która wstała z fotela, wypuściła powietrze z płuc i usiadła z powrotem. Norbert zauważył w jej dłoni masywny pistolet, który schowała teraz, jakby wcisnęła go w fotel.

Coś kliknęło i broń zniknęła bez śladu.

Kierowca skinął dłonią, silnik zgasł.

Wewnątrz budynku było pusto i względnie czysto, ale i tak czuło się atmosferę opuszczenia. Minęli kilkoro zamkniętych drzwi z tajemniczymi napisami, a potem zeszli po schodach. Głęboko. Nic tu niby nie przypominało opuszczonej fabryki, do której zawlekli go Nigeryjczycy, ale i tak Norbert zaczął czuć się dziwnie. Wąż paranoi ścisnął mu jelita.

Wyszukał inhalator w kieszeni kurtki i wcisnął dawkę do każdego nozdrza. Lek zaczynał działać mniej więcej po minucie.

Trzy piętra niżej znaleźli się w pomieszczeniu przypominającym jakieś centrum kontrolne. Rzędy pulpity i ekranów, wielkie czarne przełączniki, metalowe tablice, wszystko jak z historycznego filmu o zimnej wojnie, poza tym że dostawiono tu parę wojskowych pancerników i tabletów.

Przy pulpitych siedziało kilku ludzi w cywilnych ubraniach, pośrodku stał wysoki, chudy facet koło sześćdziesiątki, z krótko ostrzyżonymi włosami barwy popiołu, w ciemnej marynarce i koszuli.

– Witamy państwa w Siedemdziesiątej Pierwszej Bazie Lotniczej Câmpia Turzii – oznajmił sztywnym angielskim. – Jak państwo widzą, nieczynnej, ale sprzęt jest sprawdzony i sprawny, bez obaw.

Norbert zaczerpnął powietrza i wypuścił je powoli. Nic go nie łaskotało ani nie ścisnęło w dołku. Sprej zadziałał.

– Tych z państwa, którzy biorą udział w badaniu, proszę o przejście do szatni i dopasowanie kombinezonów.

– To pewnie ja – powiedział Norbert.

– Ja też – odparł Nurek.

W szatni na stelażu wisiał rząd oliwkowych kombinezonów, a pod nimi czarne, wysoko sznurowane wojskowe buty.

– Wiesz, o co tu chodzi? – zapytał Norbert, ściągając spodnie i bluzę.

– Nie powiedzieli ci? To fiuty! – zdziwił się Nurek. – Właściwie politycznie poprawnie byłoby stwierdzić: „fiut i cipa” – dodał. – W czasie podróży na górę będziemy mieli przez parę minut siedem g. Trzeba sprawdzić, czy to wytrzymamy. Idziemy na wirówkę przeciążeniową.

– Super – oznajmił Norbert, zmagając się z nogawkami kombinezonu. – Ta baza to zabytek. Ktoś gwarantuje, czy to wszystko się nie rozleci?

– Nie. I to jest najlepsze. Oficjalnie nas tu nie ma. Ba! Nikogo tu nie ma.

Kiedy wrócili do sali kontrolnej, dostali po plastikowym bidonie wody, a jakiś łysiejący na ciemieniu, niski facet o ciemnej cerze skontrolował ich stroje, szarpiąc za fałdy, a najbardziej interesowały go lampasy z płataniną elastycznych rurek wzdłuż boków nogawek i rękawów.

– Dociągnąć – nakazał. – Musi być ciasne. Zatrzymać krew w twoich rękach i nogach. Kiedy masz prędkość, krew idzie z głowy na dół, do twoich nóg. Nieprawidłowo.

Nokaut. Woda do kieszeni lewa strona na twoim fotelu.

– Kto pierwszy?

– Może ja – oznajmił Norbert, sam się lekko zaskakując. – Głodny jestem.

– Jeszcze się będziesz z tego cieszył.

– Proszę do komory wirówki. Technik pomoże panu zająć miejsce w kabinie.

Komora była wielką okrągłą salą z oknami pod sufitem, przez które Norbert widział gapiów w pomieszczeniu kontrolnym. Pośrodku wznosił się gruby metalowy walec, przyciśnięty sterującym w bok kratowym wysięgnikiem, jak ramię dźwigu, zakończonym wrzecionowatą, kanciastą kabiną. Po przeciwnej stronie wysięgnik był krótszy i zakończony potężnym obciążnikiem. Do kabiny wchodziło się po wąskich aluminiowych schodkach. Wśliznął się na fotel i sięgnął po pasy. Technik wychylił się z drabinki i pomógł mu je zapiąć, a potem dociągnął.

– Wszystko w porządku?

Norbert podniósł kciuk.

– Good luck. – Facet zamknął właz i szczęknął ryglami. Fotel był dość twardy, ale wygodny.

Przed Norbertem zapłonął jakiś ekran. Sądząc po wyposażeniu sali kontrolnej, spodziewał się mechanicznych okrągłych zegarów, ale najwyraźniej urządzenie ktoś zmodernizował.

Założył hełmofon, znacznie mniej wyrafinowany niż z jego kombinezonu.

– Domnule Fokus, słyszy mnie pan? – rozległo się w słuchawkach.

– Głośno i wyraźnie.

– Za chwilę zaczniemy. Kiedy pojawi się przeciążenie, musi pan pamiętać o oddychaniu. Nabranie powietrza będzie trudne. Musi pan to zrobić, pomagając sobie okrzykiem. Dźwiękiem przypominającym „hiik!”. Potem zatrzymuje pan powietrze w płucach przez trzy sekundy, napinając mięśnie przepony, i wypuszcza. Będę odliczał. Na fotelu pod prawą ręką jest duży czerwony przycisk „alarm”. Użyje go pan, jeśli nie będzie w stanie wytrzymać albo zacznie się dziać coś niepokojącego. Zrozumiał pan?

– Tak jest.

Kabina miała okna, ale nie za wiele tam było do podziwiania: białe ściany, rząd okien, obciążnik z drugiego boku.

– Dobra, zaczynamy. Gotów?

– Gotów.

– Badanie przeciążeniowe, ochotnik Fokus, SilverSands. Zaczniemy spokojnie, trzy g przez minutę. Cztery, trzy, dwa, jeden, start!

Rozległ się wizg pędnika i kabina skoczyła do przodu, przyspieszając z każdym obrotem. Poczul szarpnięcie pasów, pociągnęło go w bok, a potem wbiło plecami w fotel. Wrażenie było takie, jakby spadł na niego wielki balon pełen wody, zgniatając mu klatkę piersiową i rozplaszczając twarz.

– Wdech! – zawołał operator.

Norbert zipnął, wciągając powietrze i słuchając odliczania, a potem dosłownie je

wypluł. A potem znowu. Przez nieskończone sekundy zajmował się wyłącznie oddychaniem. Wbijaniem powietrza do płuc z rozpaczliwym szcęknięciem, a potem wyrzucaniem go na zewnątrz. Poza kabiną wszystko zmieniło się w białoszary rozmazany wir.

Wydawało się, że to trwa bez końca, ale wreszcie wizg wirówki zaczął opadać do niższego tonu, rozgniatający Norberta balon zaczął tracić wodę i stawać się coraz lżejszy.

A potem zrobiło się normalnie i okazało się, że to cudowny stan.

– Jak się pan czuje?

– Zdrętwiała mi twarz i dłonie. I kręci mi się w głowie.

– To normalne. Proszę poruszyć szczękami i palcami. Widzi pan normalnie?

– Teraz tak. Trochę mi pociemniało, ale przeszło.

– Możemy kontynuować?

– Tak jest!

Gdzieś w tle ktoś krzyknął: „Brawo, kurna! Wódz!” i „Dasz radę!”.

– Dobrze, spróbujemy pięć g przez trzy minuty.

Norbert wiedział już, czego się spodziewać, ale tym razem było gorzej. Nie przygniatał go już balon z wodą, tylko mały słoń. Oddychanie stało się rozpaczliwym wysiłkiem, przepona zaczynała go już boleć, wymagane przez kontrolera „hiik!” zmieniło się w jakieś chrapliwe, nieartykułowane wrzaski, czuł, jak jego twarz rozpląszcza się niczym wosk i rozciąga na boki.

Kiedy wirówka wreszcie zwolniła, miał wrażenie, że jest workiem luźnych części. Przez jakiś czas oddychał rozpaczliwie, przepłukał wyschnięte usta i gardło wodą z bidonu, brzeg pola widzenia pociemniał. Ustępowało to powoli, razem z piskiem w uszach, przed oczami latały mu srebrne iskierki. Dochodził do siebie przez kilka minut, potrząsając głową niczym byk, który zderzył się ze ścianą.

Gdy kontroler zapowiedział „siedem g przez pięć minut”, w sali panowała głucha cisza. Kiedy Norbert wydusił z siebie „dobra, zaczynamy!”, rozległy się wrzaski i owacje, aż wytworny prowadzący zmuszony był powiedzieć: „Ależ, proszę państwa!”.

Było jak za pierwszym razem, zaraz potem jak za drugim, a potem zupełnie już koszmarnie. Dopóki widział, wykres na ekranie wspiął się do pozycji siedem g w ciągu trzech sekund, a później sunął przed siebie z upiorną powolnością. Słonik został zastąpiony przez swoją mamę, każdy wdech na rozkaz był jak łykanie powietrza, a wydech jak nadmuchiwanie dętki od traktora. Plama mroku pożerała pole widzenia z boków, przez pisk w uszach ledwie przedzierało się: „Wdech! Trzy, dwa, jeden! Cztery minuty!”. Pogratił sobie, że tuż przed badaniem poszedł do toalety. Przypomniawszy sobie o czerwonym przycisku, ale wydawało się, że nie jest w stanie udźwignąć palców przylepionych do podłokietnika. Nagle pomyślał, że bogaci emeryci dają radę, i uparł się, że wytrzyma. Słyszał też chóralne odliczanie minut przez gapiów. Postanowił pokazać nieznośnej Fosie i Ptakersowi, co jest wart. Wyrwać się z roli fajtłapowatego cywila. Najpierw odliczali co minuta, potem w ostatniej co dziesięć niekończących się

sekund, kiedy z kwikiem wpychał do ust powietrze, jakby rodził. Ostatniego odliczania, co sekunda, jakby właśnie nadchodził Nowy Rok, zmieszanego z wrzaskami „dasz radę!”, oklaskami i skandowaniem jego imienia, właściwie nie słyszał. Świat utonął w pisku i kosmatym mroku, Norbert ocknął się po chwili z zamierającym wizgiem pędników, zaczął słyszeć szum powietrza za każdym razem, kiedy kabina mijała stojącego za barierą technika. Hamowanie pociągnęło Norberta do przodu, napinając pasy. Kabina podjechała pod podest, szczęknęły rygle luku, usiłował rozpiąć pasy, nie mógł trafić dłońmi na klamry. Wirówka stała przy schodkach, ale cała kabina i techniki kręcili się nadal. Tamten pomógł mu wstać, wyprowadził na stopnie, na których nogi wydawały się zginać w zupełnie niewłaściwych kierunkach.

Został sprowadzony na dół i stał przez chwilę nieprzytomnie, trzymając się poręczy.

A potem zwinęło go wpół i zwymiotował.

Wodą.

Do plastikowego wiadra, które ktoś przezorny postawił obok stopni.

Norbert klęczał, opierając dłoń na ziemi, a drugą kurczowo trzymając się schodków, bo inaczej zwałiłby się na bok. Najgorsze i tak miał za sobą, więc postanowił za wszelką cenę trzymać fason. Starannie przepłukał usta wodą z bidonu, wypływając ją do wiadra, a potem wstał z trudem i zataczając się jak pijany, wspiał się do sali kontrolnej.

Na górze przywitały go chóralne owacje, poklepywania po plecach, na koniec kazano mu się odwrócić i każdy z zespołu wymierzył Norbertowi kopniaka w tyłek. Zrozumiał, że to jakiś rytuał, i uśmiechał się tylko, mimo że wcale nie były to symboliczne kopnięcia. Na koniec Fosa znienacka objęła jego twarz dłońmi i pocałowała w usta, przy wtórze dzikich wrzasków pozostałych. To wcale nie był siostrzany pocałunek, poczuł jej język i odwzajemnił pieśczętę, obejmując dziewczynę.

Rumuni przy pulpitach patrzyli na to z kamiennymi twarzami.

Kiedy wracali do pensjonatu, czuł się jak stratowany przez stado krów, ale jednocześnie dumny z siebie. Tamci niby zachowywali się w stosunku do niego tak samo jak przedtem, ale pojawiła się jakaś nuta elementarnego szacunku. Jakby przestali go traktować jako całkowite nieporozumienie i zbędny balast.

A od następnego ranka znowu zakładał kombinezon, co zajmowało mu teraz około dziesięciu minut, biegał po skalisto-leśnym terenie pensjonatu, robiąc przerwy na pompki i brzuszki, podciągał się w mżawce na drążku, ale obecnie wydawało się to raczej nudne niż bolesne. Przestał wymiotować z wysiłku, nie zwijał się już z bólu z powodu kolki i był w stanie zrobić dwie serie po pięćdziesiąt pompek. Fosa go nie chwaliła, ale też znacznie rzadziej wrzeszczała. Najwyraźniej nie uważała, że coś osiągnął, tylko doszedł do poziomu, od którego można go było uważać mniej więcej za istotę ludzką.

Któregoś dnia rano znów kazano mu się zapakować do busa i udali się na kolejną wycieczkę. Do następnej „zona militară”, będącej po prostu ogrodzonym kawałem lasu, znów ktoś przyszedł otworzyć bramę, ale potem zostali sami. Podjechali leśną drogą wyłożoną krzywo betonowymi płytami na pokaźną polanę, zakończoną piaszczystym

ziemnym nasypem.

Wyglądało to jak polowa strzelnica.

Ptaker wyładował z busa oliwkową kewlarową skrzynię, ukląkł, trzasnął zamkami.

– Strzelałeś z czegoś kiedykolwiek? Nie chodzi o gry.

– Przecież to zakazane.

– Ale ja się poważnie pytałem.

– Dwa razy. Raz z pistoletu do puszek. A raz z wiatrówki. Po co mi to?

– Znaczy?

– Podobno lecimy na Księżyc. Tam się nie da strzelać, bo próżnia. I do kogo? Ilu tam jest ludzi tak do kupy? Trzystu? Zresztą ja mam tam kręcić iwent. Będę się posługiwał kamerą. Po co mi to?

– Po kolei. Przede wszystkim w próżni można strzelać. Każdy nabój zawiera ładunek prochu bezdymnego, który ma własny utleniacz, więc działa na tej samej zasadzie jak silnik rakietowy na paliwo stałe, a te funkcjonują jak złoto. Poza tym nabój jest hermetyczny i jest w nim trochę powietrza. Są inne problemy. Nie wiadomo, jak zero absolutne zadziała na sprężynę zamka i magazynka. Jeśli broń się wychłodzi, stal może popękać. Gazy wylotowe będą zamarzać. W twoim wypadku chodzi o samą umiejętność. To, co zrobimy, nie będzie się nikomu podobać. Naruszamy układ sił. Problemy mogą się pojawić jeszcze tutaj. Będziemy podróżować w grupach, na ogół ktoś przy tobie będzie, ale trzeba być przygotowanym.

– A jak mamy przewieźć taki sprzęt na orbitę? Jako turyści?

Ptaker milczał przez chwilę.

– Spoko – oznajmił w końcu. – Nic nie będziemy wozić. Mniej wiesz, masz mniej problemów. Bierz, pokazuję i omawiam. Najpierw na sucho, bez amunicji.

Zajął im to resztę dnia i zrobiło na Norbercie pewne wrażenie. Kiedy pierwszy raz przeładował, wprowadzając nabój do komory, natychmiast dotarło do niego, że trzyma w dłoni śmierć. Jeśli się pomyli lub zrobi coś głupiego, zabije Ptakersa albo siebie i nic tego nie odwróci. Długo stał jak sparaliżowany, obejmując kolbę dłońmi, z palcem jak najdalej od spustu, i mierząc do przodu.

– Nic się nie stanie – powiedział Ptaker spokojnie. – Podejdz bliżej, postrzelaj sobie w kulochwyt, zobacz, gdzie trafiają pociski, sprawdź, że nic się nie dzieje. Idź na linię dziesięciu metrów. Gdzie mi lufę w dół?! Za dużo kryminałów się naoglądałeś! Tam leżą cywile! Oni się schowali! Lufa przed siebie, dłonie przy ciele.

W słuchawkach głos Ptakersa słyhać było normalnie, natomiast odgłos wystrzałów był zgłuszony, mniej dokuczliwy niż trzaskanie drzwiami.

Potem przyszedł czas na papierowe tarcze ze schematyczną, zgeometryzowaną sylwetką. Kiedy Norbert miał strzelić do czegoś konkretnego, znów poczuł respekt do gorącego masywnego kawałka metalu w dłoni. Z jakiegoś powodu pomyślał, że pierwszym strzałem trafi w metalowy wspornik tarczy i rykoszet odbije mu się prosto w czoło. Uniósł splecione dłonie i strzelił dwukrotnie, po czym natychmiast coś gorącego rąbnęło go między brwiami, dokładnie tam, gdzie przewidział. Na sekundę

skamieniał, a potem zobaczył, że to jego własna łuska, odbita od otwartego wieka skrzyni. Ptaker na widok miny Norberta musiał na chwilę usiąść na ziemi.

Kiedy nauczył się mniej więcej trafiać tam, gdzie należało, Ptaker wyjął z walizki mały czarny pistolet maszynowy ze składaną kolbą.

– Z ogniem ciągłym jest najwięcej frajdy – oznajmił. – Tylko krótkimi seriami. Ściągasz spust i puszczasz. „Spray and pray” to taktyka do dupy. Pokazuję i omawiam.

Norbert dziurawił papier, łuski dzwoniły po ziemi, dym spalonego kordytu snuł się leniwymi smugami. Jednak po jakimś czasie okazało się, że wymienia magazynki, wiedząc, co ma wcisnąć, odruchowo przeładowuje, a lepiej trzymana broń nie szarpie się aż tak w dłoni. Pamiętał nawet, że przed strzałem ma krzyzczeć „cel!”, a po wystrzeleniu całej amunicji „awaria!” i zmieniać magazynek w przykłęku.

– Rozładuj – ogłosił Ptaker. Otworzył ekran pancernika, postukał w klawiaturę, poszedł do kulochwyty i położył na ziemi plastikowo-metalowy dysk, a potem wrócił. – Dobra. Dobij, przeładuj!

Zrobił przy swoim omni gest aktywacji. Trzasnął zamek.

– Gotów!

Powietrze nad dyskiem zamigotało obłokiem srebrzystych pikseli, z których nagle wyłonił się młody, ciemnooki mężczyzna z kręgiem krótkiego zarostu wokół ust i kędzierzawą czupryną. Jakiś facet z ulicy. Południowiec. Luźne ciemne spodnie, biała koszulka klubu piłkarskiego. Przez lewe ramię miał przewieszoną płócienną torbę z logo supermarketu.

Ptaker stał z założonymi rękami, na rozstawionych nogach i patrzył na Norberta czujnie.

Holograficzny osobnik sięgnął do torby i uniósł ją razem z pakunkiem wewnątrz, który okazał się kanciasty i sterczący do przodu.

– Kontakt! – wrzasnął Ptaker swoim sierżanckim głosem. – Dublet, alfa górna!

Norbert poderwał broń, ale widok człowieka na końcu lufy był paralizujący. No nie i już.

Torba południowca błysnęła ogniem z ogłuszającym hukiem, a na ciele Norberta eksplodowało wyładowanie cierpnącym bólem, który poczuł aż w zębach. Nawet nie zauważył, jak się znalazł na ziemi. Gramolił się na nogi dobre kilka sekund, wypluwając piach i rozcierając skórę na piersi, ale nie było tam żadnych śladów poza przylepionym do koszuli metalowym dyskiem, nie większym od guzika. Między łokciem a pachą Ptakersa widać było obły metalowy przedmiot podobny do latarki.

– Nie żyjesz – orzekł Ptaker. – Na śmierć. Requiescat in pace. Jak ci się podoba? Jeszcze raz.

Młody południowiec zniknął w obłoku srebrnych iskier, a zamiast niego pojawił się inny przechodzień. W białej lnianej koszuli i sportowej marynarce. Miał na oczach displej od omni i lekko kiwając głową, jakby słuchał muzyki, rozglądał się swobodnie. Spojrzał na Norberta, uśmiechnął się, po czym błyskawicznie sięgnął pod marynarkę, wyjmując czarny kanciasty obiekt.

– Kontakt ! – ryknął Ptaker.

Norbert uniósł broń, zaciskając szczęki, jakby nagle zrobiła się potwornie ciężka, i nacisnął dwukrotnie spust. Hologram zatoczył się z przeraźliwym wrzaskiem, zakrztusił i raptem usiadł na ziemi, patrząc na niego z rozpaczą i przerażeniem, zaczerpnął powietrza z bulgotliwym charkotem, mnąc przód koszuli, na której rozlewała się rubinowa plama, a potem zwałił się na bok. Z oczu strumieniami toczyły mu się łzy i próbował rozpaczliwie złapać oddech.

– Kontrola! – wrzasnął Ptaker. – Zaraz cię zabije!

Konający obrócił się z okropnym, świszczącym szlochem i wyciągnął drżącą dłoń do leżącego na ziemi pistoletu.

Norbert wyprostował ramiona, widząc dygocącą jak w febrze lufę, i nacisnął spust. Tamten szarpnął głową, jego potylicą rozbryznięła się chmurą czerwonej miazgi i przewrócił się na wznak. Nogi zadygotały i znieruchomiały, tylko palce wyciągniętej dłoni podrygiwały mechanicznie jak odnóża kraba.

– Dobra – powiedział Ptaker. – Daleś radę. To tylko ćwiczenie. Ale w razie czego pamiętaj: albo ty, albo on. Teoretycznie, bo tu się nic nie wydarzyło. Nic. To tylko coś jak gra komputerowa. No, opuść broń. Rozładuj.

Trup rozwiął się w obłok i zniknął.

Norbert miał wrażenie, że zastygł niczym gipsowa figura. W końcu pokonał opór zaciśniętych szczęk, wypiął magazynek i przeładował dwukrotnie.

– Wystarczy na dzisiaj – zdecydował Ptaker. Zaczął zbierać sprzęt.

Norbert usiadł w odsuniętych drzwiczkach busa i drżącymi palcami zapalił papierosa, usiłując zapomnieć wyraz twarzy pieprzonego hologramu, kiedy go zabijał.

– Podobno sobie jakoś radzisz – powiedział Tajger z niejakim zdziwieniem w głosie. – Przeżyłeś wirówkę, a to już coś.

Norbert spojrział na niego znad swojej whisky. Ludzi w pubie zrobiło się jakby więcej, ale i tak nie było problemu ze znalezieniem wolnego stolika. Siedział sam, bo musiał zebrać myśli, a poza tym gdzieś tak w tyle głowy plątała się myśl, że może pojawi się tu Nikoleta i nie będzie miała gdzie usiąść, a wtedy... Rzecz jasna, to był nonsens. Przede wszystkim Szaman zniknął, więc ona też, a poza tym w gruncie rzeczy to był bar robotników budowlanych i najemników.

– Byłoby lepiej, gdybym wiedział, co robię – odparł. – Trening treningiem, ale ja mam tu robić film, dokumentację, kronikę, iwent, zwał jak zwał. Tymczasem ciągle nie wiem, co się tu odpiernicza. Pakuje się mnie w samochód, gdzieś wiezie, coś się dzieje, a ja tak jeżdżę jak ten baran i nie mam pojęcia, co się zdarzy za chwilę.

– Im mniej szczegółów...

– Wiem – przerwał. – Ale dlaczego ja mam być ten jeden, który nie ma pojęcia, co się wyprawia? Tkwię w tym tak jak wszyscy. Muszę wiedzieć, co robię. Przecież nie pytam o szczegóły techniczne. Poza tym muszę wiedzieć, kiedy mogę zacząć pracować. Dopiero na miejscu? Już? Szaman zostawił mi niby wolną rękę, ale nie powiedział od kiedy.

Tajger przysiadł się do Norberta i pociągnął piwa prosto z butelki. Timișoreana, tutejsze.

– Dobra. Nikt ci nic nie mówi, bo nie dostali rozkazu. Ode mnie. A to ja decyduję w kwestiach bezpieczeństwa.

– Przecież nie pracuję u ciebie, tylko w jakimś SilverSands.

– SilverSands to spółka eksploracyjno-budowlana specjalizująca się w kosmoturystyce, wspieraniu komercyjnych badań selenologicznych, hotelarstwie ekstremalnym i czymś tam jeszcze. Ty zostałeś przekazany na czas operacji terenowej do współpracy z nami. Z Badland Solutions. Dlaczego ludzie nie czytają kontraktów?

– To ci podlegam czy nie?

– Podlegasz w terenie i w kwestiach ochrony misji, i wszystkim poza twoim własnym zadaniem, póki nie uznam, że narusza elementarne zasady bezpieczeństwa.

– Czytałem: misja, operacja terenowa... Same ogólniki, a ja ni wuja nie wiem, o co chodzi.

– Szaman ci nie mówił?

– Mówił, tylko to się w pale nie mieści. Wydawało mi się, że kolejna zasłona dymna. Jakaś metafora.

– Niby dlaczego?

– Bo to jest nieopłacalne! Wywiezienie jednego kilograma czegokolwiek tam na górę kosztuje giga euro!

– Ale ludzie mają sprane mózgi. Wiem, że wszyscy to powtarzają, ale to są dane sprzed trzydziestu lat albo lepiej.

– No to teraz mogłoby być tylko drożej!

– Ja mówię o realnych cenach, a ty o sztucznych, wynikających z durnych założeń ekonomicznych. Pewne rzeczy dzisiaj robi się znacznie łatwiej. I taniej. Wbrew pozorom niektóre dziedziny się rozwijają. Nie tylko w Chinach. Tamta kalkulacja to było założenie, że nie ma jak silnik rakietowy. Interes wielkości pociągu na sztorc, pięćdziesiąt ton hydrazyny, drugie tyle tlenu i wielka eksplozja, żeby wynieść na górę towar wielkości sławojki.

– A są lepsze sposoby?

– Od pyty, tylko o tym się nie mówi. No bo po co? Przecież lepiej przeznaczyć te pieniądze na... bla, bla, bla.

– Czytałem, że choćby na Księżycu było czyste złoto, to przywożenie go...

– Wartość złota jest umowna – przerwał Tajger. – Jedyne sensowne zastosowanie tego metalu to styki w elektronice, reszta to mit. Baśnie. Nas interesuje coś, co będzie miało realną wartość jakiegoś trzydzieści pięć tera euro za tonę.

– Ile?!

– Trzydzieści pięć bilionów pieprzonych eurosów. Nowych, po denominacji.

– I nikt niby o tym czymś nie słyszał?

– Wszyscy to wiedzą od jakichś pięćdziesięciu lat, tylko że dla nich wykorzystanie tego jest na razie teoretyczne. Nikt nie próbował tego pozyskać, bo nie było co z tym

zrobić.

– To nie jest nic warte.

– Ale będzie. Dlatego że tym razem to my mamy asa w rękawie. Technologię.

– My?

– A my, my. Od paru lat Szaman buduje dwie eksperymentalne elektrownie. Bez zanieczyszczeń, bezemisyjne i wydają się niewielkie. Jedną na Węgrzech i jedną u nas, w kraju.

– Niby mi to mówił, ale nie pomieściło mi się we łbie. A co będzie z tego miał?

– Będzie sprzedawał taną energię od Bałtyku po Adriatyk. A jak już wszyscy rozgryzą szczegóły techniczne i rzucą się na to, będzie sprzedawał surowiec. Prąd przez całą dobę, na każdą kieszeń, jak pięćdziesiąt lat temu, wyobrażasz to sobie? A reszta niech dalej się szarpie o Antarktydę.

– Wyobrażam sobie, że wszyscy dostaną szału.

– Tylko że my już tam będziemy. Według prawa tak samo jak na wodach międzynarodowych. I nie reprezentujemy żadnego państwa, więc nie łamiemy konwencji. Zonk!

– Co z tego jest tajne?

– Na razie wszystko. Nie znasz szczegółów, nie wiesz, kto, gdzie, kiedy ani jak. Tylko ogólniki, ale nawet tego nie możesz na razie nikomu powiedzieć czy opublikować. Aż Szaman powie, że już można, z tym że nawet wtedy nie będziesz wiedział nic konkretniejszego. Przy okazji: nie kontaktujesz się z nikim poza mną i moimi ludźmi. W żadnej sprawie. Jesteś na stałym monitoringu i w razie czego będę wiedział. Nic osobistego, wszyscy jesteśmy kontrolowani. Chciałeś wiedzieć, to masz. Teraz też wiesz, że szukamy skarbu, i też jesteś piratem.

– Nie rozumiem, do czego w ogóle jestem Szamanowi potrzebny.

– Sądzę, że chodzi o politykę. Dla aktualnej opcji niezależność energetyczna to ostatnie, czego sobie życzą. To zaprzeczenie całej polityki zrównoważonego rozwoju, więc robią wszystko, żeby to zablokować albo opchnąć natychmiast Niemcom, Chińczykom czy innym Sowiecom. Więc Szaman będzie chciał doprowadzić do zmiany opcji.

– To też będą debile.

– Ale innego rodzaju. Niepodzielający tego „dobrowolnego” obłądu. Do tego szukający czegoś, na czym mogą wyjechać. Czegoś, co ludzie poznają dzięki tobie. Dla opinii publicznej pojawi się element, który pewnie wpłynie na wyniki wyborów. Dlatego twoja relacja ma być autentyczna, Fokus. Folder reklamowy nikogo nie przekona.

– Chyba mi powiedziałeś więcej, niż chciałem wiedzieć. Właściwie to pytałem o to, co ma się dziać w najbliższym czasie.

– Za parę dni wyjeżdżamy. Zaczniij się pakować. Ty i część ludzi musicie dokończyć szkolenie.

– Dokąd wyjeżdżamy?

– Twoje życie teraz jest jak wakacje życia. Teraz wybierasz się do podwodnego hotelu.

– Ostatnio, kiedy mi powiedzieli, że idę na karuzelę, omal nie wyrzygałem flaków. Podwodny hotel pewnie znaczy, że wrzucicie mnie do studni.

Tajger parsknął.

– Spakuj cały mandżur i ubierz się lekko. Na miejscu będzie dość ciepło. Bierz wszystko, nie ma ograniczeń bagażu, mamy własny transport.

Rec.10

Norbert Roliński i Norman Rolsky podróżowali zupełnie inaczej. Roliński niby jeździł często, ale zawsze była to katastrofa dla jego budżetu. Ruszał w drogę, kiedy brakowało mu iwentów, a za granicą coś mogło się dziać. I wtedy, kiedy nie było innego wyjścia.

Pakował się do miniaturowej walizki wielkości dwóch pudełek po butach, a potem ruszał z domu – cztery, pięć godzin wcześniej, najpierw brnąc różnymi środkami transportu na lotnisko, na którym musiał się zameldować co najmniej trzy godziny przed odlotem, a potem czekał.

Stał w niekończących się kolejkach, był prześwietlany, trasowany, obmacywany i skanowany na wszelkie możliwe sposoby, wywracano mu kieszenie, każdy przedmiot oglądano, szacowano i sprawdzano pod światło, obwąchiwały go warczące psy, przeganiano go szpalerem opancerzonych funkcjonariuszy z dłońmi na kaburach, a do każdej z tych atrakcji ustawiano w oddzielnych ogonkach, w labiryntach barier.

Potem wtlaczano go do samolotu, gdzie wciskał się w twarde siedzisko, mając oparcie przedniego fotela niemal na twarzy. A potem znowu czekał z zatkanymi uszami, wstrząsany turbulencjami, wśród pragnienia i głodu, godzina za godziną kontemplując wzorki na wykładzinie, ból kręgosłupa i mięśni, by na koniec trafić na drugie lotnisko.

W następne kolejki, między skanery i pod oczy następnych pograniczników w trochę innych mundurach.

Norman Rolsky podróżował z klasą.

Najpierw dowiedział się, że do kabiny może wziąć „co chce”, w rozsądnej wielkości, i że jedynie fortepian albo koń wyścigowy są wykluczone. Potem zabrano jego pancerne kufry, które miały lecieć „innym transportem”. Jeden z rzeczami osobistymi i jeden ze skafandrem. Sam miał neseser z ubraniami, które miały mu wystarczyć na trzy dni, i niewielką torbę z tym, co mógł zabrać na pokład samolotu, a o czym normalnie mógł tylko pomarzyć.

Wyruszyli w trzy szare minibusy, takie same jak ten, którym już jeździł, ale dalej to była atrakcja.

Po drodze mógł siedzieć rozwalony w głębokim fotelu, popijać kawę, którą miał gdzie odstawić, i patrzeć przez własne okno.

Jechali ze cztery godziny, przez które osuszył piwo, zjadł paczkę herbatników, zachmurzył cyberetkę, przejrzał plotki i wiadomości, pograł, a nawet poszedł do pachnącej lasem maleńkiej toalety.

To nie była właściwie podróż, to samo mógłby robić w wolnym czasie w swoim

pokoju.

Potem działało się jeszcze lepiej.

Lotnisko Traian Vuia było przeszklonym zabytkowym kłocem ze sterczącą wieżą kontroli lotów i przynajmniej z zewnątrz wyglądało, jakby miało ze sto lat. Dorobiło się tylko paneli solarnych na dachu i fotowoltaicznych zielonych szyb na całej fasadzie. Być może w połowie dwudziestego wieku nie było otoczone zasiekami i drucianymi, pełnymi gruzu koszami hesco, nie stały wokół wozy pancerne, a w powietrzu nie unosiły się roje policyjnych dronów. Być może.

Diabli wiedzieli, jak tu wtedy wyglądało.

Nie szukali miejsca na parkingu.

Nie wysypali się z busów, by ustawić w kolejce w wielkiej, pustej hali do odprawy biletowej.

Wjechali przez boczną bramę, a potem weszli do hali bocznym odsuwającym wejściem. Wyglądali jak grupka turystów, choć dosyć specyficzna. Było chłodno, więc wiatrówki i kurtki kryły tatuaże, jednak się wyróżniali. Te piaskowe i szarozielone spodnie z kieszeniami i suwakami, buty na solidnych podszewkach, staroświeckie bejsbolówki, ogolone łby albo krótko ostrzyżone włosy... Nawet stali jakoś inaczej, niby swobodnie i nonszalancko, ale jakby czujni i sprężeni do skoku. Niektórzy zadbali o to, żeby niewinnie wyglądać, założyli marynarki i jakieś nijako wyglądające przeciwdeszczowe kurtki, lecz i tak odróżniali się od pstrokatego tłumu stojącego w kolejkach. Wszystko, co mieli na sobie, było albo piaskowe, albo czarne, albo zgniłozielone, albo ostatecznie granatowe.

Norbert naliczył osiemnastu, w tym Tajgera, który stał pośrodku i zbierał od nich paszporty, Fosę i Ptakersa, rozpoznał dawno niewidzianego Królika, jeszcze ze trzech, których już gdzieś spotkał, być może wtedy w Dubaju, i ze dwóch odlegle znajomych z hotelu Muntenia.

Tajger oddał plik paszportów wąsatemu facetowi w szaroniebieskim uniformie z napisem POLIȚIA DE FRONTIERĂ i ruszył gdzieś w bok, do rozsuwanych drzwi z mlecznego szkła, głoszących „VIP Lounge”.

Za drzwiami znajdował się bar, w którym czas zatrzymał się gdzieś na początku wieku. Zmatowiały chrom, drewniane blaty, nieco obłazłe lustra, mrożone szkło, plastiki. Jednak były tu fotele, stoliki i mężczyzna w białej koszuli za kontuarem.

– Można wziąć po jednym, mamy z pół godziny – oznajmił Tajger. – Kończą tankowanie, bagaże się ładują i możemy pomału iść.

– A odprawa? – zapytał Norbert.

– Już się robi – wyjaśnił tamten obojętnie. – To prywatny lot.

– I nie powiesz mi dokąd?

– Znowu nic nie wiesz? – zdziwił się Tajger. – Seszele. Weź sobie kawę, lufę ąjki i ciesz się życiem.

Norbert nawet nie pamiętał, gdzie leżą Seszele. Jakież wyspy – Afryka? Azja? Karaiby?

Oprócz jego grupy, zajmującej fotele przy kilku stolikach, było tu jeszcze paru korporejtów w swoich mieniących się garniturach, z twarzami przesłoniętymi displejami, którzy gestykulowali, mamrocząc coś od czasu do czasu, jakby usiłowali liczyć rój niewidzialnych much przed twarzą.

Norbert cieszył się obrotowym fotelom, kawą i kieliszkiem śliwownicy, które posłusznie zamówił, i zastanawiał się, kiedy człowiek na takie rzeczy obojętnie i przestaje zwracać uwagę. Sam zbyt dobrze pamiętał niekończące się godziny spędzone na staniu, przysiadaniu na kanciastej walizce i gapieniu się na tablice odlotów albo wyświetlane w kółko ostrzeżenia i nakazy.

Tutaj wszystko odbywało się bez większego pośpiechu, ale nie trwało za długo. Pan POLIȚIA DE FRONTIERĂ oddał Tajgerowi plik paszportów i to było wszystko. Nie było biletów, kart pokładowych, identyfikatorów bezpieczeństwa, nikt nawet nie zajrzał Norbertowi do kieszeni marynarki. Podniósł swoją torbę, w której mógł mieć jedzenie, napoje, urządzenia elektroniczne, a nawet granaty, wyszli przez tylne wyjście wprost na płytę lotniska i do niewielkiego elektrycznego autobusu.

I tyle.

Chwilami życie Rolsky'ego okazywało się prostsze.

Jakoś wbił sobie do głowy, że czeka na nich nieoznakowany transportowiec, do którego wejdą przez opuszczoną rampę, by w opróżnionej naprędcie ładowni pełnej wciągarek i zwiniętych pasów zasiąść na prowizorycznie zainstalowanych fotelach z rurek i tkaniny. Jakoś mu to pasowało do towarzystwa, z którym podróżował.

Samolot, przy którym wysiedli, był spory – ale tylko jak na dyspozycyjny odrzutowiec biznesowy. Już nie kilkumiejscowa awionetka, a raczej skarłały samolot pasażerski. Wśród airbusów i boeingów na pasie wyglądał jak zabawka, choć miał się do nich jak jaskółka do gęsi. I w niczym nie przypominał transportowca.

Miał własne rozkładane schodki, na burtach widniał tajemniczy napis „MercatorAir”. A dalej było jak w normalnym locie, tylko lepiej. Przy drzwiach powitała ich stewardesa w szaroniebieskim żakiecie, furażerce i z apaszką na szyi, piloci siedzieli w kabinie przy otwartych drzwiach, a nie za pancernymi grodziami, w jasnym wnętrzu nie było normalnych numerowanych siedzeń, tylko wielkie rozkładane fotele, składane stoliki z polerowanego drewna, wykładzina grubości leśnego mchu, nawet wzdłuż burty ciągnął się drewniany barek, w umocowanym chyba na stałe wazonie, niczym wyrzeźbionym w obłym czarnym kamieniu, tkwił bukiet kwiatów.

Nie było tradycyjnego baletu prezentującego działanie pasów i masek tlenowych, żadnych komunikatów i pouczeń.

Kapitan przywitał się przez interkom i oznajmił jedynie, że za pięć minut startują, a lot na lotnisko Victoria potrwa dziesięć godzin. To wszystko.

Zwykle na drogę do startu trzeba było czekać z godzinę, tu naprawdę stało się to w pięć minut. Sam start też był inny.

Norbert pierwszy raz siedział obok okna, zresztą każdy pojedynczy fotel został tak ustawiony, więc ten start nie był już dla niego wyłącznie kombinacją wizgu silników,

wibracji i lekkich mdłości. Właściwie czuł się jak dzieciak, który po raz pierwszy w życiu siedzi w prawdziwym samolocie. Pas ruszył do tyłu, lampy i sucha trawa na poboczu po paru sekundach rozmasały się i zaraz uciekły w dół, a widok z okna zmienił się w makietę miniaturowych domków i prostokątów pól, samolot wznosił się znacznie bardziej stromo niż normalnie, minutę później wbili się w chmury, a zaraz kabinę zalało jaskrawe, mroźne słońce na czterestu kilometrach. Rozległ się gong i już można było rozpiąć pasy. Najwyraźniej można też było samowolnie chodzić, bo niektórzy obrócili fotele twarzami do siebie, pojawiły się obłoczki oparu z cyberetek, ktoś przesiadł się na kanapę w części ogonowej, ktoś wziął sobie z barku piwo, inny podstawił baniastą szklankę pod dystrybutor, wlewając whisky i wrzucając lód z drugiego kraniku.

Ptaker i jeszcze jeden facet siedzieli na wprost siebie przy stoliku, z displejami na twarzach, przestawiając nieistniejące figury.

Paru innych grało w wirtualne karty, jeden z nich palił tytoniowe cygaro. Stewardesa minęła go z tacą bez słowa, a potem podstawiła mu onyksową popielniczkę.

Silniki buczały nisko gdzieś w tle, za ogonem samolotu rozplomieniła się luna zachodu.

Niebo zaczęło się robić granatowe i pokazała się srebrna moneta księżyca.

– W coś ty się wpierniczył – wymamrotał do siebie Norbert. Wyciągnął dłoń do ekranu dotykowego, wybrał średnio wysmażony stek z klonowanej wołowiny angus, pieczonego ziemniaka z chrzanowym mascarpone, szparagi z sosem holenderskim, a do tego podwójną whisky.

A potem jeszcze jedną.

Znajdował się gdzieś poza prawem i było to dziwne uczucie.

Obudził się koło drugiej w nocy, kabinę spowijał półmrok punktowany iskrami nocnych świateł wzdłuż pokładu i na ścianach, świeciła się tylko dyskretna mleczna lampka nad owalną kanapą, gdzie siedziało kilkoro z tamtych, na mahoniowym stoliku ustawiono szklanki i kilka butelek rumu. Zbudziło go nucone półgłosem I've got a ticket to the moon.

Zasunął okienną żaluzję, włączył kurtynę dźwiękową wokół fotela, objął jedwabną poduszkę i spał dalej.

Lądowali o czwartej, która magicznie zamieniła się w szóstą czasu miejscowego. W głębokich, kosmatych, tropikalnych ciemnościach.

Miasto Victoria na wyspie Mahé prześliznęło się pod spodem rzadką wysypką świateł, pojawił się wąski pas lotniska pod klifem, tuż nad oceanem. Z jednej strony skała, z boku połyskliwa smolista ciemność.

Kiedy Norbert wbijał odruchowo palce w skórzany podłokietnik, przeszło mu przez głowę pytanie, ile tam na dnie leży już samolotów.

Koła podwozia kwiknęły i puściły obłoczki dymu, uderzając o pas, silniki zaryczały na wstecznym ciągu i tyle.

Rozespany smok paranoi mruknął tylko, że w porównaniu z tym, w co się wpakował,

nocne lądowanie na brzegu skalistej wyspy to zabawa, i wśliznął się z powrotem między jelita.

Kiedy otwarto drzwi, do środka wdarło się gorące powietrze, jakby samolot się zapalił.

Odprawa znowu nie była warta wzmianki, kazano im poczekać w kolejnym „VIP Lounge” pod wirującym wentylatorem, wśród bambusowych foteli i stolików, wydano po słabym owocowym drinku, pachnącym mango i kokosem, za żaluzjami, w ciemności płonęły rude, sodowe latarnie.

Po piętnastu minutach Tajger rzucił na szklany stolik talię paszportów, dopili drinki i ruszyli prosto do autobusu, do którego dwóch facetów w kombinezonach ładowało ich bagaże.

Lotnisko przylegało do portu, więc nie pojechali w głąb wyspy, tylko lawirowali chwilę pomiędzy betonowymi budynkami i stertami różnokolorowych, poobijanych kontenerów. W końcu trafili na nabrzeże, przy którym stały chińskie i indyjskie zdezelowane frachtowce, w górze leniwie wirowały turbiny wiatrowe. Minęli szare cielsko indyjskiej korwety raketowej, kilka trawlerów z kewlarowymi pędnikami wiatrowymi i zatrzymali się naprzeciw pustawego portu jachtowego przy obłej, białej łodzi motorowej.

– Następna przesiadka: Mercator Nautica, submarine lounge. Oficjalnie w remoncie – zarządził Tajger. – Dostaniecie pokoje, ale nie rozpakowujcie się. Pysznic, śniadanie, trzy godziny drzemki i o pierwszej zbiórka w dolnym lobby z bagażem podręcznym.

Kiedy podjeżdżali nad nabrzeże, niebo rozplómięło się brzaskiem, a kiedy wysiadali z autobusu i wchodzili na pokład po trapie, zniecka wypluło rozżarzone, tropikalne słońce.

Faceci w piaskowych spodniach i granatowych koszulkach z wyhaftowanym na piersi logo hotelu oddali cumy, a jacht odbił bezgłośnie od nabrzeża. Norbert został na tylnym pokładzie, razem z resztą. Były tu biało-granatowe kanapy, kilka stolików wyrastających z pokładu na chromowanych rurkach, ale stanął przy relingu, opuścił na oczy displej i kręcił krajobraz. Kiczowaty, jak z wakacyjnego folderu dla zamożnych. Biały piasek, chwiejące się na wietrze kity palm, kłęby tropikalnej zieleni, czerwone dachy bungalówów jak rozplaszczony piramidy. Głęboki granat nieba i malachitowe morze. Łatwe, banalne piękno, które w tych turpistycznych czasach wstyd byłoby komukolwiek pokazać, ale chciał je mieć dla siebie.

Tak sobie, tylko żeby sprawdzić nowy sprzęt i na pamiątkę.

Jak turysta.

Hotel Mercator Nautica okazał się wielkim białym dyskiem, wznoszącym się dwa metry nad powierzchnią morza, pośrodku zjawiskowej zatoki na sąsiedniej, niewyglądającej na zamieszkałą wyspie. Stał z kilometr od brzegu, wsparty na walcowatej konstrukcji, otoczony trzema okrągłymi jak tace tarasami.

Jeden pełnił rolę przystani i stało tam kilka motorówek z rozłożonymi panelami słonecznymi, na dwóch pozostałych rozpięto białe parasole i spuszczone do morza

stalowe schodki.

Tyle że było tam pusto.

Dyskowaty budynek mieścił restauracje i bary, lobby z recepcją, i właściwie to wszystko.

Norbert czekał na klucz, siedząc w fotelu z widokiem na pustą restaurację i taras, zastanawiając się, kim trzeba być, żeby spędzać urlop w takim miejscu. W Europie niezbyt wielu było stać, żeby ruszyć się dalej niż pięćset kilometrów, ale istnieli tacy. Na pewno też wierchuszka Nowosowietów, jacyś ustawieni Chińczycy, Hindusi, pewnie ci Saudowie, którzy mieli swego czasu dość rozumu, żeby pakować petrodolary w coś niezwiązanego z ropą, najlepiej czarne finanse Sunny. Może nieliczni Amerykanie.

Ciekawe, jakie miały na to szanse „terenowy konsultant public relations” z firmy SilverSands.

Spojrzał na siedzącego przy tym samym stoliku Królika. Od Dubaju nie zamienili jeszcze ani słowa.

– Ile tu może kosztować pobyt?

– Wała mnie to obchodzi. Ja za to nie płacę – odparł Królik tak samo oschłym tonem jak wtedy.

Norbert zastanowił się, czy tamten go nie lubi, czy taki ma sposób bycia.

– I przestań mnie kręcić, zabierasz mi duszę – dodał Królik, a Norbert pomyślał, że zaraz zniszczy mu kolejne omni. Podniósł displej, o którym zapomniał.

– Nie kręcę. Robiłem sobie widoczki na statku, ale już wyłączyłem. To po pierwsze. Po drugie, mam robić iwent o całej tej awanturze. Decyzją Szamana, więc przywyknij.

– Okay, uważam, że nam to potrzebne jak zawiasy w dupie, ale dostanę rozkaz, to się podporządkuję. Jak nie musisz, to skanuj sobie coś innego niż moja morda.

Walec, na którym unosił się budynek, w lobby krył cztery windy i pewnie schody. Pokoje na cztery godziny, które dostali, znajdowały się na poziomie pierwszym, jak się okazało, w drugim dyskowatym budynku, stojącym na dnie, piętnaście metrów niżej. Znajdowały się tam drugie lobby, bar i restauracja w zewnętrznych kopułach, do których prowadziły przeszklone tunele, ściany były nierówne i udawały rafę koralową, o którą zapewne nieźle można było się poharatać, wracając z baru, wszystkie lampy, fotele i inne rzeczy nawiązywały do kapitana Nemo albo łodzi podwodnej milionera, gdyby cokolwiek takiego istniało, i gdzie tylko się dało, umieszczono panoramiczne okna z widokiem na oświetlone dno, rafy i przepływające wokół ryby.

Kiedy Norbert znalazł swój pokój i usiadł na łóżku przy oknie, patrząc na łąwicę lśniących jak monety rybek, które rozpląnęły się na wszystkie strony przed jego szybą, pomyślał, że to takie akwarium na odwrót. Jego nocna lampka wyglądała jak mosiężny hełm dziewiętnastowiecznego nurka.

Wziął prysznic w narożnej łazience, gdzie wszystko, włącznie z ręcznikami, miało podwodne motywy, krany wystylizowano w rybie pyski, a muszla klozetowa naprawdę przypominała muszlę, przebrał się i poszedł do restauracji.

Śniadanie było nieco rozczarowujące, bo w stylu francuskim i oprócz croissantów,

dżemów, jogurtów, owoców i kawy niewiele tam się dało znaleźć. Ryb nie podano. Stał przez chwilę z tacą w rękach, w końcu zobaczył Fosę i Ptakersa siedzących przy jednym stoliku. Kiwnął pytająco głową, a Ptaker podobnym gestem wskazał mu krzesło.

– To nie o to chodzi, że cię nie lubią – powiedziała Fosa, mieszając w maleńkiej filiżance w koniki morskie. – Po prostu cię nie znają. To taka robota. Tu trafiają się różni i z początku miewają kiepsko. Są testowani. Dopóki nie dojdą do wniosku, że jesteś w porządku, wolą cię ignorować.

– Trafiają się tak zwani komandosi z Żuczka – dodał Ptaker. – U nas jest selekcja, więc rzadko, ale w innych firmach zdarzają się specjaliści od ściągnięcia złodziei pączków w markecie, udający weteranów. W pierwszej potyczce taki się zesra albo zginie, więc po co się przyzwyczajać?

– W ogóle nie jestem żadnym pieprzonym komandosem. I w pierwszej potyczce pewnie się zesram albo zginę. Ja tu mam iwent kręcić.

– Ale oni jeszcze nie wiedzą, coś za jeden. Może oprócz Królika.

Norbert dojadł swój rogalik z dżemem figowym, dopił kawę i sok z mango.

– Poradzisz sobie – powiedziała Fosa. – My wiemy, że jesteś w porządku.

Jakoś mu to nie zabrzmiało szczerze.

Nie czuł się senny, podróż zawsze wywoływała u niego ekscytację, więc zrezygnował z drzemki i wolne godziny spędził w barze nad kawą, gapiąc się na ryby pływające wokół kopuły, falujące krzaki wodorostów i ukwiały, ze spakowaną walizką tuż przy fotelu.

Jak zwykle nie wiedział, co będzie dalej, ale zaczął już do tego przywykać.

O pierwszej Tajger już czekał w lobby.

– Dobra, zmieniamy lokal. Jedziemy do właściwej bazy. Połączyliśmy dwa poligony: test bytowy habitatu i laboratorium wyporności obojętnej. Kurs będzie intensywny, bo mamy tylko tydzień, więc szykujcie się na niezły wpierdziel. Teraz idziecie za mną do służby numer dwa, tamtym korytarzem.

Korytarz kończył się cylindrycznym pomieszczeniem z okrągłymi drzwiami, jak do bankowego skarbcza.

Dalej było wewnątrz przypominające kabinę samolotu, z tym że siedzenia ustawiono w dwóch rzędach pośrodku, plecami do siebie, skierowane przodem do burt z wielkimi bulajami.

Usiedli, patrząc w okna. Dno nie było tu doświetlane jak wokół hotelu, więc widok rozciągał się na szarozielone, mroczne pustkowia. Głębokość pożarła wszystkie kolory.

W kadłubie coś syknęło i szczęknęło, sztywne cumy uwolniły się z gniazd i złożyły, a pojazd poruszył walcowatymi pędnikami umieszczonymi co kawałek wzdłuż kadłuba i popłynął.

Podobny do rozjarzonej meduzy hotel Mercator Nautica został z tyłu, a ich wehikuł skierował się w zielonkawy mrok na końcu klifu, a potem zaczął opadać.

– Dobra! – zawołał Tajger. – Angol, Kiwak, Kaukaz, Cichy! Z tyłu w ładowni są zasobniki z LMU. Wyciągać! Reszta, wyskakiwać z gaci! Zakładacie LMU! Piętnaście

minut! Ruchy!

Czterech wywołanych otworzyło ładownię i zaczęli wytaczać kufry, wykładając je rzędami na wolne miejsce na pokładzie.

Norbert musiał przeciskać się przez chwilę, ale zobaczył swój, z naklejonym czarnym napisem ROLSKY, leżący pod samą burtą.

Rozległ się chóralny szczełk zamków. Kombinezon termiczny i pieluchomajtki leżały na samym wierzchu. Norbert zacisnął zęby, tłumiąc skrępowanie, zdzierając ubranie wśród robiących błyskawiczny striptiz kilkunastu wytatuowanych, atletycznych mężczyzn. Odruchowo i właściwie podprogowo rozejrzał się za Fosą, ale znikła gdzieś wśród innych ciał.

Godziny morderczego treningu zrobiły swoje. Wcisnął się w pieluchę, usiadł na skrzyni, naciągnął kombinezon i skarpety, wciągnął spodnie razem z butami, potem górną część. Szczękały zatrzaski, ręce same trafiały, gdzie trzeba. Plecak podtrzymywania życia, LSU, znajdował się w tyle skrzyni na wahadłowych wysięgnikach, można go było unieść wyżej i zainstalować, przysiadając plecami do niego. Norbert robił to wszystko i wyglądało na to, że zmieści się w czasie. Zdołał nawet, już w kombinezonie i rękawicach, ale bez hełmu, wepchnąć cywilne ciuchy i buty do walizki i zatrzaskać ją, a dopiero potem założył hełm.

– Pełen test! – wrzeszczał Tajger. – Wszystkie systemy! Na zewnątrz jest sześć tysięcy hektopaskali i woda. Kto coś spierdoli, umrze!

Kombinezon Norberta wyrecytował: „wszystkie systemy sprawne”, ale wokół rozległo się kilka brzęczyków alarmowych, Norbert zobaczył, że co najmniej trzech ludzi szarpało się z obręczami uszczelnień, i poczuł coś w rodzaju dumy.

– Zaraz pierwsza czwórka schodzi do śluzy – pokrzykiwał Tajger. – Wychodźcie na zewnątrz, na dno, i nie próbujcie w tym pływać. Macie LMU wyważone tak, że wyporność będzie symulowała słabą grawitację, taką jak na miejscu. Przemieszczacie się ostrożnym marszem albo skokami, dystans około kilometra, azymut na lampę błyskową nad wejściem. Niby niedaleko, ale opór wody da wam w kość. Ustawcie się przy swoich fotelach i czwórkami do śluzy. Otworzyć kanał łączności i zamknąć przesłony, kurde!

Pędniki pojazdu zmieniły ton, kadłub przeszedł lekki wstrząs i łódź się zatrzymała. Norbert przytrzymał się fotela. Słyszał swój oddech jak w wiadrze i znowu zaczęła go swędzieć powieka.

– Gródź wewnętrzna otwarta – oznajmił głośnik.

Pierwsza czwórka weszła do środka, kłapa się zamknęła.

– Trwa usuwanie powietrza. Ciśnienie zero. Gródź zewnętrzna otwarta.

– Komunikaty są takie same, jak będziecie słyszeć na miejscu – odezwał się Tajger w słuchawkach. – W rzeczywistości gródź jest zatapiająca wodą, a potem opróżniana, ale dla was nie ma to teraz żadnego znaczenia. Teraz dla was woda to próżnia.

– Wyrównanie ciśnień.

– Następną czwórką!

Biały kadłub łodzi podwodnej wydawał się szary, dno było w tym miejscu łyse i miało się wrażenie, że stoją na posępnej zielonkawej równinie ciągnącej się w zielony mrok. Buty wzbijały obłoki piachu z dna.

Tajger wyszedł jako ostatni.

– Czego stoicie jak te wacki na weselu? Ma być tak samo jak przy każdym wyjściu z pojazdu. Rozwijać szyk obronny! Pierwszy na dwunastą, drugi na trzecią, trzeci na szóstą, czwarty na dziewiątą i tak dalej! Co to jest?! Wakacje, kurna? Ruchy! Fokus, ty do środka i na tył! Wszyscy naprzód!

Poruszanie się pod wodą na stojąco okazało się gorsze, niż można to było sobie wyobrazić. Każdy sus stawał się niemrawym, spowolnionym kicnięciem. Co chwila ktoś się przewracał, wzbijając chmurę piachu, Tajger klął jak opętany.

W efekcie kilometrowy marsz trwał ponad godzinę. Od pewnego momentu widzieli migające w wolnym rytmie żółte światło, ale wydawało się, że jest wciąż tak samo daleko jak na początku. Mięśnie paliły od walki z oporem cieczy, oddech szumiał jak żelazne płuco. Norbert poczuł, że pod specjalną bielizną zaczyna spływać potem, a wtedy wewnętrzny ciasny kombinezon zrobił się chłodny.

Habitat wyglądał jak kilka spłaszczonych białych kopuł wciśniętych w ponurą skałę porośniętą burymi, nieciekawymi wodorostami, które falowały lekko i przemykały między nimi szare, nijakie rybki.

– Ten duży wąż pod migającym kogutem to śluza główna, ośmioosobowa. Ale my pójdziemy do jednej z bocznych i wchodzimy pojedynczo. Macie to umieć nawet przez sen. W szeregu zbiórka! Kto tam pierwszy, Słoniu? Zaczynamy. Podchodzisz do śluzy, podnosisz osłonę panelu, aktywujesz go, pojawia się czerwone światło: atmosfera w komorze. Włączasz „pressure discharge”, światło robi się zielone, obracasz czerwona korbę rygli na włączniku do poziomu z oznaczeniem „air lock open”, otwierasz do siebie, wchodzisz, wciskasz „hatch close”, wąż się zamyka, potem „pressure compensation”, zielone światło, śluza opróżniona, rygiel na wewnętrznym włączniku do poziomu „inner hatch open”, wychodzisz, zamykasz, siadasz i czekasz. Możesz otworzyć przesłony i wyłączyć LMU. Proste jak konstrukcja parasola. Ruchy! Reszta: padnij! Powstań! Kto coś spierdoli, wraca na koniec kolejki. Padnij! Powstań!

Upadek sam w sobie nie był uciążliwy, odbywał się w zwolnionym tempie i raczej łagodnie, ale żeby wstać, trzeba było odbić się solidnie rękami od dna i podciągnąć nogi pod pierś, a potem zachować równowagę w gęstym, pijanym środowisku. A wszystko z pękającymi z bólu mięśniami całego ciała i z pudłem modułu podtrzymywania życia na plecach.

Wtedy dotarło do Norberta, że wojsko, nieważne, najemne, prywatne czy jakiegokolwiek, to jednak wojsko. Po kolejnym „padnij” zrozumiał, że ten dzień zakończy się czyszczeniem kombinezonu do połysku – własną szczoteczką do zębów.

Do śluzy wchodził jakoś w połowie oddziału, więc mógł z ulgą przestać padać i powstawać i przeszedł do wnętrza habitatu. Zrozumiał działanie urządzenia – nie otwierało się, kiedy było wypełnione powietrzem, a kiedy znalazł się już w środku,

musiał usunąć wodę, żeby otworzyć wewnętrzny właz. Wszystkie przełączniki zostały czytelnie opisane i w końcu to było tylko kilka czynności, więc niczego nie zepsuł i nie musiał wracać na koniec szeregu.

Za śluzą znajdowało się wąskie, cylindryczne pomieszczenie, na ścianach wisiały skomplikowane stojaki, pod nimi ciągnęły się rzędem gniazda ładowania tlenem i elektryczne, na półkach piętrzyły się biało-żółte walce filtrów CO₂, więc najpewniej był to magazyn skafandrów i osprzętu do nich. Ci, co już przeszli przez śluzę, siedzieli rzędem na podłodze z otwartymi przesłonami hełmów, opierając się zasobnikami o ścianę. Kombinezony ociekały wodą, która spływała gdzieś w dół przez kratkę pokładu.

Norbert wyłączył moduł LSU, otworzył przesłonę i przede wszystkim podrapał się w powiekę i grzbiet nosa.

Potem okazało się, że to tylko magazyn rezerwowo, kazano im przejść do pomieszczenia przy śluzie głównej, gdzie mieli rozwiesić skafandry na stojakach, wymienić filtry dwutlenku węgla, podłączyć systemy podtrzymywania życia do ładowania.

Potem poszli do wnętrza habitatu – w skarpetach, pieluchomajtach i czarnej „inteligentnej bieliźnie” – gdzie oddano im walizeczki z własnymi rzeczami.

Habitat mieścił się na dnie zatoki, ale poza tym był ponoć wierną kopią tego na Księżycu. W kilku miejscach w ścianie znajdowały się niewielkie poziome okna z widokiem na ciemnawe, szarozielone dno morskie, jałowe i puste nie mniej niż to, co będzie się znajdowało na miejscu. Okien było niezbyt wiele i łatwo dawało się zapomnieć, że jest się pod wodą.

Kabiny stanowiły wnęki w ścianie, poutykane gdzie się dało, niewiele większe od tapczanu. Legowisko dało się złożyć tak, żeby na nim siedzieć, spuszczać nogi w miejsce po podniesionej części materaca, prywatne rzeczy musiały zmieścić się w plastikowej bakiście pod łóżkiem, poza tym dało się tam rozłożyć niewielki blacik z lampką, i to właściwie wszystko. Odrobinę prywatności zapewniała zasuwana żaluzjowa kurtyna, a miejsca do dyspozycji było tyle, co w niewielkim namiocie.

Standard porównywalny z łodzią podwodną, ale nadal wyższy niż w niektórych hotelach, w których Norbert dotąd mieszkał. Na pewno wygodniej niż w hotelach kapsułowych, gdzie można było najwyżej wczłgać się do modułu i nie dało się w nim normalnie usiąść.

Szybko okazało się, że szkolenie w habitacie polega na tym, że należy w nim mieszkać. Nauczyć się, gdzie co jest, ale także jak spać, jeść, korzystać z toalety i prysznic. Każda z tych czynności wymagała opanowania obsługi jakichś tajemniczych urządzeń.

Wszędzie było raczej ciasno, ściany pokrywały szafki, panele kontrolne, zawory, jakieś pakiety umocowane elastycznymi taśmami gekko albo ekrany.

Tajger kazał im zebrać się w stosunkowo największym pomieszczeniu, nazwanym mesą. Był tam składany stół z laminatu, przy którym mogli się wszyscy pomieścić, ekrany na ścianach, więc nie tylko mieli tam jadać, ale i odbywać jakieś odprawy.

Obsiedli ten stół w nonszalanckich pozach, ktoś oparł podszewkę buta okrawędź, ktoś przysiadł na blacie przy kuchennych szafkach, pojawiły się cyberetki.

– Dobra – zaczął Tajger. – Wszyscy zauważyli nowego, ale tylko niektórzy go znają i już się zaczęło psioczenie za plecami. To nie jest operator. Nazywa się Fokus i jest iwenciarzem. Cywil, ale przydzielony do nas przez SilverSands. Szaman chce, żeby kręcił film o tym, co robimy. Chłopak sobie radzi, ale nie udaje komandosa, więc proszę po nim nie jeździć. Nie my mu płacimy, poza tym trafiał już w gorące regiony bez żadnego wsparcia i nieźle dostawał w kość. Ci, którzy byli w Dubaju, mogą sobie przypomnieć, to jest ten ewakuowany nadprogramowy cywil. Podlega mnie bezpośrednio jako oficer prasowy. Tyle na ten temat i koniec hysterii. Teraz habitat. Ci, którzy już byli na górze, też będą uczestniczyć w zadaniach. Macie pomagać pozostałym. Na koniec tygodnia każdy ma umieć zrobić sobie jeść, wysrać się, wykapać, wiedzieć, jak działa system kontroli atmosfery i oksygenator i jak go w razie czego naprawić, a jak działa system odzyskiwania wody albo reaktor radioizotopowy. Tu się nie żyje głównie z zapasów. Tlen odzyskujemy z dwutlenku, a na miejscu trochę dostajemy z regolitu. Wodę człowiek tylko pożyczka. Oddaje w wydalinach, pocie, oddechu, wszystko wraca do maszyny. Bez fochów, w przyrodzie jest tak samo, tylko obieg dłuższy.

Trening popłynął swoim monotonnym, męczącym torem. Jedli, spali i funkcjonowali w ciasnocie, ucząc się mieszania liofilizowanych racji z gorącą wodą, spłukiwania ciała mgiełką z pistoletowego spryskiwacza w kabinie wysysającej całą wilgoć i co chwila napotykać niespodzianki. Okazało się na przykład, że przeszklona szafka łącząca funkcje mikrofalówki, piekarnika i parowara, przy okazji gotująca wodę w dozowniku, to MFP (Multifunctional Food Procesor), a podobny do siodła z wysokim łękiem podciśnieniowy sedes to Universal Waste Management System. Każde najgłupsze urządzenie miało skomplikowany akronim i instrukcję obsługi, a zostało zaprojektowane tak, żeby działać w warunkach osłabionej grawitacji, jak najoszczędniej i w obiegu zamkniętym.

Powietrze było ciężkie, puszkowane, wysuszało śluzówki, śmierdziało ozonem i plastikiem.

Codziennie zakładali kombinezony i wychodzili z habitatu przez śluzę, żeby trenować poruszanie się po morskim dnie. Ustawiali szyki i przemieszczali się, celując z atrap broni, usiłując kryć się za skałami, przeskakiwać od jednego schronienia do drugiego, mimo że mogli wykonywać tylko koślawe, powolne susy.

Norbert uczył się kręcić za pomocą swojego kombinezonu, który miał cztery kamery – na hełmie, na naramienniku i po jednej pomocniczej na grzbiecie każdej rękawicy, oraz zupełnie niezły system operacyjny. Tylko że w tych warunkach trudno było uzyskać przyzwoity, stabilny obraz, podczas gdy każdy krok wybijał Norberta w górę, a wokół kręciło się kilkunastu wymachujących bronią ludzi, wykonujących jakiś pijany taniec w zwolnionym tempie. Musiał nauczyć się kręcić materiał, jednocześnie nie płacząc się pod nogami, na nikogo nie wpadając i nie wchodząc w paradę.

Masywne, obudowane białym plastikiem atrapy karabinków błyskały laserami, w słuchawkach rozlegał się sztuczny odgłos wystrzału. Nie rozumiał po co, na Księżycu i tak nie będzie niczego słychać.

– To akustyczny odczyt wskazań indywidualnego radaru pola walki – wyjaśnił Tajger. – Wykrywa nie tylko nasze wystrzały, ale i ewentualnych przeciwników, tylko nada im inne brzmienie. Wytworzy też odgłos silników pojazdów, naszych i obcych, albo nadlatujących pocisków. To pozwala orientować się w sytuacji także słuchem. Dowiesz się, że coś nadjeżdża, z której strony, że strzelają, czy to daleko, czy bliżej.

Najwyraźniej Tajger zupełnie serio oczekiwał wojny na niemal bezludnym kawałku pumeksu, czterysta tysięcy kilometrów od domu.

Racje żywnościowe były zupełnie znośne, zamknięte w aluminiowanych pakietach, do których należało wstrzyknąć porcję gorącej wody z pistoletowego dozownika i zmienić zawartość, przypominającą garść okruchów i pyłu, w gęstą potrawkę. Były płaskie puszki i rozmaite batony, napoje i soki piło się z bidonów z ustnikiem, potrawy lądowały w prostokątnych pojemnikach, które miały w dnie magnesy i przywierały do tacy, sztucze także mocowało się w specjalnej przegródce. Najwyraźniej proces wymieszania z wodą suszonej porcji fasolki z kielbaskami, a potem zjedzenie jej melaninową łyżką z pudełka stanowiły dla kogoś zagadnienie naukowe, nad którym ów ktoś nieźle się nagłowił. Do tego ten, kto układał menu, najwyraźniej był tradycjonalistą całkowicie ignorującym mody i trendy kulinarne, posiłki smakowały trochę jak u babci i niczego nie udawały. Solidne żarcie prostych ludzi.

Usiłował zapamiętywać pseudonimy, ale mimo ciasnoty, w jakiej żyli, jakoś nie prowadził ożywionego życia towarzyskiego. Czuł, że nie należy do klubu, tylko do zupełnie innej kasty niż oni i że jeszcze nie ustalili, do jakiej. Nurek, Moro, Sułtan, Marker, Docent, Angol, Traktor, Kaukaz, Sidnej... Mieszało mu się to i wołał bezpośrednio ich nie wołać.

Pod wodą było łatwiej, mieli ksywki wydrukowane z tyłu na zasobnikach LSU i na hełmach, ale wtedy byli zbyt zajęci pokrzykiwaniem do siebie, mierzeniem gdzieś w morską ciemność ze swoich laserowych zabawek i przeskakiwaniem od jednej skały do następnej.

Ćwiczenia w habitacie okazały się jeszcze gorsze. Najpierw rozlegał się alarm, a potem musieli usuwać awarię. Bez ostrzeżenia, czasem w środku nocy. Zaczął już rozróżniać poszczególne brzęczyki. Beczące porykiwanie – dehermetyzacja. Urywane zawodzenie – spadek poziomu tlenu. Irytująca, pulsująca syrena – alarm pożarowy, seria histerycznych świergotów – awaria zasilania. Na szczęście mieli przydzielane zadania, wyznaczony zespół zabierał się diagnostyki i naprawy, reszta miała nie panikować i nie plątać się pod nogami. Zazwyczaj lądował w tej grupie, więc po prostu zostawał w swojej wnęce, czasem w masce z pochłaniaczem dwutlenku węgla na twarzy, i czekał na rozwój wypadków.

Najciężej znosił poczucie zamknięcia. Nawet na zewnątrz przede wszystkim miał uczucie, że jest zamknięty wewnątrz hełmu, jak w pudełku, którego nie można

otworzyć. Wszędzie było ciasno i tłoczno, wszędzie trzeba było się przeciskać w tłumie ludzi w identycznych niebieskich kombinezonach i tenisówkach, do wszystkiego trzeba było poczekać. Do toalety, do łazienki, do dozownika z kawą. W tej sytuacji jego kłitka z zasuniętą żaluzją dawała chwilę wytchnienia. Stawała się azylem, w którym mógł poczytać albo oglądać nieocenzurowane programy i filmy z pierwszej połowy wieku. W habitacie nie było łączności, ale mieli spore zapasy puszkowanych filmów, książek, muzyki i gier w podłączonym do jednego z serwerów databanku. Upodobał sobie jakiś program satyryczno-motoryzacyjny ze zdumiewających czasów rozkwitu indywidualnych, sterowanych ręcznie pojazdów.

Czasem patrzył w szarą toń przez niewielki iluminator przy pryczy, ale poza pojedynczymi rybami nie było tam zupełnie nic.

Z wyjątkiem jednego przypadku, kiedy zauważył panczenistę. Tak samo jak wtedy na podparyskim lotnisku, wieki temu. Czarna, niewyraźna sylwetka z białą plamą twarzy. Co było dziwne, człowiek ten dryfował ustawiony pionowo, gdzieś na granicy pola widzenia. Patrzył, z ciarkami na całym ciele, niemal przycisnąwszy twarz do szyby, trwało to kilka sekund i tamten rozmył się gdzieś w morskim bezmiarze. Norbert leżał chwilę, sparaliżowany z wrażenia, aż doszedł do wniosku, że zobaczył płetwonurka, a to już była poważna sprawa.

Dyżur w pomieszczeniu kontrolnym miał niejaki Moro, który siedział otoczony trzema panczerbookami umocowanymi ukośnie do ścian.

– Chyba widziałem płetwonurka – powiedział Norbert ostrożnie.

– Nie ma takiej opcji – oznajmił Moro tonem człowieka, który jest absolutnie pewien swojej racji. Zrobił kilka gestów, obrazy na ekranach zaczęły się zmieniać. – Sonar siedzi cicho, na żadnej kamerze żadnego ruchu. Zero. Widzisz to? Jeden tuńczyk pół kilometra stąd. Poza tym nic.

– Naprawdę widziałem.

– U twojej babci – orzekł sucho tamten. To była jakaś tajemnicza wojskowa odzywka używana w różnych kontekstach jako forma uniwersalnego zaprzeczenia. Kiedy powoływano się na nieszczęsną babcię, oznaczało to koniec dyskusji.

Norbert wrócił do swojej koi, coraz bardziej przekonany, że zwariował. A potem przypomniał sobie określenie „deprywacja sensoryczna”. Wystawienie na brak bodźców może powodować halucynacje. A wszystko, co tu się działo, to była jedna deprywacja sensoryczna.

Obudziło go szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy i w mdłym nocnym świetle zobaczył Królika. Tamten przyłożył palec do ust.

– Ubieraj się i do mesy. Jest sprawa.

Czwarta rano. Norbert naciągał kombinezon zirytowany, bo każda godzina snu była tu bezcenna. Korytarze habitatu były puste, żaluzje przy kojach pozaciągane, ktoś chrapał.

W mesie siedział tylko Tajger, który wpatrywał się w ekran panczerbooka.

Usiedli przy stole, a Tajger odwrócił ekran w stronę Norberta.

– Obczaj to.

Norbert rozpoznał HotFun, niezbyt poważny infoportal specjalizujący się w marnych amatorskich filmikach, zwykle przedstawiających jakieś narkomańskie wygłupy dzieciaków, ewentualnie nieudane akrobacje, upadki ze schodów, takie rzeczy. Nigdy z niego nie korzystał, bo nie dało się tu zarobić. To była strona dzieciaków, chcących zaistnieć albo ośmieszyć kogoś na cały MegaNet.

Ten film miał trzy minuty i pochodził z portalu społecznościowego. Norbert zrobił gest odtwarzania, ale zorientował się, że nie zabrał omni, więc stuknął palcem w ekran.

Obraz był kiepski, zamglony i niskiej rozdzielczości. W szarym półmroku poruszały się niewielkie białe sylwetki, posuwające się długimi, powolnymi susami. Ktoś zrobił najazd, bardzo kiepski i nerwowy, obraz pokrył się pikselami, a potem oczyścił trochę, pojawiły się szczegóły. Płonąca blaskiem główna lampa nahełmowa, zewnętrzna zbroja z naramiennikami, prostokątna bryła zasobnika LSU, kłęby piachu wzbijane grubymi podszwami. Sylwetki przeszły po dnie i znikły za skałą. Film nosił tytuł „Astronauci na dnie morza!”.

– Co to jest? – spytał, doskonale czując, że zadaje idiotyczne pytanie.

– To, co widać – oznajmił Królik. – Ktoś nas nakręcił.

– Nie ja. Nie ma tu łączności. I po cholere miałbym to robić? Pewnie jestem na tym filmie.

– Pewnie, że jest łączność, ale wątpię, żebyś się do niej włamał. Nikt nie mówi, że to ty.

– Jakbym sądził, że to ty – wtrącił Królik – to zamknąłbym cię w szluzie i zalał ją.

– To po cholere mi to pokazujecie?

– Bo to twoja działka. Media sredia. Nikt nie podpływał tak blisko. Był jacht z bandą gówniarzy, ale za cyplem. Nurkowali, ale nikt tu nie podpływał. Tę zatokę jesteśmy w stanie zamknąć do pięciuset metrów od habitatu. Więc jak? Pod wodą nie ma takiej widoczności.

– Mogli użyć hydrodrona – powiedział Norbert.

Królik pokręcił głową.

– Odpada. Mamy tu barierę magnetyczną. Jak w porcie wojennym.

Norbert puścił znowu film.

– Są kamery do filmów podwodnych. Ze specjalną matrycą. I specjalne programy czyszczące. Tutaj – pokazał palcem – widać, że użyli takiego programu. Wyciąga z matrycy wszystko, co się da, włącznie z sygnaturą cieplną. To, że czegoś nie widzisz na filmie, nie znaczy, że tego tam nie ma, tylko gubi się w szumie tła. Jest w głębszych warstwach. A po obróbce wychodzi. Pewnie kręcił spoza tego obszaru i znalazł przypadkiem. Bawił się gnój programem. To jest portal dla gówniarzy. A pierwotnie pojawił się na jeszcze głupszym, na Cawerze. Tu masz sygnaturę.

Królik odwrócił do siebie pancerbooka, postukał w klawiaturę i zrobił kilka gestów. A potem zaklął.

– Co jest?

– W materiale źródłowym są zaszyte współrzędne GPS, ta kamera je wbija automatycznie. Kto pogrzebie, ten znajdzie.

– Przecież to kilka sylwetek na dnie morza na portalu, gdzie największą popularność mają filmy, na których ktoś się pośliźnie na gównie!

Tajger zrobił nieokreślony gest ręką. Wyglądał na stropionego.

– Ale gdzieś wisi, zawiera tagi i współrzędne. Jeśli ktoś posłał za nami boty, to znajdzie.

– Ale kto?

– Ktoś, kto się bawi w geopolitykę.

– Bo kilku facetów zakłada atrapy LMU i łązi po morskim dnie? To może być trening motywacyjny w dowolnym korpo!

– Słyszałeś? – spytał Tajger. – Fokus powiedział „LMU”, a nie „skafander”! To działa!

Królik przewrócił oczami z dezaprobatą.

– A co jest tam w komentarzach?

– Standard. Najpierw na różne sposoby lżą autora, zarzucając mu nieudolne oszustwo, a potem kilku nawiedzalców obrzuca się obelgami na temat bezsensu lotów załogowych w kosmos.

– Wyjmij ze trzy zestawy do nurkowania, pianki, płetwy i obudź paru ludzi, niech siedzą nad odczytem hydroakustycznym w gotowości – orzekł Tajger. – Mamy amunicję podwodną?

– Superkawitacyjną. Trzy paczki, będzie do dziesięciu magazynków.

– Wyciągaj trzy automaty i daj znać do hotelu, niech nam podeślą ze trzy podwodne skutery. Te szybkie. Budź Angola, Kiwaka i Kaukaza.

– Zrywamy szkolenie?

– Na razie nic się nie dzieje.

Następnego dnia znów wyszli na swój podwodny tor przeszkód, ale teraz cały akwen stale patrolowało trzech płetwonurków. Dwóch krążyło w oddali na podwodnych skuterach podobnych do skróconych torped, z opływową przezroczystą owiewką z przodu, jeden kręcił się przy trenujących, poruszając powoli płetwami i wypatrując intruzów gdzieś w zielonkawym mroku. Wszyscy trzej byli uzbrojeni w wojskowe karabinki, przytroczone do boku.

Na powierzchni zatokę dodatkowo patrolowała motorówka.

Ale nic się nie wydarzyło. Nic odbiegającego od codziennej rutyny.

Ciepła mżawka w cylindrycznej kabinie, po chwili omiatającej człowieka pustynną wichurą, lśniące siodło podciśnieniowej toalety, cienka kawa z kubka z ustnikiem jak dla niemowląt, kwadratowe tosty z paczki, foremka pasty jajecznej, ćwiczenia na zewnątrz, konserwacja skafandra i zasobnika, ćwiczebna awaria systemu wentylacyjnego, ciasnota, makaron z tuńczykiem w sosie serowym, batonik proteinowy, wykład z księżycowej taktyki, parówki w sosie pomidorowym, sałatka z alg z czosnkiem, dwa odcinki serialu, sen.

Znajdowali się już na tyle blisko habitatu, że widać było pulsujące światło, migające

nad włazem głównej śluzy. W zasadzie fajrant, ale wciąż utrzymywali szyk ubezpieczony, mierząc we wszystkie strony łufami atrap.

– Gleba! Kryć się! – wybuchło Norbertowi w słuchawkach. Był całkiem pewien, że to kolejne ćwiczenie. Żeby im się w głowach nie poprzewracało. Sam pomysł ukrycia się na płaskim, gołym dnie wydawał się absurdalny. Rzucił się w kierunku najbliższej skały, szybując w dół z wyciągniętymi rękoma, wciąż kontynuując swój podwodny lot, kiedy usłyszał strzały. Dwie głucho, odległe serie.

Chroniący ich nurek płynął w stronę swojego skutera z bronią w dłoniach, rytmicznie młócąc płetwami.

Norbert zamortyzował upadek rękami i usiłował wtulić się za skałą niewiele większą od worka ziemniaków. Przekręcił się, próbując wypatrzeć coś w mrocznej toni, ale nic nie było widać.

I wtedy z zielonkawej ciemności wyskoczył srebrnoszary, torpedowaty kształt. Szybki jak myśl. Mignął obły pysk pod kopulastym czołem, bijąca w górę i dół szeroka pozioma płetwa.

Delfin.

I jeszcze jeden. I następny. To było absurdalne, zupełnie jakby zaatakował ich Święty Mikołaj.

Albo sarenka. Wszyscy kochają delfiny.

Śmignęły nad nimi, zataczając krąg. Płetwonurek dosiadł swojego skutera i ruszył ostro z miejsca, wzbijając obłok piasku i kładąc się na kadłubie. Karabin wyciągnął do przodu i wcisnął w uchwyt przy osłonie.

Zawinął ostrym wirażem, opływając rozrzuconą po dnie grupę kontraktorów, usiłujących kryć się za niewielkimi rafami. Niektórzy mierzyli odruchowo i bezradnie ze swoich karabinków, którymi mogli co najwyżej pobłyskać.

Norbert doszedł do wniosku, że to jednak ćwiczenie. Pojawilo się kilka delfinów i można je wykorzystać jako symulację nieokreślonego ataku. Po prostu stadko inteligentnych, uroczych ssaków, mających własny język, zobaczyło na dnie ludzi i chciało się pobawić.

Zobaczył, jak jeden z ludzi Tajgera unosi się i próbuje dostać w kilku susach za większą skałę. A wtedy delfin wystrzelił znikąd i go staranował. Rąbnął jak rozpedzona ciężarówka i nie bardzo wyglądało to na zabawę. Mężczyzna został właściwie zmieciony, poleciał jak pajacyk w chmurze piachu, tyle tylko, że w zwolnionym tempie. Obracał się wokół własnej osi i w jego pozie było coś niepokojącego, jakiś taki obwisły bezwład. Atrapa karabinu wyleciała mu z dłoni i spadła na dno, głowa w hełmie przechyliła się na pierś.

– Żołnierz ranny! – ryknęło w słuchawkach.

Płetwonurek spadł z góry pomiędzy zawracającego niemal w miejscu delfina a rannego. Jego karabin załomotał głucho, plując srebrzystymi cienkimi strugami, które przestebnowały toń w pogoni za ssakiem, po chwili zmieniając się w wiązki uciekających w górę pęcherzyków.

Norbert gapił się na to i kręcił, nie rozumiejąc dosłownie nic z tego, co widział.

Delfin znów się pojawił, mknąc bez wysiłku jak pocisk. Norbert zobaczył na jego grzbiecie jakąś uprzęż, szarą jak skóra ssaka, a nad głową jakiś podłużny, kroplowaty przedmiot.

Rozległ się nagle przejmujący, głęboki trzask, dźwięk obcy i niepodobny do niczego, który Norbert poczuł jak potężne uderzenie w podbrzusze. Po raz pierwszy słyszał dźwięk, który okazał się namacalną siłą. Usłyszał własny krzyk i chór głosów w słuchawkach. Płetwonurek wyleciał z siodła i opadł bezwładnie na dno. Skuter przepłynął kawałek, zanim automat odciął napęd, i zwolnił, a potem pozostał zawieszony na tej samej głębokości, obracając się powoli wokół osi.

– Żołnierz ranny! – znów ktoś wrzasnął Norbertowi prosto w ucho.

– Zostać na pozycjach!

Toń wody ponownie przeciął strumień srebrzystych wiązek i pojawił się kolejny płetwonurek na skuterze. Delfin wystrzelił przed siebie ukośnym, opadającym torem, zostawiając szkarłatną smugę jak chmura za trafionym samolotem. Skuter zawiął ciasnym wirażem i zatrzymał się plecami do nich, a przodem do pozostałych dwóch krążących delfinów, jakby płetwonurek był hokejowym bramkarzem.

Pogonił je dwiema krótkimi seriami, ale nie trafił żadnego. Ssaki rozpierzchły się w dwie strony, a jeden z nich pomknął prosto do habitatu. Zatrzymał się na chwilę przy grodzi głównej śluzy, przylgnął do niej brzuchem, po czym zwinął się w miejscu i wystrzelił w głąb zatoki, bijąc potężnie płetwą ogonową. Jego towarzysz zawrócił i pomknął za nim w takim samym pośpiechu.

W miejscu, w którym delfin dotykał grodzi, został szary dysk wielkości talerzyka z rozstawionymi na boki pięcioma wypustkami, jak ramiona rozgwiazdy.

– Fugas! – rozległ się wrzask.

Płetwonurek przemknął tuż nad skałą, za którą się krył. Norbert poczuł uderzenie strumieni wody z turbin, które przesunęło go po dnie, tamten leżał na kadłubie i mknął na gródź jak rakietka. Włączył wsteczny ciąg i obrócił skuter bokiem, zeskakując w biegu, rąbnęło nim o gródź, ale zamortyzował uderzeniem nogami i wyszarpnął nóż. Podważył dysk, zerwał go z włazu i przyłożył do kadłuba skutera, po czym szarpnął jakiś uchwyt, czerwony, jak od spadochronu. Wokół pojazdu wykwitł wieniec balonowatych pływaków i cały wehikuł poszybował w górę, ku powierzchni.

– Kryć się! – dobiegł kolejny wrzask w słuchawkach, chociaż nie mogli się bardziej ukryć. Płetwonurek spłynął do dna tuż przy habitacie i zwinął się w kłębek, obejmując ramionami głowę.

Kilka uderzeń serca później na powierzchni, którą widzieli jako niewyraźną lustrzaną poświatę, błysnęło i spadł na nich przeraźliwy, gwałtowny huk detonacji. Norbert poczuł wyraźnie, że dno, na którym leżał, drgnęło. Woda na ułamek sekundy zrobiła się ciężka, jakby wrócił na wirówkę. Wysoko tam, w górze, rozlała się plama migotliwego blasku.

– Ewakuacja! Zbierać rannych! Do śluzy!

Zabrali najemnika staranowanego przez delfina, który wciąż był bezwładny i nieprzytomny, oraz płetwonurka porażonego bronią akustyczną. Ten, który wysłał skuter z bombą na powierzchnię, pozbiierał się sam, ale ruszał się niemrawo, wyraźnie sponiewierany.

Kiedy śluza otworzyła się po raz pierwszy, wypłynął z niej kolejny człowiek w piance i z akwalungiem, który dosiadł porzuconego skutera i pomknął w głąb zatoki w poszukiwaniu trzeciego płetwonurka.

Wewnątrz, w ciasnocie korytarzy habitatu, panował chaos. Zdejmowali skafander z nieprzytomnego, akwalung i piankę z bezwładnego płetwonurka, który krwawił z oczu, nosa i uszu. Zaniesiono ich do ambulatorium, trzeci poszedł tam sam, przytrzymując się ściany.

Pozostałych zagoniono do ładowania zasobników i wymiany filtrów dwutlenku węgla.

– Skafander i habitat to wasze życie! – wykrzykiwał Królik. – Atak nie atak, to musi funkcjonować, bo umrzecie! LMU muszą być w gotowości!

Zanim sytuacja została opanowana, upłynęło długie piętnaście minut gorączkowej krzątaniny, i wtedy Norbert mógł wreszcie spotkać kogoś zorientowanego, kto odpowiedziałby na podstawowe pytanie: „co tu się, kurwa, odpierdzieliło?!”.

Niestety, tym kimś był Królik.

– Czego, w mordę, nie zrozumiałeś?

– Kręcę. To może być kiedyś potrzebne. Delfiny?! Pieprzone delfiny?

– No delfiny. Były używane do obrony portów. Od lat. Są tresowalne jak psy.

– Ale są konwencje praw zwierząt...

Królik parsknął.

– Konwencje to są dla nas. Zachodu, ogólnie rzecz biorąc, przynajmniej tego, co z niego zostało. A kto bogatemu zabroni? Chiny, Indie czy Sowiety podpisują konwencje i kładą na nie lachę. Możesz sobie potupać. Szuszwole w ogóle robią, co chcą.

– Ale delfiny?! I co one zrobiły płetwonurkom?

– HDA. Kierunkowy wzmacniacz ultradźwiękowy. Delfiny umieją wydawać takie bojowe ultradźwięki. Głuszą w ten sposób ryby, odstraszały orki, ten dostał broń, która to wzmacnia i skupia.

– Jak się czują ludzie?

– Kaukaz i Kiwak najgorzej. Obaj oberwali ultradźwiękiem. Kaukaz ma uszkodzone oba bębny i płuca, Kiwaczek dostał z większej odległości, więc ma się lepiej. Leżą w ambulatorium. Angol dostał skokiem ciśnienia przy eksplozji, ale to pierdzieliło już na powierzchni, zdążył się schować i zatkać uszy. Gdyby nie on, to tu byłoby już pozamiatane. Totalnie.

– Uratował nas wszystkich?

Królik wzruszył ramionami.

– Taka robota. Jeden za wszystkich i takie tam pieprzenie. Helmut został staranowany, ale ma tylko stłuczenia i wstrząs mózgu. Skafander go uratował. Jakby

sobie pływał w pianie, toby go połamano, a tak tylko film mu się urwał na chwilę. No dobra, zbieraj mandzur. Masz dwadzieścia minut. Ewakuacja.

– Opuszczamy habitat?

– Koniec szkolenia. Łódź podwodna w drodze.

Rec.11

Na miejscu było tak pusto i szaro, jakby już znaleźli się na Księżycu. Baza Starport firmy OrbitLines umościła się na płaskim fragmencie pustyni Gobi, sto kilkadziesiąt kilometrów od jakiegoś Dalandzadgadu, największego miasta w okolicy, i wokół nie było dosłownie nic. Szara, kamienista równina, z rzadka porośnięta suchymi krzaczkami, na horyzoncie równie szare góry. Sam kosmodrom mimo szumnej nazwy wyglądał raczej jak opuszczone lotnisko. Nie było rakiet, sztalug, stanowisk startowych, tylko kilkanaście płaskich jak tabletki budynków, wielkich, ale przy tych przestrzeniach i braku punktu odniesienia nie robiły szczególnego wrażenia. Szeroki pas startowy ciągnął się po horyzont i codziennie sunęły po nim pomarańczowe kanciaste pojazdy usuwające pustynny pył. Budynki były oślepiająco białe, pustynia szarżółta, niebo lazurowo błękitne. Powietrze miały czasy wielkich radarów z demobilu.

To tyle.

W dzień było dość gorąco, nocami zimno, ale i tak na zewnątrz nie znalazłoby się dosłownie nic, dla czego warto by wyjść.

W dość wygodnym pokoju w hotelu wszystko miało opływowe kształty w kolorach bieli albo granatowe, jak w jakimś dwudziestowiecznym science fiction, na ścianach wisiły oprawione w aluminium zdjęcia słynnych dawnych astronautów, galaktyk, Ziemi widzianej z orbity oraz wizerunki podobnych do białych elewatorów, obrośniętych kratownicami i antenami pojazdów kosmicznych z ery lotów załogowych.

Jedzenie przypominało podawane na pokładzie lepszych samolotów, serwowano je również w „kosmicznych” foremkach i tackach z melaniny, było trochę lepsze niż w podwodnym habitacie i znacznie gorsze niż na pokładzie ich biznes-jeta, którym tu przylecieli.

Norbert uświadomił sobie, że to jest miejsce normalnie przeznaczone dla najbogatszych turystów na świecie i że cała ta spartańskość jest najwyraźniej zamierzona. Ci ludzie płacili za sięganie do gwiazd i oglądanie planety przez okno, chcieli czuć się jak pionierzy, astronauta i asy przestworzy, a nie jak rozkapryszeni bogacze.

Zostali podzieleni na trzy sześciuosobowe zespoły i wyznaczono im terminy startu w czterodniowych odstępach. Norbert wylądował w zespole trzecim, który miał lecieć jako ostatni.

Razem z Ptakersem, Fosą, Królikiem, Angolem, który doszedł już do siebie, zrezygnował z oferowanego mu w nagrodę urlopu i zadowolili się premią, oraz z jeszcze

jednym facetem, którego Norbert nie znał i nie pamiętał, jaką ma ksywkę. Kolejny mrukliwy, wygolony byk z tatuażami na potężnych bicepsach. W ogóle wszyscy ci kontraktorzy wyglądali jak krzepcy bracia z wielkiej, lekko dysfunkcyjnej rodziny. Tamten jak dotąd odezwał się do niego tylko raz, podczas porannej sesji w siłowni, kiedy zauważył, jak Norbert reguluje ustawienia maszyny. „Ty chcesz się tym wachlować czy ćwiczyć?”

Pojazd kosmiczny przypominał biznesowy samolot, był mniej więcej wielkości ich własnego piaggio, tylko o wyjątkowo pokręconych kształtach, jego zadarte skrzydła zmieniały geometrię podczas wchodzenia w atmosferę i działały wtedy jako hamulec aerodynamiczny. Miał kilka rodzajów napędu: raketowy dopalacz, silnik pulsacyjny dostosowany do rzadkiej atmosfery i jeszcze silniki manewrowe do działania w próżni. Firma miała trzy takie pojazdy.

Do stratosfery wynosił je na grzbiecie istny potwór przestworzy – sześciosilnikowy gigant z obwisłymi skrzydłami, na których można by zorganizować sporą manifestację, zbudowany na planie chińskiego bombowca strategicznego.

Podczas pierwszego startu, który Norbert widział z zabudowanego tarasu widokowego, nie było olśniewających efektów specjalnych, jak przy wystrzeliwaniu normalnych rakiet, za to rozlegał się tak przeraźliwy ryk, że Norbert zrozumiał, dlaczego znajdują się pośrodku największego odludzia na Ziemi. Samolot z umocowanym na kadłubie pojazdem wzbił się na końcu pasa, ziejąc błękitnymi płomieniami z dopalaczy i wzbijając kłęby piachu na odległej o pół kilometra pustyni, a potem dość szybko znikł im z oczu. Po chwili dotarł do nich jeszcze grzmot przebiccia bariery dźwięku.

Resztę mogli pooglądać sobie na wielkim ekranie, który pokazywał równocześnie obraz z kilku kamer w kabinie pojazdu, w kokpicie transportowca oraz na jego kadłubie. Trzeszczący głos kontroli lotu wymieniał się z pilotami niezrozumiałymi zaklęciami składającymi się ze skrótów i cyfr. Załoga leżała w swoich fotelach, wstrząsana wibracjami.

Wiedział w końcu, że to się dzieje naprawdę, ale teraz to już była relacja na ekranie. Coś, co mógłby równie dobrze oglądać w MegaNecie. Czuł niepokój, choć jakiś taki odfiltrowany. Głosy podawały następne dziesiątki tysięcy stóp, uruchamiano kolejne procedury.

Ciągnący się za transportowcem błękitny płomień zgasł jak zdmuchnięty, zastąpił go inny, z dysz silników pulsacyjnych, przetykany pierścieniami plazmy; zestaw sunął w górę. Dopiero teraz pojawiło się odliczanie, niebo nad kamerą ciemniało, jakiś głos oznajmił: „mamy stratosferę”, w tle rozległo się kilka entuzjastycznych okrzyków. Po serii trzeszczących komend pojazd odpadł od grzbietu transportowca, gubiąc obłok błękitnej mgiełki, przez chwilę widać było jego malejącą dziwaczną sylwetkę z wielkim napisem „OrbitLines” wymalowanym ukośnie na płatach, odliczanie dotarło do zera, padło dobitne: „ignition!” i dysze strzeliły imponującym płomieniem ciągnącym się na kilkaset metrów. Transportowiec poszedł ostro w dół, grzbietowa kamera kilka razy

złapała obraz pojazdu zredukowanego do małej iskierki na końcu białej strugi dymu, a potem został tylko obraz z wnętrza kabiny, na którym ludzie w kombinezonach leżeli w opływowych białych fotelach, wstrząsani lekko na boki.

I tak minuta za minutą.

Szczerze mówiąc, gdyby nie to, że tam leżeli jego znajomi i towarzysze, a sam miał się znaleźć w takiej kabynie za trochę więcej niż tydzień, wolałby to oglądać na ekranie nad barem. To, że patrzyli z tarasu widokowego, dodawało wydarzeniu dramatyzmu i osobistego zaangażowania, ale nie zmieniało faktu, że transmisja ciągnęła się w nieskończoność i robiła się nieznośnie nudna.

A jednak siedzieli na plastikowych fotelikach i gapili się z zadartymi głowami w ekran. Wszyscy regularnie słyszeli, że to, co właśnie widzą, jest niebezpieczne do szaleństwa i powinno zostać zakazane. Mieli wbite do głowy, że obraz na ekranie może w każdej chwili zniknąć, zastąpiony białym szumem, a pojazd może zmienić się w ułamku sekundy w płomienistą rozgwieżdżoną gdzieś na niebie. Do tej pory w ramach turystyki kosmicznej zginęło do kupy z dziesięć osób, ale z każdego przypadku robiono gigantyczną aferę, mimo że w różnych katastrofach lotniczych co roku ginęły setki ludzi, a w zamachach tysiące.

Jednak tu nic się nie działo.

W pewnym momencie pilot powiedział czysto i wyraźnie: „Mamy orbitę. Powtarzam, Ajtra na orbicie, wszystkie systemy sprawne, zaczynamy manewr Hohmanna na orbitę Star Resort”.

Norbert wrzeszczał i wiwatował razem z innymi, a potem poszli do baru.

Wszystko na kosmodromie zostało wystylizowane na niesłychanie kosmiczne, ale atmosfera nie przypominała sterylnej, harcerzykowego nabożeństwa zredukowanych państwowych agencji do badania przestrzeni. To była raczej atmosfera, która panowała w rozkwicie programu załogowego w latach siedemdziesiątych zeszłego wieku. Czasach postrzelonych młodych astronautów, którzy rozbijali się w swoich chevy corvettach w lotniczych kurtkach i okularach przeciwsłonecznych, wyprawiali szalone balangi na Cocoa Beach, gdzie królowały cygara, rum i dziewczęta w bikini, a na nieocenzurowanych filmach historycznych można było zobaczyć pracowników kontroli lotów z fajkami i papierosami w zębach.

Nawiasem mówiąc, Norbert widział w hangarze trzy takie corvetty, pieczołowicie odrestaurowane i napędzane silnikami wodorowymi, i miał poważne podejrzenia, że ktoś czasem się nimi ściga po pasie startowym.

Załoga Ajtry, obecnie na orbicie, również zorganizowała popijawę w tutejszym barze, dwa dni przed startem, żeby mieć szansę dojść do siebie. Pod dachem, ale nie dało się ukryć, że prowincja Govi Altai to nie Floryda.

Tym razem świętowali wejście na orbitę i czekali na zakończenie operacji. Proces dokowania do stacji miał trwać siedem godzin. Ajtra musiała dotrzeć dokładnie do tej samej orbity co hotel, i to z dokładnością do jednego metra, odwrócić się, a potem nieznacznie hamować, by wyrównać ich względne prędkości. Oba obiekty musiały

delikatnie zbliżyć się do siebie, a potem zetknąć modułami dokującymi, cały czas pędząc około ośmiu kilometrów na sekundę i co czterdzieści pięć minut okrążając Ziemię. To wymagało czasu, obliczeń i żelaznych nerwów. Norbert wiedział to, bo nieustannie oglądał symulacje, filmy i wykłady na każdy temat, który miał związek z kosmosem. To też była część szkolenia. Wirtualnie znalazł się już na orbicie, w statku kosmicznym i na Księżycu tyle razy, że sam był ciekaw, czy zauważy różnicę.

Oni mogli czekać na dokowanie w barze, a tamci w kabinie, gapiąc się przez iluminatory na na przemian pogrążoną w nocy albo błękitną i skąpaną w słońcu Ziemię. Podobno widok był niezapomniany i nigdy się nie nudził, ale siedem godzin? Nawet jeśli widziało się siedem zachodów słońca?

Norbert znowu zaczął brać plastry i nosił przy sobie aerozol z trunkwilizatorem, dzięki czemu w ogóle spał. Sam nie wiedział, czy czuje ekscytację, czy strach. Poza tym korzystał z dobrodziejstw łazienki, normalnego łóżka z pościelą, baru i restauracji. Za kilka dni miał znaleźć się daleko od domu i nie dało się przewidzieć, kiedy ponownie będzie mógł usiąść normalnie na sedesie albo napić się ze szklanki. Wąż paranoi uważał, że najpewniej nigdy.

Kolejnej nocy, tuż przed snem, znów zobaczył panczenistów. Dwóch, spacerujących po pasie startowym. Oczywiście, że to mogła być obsługa naziemna. Nawet musiała. Miał tego absolutną pewność. Wprawdzie tamci nosili żółte kombinezony i białe kaski, ale przecież mogli założyć jakieś czarne stroje z kapturami dla ochrony przed chłodem mongolskiej nocy. I dlatego wydawało się, że wsiąkli w pustynię. Zresztą Norbert był bardzo zmęczony.

Ajtra wróciła po dwóch dniach, ale to też nie było spektakularne widowisko. Pokraczny, niewielki samolot wylądował na głównym pasie startowym, hamując dwoma spadochronami, i wyglądał tak samo jak przed odlotem. Lśnił bielą i nic nie wskazywało, że przeszedł przez piekło wchodzenia w górne warstwy atmosfery.

Start drugiego statku, Kerkesis, wyglądał dokładnie tak samo jak za pierwszym razem. Stratosferyczny potwór wzbijający się w granatowe mongolskie niebo, obleczone w kombinezony sylwetki rzucone wstrząsami w rozłożonych fotelach, niezliczone skróty i komendy w radiu niczym rozmowa robotów, uwolniony z kadłuba nosiciela pojazd jak grot płonącej strzały, wybuch entuzjazmu po osiągnięciu orbity, w końcu siedmiogodzinny manewr Hohmanna i dokowanie w Star Resort.

Norbert sam nie wiedział, czy to dobrze, czy to oznacza, że wszystko idzie zgodnie z planem i jest niewiele trudniejsze niż tranzyt do hotelu, czy też jest kolejnym rozdaniem obłąkańczej rosyjskiej ruletki, gdzie każda następna próba podnosi prawdopodobieństwo nieuchronnej katastrofy. Do trzech razy sztuka i takie tam.

Miał zapas plastrów, więc był w stanie jeść, funkcjonować, spać i wcale nie korzystał z toalety częściej niż zwykle.

Nie miał wiele do pakowania, bo zabierali tylko po niewielkim zasobniku z rzeczami osobistymi. Ich bagaże znajdowały się już na orbicie, wystrzelone w Gujanie z dwukilometrowej wyrzutni elektromagnetycznej Space Rail, specjalizującej się w

wysyłaniu komercyjnych satelitów i zaopatrzenia dla baz orbitalnych. Przyspieszenia, jakie generowała katapulta, wykluczały wysłanie tą drogą czegokolwiek żywego. Norbert zaczynał rozumieć, dlaczego ich operacja była możliwa. Nie wysyłano jednego gigantycznego pojazdu z Ziemi, który miałby na pokładzie wszystko. Całe przedsięwzięcie rozebrano na czynniki pierwsze i wysyłano pojedynczo, prostszymi i tańszymi metodami. Misja księżycowa w kawałkach do samodzielnego złożenia, niczym szafa z Ikei.

Po wylocie Kerkesis w hotelu zrobiło się jakby pusto, mimo że personelu było tyle samo co przedtem. Jednak w restauracji i barze królowała atmosfera końca sezonu i brakowało tylko, żeby krzesła podwracano do góry nogami na blatach, a pod nogami jeździł im odkurzacz.

Ich pojazd, Asterope, zakończył nużący, wielodniowy cykl testów i przygotowań, w którym na szczęście nie musieli uczestniczyć, i zainstalowano go już na grzbiecie samolotu nosiciela.

Prawdziwy LMU nie różnił się właściwie od treningowego. Był trochę cięższy, ale to nie było zbyt uciążliwe, no i pachniał nowością, podczas gdy ćwiczebny pomimo konserwacji zaczynał zalatywać jak męska szatnia na siłowni. Nowy LMU Norbert miał na sobie tylko raz, zaraz na początku, teraz strój, wystrzelony przez potężne pola elektromagnetyczne z monstrualnego rollercoastera w Gujanie, znajdował się już w bazie na orbicie.

Do lotu otrzymał pomarańczowy „strój ewakuacyjny”, nazwany kolejnym cudacznym skrótem – ELOS. Był miękki, pokryty wypchanymi przez zestaw przetrwania kieszeniami na ramionach i udach, też miał rękawice i hełm, też był hermetyczny, ale nie chronił przed próżnią. System podtrzymywania życia mieścił się w niewielkiej, połączonej giętkim przewodem walizce i instalowało się ją przy fotelu. Buty też były lżejsze niż „kosmiczne”, ściągane ciasno dyskowym zaciskiem, i pochodziły z wyposażenia pilotów.

Na dzień przed lotem dostali specjalne posiłki, które właściwie nie przypominały jedzenia, tylko jakieś podejrzaną gęste smoothies o dosyć niesłychanych smakach. Mieli nie być głodni, ale mieć jak najmniejsze potrzeby fizjologiczne i prawie puste żołądki. Nie zasługiwało to na miano godnego ostatniego posiłku. Fosa wręczyła Norbertowi opakowanie kolejnych plastrów.

– Dimenhydrinat – oznajmiła surowo. – Nie zapomnij. Narzygasz do hełmu, umrzesz. Jak nerwy?

– W porządku – odparł, bo co można powiedzieć innego w takim towarzystwie?

– Nie musisz zgrywać twardziela. Trzymaj się, ale nie kozakuj. Jeśli się zawalisz w czasie startu, wszyscy będziemy mieć jazdę. Mogę ci coś podać.

– Mam plastry. – Podciągnął rękaw i pokazał przedramię. – Królik ci kazał?

– Akurat Królik uważa, że jak na cywila, nieźle się trzymasz. Nie uwziął się, po prostu taki jest. Lubisz latać samolotami? Zwłaszcza czarterami?

– Nie lubię, ale przywykłem. Taka praca.

– Tu masz prawie stukrotnie mniejsze prawdopodobieństwo katastrofy.

Prawdę mówiąc, Norbert nie wierzył w prawdopodobieństwo. Bo jakie miał szanse znaleźć się w tym miejscu, co teraz? Tak z ręką na sercu? Ale i tak podniosło go to na duchu. Zresztą miał własny sposób na stres. Kręcił iwent.

Rzecz jasna, wstawali o jakiejś niehumanitarnej godzinie i kiedy po prysznicu, kubku gęstego płynu, w jakiś sposób łączącego smaki żółtka, wędzonki i mango, oraz odprawie ładowali się do mikrobusa, nad pustynią Gobi dopiero wstawał świt. Norbert po prostu przywykł, że w wojsku nic nie odbywało się w normalnych porach, na przykład w południe albo „po śniadaniu”. Po prostu nie. Musiało być ciemno, zimno, daleko od domu i koniecznie należało przy tym zasypiać na stojąco.

Transportowiec górował nad nimi w jakiś taki monumentalny sposób, jaki powinien być zarezerwowany dla góry, katedry lub wodospadu, a nie pojazdu latającego. W cieniu jego skrzydeł można by rozłożyć arabskie targowisko, a żeby dostać się do wjazdu Asterope, trzeba było skorzystać z wielkiej jak dźwig kratowej konstrukcji z pomostem, na który jechali windą. W pomarańczowych ELOS-ach i otwartych hełmach, z zasobnikami w dłoniach, trzymanymi jak walizki, prezentowali się całkiem filmowo. Dla dopełnienia sceny powinien z powagą pokiwać majestatycznie dłonią, ale doprawdy nie było do kogo.

I wtedy pojawiły się kwadroptery. Na razie jako plamki na horyzoncie. Wielkie nowoczesne transportowce i dwie jakieś śmiglejsze maszyny. Rozległ się stalowy świst i powietrze przecięły dwie srebrne iskry, psujące piękne mongolskie niebo białymi smugami kondensacyjnymi.

I zrobiło się nerwowo. Technicy dosłownie wpełzli w siedzenia, trzaskając klamrami pasów, a potem wybiegli na platformę, właz zamknął się ze świstem i uszczelnił, słuchawki wybuchły jazgotem głosów, w których nie było paniki, tylko pośpiech. Z dołu dobiegł chóralny, narastający wizg sześciu potężnych sprężarek i transportowiec ruszył po pasie. Norbert przekręcił głowę i spojrzał w swój iluminator, w którym przez chwilę widział zbliżające się kwadroptery sunące nisko nad pustynią, ale nadal małe jak ważki. Dopalacze odpaliły z przeraźliwym grzmotem i transportowiec pomknął przed siebie.

– Natychmiast przerwać misję! – twardy obcy głos wdarł się w pospieszną litanie komend kontroli lotu. – Tu GIA, Generalna Agencja Wywiadowcza Mongolii, natychmiast przerwać misję!

Przyspieszenie było spore, ale nieporównywalne do tego w wirówce, jeszcze nie. Norbert pociągnął dźwignię fotela, siłowniki uniosły lekko jego głowę i grzbiet, aż udało mu się dostrzec obraz z jednego z przednich iluminatorów. Piloci na razie leżeli w swoich fotelach i nie zasłaniali. To w założeniu był pojazd turystyczny, okien nasiano gdzie się dało. Zrobił zbliżenie na rozmazany od pędu pas i w tym momencie lotnisko przeciął w poprzek ścieg rozbłysków i fontann pyłu. Zacisnął zęby, czekając na katastrofę, ale transportowiec najwyraźniej pamiętał swoje poprzednie bojowe wcielenie i pokazał, że start pod ostrzałem to dla niego nic nowego.

Myśliwiec przemknął im przed nosem, srebrny, ze skomplikowanym żółto-czerwonym znacznikiem na stateczniku, Norbert twardo filmował, nie myśląc o tym, że gdy tylko podwozie trafi w poharatany beton, to z jego karty pamięci nie zostanie nawet wspomnienie, i w tym momencie wszystko uciekło w dół, a były bombowiec zadarł dziób i ostro poszedł w niebo.

Pilot myśliwca albo chciał ich tylko zatrzymać, albo nie zdawał sobie sprawy, jak krótkiego rozbiegu potrzebuje taki potwór. Najwyraźniej jednak poszli w górę na dobre pięćset metrów przed postrzelanym pasem. Dopiero po chwili Norbert uświadomił sobie, że gdyby pilot miał ich zniszczyć, strzelałby prosto w transportowiec, a nie w pas.

Pociemniało mu w oczach i przypomniał sobie o oddychaniu, ale tu nie musiał kąsać powietrza na siłę jak na wirówce, kombinezon tłoczył czysty tlen i było łatwiej. W słuchawkach kotłował się chór wściekłych głosów w kilku językach, który wtem umilkł i zapadło milczenie, ponad wszystkim królował huk raketowych dopalaczy. Ucichł nagle i tym razem zapadła chwila przerażającej ciszy, w której wśród wstrząsów i wibracji słychać było, że cała konstrukcja skrzypi i trzeszczy, jakby miała się rozlecieć.

Rozległ się przeraźliwy grzmot, który spadł na nich tak nagle, że przez chwilę Norbert był pewien, że właśnie umarł.

Ale nic się nie stało.

Kabina się nie rozpadła, nie spadał z kilkudziesięciu kilometrów na pustynię Gobi, nie znajdował się wewnątrz obłoku pomarańczowej plazmy o temperaturze słońca. Leżał na dygocącym fotelu i leciał w kosmos.

Przebili barierę dźwięku.

I tyle.

Świergot silników pulsacyjnych też okazał się dość przeraźliwym dźwiękiem, choć w porównaniu z rykiem dopalaczy właściwie niemal dyskretnym. Przeciężenie zelżało.

– Uwaga, załoga – rozległo się w słuchawkach. – Mówi kapitan. Zostaliśmy zaatakowani. Kontynuujemy start w trybie awaryjnym, wszystkie systemy sprawne. Odrzuciliśmy boostery, za trzy minuty osiągniemy stratosferę. Z kontrolą misji porozumiewamy się na paśmie kodowanym, przynajmniej dopóki będą mogli nas prowadzić. Atak intruzów na lotnisko nastąpi za około dziesięć minut. Potem sami sobie poradzimy. I... panowie i pani, bez obaw o myśliwce, to są MiG-i dwudzieste dziewiąte, mają z nami szanse jak pierd w huraganie. Już wychodzimy z ich zasięgu, za parę minut z zasięgu jakiegokolwiek dostępnej tu broni przeciwlotniczej. O załogę kosmodromu proszę się nie martwić, kancelarie prawne już zawiadomione. Powtarzam, kontynuujemy misję zgodnie z procedurą awaryjną.

Telepało, hałasowało, pasy skrzypiały, automat z szumem podawał mieszankę. Niebo ciemniało, robiło się granatowe, jakby nadchodziła letnia noc.

– Mamy stratosferę! – oznajmił kapitan.

Tym razem nikt nie wiwatował. Leżeli i czekali.

– Uwaga, Asterope, przejmuję obowiązki sysopa, uruchamiam procedurę startową. – Nowy głos, chyba dowódca bombowca.

– Przyjąłem.

– Zgoda na uruchomienie APU. Załączam GLS na T minus cztery.

– APU uruchomione...

Wydawało się, że przerzucają się kodami i liczbami szybciej niż przy poprzednich startach. Kobięcy syntetyczny głos wtrącał im się z odliczaniem pomiędzy techniczne zakłęcia.

– T minus sześćdziesiąt sekund, wypuszczamy was. Powodzenia. Skręćcie karki, skurczybyki! Kąt wejścia prawidłowy, zezwalam na odrzucenie pylonów. GLS minus zero dwadzieścia.

Rozległ się wizg czegoś pneumatycznego, zaszczękało, jakby ktoś przeciągnął po kadłubie łańcuchami. Kabiną zatrzęsło i szarpnęło, transportowiec runął w dół i zmienił się w małą sylwetkę ciągnącą za sobą szeroką taśmę smug kondensacyjnych.

Odliczanie dobiegło końca, rozległ się grzmot odpalenia i na Norberta znów spadł pełen wody ogrodowy basen.

Potem były tylko hałas i wstrząsy.

I nagle wszystko ustąpiło. Dryfowali w ciszy i rozgwieżdżonej ciemności. Pasy zaskrzypiały i napięły się, kiedy ciało Norberta oderwało się od fotela. Zupełnie jakby wisiał do góry nogami na suficie.

– Mamy orbitę. Powtarzam, Asterope na orbicie. Wszystkie odczyty prawidłowe, zaczynamy manewr Hohmanna na orbitę Star Resort.

Tym razem wiwatowali. I Norbert darł się razem z innymi.

A potem zapadła cisza, bo zobaczyli Ziemię. To nie był zawieszony w przestrzeni globus, tylko wielka, zaokrąglona połać błękitu, bieli i złotawego brązu, która tam, na dole, zapełniłaby trzy czwarte nieba.

Patrzył na to oniemiały, jak przesuwa się pod nim gigantyczna, piękna, znajoma i nowa zarazem. Aż kusilo, żeby wyciągnąć do niej rękę.

Widział północną Afrykę, Morze Śródziemne, rozpoznał zarys Hiszpanii i nie było tam dymu, wojny ani krwi. W ogóle nie widział żadnego dzieła rąk ludzkich, jakby planeta była zupełnie bezludna. Poczul skurcz w szczękach, ale hełm miał uniesione przesłony i mógł otrzeć oczy, zanim ktokolwiek zauważył.

Jakoś całkiem niedawno postanowił, że oprócz serii iwentów dla wielookiej bestii robi też film. Prawdziwy, taki jak kiedyś. Od początku do końca. Pełną kronikę przedsięwzięcia. Przyszło mu do głowy, że jego film będzie miał też komentarz, tak jak to, co przed epoką paradokumentów nazywano reportażami.

– Wyobraźcie sobie dwa pociągi jadące na jednym torze – mówił cichym głosem, filmując przez iluminator. – Poruszają się z tą samą prędkością, ale żaden z nich nie ma już napędu. Nie można przyspieszyć, można tylko hamować. Ten z przodu będzie hamował tak, żeby zbliżyć się do tego z tyłu. Ich wzajemna prędkość musi maleć tak delikatnie, żeby nie doszło do zderzenia, a zetknięcia. Muszą się połączyć. Mniej więcej tak zadokujemy do stacji. Tylko że pociągi jadą po torach. My nie mamy toru. Musimy się odnaleźć na niebie, a oba obiekty poruszają się z prędkością blisko dwudziestu

dziwięciu tysięcy kilometrów na godzinę. To jest osiem kilometrów w ciągu sekundy. Krążymy wokół Ziemi na coraz wyższej orbicie, zmieniając kierunek odliczonymi uderzeniami ciągu z silników manewrowych. Jeśli znajdziemy kurs, postaramy się na nim znaleźć przed stacją. Będzie nas gonić, a my będziemy powoli hamować. A potem zrobimy tak zwany flip, czyli odwrócimy się do niej dziobem. Musimy trafić zaczepem wielkości dyszla w gniazdo cumownicze będące półmetrowym lejkiem. Zajmie nam to w sumie jeszcze cztery godziny. Za chwilę zobaczycie kolejny wschód słońca.

W rzeczywistości zajęło prawie pięć, ale Norbert musiał przyznać, że większość jego dotychczasowych prozaicznych podróży okazywała się znacznie bardziej męcząca.

Na jakiś czas mogli odpiąć pasy i doświadczyć nieważkości. Było inaczej niż pod wodą. Tam trzeba było walczyć z oporem środowiska, tu każdy ruch przypominał o fizyce, dotknięcie czegoś powodowało odpłynięcie w przypadkowym kierunku albo obrót wokół osi. Błądźnik wariował i Norbert, gdyby nie plastry, które dostał od Fosy, prawdopodobnie zarzygałby całą kabinę. I tak kręciło mu się w głowie i czuł mdłości, ale przytępienie, dało się wytrzymać.

Stacja Star Resort wyglądała dosyć typowo, jako nieco bezładna kombinacja walcowatych modułów ułożonych w kształt przypominający dwa kanciaste szprychowe koła połączone osią, z dodatkowymi modułami sterującymi tu i ówdzie oraz rozłożystymi skrzydłami czarnych paneli słonecznych.

Z daleka najpierw wyglądała jak srebrzysta plamka nad horyzontem na tle czerni kosmosu. I tak zostało na długi czas, zresztą nie mogli się gapić z kokpitu, bo kazano im wrócić na miejsca.

Procedura przebiegała z nużącą powolnością, jak na zwolnionych obrotach. Ostatnie dwadzieścia metrów pojazd pokonywał w tak ślimaczym tempie, że aż chciało się wyjść w próżnię i go popychać. Wewnątrz rozlegało się tylko posykiwanie silników manewrowych.

Norbert nie widział, co się dzieje z przodu, ale przez jego iluminator dało się zobaczyć Ziemię, więc się gapił. Astronauci mieli rację, to się nie nudziło, zwłaszcza że obraz wciąż się zmieniał, jak w kalejdoskopie.

Rozległ się zgrzyt, kabinę przebiegł wstrząs. Na zewnątrz coś szczekało i postukiwało.

– Bukszpryt w porcie dokującym, rygle zamknięte. Potwierdzam, Asterope zadokowana do Star Resort. Trwa uszczelnianie pasażu transferowego, rendez-vous zakończone – oznajmił ktoś w słuchawkach i to był stosowny moment na kolejną porcję entuzjazmu. Zanim otwarto właz w kadłubie, upłynęło kilka irytujących minut oczekiwania. Przez iluminator widać było wyobloną białą ścianę modułu, jakąś kratownicę i parę skomplikowanych anten na tle czerni kosmosu.

Wnętrze przypominało labirynt dla chomików. Wąskie, cylindryczne pomieszczenia, łączące się ze sobą we wszystkich kierunkach. Były obszerniejsze niż w habitacie, ale tylko trochę. Na każdej powierzchni ciągnęły się obleczone miękką pianką klamry, bo odpychanie się od nich było jedynym możliwym sposobem poruszania się. Ludzie, którzy ich witali obowiązkowymi misiaczkami i poklepywaniem się po plecach, nosili

miękkie kombinezony i czyściutkie skarpety albo płócienne espadryle, jak do kung-fu. Panował tłok, ale ponieważ wszyscy unosili się w powietrzu, a pojęcie góry i dołu nie istniało, robił się tym większy chaos. Wśród witających byli nie tylko pracownicy stacji, ale i ich obie załogi z Ajtry i Kerkesis.

Oraz Nikoleta.

Z grzywą czarnych włosów pływających wokół głowy, poruszających się, jakby żyły własnym życiem, piękna nawet w aseksualnym niebieskim kombinezonie i grubych białych skarpetach na smukłych stopach. Objęła Norberta i poklepała po plecach, z wrażenia zaparło mu dech. Wydało mu się, że jego kombinezon zaraz podniesie alarm i wszystko się wyda.

Usiłował jakoś zorientować się, gdzie jest i jak trafić do własnej „kajuty”, przypominając sobie wirtualną symulację stacji, ale wszystko wyglądało jakoś inaczej, a poza tym nie miał pojęcia, do którego portu zadokowali. Marzył tylko o tym, żeby pozbyć się kombinezonu ELOS i termicznej bielizny, założyć coś lekkiego i położyć się.

I wtedy zorientował się, że to jedna z tych rzeczy, z którymi pożegnał się na dobre. Tu nie mógł usiąść ani się położyć. Mógł tylko przypiąć się do czegoś albo zawisnąć. To tyle.

Jego kajuta okazała się właściwie zasuwaną wnęką z własnym iluminatorem, przez który widział Ziemię, w końcu na co dzień był tu sześciogwiazdkowy hotel. Łóżko, czyli śpiwór z pasami, znajdowało się na suficie i wyglądało jak rozwarty kokon wielkiej gąsienicy, Norbert miał jeszcze dotykowy panel i kilka zamykanych bakist, gdzie mieścił się jego sprzęt, oraz mnóstwo elastycznych linek i siatkowych kieszeni na każdej powierzchni, do stabilizowania rzeczy codziennego użytku.

Rozebranie się tak, by niczego nie pogubić i nie wykręcać przy tym salt, i nie odlecieć w przypadkowym kierunku, okazało się wyzwaniem, które zajęło mu z piętnaście minut. Rzecz jasna, odruchowo odłożył hełm na bok, a ten, zamiast zostać na miejscu, odpłynął na korytarz; przez jakiś czas ścigał też rękawicę, którą zdjął zbyt energicznie. Okazało się, że aby zrobić cokolwiek, należało znaleźć najbliższą klamrę i wsunąć pod nią stopy, jak w strzemiona. Tylko że nie we wszystkim to pomagało. Założenie skarpetek i espadryli w ten sposób było niemożliwe, a w swobodnym dryfie podobne do wyższej akrobatyki. Należało przypiąć się w pozycji zbliżonej do siedzącej.

Uporał się z tym w końcu, umieścił w kieszeni składany schemat stacji i podryfował do mesy, gubiąc się po drodze tylko dwa razy.

Tajger unosił się poziomo, pociągając sok pomarańczowy z bidonu i patrząc przez rząd iluminatorów na Pacyfik. Norbert przełknął tylko ślinę, wciąż czuł się jak na karuzeli, nawet sam widok soku go odrzucał.

– Co tam się odpierniczyło na dole?

– Przypuszczalnie dalszy ciąg tej sprawy z delfinami.

– Z delfinami?

– Delfiny straciły nas z oczu, ale potem zaczęły kojarzyć starty z kosmoportu OrbitLines. Tymczasem nigdzie nie zapowiadano żadnej inwazji celebrytów i

milionerów na orbitę. Zwłaszcza do Star Resort, która jakoby przechodzi prace konserwatorskie. W dzisiejszych czasach kosmoturystyka to nie jest news z pierwszej strony, jednak nie przechodzi całkiem bez echa. Tyle że OrbitLines działa legalnie i ma poparcie premiera Amgalana Bilguuna. Delfiny znalazły do kogoś, kto nie lubi premiera, a ma przełożenie na Tangułyn Erenhij Gazar, czyli wywiad GIA. Spóźnili się dosłownie pół godziny, bo skróciliśmy procedurę.

– Co teraz?

– Atak tutaj jest mało prawdopodobny, ale delfiny mogą chcieć coś wymyślić. Co innego przymknąć kogoś z lipnym podejrzeniem o terroryzm albo spowodować wypadek podwodnej instalacji, a co innego zaatakować prywatną stację orbitalną, robiąc to, co w statucie. Jesteśmy na orbicie pięćset, w sensie prawnym na wodach międzynarodowych, delfiny dopuściłyby się aktu piractwa. I tak na razie jesteśmy uziemieni.

– Jak to?

– Księżyc się rusza, Ziemia też. Musimy czekać, aż ustawi się nam na celowniku i będzie bliżej. Dwa tygodnie. Mam nadzieję, że zabrałeś coś do czytania.

Zabrał.

W databanku stacji znalazł mnóstwo gier, filmów, książek i muzyki. We własnej kajucie i mesie można było chmurzyć cyberetki. Zostało mu kilka sezonów starego motoryzacyjnego kabaretu, którego został zawziętym miłośnikiem. Fotografował powierzchnię Ziemi do swojej kolekcji banalnych pamiątek. Do tego pozostawały wyzwania związane z jedzeniem, higieną, wypróżnianiem się, ubieraniem, a nawet spaniem.

Tu wszystko, co nie zostało przypięte na sztywno, nie było ani przez moment nieruchome, i dotyczyło to także jego ciała w śpiworze. Jeśli zaciągnął pasy dociskające go do materaca, nie mógł zmienić pozycji. Jeśli je poluzował, mógł się przekręcić, ale wtedy pływał we wszystkie strony wewnątrz śpiwora. Nadał go trochę, ale wówczas zrobiło się za gorąco. Poza tym na pokładzie Star Resort ani przez chwilę nie było cicho. Wentylacja szumiała, coś przepływało w rurach, oksygenatory mruczały, w dzień i w nocy ktoś pętał się po korytarzach, płynąc przez nie i odbijając się od klamer, elektronika popiskiwała. Jeśli się nie przymocowało nawet najgłupszego drobiazgu, nie wcisnęło pod elastyczną taśmę albo nie przypięło paskiem gekko, natychmiast uciekał i potem trzeba było go szukać na kratkach wlotowych systemu wentylacyjnego.

Na filmach zawsze wymyślano jakąś sztuczną grawitację i bohaterowie po wejściu na pokład stacji albo statku chodzili, siedzieli i funkcjonowali normalnie. Tu nieważkość była głównym bohaterem. Powodowała mdłości i zawroty głowy, wdzierала się w każdą dziedzinę życia, zmieniając najgłupszą czynność w grę zręcznościową, i doprowadzała do szału.

Obowiązkowo Norbert spędzał codziennie dwie godziny na siłowni i to było jeszcze bardziej nudne i przykre niż zazwyczaj. Jeśli biegał na ruchomej bieżni albo jeździł na stacjonarnym rowerze, musiał najpierw założyć uprząż i przypiąć się kombinacją

elastycznych linek, które dociskały go do podłoża, tworząc namiastkę ciężenia. Przynajmniej displej pokazywał mu, że przemierza jakieś górskie trasy i leśne ścieżki, a wentylator dmuchał w twarz zapachem trawy i sosnowej żywicy.

Jak każdy normalny człowiek swoich czasów, Norbert nawet nie myślał o kosmosie. To było coś, co istniało w popkulturze jako kraina Nigdy-Nigdy, obok światów zaludnionych przez elfy, smoki i orki. Nie przeszło mu ani razu przez głowę, że chciałby zobaczyć Ziemię z orbity. Słyszał o orbitalnych hotelach, ale w jego świecie znaczyły tyle, co twierdze krasnoludów. Nie pomyślał też nigdy, że chciałby zobaczyć pegaza. A teraz Ziemię miał za oknem w sypialni i mieszkał w miejscu, za które nieliczni wybrańcy płacili po ileś mega euro za dobę i traktowali to jak przygodę życia, coś, czego każdą sekundę zapamiętają jako bezcenne doświadczenie. On to dostał za darmo, jako część pracy, i to zupełnie zmieniał optykę. Nie było marzeniem życia, tylko podróżą służbową i w związku z tym stawało się zwyczajnie męczące, nudne i uciążliwe.

Fakt, że doświadcza czegoś, co było udziałem nielicznej garstki wybrańców, z kolei zwyczajnie do niego nie docierał. To była jakaś abstrakcja. Mieszkał w powiększonym labiryncie dla chomików razem z bandą wygolonych kosmicznych małąp, gdzieś w czarnej pustce, i zabijał czas, czekając na kolejny niewygodny i niebezpieczny transport do następnego ciasnego i niekomfortowego miejsca. Na razie był pięćset kilometrów od domu, wkrótce jednak ta odległość zmieni się do tego stopnia, że przestanie mieć znaczenie.

W wolnych chwilach dyskretnie gapił się na Nikoletę, ale niczego nie próbował, mając głębokie przekonanie, że w jej obecności głupieje jak nastolatek i dysponuje najwyżej jedną czwartą mózgu.

Postanowił natomiast zająć się porządnie iwentem. Wydobył saszetkę ze sprzętem, uruchomił mikrodrony i poszedł między ludzi.

Większość nie chciała gadać. Przywykli do trzymania języka za zębami i cała sytuacja była dla nich zupełnie obca.

Ale nie wszyscy.

PTAKER

– Niektóre pytania będą debilne. Muszę je zadać, bo film będą oglądali ludzie, którzy wiedzą o świecie tyle, co zobaczyli w Necie. Mają w głowie szufladki oparte o stereotypowe skojarzenia i trochę propagandy, którą uważają za własne poglądy. Chcę, żeby zrozumieli, kim jesteśmy i co robimy. Jeśli ten film ma zadziałać, musimy im wytłumaczyć, co widzą. Jedziemy?

– Wal. Zobaczymy, co się da z tym zrobić.

– Kim jest najemnik?

– Najemnik, kondotier, kontraktor, żołnierz kontraktowy. Były żołnierz przyjmujący zlecenia na działania o charakterze wojskowym na zasadzie kontraktu. Pracownik PMC, private military company.

– Czyli walczyście za pieniądze.

– Idiotypyczne uproszczenie. Żołnierz państwowy też walczy za pieniądze. Lekarz leczy za pieniądze, policjant za pieniądze pilnuje prawa, wolontariusze za pieniądze pomagają potrzebującym, i to czasem za większe, niż jest warta ich pomoc. Każdy musi z czegoś żyć.

– Ale żołnierze składają przysięgę i służą krajowi.

– Wojna jest narzędziem polityki. Żołnierz przysięga i ma być wierny krajowi, ale służy politykom. Jeśli politycy zmieniają priorytety, żołnierze zostają poświęceni. Każdy z nas służył kiedyś krajowi, temu czy innemu, i wszyscy dostali prędzej czy później kopa. Wojsko też zawiera kontrakty.

– Ludzie uważają, że każdy może was kupić i to znaczy, że zabijacie za pieniądze.

– Po pierwsze, zajmujemy się przede wszystkim ochroną. Zabijanie w ogóle nie jest naszym celem. Czasem jest niezbędne, żeby wykonać zadanie. Jeśli możemy to zrobić, nikogo nie zabijając, to tak robimy. Po drugie, to my wybieramy kontrakty. Jeśli uważamy, że są nieetyczne, nielegalne albo skierowane przeciwko naszemu krajowi, to nie kupisz naszych usług za żadną sumę. Mamy swój kodeks, swoje zasady i swoją definicję racji stanu. Szerszą niż polityków. Zresztą przede wszystkim i najpierw chodzi o ochronę. Rzadko cokolwiek innego. Jeśli ktoś chce zabić albo porwać ludzi, których chronisz, przeciwdziałasz. Proporcjonalnie do zagrożenia. Nasi przeciwnicy z reguły nie mają żadnych skrupułów. Ich zasady nie dotyczą.

– A są tacy, którzy przyjmą każde zlecenie?

– Byli, są i będą. Tylko to nie są kontraktorzy. Takich nazywa się bandytami. Sami mogą nazywać się, jak chcą, choćby wikingami albo papieżami. Nic to nie zmieni. To bandziory, nawet jeśli kiedyś służyli w jakiejś armii.

– A gdybym chciał wysiedlić jakąś wioskę, żeby dostać się do jakichś złóż? Przyjmiecie takie zlecenie?

– Bajki z filmów. I nikt tego nie zauważy? Mamy potem iść za ciebie do pierdła? Albo pod ścianę? Z opinią bandziorów i zbrodniarzy wojennych? Z nami nikt się nie patyczkuje. Są takie zasady, które tylko wydają się idealistyczne, a w rzeczywistości to BHP. Jeśli kupisz od nas masakrę cywilów, to my za to bekniemy, a nie ty. Jeśli porzucimy zleceniodawcę, bo ktoś nas podkupił, będziemy skończeni w branży. Nigdy nikt nas nie wynajmie. Jeśli się zesramy i uciekniemy, to samo. Jeśli porzucimy swoich, firma przestanie być wiarygodna dla własnych ludzi.

– To dotyczy wszystkich kontraktorów?

– Na pewno wielu. Ale ja mówię o Badland Solutions. Wyłącznie. Nie biore odpowiedzialności za cały świat.

TAJGER

– Może kiedy indziej. Teraz jestem zajęty.

MARKER

– Bo ja nie umiem żyć po waszemu. Próbowałem, robotę znalazłem, nawet miałem łaskę. No, to się nie da. To nie jest życie. Zajmujecie się jakimiś, kurna, pierdołami. Robota bez początku, bez końca, bez sensu, odtąd dotąd. Jakieś kwity, jakieś opłaty, żadnego celu, tylko jak w kołowrotku. I po co? Żeby zapłacić kolejne kwity? Na misji wszystko, co robisz, ma cel. I jest naprawdę, bo w każdej chwili możesz zginąć. To się czuje. Czujesz, że żyjesz. A wasze życie jest sztuczne. No, kurna jego mać, wirtualne. Wirtualne przyjaźnie, wirtualna miłość, wirtualni znajomi... Wszyscy łąą jak jacyś, kurna, lunatycy, bełkoczą coś pod nosem, machają łapami, coś im się wydaje, że robią, a tak naprawdę tego nie ma. Żyją w klatkach, jak zwierzęta w zoo. „Kłak, wełna, byle kicha pełna” i tyle. I ruszyć się nie ma gdzie, bo wszystko zakazane, nakazane, kontrolowane. Gdzie się nie ruszysz, czegoś nie wolno. Wszędzie kamery i przepisy. Nawet, kurna, spokojnie zjeść nie można ani się napić. Tu limity, tam zakazy, to niezdrowe, bo tak, tamtego nie wolno, w najgłupszych sprawach. Co komu do tego, co lubię zjeść albo wypić? Tu wszystko jest naprawdę i żadnych pierdoł. Musisz mieć zaufanie do gościa, który stoi obok ciebie, bo obaj umrzecie. I on musi tak samo liczyć na ciebie. Nie ma ściemy. Nie zajmujesz się całymi dniami kwitkami i urzędami...

...Uzależnienie od adrenaliny? A bo ja wiem? Pewnie tak. Najpierw z ciebie schodzi, potem się cieszysz, że nikt ci nie strzelił w dupę, potem odsypiasz i byczysz się na plaży, a potem zaczynasz się nudzić, potem cię wszystko wkurwia, a potem już ci się zdaje, że czekasz tylko na śmierć. I marzysz, żeby z powrotem w kamasze...

...Jasne, że się boję. Każdy się boi, ale daje radę. A jak przeżyjesz, to, kurna, każdy haust powietrza to jest haj. Żyjesz każdym włosem na głowie. Nic się z tym nie równa. Bo, kurna, jest prawdziwe...

Norbert próbował sfilmować statek kosmiczny, ten z prawdziwego zdarzenia, który miał ich zawieźć na Księżyc. Był przycumowany skromnie po „ciemnej stronie stacji” i dodatkowo zasłonięty przez wielki panel słoneczny. Na zewnątrz jednak Norberta nie wypuszczono, a jego normalny sprzęt, choćby mikrodrony, nie przeżyłby w próżni i paru stopniach Kelvina nawet sekundy.

W końcu musiał się zadowolić zdjęciami z kamery serwisowej na przegubowym ramieniu pełniącym obowiązki dźwigu, uniwersalnego zrobotyzowanego modułu naprawczego albo platformy dla ekipy pracującej na zewnątrz.

Przy wymiarach stacji, do której dokował, statek wydawał się mały, ale w porównaniu z dawnymi pojazdami, którymi ludzie wybierali się w kosmos, był gigantem. Zbudowano go na orbicie i miał na niej pozostać do końca służby. Miał przewozić ładunki i ludzi pomiędzy Ziemią a Księżycem i nigdy i nigdzie nie lądować. Nie potrzebował aerodynamicznego kształtu, osłon ablacyjnych ani silników zdolnych wyrwać go z przyciągania ziemskiego.

– To w gruncie rzeczy pociąg – tłumaczył Jankes. Jankes był pilotem Asterope, tym samym, który ich tu przywiózł. Pierwszego dnia o mało nie przyprawił Norberta o zawał serca, bo gdy wyszedł z kabiny jako ostatni po zakończeniu testów, w momencie kiedy już się rozgościli, po prostu rozpadł się na połowy na jego oczach. Norbert czekał

wtedy na prysznic i zobaczył pilota, który wsunął stopy pod jedną z klamer, przekręcił się w pasie, jakby chciał sobie nastawić kręgosłup, po czym wysunął tułów wraz z miednicą ze spodni i swobodnie ruszył korytarzem, błyskawicznie przenosząc dłonie na uchwytach, i zniknął mu z oczu. Jego osieroczone nogi przykucnęły we wnęce pod ścianą i znieruchomiały.

– Dlaczego pociąg?

– Zasada taka. Jak pociąg albo truck. To szkieletowa construction, masz service module z silnikami i paliwem, potem jest axis, znaczy oś... coś jak kręgosłup. Cargo module. Tam jest mainpower magistrala i korytarze serwisowe, a dookoła montuje się containers, które są autonomic landing module, a na drugim końcu jest command module do sterowania. Kontenery są dla ludzi albo supplies, wszystko jedno, jak wagony w pociągu.

– Znaczy te kontenery same lądują?

– Yeah. Na orbicie je uwalniamy i one lądują. Jeden po drugim. Mają własny radar i własna telemetria, można sprowadzać z bazy na dole. Oros zostaje na orbicie i czeka na załadunek.

– Oros?

– Ten TLCV. Trans Lunar Cargo Vehicle. Mamy dwa: Oros i Somwar. Somwar jest teraz on the moon orbit. Latają wahadłowo.

– Te nazwy coś znaczą?

– Yeah, ancient slavic gods. Bogi księżyca.

Kolejna kolacja przed startem. To się już robiło nużące, Norbert sam nie wiedział, gdzie ta podróż się właściwie zaczęła, ale najchętniej gdzieś by wreszcie dotarł. Czuł się zmęczony, wszyscy ci komandosi powoli działali mu na nerwy, a jeszcze nawet nie dotarli na miejsce.

W mesie można było udawać, że się siedzi, był stół i były ławy, tylko należało wsunąć nogi we wszechobecne klamry i dociskać odlatujący tyłek do siedzenia. Można było też jak Ptaker unosić się wysoko nad stołem albo wypuszczać kawałki potrawy z torebki jak Angol i chwytac je w powietrzu niczym ryba, albo rzucać nimi w Helmuta, tak jak to robił Nurek, zupełnie jakby karmił foki. Stan nieważkości stwarzał zupełnie nowe sposobności do irytujących zachowań, które w normalnych warunkach nikomu nie przyszłyby do głowy. Każdy sos miał konsystencję budyniu, każda potrawa – miękkich, gumistych kęsów albo papki, wszystkie przyprawy występowały w postaci płynnej i wykluczone były produkty produkujące okruszki. Każdy okruszek gdzieś by zdryfował, a potem dostał się do wentylacji, oksygenu, wnętrza jakiegoś urządzenia i spowodował zator, coś zwarł albo znalazł drogę do czyichś płuc i zadławił na śmierć.

Norbert kręcił iwent, równocześnie grzebiąc widelcem w pojemnikach i puszkach uczeponych do magnetycznej tacy i popijając przez dozownik bidonu.

Profesjonalnie.

Spakowali się i przenieśli bagaże na pokład Orosa. Oczywiście w warunkach zero grawitacji łatwiej było powiedzieć, niż zrobić, samo łowienie własnych rzeczy i

stabilizowanie ich przed zamknięciem walizki mogło doprowadzić do szafu.

Statek przewoził teraz dwadzieścia cztery kontenery, umocowane wokół długiego kilu z kratownicami, grupami po sześć. Były podłużne, długości ośmiu metrów każdy, i sześciokątne w przekroju, co nikomu się nie podobało, bo za bardzo kojarzyły się z trumnami. W odróżnieniu od wszystkiego innego na orbicie, tu istniały góra i dół. Umowne, ale zaznaczone wyraźnie strzałkami. Kontenery miały własne silniki do lądowania i siadały płasko, więc i miejsca dla załogi dostosowano do osadzenia na powierzchni Księżyca.

Dla nich przeznaczono cztery moduły w pierwszym pierścieniu, tuż za modulem dowodzenia. Po jednym z każdej burty i dwa górne. Połączono je z korytarzem wokół kilu, tworząc wspólną przestrzeń. Reszta zawierała zaopatrzenie dla bazy.

Okno startowe wyliczono co do sekundy, więc oczywiście zainstalowano ich w siedzeniach dwie godziny wcześniej i kazano gapić się w sufit i słuchać nieustannych komunikatów oraz przygnębiająco długiego odliczania, podawanego co dziesięć minut.

Siedzenia znów tkwiły we wnękach wzdłuż burt, można je było rozłożyć i spać, w każdej znajdował się stoliczek i ekran, pakiety z racjami żywnościowymi, dozownik wody i napojów, ale reszta kontenera została wypakowana dość ciasno pojemnikami i modułami transportowymi umocowanymi taśmami. Przypominało to podróż w wagonie pocztowym pełnym paczek. W każdym module zainstalowano toaletę z łazienką, ale trzeba było się do niej przeciskać.

Tym razem Norbert nie wziął dodatkowego plastra, ale specjalnie się nie denerwował. Albo zaczął przywykać, albo zwyczajnie się mylił, sądząc, że start z orbity jest mniej ryzykowny niż z Ziemi. Ale też co tu się mogło stać? Nie licząc samej stacji, od której mieli wkrótce odbić, było tu absolutnie pusto. Nie dało się na nic wpaść ani się z niczym zderzyć. W efekcie czuł nie większe emocje niż przed jakimkolwiek innym startem, choćby na zwykłym lotnisku. Tam też czekało się w nieskończoność, aż człowiek modlił się, żeby cokolwiek się wydarzyło.

Ożywił się, kiedy kazano im zamknąć przesłony hełmów.

Sam start okazał się wyjątkowo mało spektakularny. Na pancerzu rozległ się zgrzyt, kiedy Star Resort odpięła chwytaki cumownicze, zasyczały sterburtowe silniki manewrowe, to znaczy dało się w kabinie usłyszeć ten najbliższy, gdy poszycie przekazało dźwięk, bo na zewnątrz panowała wieczna i martwa cisza.

Przez najbliższy iluminator Norbert widział przez chwilę Star Resort, niczym podwozie od staroświeckiej armaty, jak odpływa majestatycznie w przestrzeń i maleje aż do niewielkiej srebrnej iskry, nieróżniącej się od reszty gwiazd. Po chwili gwiazdozbiory zaczęły się przesuwac i zrozumiał, że Oros się obraca.

– Pierwsze odpalenie do asysty grawitacyjnej za dziesięć... dziewięć...

Przeciążenie wbiło Norberta w fotel, poczuł metaliczny zapach tlenu. Silnik było słyhać, dźwięk szedł przez tunel serwisowy po poszyciu i przez strukturę statku, ale bez porównania ze zwycięskim rykiem dopalaczy tam, na Ziemi. Bardziej było słyhać skrzypienie i postukiwanie konstrukcji, a ten dźwięk niepokoił Norberta. O ile wiedział,

tu nic nie miało prawa skrzypieć, trzeszczeć ani podzwaniać.

Zdawał sobie sprawę, że oblatują Ziemię po coraz wyższej orbicie, ale niczego nie zobaczył. Gwiazdy, drobne i wyraźne jak garść srebrnego pyłu na aksamicie, albo się poruszały, albo nie. Po półgodzinie nastąpiło drugie odpalenie, które ponownie wbiło Norberta w rozłożony fotel, a potem trzecie.

Przeciążenie ustąpiło po kilku minutach i natychmiast wróciła stara, dobra nieważkość.

Pilot oznajmił: „Oros na kursie Księżyc” i można było otworzyć oraz zdjąć hełmy.

Przez okna Norbert widział ciemność wypunktowaną gwiazdami, które już się nie poruszały. Równie dobrze mógłby patrzeć na zamkniętą okiennicę z dziurkami. Zaczęło do niego docierać, że całe te podróże kosmiczne polegają głównie na siedzeniu w ciasnym pomieszczeniu, zużywaniu jak najmniejszej ilości zasobów i czekaniu. Romantyka? Przygoda?

Właśnie leciał na Księżyc jako pierwszy iwenciarz w historii i w ogóle przypadkowy facet z ulicy, tymczasem najbardziej przypominało to nocną podróż dość zatłoczonym pociągiem.

Trzydniową podróż.

Przez noc polarną.

Napełnił kubek ciepłą herbatą i umieścił go w gnieździe przy prawym podłokietniku. Wydłubał z opakowania batonik i wsunął pod elastyczną pętelkę przy ścianie, a potem odwrócił do siebie ekran.

Musiał się dowiedzieć, czy trzech panów w średnim wieku da radę przejechać dziesięcioletnimi samochodami przez bezdroża Andów oraz co będzie szybsze: ślizgacz na zatoce czy motocykl jadący drogami.

Poluzował trochę pasy i pomyślał, że na szczęście w kosmosie nie można dostać odleżyn.

Przez następne półtorej doby nie działo się absolutnie nic.

Potem zaczęli hamować, co wymagało włączenia silników hamujących na jakieś dziesięć minut, i to było wydarzenie dnia.

I znowu nic.

Aż do katastrofy.

Obudziły go syreny. Znał je już na pamięć, ale miał nadzieję, że nie usłyszy ich w rzeczywistej sytuacji. Jednak usłyszał aż trzy.

Sygnal utraty ciśnienia, sygnal awarii zasilania i jeszcze jakiś, którego nie kojarzył, wszystkie tworzyły jedną przeraźliwą kakofonię trwogi. W błyskającym świetle Norbert wymacał hełm i nasadził go trzęsącymi się rękami na złączkę, a potem trzasnął przesłoną.

Nie wiedział, co się stało, ale był pewien, że to koniec. Jego oddech świszczął w skorupie hełmu, coś skrzypiało, potem huknęło gdzieś pod spodem, pod podłogą, statek trząsł się w wibracjach. Z sykiem strzelił gejzer jakiejś pary. W słuchawkach panowało pandemonium przekrzykujących się głosów.

„Moduł cztery traci ciśnienie! Utrata stabilności! Ciśnienie w czwórce krytyczne! Ewakuować moduł cztery! Zaraz się zamknie! Uwaga! Awaryjne odcięcie czwartego ATLM! Co jest?!”

Coś zazgrzytało, potem huknęło przeraźliwie, ze śpiewnym dźwiękiem giętego metalu, statek szarpnął i zapadła ciemność, rozlegał się tylko przeszywający gwizd powietrza, jak ze staroświeckiego czajnika.

Zamigotało słabe czerwone światło.

– Raport o uszkodzeniach!

– Utrata ciśnienia w granicach minus czterdzieści paskali! Brak zasilania na głównej magistrali! Utrata stabilności kursowej, mamy wirowanie wzdłużne, z precesją cztery stopnie!

– Korekta, wyrównaj!

– Straciliśmy moduł cztery! Nie ma go! Tam byli ludzie! Nie zdążyli...

– Kto?!

– Helmut, Moro i Ptakers!

Norbert słuchał tego ścierpnięty z przerażenia, a jednak jakiś odruch kazał mu włączyć nagrywanie. Niemal od razu po założeniu hełmu.

Tyle że nic nie było widać. W migocących ciemnościach dryfowały sylwetki w pomarańczowych kombinezonach, świecąc latarkami na hełmach. Jeden z ludzi trzymał jakiś pojemnik, który pluł strugą pary albo dymu.

– Wyłącz tę zasraną syrenę, muszę mieć dym!

– Jest! Idzie pod panel kontrolny cztery!

– Widzę! Jest szczelina w poszyciu, trzy milimetry na pół! Dawaj piankę, łątę i żywicę, biegusiem! Ruchy!

Ktoś krzątał się w ciemnościach i wciąż nic nie było wiadomo. Ginęli? Dolecą na miejsce? Da się to naprawić? Umrą? A tamci ludzie, co z nimi?

Norbert mógł tylko czekać.

Gryźć wargi, nasłuchiwać odgłosów w słuchawkach, usiłując wyłowić z nich odrobinę nadziei, która na przemian budziła się i umierała.

– Nie, gównno! Nic z tego!

– Tak trzymaj, dobra... Dupa!

– Przytrzymaj to kurewstwo!

– Co z tą magistralą?

– Wyrwało złączkę do czwórki, zbocznikuję i sprawdzę bezpieczniki.

Trwało to wieki. A potem nagle zapłonęło światło, zaszumiała wentylacja i zaczęło się robić cieplej. Syreny gasły jedna po drugiej, ale nadal nikt niczego nie wyjaśniał.

– Fokus, do modułu dowodzenia!

Norbert dopiero po sekundzie skojarzył, że to do niego.

Odpiął się i popłynął do umieszczonego z przodu modułu, który miał kształt spłaszczonego stożka, piloci siedzieli obok siebie na fotelach umocowanych do umownej podłogi, Jankes miał podłączone protezy, więc wyglądał normalnie. Przed

nimi znajdowały się trójkątne iluminatory, panele kontrolne i ekrany umieszczone gdzie się dało. Z tyłu tłoczyło się kilku ludzi, Królik jakby kuczał na ścianie, a Tajger stał z czubkami butów wsuniętymi pod klamry.

– Nagrywasz?

– Tak.

– W czterdziestej piątej godzinie lotu na pokładzie transportowca księżycowego Oros nastąpiła awaria. Z niewiadomych przyczyn moduł załogowo-transportowy numer cztery zaczął tracić spójność z kadłubem i oderwał się, powodując szereg zniszczeń struktury statku. Zniszczenia zostały częściowo usunięte i statek kontynuuje podróż. W module znajdowało się trzech członków załogi. Mamy z nimi kontakt radiowy oraz ich odczyty biomedyczne i wiemy, że wszyscy żyją. Moduł jednak traci powietrze. Usiłują go uszczelnić i założyli już skafandry próżniowe. Obiekt dryfuje bezładnie około osiemdziesięciu kilometrów od nas i zostaje w tyle, zwłaszcza że też wypadliśmy z kursu i dokonujemy korekt. Zawiadomiliśmy bazę na Księżycu i stację kontroli misji SilverSands. Pracują nad rozwiązaniami. Na razie tyle.

– Zawróćmy po nich!

Królik parsknął, Tajger uspokajająco podniósł rękę.

– Trzeba wyjaśnić – odezwał się Jankes. – To jest spacecraft. Nie może robić żadnych manewrów przy prędkości przelotowej. Nie da się. Lecieliśmy z prędkością czterdzieści tysięcy kilometrów na godzinę. Ten hours ago włączyliśmy silniki hamujące. Do prędkości orbitalnej, gdzie możliwe maneuvers, dojdziemy jutro. Jedyne rozwiązanie teraz zawrócić to oblecieć Księżyc. Teraz robimy poprawki kursowe, co zużyje dużo paliwa silników manewrowych, ale zawrócić jest impossible.

– To co z nimi będzie?! Zostawimy ich?

– No one stays behind, buddy. Możliwe dwie rzeczy. – Jankes pokazał dwa palce. – Oni mają bezwładne wirowanie. Problem. Trzeba wygasić. To jest landing module, ma silniki manewrowe, telemetria, radary, ale oni wszyscy to rangers, żaden z nich nie jest pilot. Teraz w SilverSands liczą dla mnie program. Jak go dostanę, przejmę kontrolę nad module i zdalnie ich wyrównam. Potem trzeba ich ustawić na kursie i odpalić ich descent engine. Drugi program. Mają engine do lądowania, to go odpalimy jako napędowy w kierunku Ziemi. Somwar wystartuje z powrotem z Księżycy i będzie trasować ich beacon. Jak pójdzie well, oni będą blisko optymalnego kursu, a nie wiadomo gdzie.

– A dlaczego nie odpalić ich w kierunku Księżycy?

– Bo zanim Somwar wystartuje, to i Księżyc, i Ziemia się przesuną. Da się namierzyć i przechwycić ich po drodze, a nie przeszukiwać sektor. Nie ma za bardzo manewrów, tłumaczyłem ci.

– Zostaje jeden problem – powiedział Tajger. – Nawet jeśli uszczelniamy kabinę, nie mają oksygenu. Jest zapas tlenu, ale wystarczy na cztery dni. Nie ma też dość filtrów dwutlenku węgla. Jeden może doczeka, wszyscy nie. Somwar zdoła wystartować najwcześniej jutro.

– Więc co?

Tajger sięgnął do kieszeni na ramieniu i wyciągnął srebrny, obło zakończony walec ze skuwką jak krótki pisak. Odkręcił i pokazał igłę.

– Samobójstwo?! Jaki w tym sens?

Tajger pokręcił głową.

– „Prawie” robi różnicę. Ten problem z tlenem jest stary jak świat. Przynajmniej teoretycznie. A to jest jakieś rozwiązanie. Reveroletheron. Środek wywołujący głęboki letarg. Obniża funkcje życiowe, metabolizm i zapotrzebowanie na tlen spadają dziesięciokrotnie. Zostanie jeden, pozostali będą w letargu i prawie nie będą zużywali tlenu ani wody.

– Jak długo można być w takim letargu?

– Stosunkowo bezpiecznie do miesiąca, potem wzrasta zagrożenie uszkodzeniami mózgu.

Lądowanie odbywało się automatycznie. Wszystkie moduły miały zamknięte włązy, strzelało, kiedy odpalano zaczepy, potem były wstrząsy i ostre syknięcia silników manewrowych, za oknem sunęła pokryta wysypką kraterów szara równina, odpalenie silnika hamującego było jak potężne uderzenie w podłogę, która nagle naprawdę zaczynała być na dole, pasy szarpały, pojawiały się błyskające światła podzielonego na sektory lądowiska, kontener uderzał o podłoże z szumem dopalających się ładunków i osiadał na przyporach.

Potem musieli czekać na pojazd z kołnierzem tunelu transferowego.

Witali ich, obejmowali i poklepywali po plecach i hełmach, ale nikt nie wiwatował, a oni wchodzili w posępnym milczeniu.

Rec.12

Baza, oficjalnie istniejąca jako „hotel Tvardovski”, częściowo została wbudowana we wnętrze pagórka, a częściowo wzniesiona przed nim, jako kompleks spłaszczonych kopuł z szarych płyt, wydrukowanych z połączonego z polimerem regolitu. Zresztą podczas krótkiego transferu w zatłoczonej kabinie pojazdu Norbert specjalnie nie miał okazji podziwiać okolicy. Wiedział, że jest w pobliżu krateru Posidonius, gdzieś na skraju Mare Serenitatis, widział mapy i filmy, ale przez wąski iluminator zobaczył tylko pola ogniw solarnych, wygładzoną płytę lądowiska, rzędy kontenerów i jakieś dwa pojazdy wyglądające jak buldożery, zaparkowane zupełnie zwyczajnie i niekosmicznie na brzegu płyty. Przypominało to wszystko jakiś plac budowy gdzieś w Arktyce.

Wnętrze było podobne do podwodnego habitatu i prawie znajome dzięki symulacjom. Niby Norbert wiedział, gdzie co jest i jak trafić do swojej kabiny, ale w rzeczywistości labirynt chomików nieco się różnił.

Poza tym cały czas był ogłuszony i oszołomiony. Przede wszystkim wyglądało na to, że ledwie uszedł z życiem, jednak ani na chwilę nie był w stanie zapomnieć o trzech z nich, dryfujących w martwej pustce wewnątrz metalowo-kewlarowego pudła. Wiedział, że Jankesowi udało się zdalnie uspokoić wirowanie, że ustawiono ich na kursie, a odpalenie silnika lądującego pchnęło ich we właściwą stronę, ale nadal tkwili samotnie w kontenerze i mogli jedynie czekać. Ścisłe rzecz biorąc, czekał tylko Ptaker, siedząc uwięziony w skafandrze, uzupełniając tlen z awaryjnych zbiorników, w zimnie i nicości, mając za towarzystwo dwóch ludzi pogrążonych w letargu i niewiele różniących się od nieboszczyków.

Niby na co dzień się mijali, Moro i Helmuta Norbert kojarzył i rozpoznawał, a Ptakersa zdążył prawie polubić. Ze zdumieniem odkrył zaskakująco silne poczucie wspólnoty. Ci zagubieni gdzieś w kosmosie byli „nasi”. To byli jego ludzie i nie dawało mu to spokoju.

Nic nie mógł na to poradzić, więc uciekł się do plastrów i to pomogło. Poczucie zagrożenia i straty przytępiało, stało się wiedzą teoretyczną, przykrytą warstewką nienaturalnego, chemicznego zubożenia. Przynajmniej mógł skupić się na iwentach.

Baza była większa niż podwodny symulator, prócz nich mieszkało tam jeszcze dziesięciu techników i inżynierów z SilverSands, jak się dowiedział, większość z doświadczeniem na polarnych platformach, a także kilku naukowców i jeszcze paru kontraktorów z Badland Solutions. Były dwie duże pieczary wycięte w skale,

zaopatrzone w śluzę i uszczelnione polimerem. W jednej znajdowały się jakieś magazyny, urządzenia i przejście do ukrytego jeszcze głębiej eksperymentalnego reaktora torowego. To było królestwo inżynierów i tam Norberta nie wpuszczano, druga komora, nazwana „Prototype Bay”, została przeznaczona dla kontraktorów z Badland Solutions.

To tam po raz pierwszy zobaczył pojazdy. Każdy wznosił się na ośmiu niezależnych kołach, umieszczonych w obrotowych goleniach przypominających podwozie samolotu, z kanciastym kadłubem i obłą szoferką.

Oraz ze zdalnie sterowanym stanowiskiem strzeleckim nad kabiną.

Do tego w jaskini stał rząd obudowanych polimerem karabinków na stojakach pod ścianą. Niby się tego spodziewał, bo w końcu nie przyleciał tu w towarzystwie orkiestry, ale musiał zrozumieć.

– Jeśli mam to pokazywać, to powinienem wiedzieć, jakie mamy intencje. Jeśli ludzie zobaczą, że od razu jesteśmy uzbrojeni, to zrozumieją z tego tyle, że zmilitaryzowaliśmy Księżyc. Właściwie to go napadliśmy. Do czego jest ten sprzęt? Zrozum, oni nie analizują, tylko patrzą i odczuwają emocje. Skojarzenia. „Broń” równa się „agresja”, równa się „niedobrze”, a to równa się „afera”.

Tajger wzruszył ramionami.

– Więc na razie tego nie pokazuj. To nasza polisa. Zapewniamy bezpieczeństwo pracy firmie SilverSands. To, co tu robimy, będzie nieprzyjemnym zaskoczeniem dla wszystkich na Ziemi. Jest sprzeczne z niepisanym podziałem sił. Czymś w rodzaju samowolki. Coś jakby Dania zaczęła sama eksploatować Arktykę. Niby może, ale Putin Drugi uważa to za strefę ekonomiczną Nowosowietów. Kiedy się zorientują, co my tu robimy, będą rezolucje, stanowcze protesty, naciski polityczne, a potem pewnie i czarne operacje. Może dojdzie do niby-wojny hybrydowej. Za nimi stoją maszyny państwowe, a my jesteśmy oficjalnie prywatną międzynarodową firmą, więc musimy być przygotowani zawczasu. Zauważ, że już coś wiedzą. Już byliśmy atakowani.

– Ten kontener... To był zamach?

– Nie wiem. Oros jest na orbicie Księżyca. Próbuje go naprawiać. Uszkodzone elementy wyśle tu, na dół, i nasi jajogłowi będą je badać. Te statki latają od paru lat i nigdy nie gubiły kontenerów. Oczywiście to mogła być zwykła awaria, ale mógł i sabotaż. Może się nie dowiemy, ale musimy zakładać najgorsze.

– Jak przewieźliście tę broń?

– Nie przewieźliśmy. Korzystaliśmy z transportu komercyjnego, który przechodzi kontrolę. Nie puściliby broni ani amunicji. Przyjechała jako zakodowane oprogramowanie. Zaprojektowana i przetestowana na Ziemi, wydrukowana i zmontowana tutaj. Większość sprzętu, który widzisz, nie wyłączając samej bazy, powstała tutaj na drukarkach CNC. To karabinki elektromagnetyczne. Zwykle też by pewnie działały, ale są problemy z metalowymi częściami przy tutejszych temperaturach. Temperatura powierzchni między dniem a nocą waha się od minus do plus dwustu stopni Celsjusza. Temperatura otoczenia to prawie zero absolutne. Metal

może stłuc się jak szkło albo się rozgrzać i już tak zostać, bo wypromieniowanie ciepła jest znikome. A railguny nie mają właściwie żadnych ruchomych części i prawie się nie grzeją. Nie zamierzamy nikogo pierwszy atakować. Są podstawy, żeby sądzić, że zapewniliśmy sobie przewagę sprzętową i liczebną, i wystarczy potencjał odstraszania. Chcesz pokoju, szykuj się do wojny.

Norbert wysłuchał tego wszystkiego i jeszcze raz poszedł obejrzeć łaziki. Wznosiły się groźnie, z niebudzącymi wątpliwośći obłymi wieżyczkami zawierającymi urządzenia celownicze i sterzącymi lufami. Na kadłubach naklejono znak rozpoznawczy Badland Solutions – zgeometryzowany wilczy łeb na tle jasnego kręgu symbolizującego Księżyc, który też nie wyglądał łagodnie ani pojednawczo, i do tego czarne nazwy na burtach: „Dintojra”, „Dzikie Mięso”, „Elektryczna Makabra”, „Baron Szajba”, „Zło”.

Istna defilada pokojowych intencji.

Prototype Bay pełniła jeszcze jedną rolę – kontraktorzy oddzielili najdalszy kąt zasłonami z siatki do stabilizowania ładunku, nawstawiali tam składanych krzeseł i stołów, podłączyli małą lodówkę i udekorowali kąt światłowodowym przewodem, a potem nazwali całość „Klubem Seniora”. System wentylacyjny w komorze miał odłączany moduł ostrzegawczy, bo przeprowadzano tam eksperymenty. Dość szybko okazało się, że wyszkoleni i doświadczeni ludzie w każdych warunkach potrafią zorganizować alkohol.

Baza Tvardovski udawała hotel dla kosmoturystów, więc było tam nawet coś w rodzaju recepcji, niby-bar oraz parę atrakcji, a między innymi sprzedawano pamiątki. Produkowane na miejscu przez załogę inżynierską. Były koszulki z różnymi napisami, takie jak widziane w Karpatach NIGHT SHIFT #3, oraz idiotyczne breloczki w kształcie przypominającym miniaturowy otwarty hełm od LMU, zaopatrzone w maleńkie dłonie i buty, którego wewnątrz wypełniała przezroczysta kulka z nadrukowanymi oczkami, wypełniona w połowie białą cieczą, a w połowie czerwoną. Drobnutki napis na hełmie głosił: „Poland can into space”.

Taki lokalny patriotyzm.

Najwyraźniej słynne drukarki miały wolne moce przerobowe.

Inżynierowie uważali się za weteranów astronautyki i sól ziemi księżycowej i trochę dawali to do zrozumienia. Drugą kastą było czterech naukowców i ci już w ogóle mieli się za takich, którzy jako jedyni są tu na miejscu, mimo że pracowali na grantach od SilverSands. Jedni i drudzy uważali kontraktorów za bandę zbędnych cieciów i goryli, których przysłano tu nie wiadomo po co. Nikoleta natomiast pełniła jakąś tajemniczą funkcję, najpewniej po prostu reprezentując Szamana.

Ciążenie księżycowe było uciążliwe, ale w porównaniu z nieważkością i tak czuło się ulgę. Dało się usiąść albo położyć, należało tylko uważać przy wstawaniu i chodzeniu, żeby nie wyskakiwać pod sufit, ale i tak Norbert kilka razy solidnie obił się o ściany i stropy. W każdym razie przedmiot odłożony na blat już na nim pozostawał, kawa nie odlatywała z kubka, dawało się też prawie normalnie jeść. Poza tym góra i dół były na swoich miejscach, co też miało znaczenie.

Na zewnątrz wyszedł po kilku dniach. Miał poćwiczyć „szyk taktyczny” z grupą pięciu kontraktorów, którzy też byli na Księżycu po raz pierwszy, i sfilmować kombajn helowy w działaniu.

– Na starych filmach widać astronautów, którzy poruszają się głównie skokami – tłumaczył im Marker. – Czasem tak jest wygodniej, ale nie zawsze. U nich największym problemem był skafander. Starano się zrobić jak najlepiej izolujący od warunków, ale ruszanie kończynami nie było najważniejsze. Do tego nadymał im się we wszystkich stawach, więc ciężko było je zginać. Wy macie dużo łatwiej, cioty, więc nie margać. Tamci jeszcze grzęzli w pyłe i wy z tym też będziecie mieli problem. Za to macie mniejsze i lżejsze LSU, które nie majtają się na plecach. To są pierwsze ćwiczenia z bronią, więc, kurna, uważać, bo łby przy dupie pourywan. Fokus, trzymaj miejsce na końcu szyku i nie włącz reszcie pod nogi.

Ćwiczenie okazało się nudne, ale trochę mniej męczące niż pod wodą, bo nie musiał każdym krokiem przedzierać się przez gęste środowisko. Kiedy wyszli poza obręb bazy, wrażenie było takie, jakby utknęli w świecie czarno-białej fotografii. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się skalista szara równina, a nad horyzontem stało atramentowoczarne niebo. Wszystko wokół było albo szare, albo białe, albo czarne. Pod nogami płaszczyzna pokryta grubo pyłem, konsystencji i barwy drobnego popiołu, trochę żwiru i kamyków, dalej skały i gwiazdziste niebo nad głową.

To wszystko.

W pyłe grzęzło się aż po kostki i rzeczywiście chodzenie przypominało brnięcie w drobnym piachu, a w słabym ciężeniu łatwo było stracić równowagę. Każdy wywrócił się kilka razy i kombinezony utyłane regolitem przybrały barwę otoczenia.

Potem przerwali swój taktyczny balet, bo weszła Ziemia. Błękitno-biała, wielkości trzymanej w wyciągniętej ręce piłki do tenisa, była jedynym elementem krajobrazu, który zachował kolory. Norberta zaszczypały oczy, odruchowo grzmotnął się w przesłone hełmu wierzchem rękawicy. Rzecz jasna, nic to nie dało, więc tylko potrząsnął głową jak pies, mrugając przy tym.

A potem sfilmował krajobraz z dryfującym nad horyzontem błękitnym globem i nimi wszystkimi, stojącymi w grupce.

Kombajn helowy kojarzył się na oko z maszyną rolniczą albo jakąś odśnieżarką, był kanciasty i jakby garbaty, z przodu miał lemiesz z rolkami, które zagarniały pył, i kiedy nadjeżdżał z pustkowia, ciągnęła się za nim szara chmura rozpylonego regolitu, która wisiała godzinami, zanim zaczęła opadać. Urządzenie miało kabinę kontrolną, ale pustą, bo było autonomiczne, a na mniej więcej płaskiej powierzchni nie potrzebowało wiele więcej rozumu niż autokosiarka albo odkurzacz. Zagarniało pył, podgrzewało go do siedmiuset stopni, robiło jeszcze kilka tajemniczych rzeczy, oddzielając i frakcjonując izotop, potem schładzało go do kilku stopni Kelvina, wykorzystując otoczenie kosmicznej próżni. Następnie wtłaczało go do zbiornika wypełnionego porowatym polimerem, a pozbawiony izotopu pył wyrzucało z tyłu. To wszystko odbywało się automatycznie, a pojazd wędrował swoją trasą, kołysząc się na

podwoziach z potrójnych, baloniastych kół.

To były zdjęcia i informacje do filmu, przeciętny widz iwentów prawdopodobnie by odpłynął, gdyby dostał naraz więcej wiadomości, niż mieści się na karcie kredytowej, ale Norbert i tak je nakręcił.

– Somwar wystartował z orbity Księżyca przedwczoraj o dwudziestej trzeciej – oznajmił Tajger suchym głosem, w którym brzmiało coś niepokojącego. Zamilkli. – Po trzydziestu godzinach lotu udało mu się trafić na namiar kontenera numer cztery. Dzisiaj o dziewiątej przycumowali do niego i weszli na pokład. Ptakers żyje, Moro udało się obudzić, ale Helmut pozostaje w śpiączce. Teraz transporter jest w drodze do Star Resort. Ptakers najprawdopodobniej trafi na leczenie PTSD na Ziemi, jest w kiepskim stanie. Co będzie z Helmutem, nie wiadomo.

Ktoś zaklął.

– Dostaliśmy materiały z pokładu Orosa. Na razie wygląda, że odpalił jeden ze sworzni mocujących, które normalnie pomagają odrzucić kontener do lądowania. Tyle tylko, że one są uzbrajane dopiero na orbicie. W systemie meldowały się jako zabezpieczone i nieaktywne. Wysłaliśmy raport do SilverSands i poddajemy kontroli wszystkie sworznie, które mamy do pozostałych kontenerów. Mają nam wysłać nowe na pokładzie wracającego Somwara. Sytuacja sprowadza się do tego, że nic nie wiemy na pewno. Być może to był wypadek, ale z gatunku takich, które nie mają prawa się zdarzać. Wnioski są takie, że należy spodziewać się kłopotów.

– Twoja kolej – powiedziała Nikoleta. – Czas zacząć wysyłać iwenty.

Na Księżycu jej włosy nie pływały tak jak w nieważkości, gdzie wydawało się, że ma chmurę wokół głowy, ale i tak były bardziej napuszone niż normalnie i wyglądała nieziemsko.

Miał przygotowanych sześć krótkich filmów, układających się w jedną całość. Począwszy od startu z kosmodromu OrbitLines pod ostrzałem myśliwców, przez lot wokół Ziemi, wygłupy w stanie nieważkości w Star Resort, potem lot Orosem, utratę kontenera, aż po lądowanie w hotelu Tvardovski i obrazki na miejscu.

A najlepsze, że oglądali je razem. We dwoje.

Nawet tu pachniała kwiatem bugenwilli, z lekko piżmową nutą w tle. Siedziała tuż obok i nie dotknąć jej ani nie pocałować w szyję oznaczało samokontrolę na poziomie dalajlamy.

– Nie tłumacz, co tu robimy – powiedziała. – Od tego jest Szaman. Izotop, reaktory fuzyjne, energia, paliwo, to jest jego problem. Ty działaj autentycznie. Tak jak zwykle. Jak normalny iwenciarz. Obrazek jest wart tysiąc słów i te rzeczy. Tam, na miejscu, ludzie będą Szamana wyśmiewać, a od ciebie zobaczą na własne oczy. I o to chodzi. Tamten długi film możesz kręcić i tam sobie komentuj, co chcesz, ale film jest na później. Teraz liczą się iwenty.

– Wysyłać je wszystkie razem?

– Nie. Wystarczy jeden dziennie, z tego, co tu masz. A potem zależnie, co się będzie działo. Tu, ze stacji, z głównej konsoli łączności. Nie ukrywaj IP.osiem, nie rób sztuczek.

Jak kto chce, niech sobie sprawdzi, gdzie jesteś.

Dziwnie się czuł, wchodząc do MegaNetu. Przez ostatni czas, nawet już nie wiedział, jak długi, do niczego się nie logował. W hotelu Muntenia patrzył na Sieć jak przez szybkę, nawet nie dotykając klawiatury ani nie wysyłając żadnych danych, a potem zastąpił Net rozrywką zapuszkowaną na serwerach stacji i pojazdów kosmicznych. On, zwierzę żyjące głównie w Sieci.

Przedziwne.

Przedziwne, jak toczy się życie.

Równie dziwnie było przygotować materiał i wysłać bez żadnej partyzantki, programów szyfrujących i kupionych na lewo jednorazowych kart. Ot tak.

SEND.

Jako niby anonimowy użytkownik sieci hotelu Tvardovski.

Mimo potężnych anten i sprzętu wszystko otwierało się z zauważalnym, kilkusekundowym opóźnieniem. Był daleko od domu.

Pierwszy iwent miał dużo wejść, ale zaskakująco mało komentarzy, zupełnie jakby wielooką bestię zwyczajnie zatkało.

Przy kolejnych najpierw wylała się fala prostego hejtu, łatwa do przewidzenia i niemal automatyczna – fałszerstwo, fotomontaż, janusze w kosmosie, cebulactwo na Księżycu, a jednocześnie licznik kręcił się jak szalony i filmy miały zadziwiająco dużo polubień.

Nigdy nie lubił czytać komentarzy, nie tylko pod własnymi filmami, ale w ogóle, zawsze potem czuł się, jakby wylano mu na głowę kubeł nieczystości, więc tym razem też tylko kontrolnie przebiegał po nich wzrokiem.

Politycy na swoich portalach stawiali sprawę jasno – po pierwsze, Stelmach to oszust podatkowy i gangster; po drugie, reaktory fuzyjne to humbug i oczywisty przekręt; po trzecie, eksploatacja czegokolwiek na Księżycu jest sprzeczna z ustaleniami międzynarodowymi, stanowi zagrożenie ekologiczne i jest niebezpieczna; po czwarte, cała koncepcja stoi w sprzeczności z założeniami zrównoważonego rozwoju. Jedyne raz, kiedy w ogóle wspomniano iwentu Norberta, to tylko po to, żeby oświadczyć, iż są to niepoważne produkcje niewarte komentarza.

Rząd oficjalnie odcinał się od podobnie nieodpowiedzialnych koncepcji i poradził obywatelom, by jak najprędzej zapomnieli o populistycznych obietnicach, za którymi stoją podejrzani ludzie łaknący zysku, przestrzegał też przed awanturnictwem politycznym.

Najwyraźniej ten ostatni przekaz rozjuszył sporo ludzi, bo największe infoportale jak jeden mąż zablokowały możliwość komentowania, powołując się na zapobieganie politycznemu ekstremizmowi.

Opozycja wyrośla się natomiast jak gniazdo szerszeni.

Tymczasem na Księżycu panował chwilowo spokój.

Norbert zrobił na zewnątrz iwent pokazujący ostatni rozładunek wszystkich pięciu kombajnów, umieszczanie pojemników ze skroplonym izotopem w kontenerach, a na

koniec start załadowanych lądowników. Start Orosa z orbity był tylko pojawieniem się iskierki na niebie i zupełnie nie robił wrażenia.

Wyjąwszy błękitne rozbłyski wyrzucające w górę jeden moduł po drugim, a potem blade płomienie z dysz, byłby to nudny jak flaki z olejem produkcyjniak, ale w kontekście tego, co się działo, stanowił logiczne zakończenie serii.

Sprawa zaczęła przybierać rozmiary międzynarodowe. SilverSands gromiono za bezprawne działania, po czym ogródkami i nieśmiało przyznawano, że w zasadzie odbywa się to poza czyjąkolwiek jurysdykcją.

Europa oznajmiła, że należy wprowadzić jednostronne, ścisłe regulacje i raz na zawsze zamknąć prywatnym firmom drogę w przestrzeń kosmiczną.

Nowosowiety i Unia Amerykańska ogłosiły, że należy utworzyć klub Państw Kosmicznych, które otrzymają wyłączne prawo podziału Księżyca na strefy ekonomiczne, analogicznie do Antarktydy.

Prawnicy niechętnie przyznali, że wszystkie te pomysły nie mają podstaw w prawie międzynarodowym i że kwestie prawne poza orbitą Ziemi zwyczajnie przez ostatnie dekady zaniedbano i w kosmosie nadal obowiązuje ten sam zestaw przepisów jak na wodach międzynarodowych, to znaczy, że faktycznie jest ziemią niczyją.

Próbowano powołać się na Moon Agreement, pakt z siedemdziesiątego dziewiątego roku dwudziestego wieku, który zakazywał pojedynczym państwom eksploatacji zasobów Księżyca, ale okazało się, że ratyfikowało go tylko szesnaście krajów, i to niemających własnych programów kosmicznych, a potem został zapomniany.

Sunna wydała gniewne oświadczenie, w którym poinformowała świat, że Księżyc jest relikwią islamu i jakiegokolwiek pogwałcenie jego świętości i nietykalności zostanie przykładowo ukarane.

Firma LunarElectric zapowiedziała próbny rozruch elektrowni Isatarsca i przedstawiła wcześniejszą umowę, z której wynikało, że jej bloki energetyczne miały nie emitować gazów cieplarnianych ani odpadów promieniotwórczych, co pozostało faktem.

Kombajny przeszły przegląd w doku naprawczym przy śluzie Prototype Bay i wróciły na Mare Serenitatis, ciągnąc za sobą chmury pyłu i zostawiając równe, wygładzone pasy.

– Sytuacja wygląda tak – oznajmił Tajger, kiedy szary, ospowaty dysk jasnej strony Księżyca wypełnił ekran w mesie. Dowódca trzymał wskaźnik laserowy, najwyraźniej odczepiony od szyny na karabinie. Zielona plamka prześliznęła się po ekranie.

– My jesteśmy tutaj. Między Mare Serenitatis a Lacus Somniorum, przy kraterze Posejdona. Potrzebne nam równiny, bo eksploatujemy regolit. Na obrzeżach naszego morza to jest najbardziej okrągły krater na Księżycu, średnicy jakichś dziewięciuset dwudziestu klików. Mamy trzy obiekty, do których pod żadnym pozorem się nawet nie zbliżamy. To są Apollo Piętnaście i niedaleko Luna Dwadzieścia Jeden oraz po drugiej stronie, przy kraterze Littrow, Apollo Siedemnaście. Żeby potem nie było, że przewróciliśmy im flagę, zdeptaliśmy historyczne ślady, zarysowaliśmy lakier na

ładowniku i zburzyliśmy zamek z piasku. Wszystkie są daleko, ale nie wiadomo, co się zdarzy, więc trzeba mieć to na uwadze. Stosunkowo najbliższej mamy nowosowiecką bazę Zoria. Jest na skraju Mare Imbrium, żeby było śmieszniej, oddzielają nas góry Kaukaz i Apeniny. Takie tu są nazwy, nic nie poradzę. Pomiędzy nimi jest ten fragment, za szeroki, żeby go nazwać przełęczą, i jeśli akurat ci postanowią uderzyć na nas z powierzchni, to tamtędy.

Iskierka laserowej wiązki powędrowała po ekranie.

– Tu mamy następnych: korporacja turecko-saudyjsko-pakistańska z domieszką Kalifatu Sunny. Palus Somni, w przeciwną stronę niż Nowosowiesi i trochę dalej, ale każdy wie, jakie mają pomysły na życie. Baza jest mała, jest tam poniżej dziesięciu ludzi, ale to są jedyni, którzy nas oficjalnie straszili. I to tutaj. Jakiś baran już przez radio odczytał nam odezwę i kazał się wynosić, bo inaczej obetną nam głowy.

Tajger wzruszył ramionami i wskazał kolejne miejsce.

– Jeszcze są Chinole tutaj, przy kraterze Kopernika, i Amerykanie na Mare Nectaris. Hindusów nie liczę, bo są daleko i to jest raczej biwak niż baza księżycowa. Tutaj, na Księżycu, odległość to spory problem. Zazwyczaj wszyscy używają łazików z napędem elektrycznym, ale przy dzisiejszych ogniwach i akumulatorach zasięg bardzo wzrasta. Wystarczy je ładować co dwieście klików, i to zaledwie przez jakieś cztery godziny, więc to nie są odległości nie do przebycia, zwłaszcza że jasno jest przez dwadzieścia siedem dni, a mamy dopiero księżycowe przedpołudnie. Nie wiadomo mi o żadnych pojazdach latających. Są tylko plotki. Tu można użyć tylko silnika raketowego. Pojazd z silnikiem na paliwo stałe byłby jednorazowy i nieekonomiczny, a na ciekłe żłopie jak smok, niemniej nie da się wykluczyć, że ktoś z nich taki pojazd posiada. Rzecz jasna, żadnych samolotów, helikopterów, dronów, nic. Zakładam, że wszystkie te bazy są słabo uzbrojone, o ile w ogóle cokolwiek mają. Nie było takiej potrzeby. Założyli je, bardziej żeby zademonstrować mocarstwowe ambicje niż w jakimkolwiek innym celu, i są rozsiane na sporej przestrzeni. Tyle tylko, że nagle wszyscy bardzo się śpieszą z ponadnormatywnymi startami. I Chińczycy, i Nowosowiesi mają na orbitach transportowce podobne do naszych i nagle zapowiedzieli wzmocnienie obsady baz. Tak wygląda sytuacja i nic na nią nie poradzimy. Na razie trzeba robić swoje. Jeśli coś się zaostrzy, pilnujemy swojego terenu i kombajnów. Po to tu jesteśmy.

Robili więc swoje.

Kombajny mozolnie przesiewały regolit i ciągnęły za sobą warkocze pyłu, widoczne przez dobre teleskopy na Ziemi, i zdjęcia tych smug prezentowano z najwyższym oburzeniem jako dowody na niszczenie powierzchni Księżyca przez drapieżną spółkę wydobywczą. Tłumaczenie, że regolit wraca tam, gdzie był, miało się z celem.

Poza tym zużywali zapasy, zmieniali tlen w dwutlenek węgla, który wracał do oksygenatorów, by zmienić się znowu w tlen, przepuszczali wodę przez swoje ciała, by wróciła po przejściu przez instalację i znów popłynęła z kranu, spali, czekali w kolejkach do toalety.

Po jakimś czasie Norbert miał wrażenie, że żyje tu od zawsze. Śnił o Ziemi, ale to nie

były specjalnie miłe sny. Brakowało mu natomiast deszczu, świeżego powietrza, nieba i w ogóle pogody. Czegokolwiek, co urozmaiciłoby jałową, szaro-biało-czarną pustkę.

Ilekczo Tajger chciał z Norbertem porozmawiać na osobności, wzywał go do zastawionej ekranami klitki, którą nazywał „centrum dowodzenia”, podczas gdy zasługiwała najwyżej na miano „kanciapy dowódcy”.

– Będziemy mieli wizytę – oznajmił. – Zapowiedzieli się Rosjanie. Przez radio, kurtuazyjnie, wizyta dobrosąsiedzka, pełna kultura.

– Czego chcą? – zdziwił się Norbert. – Powiedzieć, żebyśmy dali sobie spokój?

– To się okaże. Po pierwsze, chcą pokazać, że mają środki, żeby się tu dostać, i zrobić na nas wrażenie. Mówiłem, że tu się nie lata. A oni jednak latają. To będzie taka demonstracja siły. Po drugie, chcą węszyć. Sprawdzić pogłoski, policzyć nas i w ogóle się rozejrzeć. Chcę, żebyś ich nagrał, Fokus. Całą wizytę, sprzęt, którym tu przylecą, wszystko.

– Na pewno będą chcieli pogadać w cztery oczy z kimś odpowiedzialnym za stację.

– Chcę, żebyś to też nagrał. Masz sprzęt, załóż coś dyskretnego w mesie. Oficjalnie dowódcą stacji jest doktor Rybaczewski. Ja może się wkręcę jako jakiś oficer bezpieczeństwa czy coś takiego, ale muszę mieć pewność, że to nagramy.

Norbert przejrzał swój arsenał, a potem nafaszerował stację mikrokamerami, rozstawił w strategicznych miejscach owadopodobne drony, dał Tajgerowi i kierownikowi stacji miniaturowe klipsy do wpięcia w ubranie, udoskonalił procesor żywnościowy dodatkową kontrolką, która niczego nie pokazywała. Nie oparł się pokusie i przy okazji posłał mikrodrona do sypialni Nikolety.

Sprawdził, czy wszystkie elementy są dobrze ukryte, i mimo że sam je tam umieścił i mniej więcej pamiętał, gdzie są, nie mógł ich tak łatwo znaleźć. W swojej kajucie założył centrum reżyserskie, przygotował panczerbooka, potem na próbę zrobił nudne nagranie posiłku w mesie. Doskonale słyszał wszystkie kiepskie dowcipy, mógł zajrzeć ludziom w talerze i do pojemników, słyszał nawet dźwięk rozdzierania torebki z sosem tabasco albo odgłosy żucia i mlaskania.

Test Nikolety oblał natychmiast, najwyraźniej dysponowała telepatią lub nadludzkimi mocami. Ledwo wcisnęła się do swojej wnęki, spojrzała wprost na niego, uśmiechnęła się tajemniczo, puściła oko, po czym pstryknięciem prosto w obiektyw posłała doskonale ukrytego drona na korytarz.

Większość kontraktorów zamknęła się w Prototype Bay, razem z łazikami, bronią na stojakach oraz sprzętem, i rozsiadła w Klubie Seniora, zamierzając spędzić wieczór we własnym gronie za zamkniętymi drzwiami. Z pomieszczeń przy słuzach zabrano także ich kombinezony i cały sprzęt.

Z pentry wydobyto zestaw potraw, które odpowiadałyby słowiańskim gustom, w tym kilka porcji pierogów ruskich, sałatkę warzywną, śledziową, ogórki i konserwową wieprzowinę.

Kombajnów nie było potrzeby chować, bo wielokrotnie policzono je przez teleskopy ustawione na dalekiej błękitnej Ziemi, zostały więc na placu.

Pojazd Nowosowietów pojawił się na radarach na wysokości trzydziestu kilometrów, a potem na niebie jako zielona gwiazdka. Schodził w dół, strzelając płomieniami z silników manewrowych, a potem odpalił główne silniki hamujące. Kiedy siadał na płycie, przypominał trochę lądownik, a trochę jakąś rozpaczliwą samoróbkę. Z przodu wydłużony moduł dowodzenia z iluminatorami i okrągłym gniazdem śluzy, z tyłu okrągłe zbiorniki ciśnieniowe, płatanina rur, przewodów i jakichś kratownicowych wzmocnień, sterczące we wszystkie strony dysze silników manewrowych oraz skierowane w dół i do tyłu spore dysze napędowe. Pojazd siadał w kłębach pyłu na szeroko rozstawionych przyporach, które ugięły się pod jego ciężarem.

W stronę Nowosowietów ruszył łazik transferowy, ale zanim dojechał, w lądowniku otworzył się właz i dwie postaci w skafandrach wysiadły prosto na płytę.

– Mają za dużo tlenu, ich sprawa – powiedział Tajger przez radio. – Odeskortujcie ich do śluzy pierwszej. Zrzucamy ciśnienie.

Witali się z wystudiowaną serdecznością, zaraz po otwarciu hełmów. Uściski, poklepywanie po plecach, współpraca międzynarodowa, solidarność kosmonautów, te rzeczy.

Norbert płynnie zmienił kamerę, żeby uzyskać lepsze ujęcie w zatłoczonej komorze przedsiionka.

– Major Ławrientij Iwanowicz Kurganow – przedstawił się ten, który wszedł pierwszy. Chudy, z oczami jak kostki lodu, lekko łysiejący od czoła. Mówił po angielsku niezłe, choć z wyczuwalnym miękkim akcentem. – To major Oleg Maksymowicz Kaługin. Witamy na Księżycu.

Kaługin był krępy, o okrągłej, ponurej twarzy, łysy jak kula bilardowa i małomówny. Nastąpiła wymiana uprzejmości, nazwisk, uścisków dłoni. Tajger też podał jakieś nazwisko, ale Norbert był pewien, że wymyślone na poczekaniu.

– To my witamy. Potrzebujecie jakiegoś zaopatrzenia dla waszego pojazdu? Tlen? Energia, paliwo?

Kurganow machnął dłonią.

– Dziękuję, ale nie. Buran jest małowitrazowy. Najwięcej paliwa idzie na start i lądowanie. Na niskiej orbicie tyle co do korekt. Właściwie latamy po balistycznej. Opłaca się. Tu orbita nisko.

– Już kiedyś chyba mieliście jakiegoś Burana?

– W zeszłym wieku. Wahadłowiec. Zmarnowali. W czasie Jelcynowskiej smuty przerobili na restaurację w Gwiezdnym Miasteczku. Takie czasy. „Buran” to blizzard po angielsku. Za dobra nazwa, żeby leżała odłogiem. U nas się nawet słowa oszczędza.

Skafandry Nowosowietów były inne, miały duży, nieruchomy hełm umocowany na stałe do naramienników. Nie było zbroi zakładanej na wierzch, tylko biała, sztywna tkanina z błękitnymi szwami, CPU podzielone na panele rozłożone w kilku miejscach na piersi i mnóstwo oznaczeń oraz naszywek. Goście zdjęli kombinezony, wychodząc z nich tyłem przez otwarty jak drzwi zasobnik, a potem wygrzebali z hermetycznej torby granatowo-czerwone dresy, żeby nie łązić w bieliźnie. To by ich stawiało w

niekorzystnej sytuacji wobec normalnie odzianych gospodarzy. Mieli nawet tenisówki. Przynajmniej nie przywieźli galowych mundurów.

Oprowadzono ich mniej więcej po połowie bazy. Zamknięte pomieszczenia miały zablokowane grodzie, panele wyświetlały: „Ciśnienie zero” i „Uwaga! Próżnia!”. Inżynierowie i uczeni witali się z gośćmi, ściskali dłonie, po czym natychmiast wracali do swoich ekranów i pancerbooków, najwyraźniej mieli pełne ręce roboty. Nowosowietki kiwali głowami, rozglądali się, czasami pytali o coś bez większego znaczenia. Pocmokali z uznaniem nad rzędami sadzonek pomidorów, ziemniaków i jakichś innych chabazi w laboratorium hydroponicznym.

Z początku poczęstunek w mesie nadawał się najwyżej na przerywnik, kilka ujęć dla zaznaczenia upływu czasu, reszta do śmieci.

Nowosowietki jedli, ucieszyli się z sałatki warzywnej, z uprzejmości pochwalili ogórki, kiwali z uznaniem głowami nad wieprzowiną. Pierogi ruskie przyjęli z zadowoleniem i rozpoznali jako „polskie”.

– U was doskonały majonez – powiedział z rozmarzeniem Kurganow. – Wyborny. My jesteśmy na punkcie majonezu zwariowani. Jemy do wszystkiego. Co przyleci z Ziemi, kończy się w tydzień, nastarczyć nie mogą. Musimy racjonować. Wiedzieliście, że to u nas go wynaleziono?

Norbert w swojej kajucie pokręcił tylko głową. Mayonnaise to przecież takie rosyjskie słowo.

– Gościniec przywiozłem – oznajmił major i pogrzebał w torbie, po czym wydobyl niewielki aluminiowy bidon. – Ruską wódkę pijecie? Jak tam u was przepisy w tym względzie?

– To prywatna firma – odparł doktor Rybaczewski. – Wszystko jest dla ludzi. Wystarczy umiar i rozsądek.

Ktoś skombinował zestaw turystycznych metalowych kieliszków, zapewne bez wiedzy właściciela. Wyglądało to na element najemniczego wyposażenia.

Rozlali, wypili.

– Nikt się nie krztusi – zauważył Kurganow. – Zaopatrzenie u was jakby słowiańskie, majonez „Kielecki” prosto z Polski, tuszonka ze znajomością rzeczy zrobiona, nawet chleb jak u ludzi.

– Firma jest międzynarodowa – powiedział Rybaczewski. – Aprowizacja też, przejrzelśmy zapasy i doszliśmy do wniosku, że spaghetti albo teksańska fasolka mniej was ucieszą.

– A mnie powiedzieli: „Ława, odwiedź sąsiadów, o zdrowie popytaj, dowiedz się, jaki to właściwie status tej bazy”. Patrę, jedzenie znajome, wódkę pić umieją. Do przepisów stosunek słowiański, przed habitatem flaga biało-czerwona, a dowódca Rybaczewskij. To jak to jest? Wasz rząd mówi, że jedyne jego projekty kosmiczne tylko w ramach ESA.

– Flaga jak to przed hotelem – powiedział Tajger. – Wielu pracowników to Polacy, ale mamy też flagę kanadyjską, czeską, węgierską, niemiecką i brytyjską, jakby się pan przyjrzał. I taką z logo SilverSands. To międzynarodowe przedsięwzięcie. Żaden rząd

nie ma tu nic do rzeczy.

– Rządy do wszystkiego się wtrąca – oznajmił Kurganow. – Powiem jak to kosmonauta kosmonautom. My wszyscy jedna rodzina. Kto widział staruszkę Ziemię z daleka, to już jest odmieniony. Perspektywa i punkt odniesienia się zmieniają. Ale tamci siedzą na Ziemi i swoje wiedzą. Rozkaz jest rozkaz i nic się nie poradzi. Jakby mnie kto pytał, to jakby każdego prezydenta czy innego przywódcę przed objęciem władzy posłać na dwie godziny na orbitę, to inaczej by ten świat wyglądał. Ale tak nie jest i nie będzie. Po sąsiedzku wam poradzę: dotąd w kosmosie wszyscy się mieścili i tak jest dobrze. Prowadźcie hotel, róbcie badania, nawet coś produkujcie, grawitacja i próżnia za darmo. Nikt wam złego słowa nie powie. Będą problemy, pomożemy. Siedźcie tu i tysiąc lat. Postawcie pomniki Kopernika, nawet kościół otwórzcie. Nikomu to nie przeszkadza. Ale ten izotop to jest polityczna sprawa. Na świecie karty rozdane. Geopolityka jest, jaka jest. Tego nie można zmienić. A wy próbujecie i to się nikomu nie spodoba. Nie mówię, że nam ten wasz hel przeszkadza. Mówię, że przeszkadza każdemu. Energetyka to w dzisiejszych czasach sprawa militarna.

– Działamy legalnie – powiedział Rybaczewski. – Księżyc nie należy do nikogo, poza tym to tylko kwestia czasu, kiedy inni zaczną eksploatować regolit. Wystarczy dla wszystkich, i to na długie lata. Takiej Ameryce na rok wystarczy głupie dwadzieścia pięć ton. Jedna duża cysterna. Politycy są krótkowzroczni, ale kiedyś będą musieli zrozumieć. Jest energia dla Ziemi. Dla całej Ziemi. Co to za różnica, że my jesteśmy pierwsi? Wie pan, że ropę naftową też my jako pierwsi zaczęliśmy wydobywać? Co to komu zaszkodziło?

– Nie ja to wymyśliłem i nie ja o tym decyduję. Przyjechałem was przekonać, żebyście wrócili do kosmoturystyki i nauki. Poprosić jak człowiek i jak kosmonauta, bo ja tu nie chcę polityki. Nie w kosmosie. To było ostatnie wolne od tego miejsce.

– Nasza działalność nie jest dla nikogo zagrożeniem – oznajmił Tajger. – SilverSands przysłało nas tutaj po to, żebyśmy pozyskiwali hel, i dzieje się to legalnie. Dajemy reszcie ludzkości sygnał, że czas wyjść poza Ziemię. Jest po co i czas obudzić się z letargu. To pan na pewno rozumie. A polityka to produkt uboczny i podąży za ludzkością w kosmos. To nieuniknione. Zresztą jak się pan zastanowi, to zawsze tu była.

Kurganow rozłożył ze smutkiem ręce.

– Nie mam wyjścia, towarzysze. Muszę wysłać raport na Ziemię.

Klepnął w stół.

– Zasiedzieliśmy się. A tak po prawdzie, nie spodziewałem się niczego innego. Wy, pszeki, jesteście specyficzni, bez obrazy.

– Nie obrażamy się, kacapie. I nie jesteśmy bardziej specyficzni niż wy, Chińczycy czy Turcy. Jesteśmy jak inni, tylko nam się nie daje do tego prawa.

Kurganow nie pluł na podłogę, nie trząsał włazem od śluzy. Pożegnał się normalnie, podał wszystkim dłoń, milkliwy Kaługin również, i założyli skafandry. Kurganow wyglądał na przygnębionego. Tajger od niechcienia wręczył mu zgrzewkę torebek z majonezem. Major jakby się wzruszył.

– Wybaczcie, bracia kosmonauci. Zrobiłem, co musiałem, ale cokolwiek się zdarzy, to już nie moja wina. Priwiet, druzja.

Płomień silników startowych uderzył w płytę lądowiska, Buran uniósł się na ogniu, a potem ruszył w górę, przyspieszając, aż zmienił się w kolejną gwiazdę, tym razem ruchomą.

– No i dobra – powiedział Królik. – Goście byli, postraszyli i poszli.

– Nie wydarzyło się nic niespodziewanego – odparł Tajger.

– Napiliśmy się wódki. To Rosjanie, u nich to istotny rytuał. Jakby miał złe zamiary, toby nie wypił, i to ostentacyjnie.

Tajger aż się zachnął.

– Weź przestań! Co ty myślisz, że to jest druga wojna światowa? Wstanie, wyleje na stół, odstawi kieliszek do góry nogami? Może jeszcze wyjmie naganta z za pazuchy?! Przecież oni nie są głupi! Miałby ci sygnalizować intencje?

Królik podszedł do stołu.

– No to sobie popatrz.

– No co?

Królik podał Tajgerowi ostrożnie kieliszek.

– Udawał. Nawet kropli nie wypił.

– Do analizy toksykologicznej! Szybko!

– Dobra, ale bez przesady. Ten drugi wypił. I jeszcze mu majonez oddałeś. Tego ci nie daruję.

– Mamy tego gówna od wuja pana! I jeszcze nie widziałem, żebyś to żarł.

Rec.13

Przez jakiś tydzień wydarzyło się niewiele. Według pogłosek na orbicie rozpoczął się wyścig na Księżyc, zarówno Rosjanie, jak i Chińczycy przyspieszali przygotowania transportowców do startu.

Nadgorliwiec z bazy Ilmukah naprzykrzał się przez radio prawie codziennie, nazywając ich diabłami, obiecując dekapitację i każąc się wynosić z Księżyca.

Dyżurni łącznościowcy zalecali mu zwykle „maść na ból dupy”.

Norbert sporządził film z wizyty Rosjan, ale Nikoleta powiedziała, żeby na razie go nie wysyłał, tylko trzymał na wypadek, gdyby coś zaczęło się dziać.

– Dzielimy się na sekcje – oznajmił Tajger podczas odprawy w mesie. – Czterooosobowe jak zwykle, o tym samym składzie jak zawsze. Alpha obsadza Dintojrę, Bravo Barona Szajbę, Charlie Dzikie Mięso, Delta Elektryczną Makabrę, Echo Zło. Dyżury na QRF-ie rotacyjnie. Od jutra robimy codziennie patrol dookoła strefy wydobywania na głębokość dziesięciu klików w głąb morza. Potem, jak będziemy pewni sprzętu, pogłębimy strefę. Jedna sekcja jedzie na patrol, druga czeka jako QRF. Jako operatorzy uzbrojenia pokładowego jadą bagażnikowe małpy.

Rozległ się jęk: „znowu małpy?”.

– Fokus będzie przydzielany w razie potrzeby do QRF-u, gdyby coś się działo, albo od czasu do czasu do wozu patrolowego. To nasz jedyny kronikarz, więc go pilnujcie. Dodajemy sobie nową syrenę do repertuaru. Nazywa się „alarm bojowy” i brzmi tak... – Tu Tajger skinął dłonią i bazę przeszyło urywane wielorybie zawodzenie.

Norbert poprzednio ignorował żargon Tajgera, ale tym razem już zdecydowanie potrzebował tłumacza, więc zaczepił Markera.

– Co to jest kjuaref?

– Zespół szybkiego reagowania. Quick response force. Jeśli patrol wdepnie w gówno, QRF jedzie jako wsparcie.

– Dobra. A „klik”?

– Kilometr. Taka durna amerykańska maniera, bo oni liczą w milach i kilometr to dla nich abstrakcja.

– Fajno. A „bagażnikowa małpa”?

– Parszywa fucha. Trzeba mieć cojones z ołowiu. Na Ziemi to siedzisz z tyłu w furgonetce na końcu konwoju, z erkaemem. Jak trafia się pościg, to, kurna, otwierasz tylne drzwi i walisz. Bez osłony, z kilku metrów czasami. Robiłem za małpę z bagażnika z rok chyba. Gówniana robota, mówię ci.

Pierwszy patrol był dosyć ekscytujący, bo w końcu był wycieczką po powierzchni

Księżycyca. Norbert jechał wtedy Baronem Szajbą z Fosą, Markerem, Kiwaczkiem i Kaukazem. Pojazd sunął dosyć miękko, omijając większe skały albo unosząc kadłub, przejeżdżał nad nimi, a kiedy wjechał na Morze Jasności, zrobiło się równiej i ruszyli szybciej, wzbijając chmurę pyłu. Ruchome golenie podwozia pozwalały łązikowi skręcać w miejscu albo jechać bokiem, więc siedzący za wolantem Kaukaz testował możliwości przez piętnaście niekończących się, wywołujących mdłości minut. Desant w tylnym przedziale protestował i lżył kierowcę w wulgarnych słowach, a tkwiący za konsolą uzbrojenia Kiwaczek chichotał i wznosił kowbojskie okrzyki.

Kolejne wycieczki szybko straciły na atrakcyjności i zmieniły się w orkę: kilkugodzinne przejażdżki przez szarą nicość nakrytą kopułą czarnej nicości, wymagające siedzenia w skafandrze z otwartą przyłbicą, jeśli było wolno, i patrzenia przez iluminatory, gdzie jedyną pociechą mógł być batonik z prasowanych owoców z płatkami zbożowymi albo łyk soku z liofilizowanych pomarańczy. Jeśli jechali w trybie gotowości bojowej, przedział desantu miał zrzucone ciśnienie, a oni siedzieli w zamkniętych hełmach, podpięci zewnętrznymi przewodami do wentylacji pojazdu, żeby nie zużywać zasobów w plecakach. Wtedy jedyną pociechą był łyk soku z wewnętrznego hełmowego dozownika.

Pierwszy alarm bojowy rozległ się jak należało, w środku umownej nocy, jakby nic na świecie nie mogło odbywać się o ludzkiej porze. Zaczynało się od panicznego zakładania LMU, na szczęście Norbert robił to już tyle razy, że równie dobrze mógł się jeszcze nie obudzić. Potem nienaturalnymi susami pokicał do Prototype Bay.

– Kombajn trzy nie odpowiada. W ogóle nie reaguje, nie zgłasza statusu. Albo coś się dzieje, albo nie. Wyjeżdża Alpha, Dintojrą. Zabieramy Fokusa. Elektryczna Makabra szykuje się jako wsparcie. Ruchy! Do wozu, szykować służę.

Uruchomił kamerę, ledwie usiedli w przedziale desantowym pozbawionym powietrza. W przedziale dowodzenia zostali Sułtan i Nurek, pierwszy jako kierowca, a drugi jako bagażnikowa mała.

Tajger wysunął spod swojego siedzenia coś w rodzaju szuflady, a potem wręczył Norbertowi trójkątne opakowanie z takiej samej pancерnej tkaniny jak większość skafandra. W środku znajdował się obudowany tworzywem pistolet z długą i grubą lufą.

– Po co mi to? Ja jestem prasa.

– Na wszelki wypadek. Przypnij do pancерza z lewej strony, za CPU.

Królik wychylił się i wyjął mu kaburę z dłoni, potem obejrzał broń.

– Ktoś ten szajs w ogóle testował?

Wyciągnął i włożył z powrotem magazynek.

– Tu masz bezpiecznik, włącza zasilanie i ładuje kondensatory. Jak się świeci zielona diodka, można strzelać. Prawie nie kopie. W magazynku masz dwadzieścia pięć pocisków. To w gruncie rzeczy stalowe walce. Coś jak gwoździarka. Fajne. Przynajmniej go żywcem do niewoli nie wezmą.

Pochylił się i przyprawił Norbertowi kaburę do kombinezonu.

– Widzę kombajn! Na jedenastej, czterysta metrów.

– Strzelec! Przeładuj! Broń w gotowości! Sułtan, podjedź do tych skałek i stań do niego lewą burtą. Wychodzimy przez prawy właz.

Pędniki zagrały narastającym wizgiem przenoszącym się przez podłogę.

– Włączyć TIRD!

Norbert nie pamiętał, co to jest, ale pamiętał, gdzie się to włącza na nadgarstkowym panelu.

Właz wyłożył się na zewnątrz, zbiegli po nim, ledwie łazik się zatrzymał. Norbert przesadził z tym biegiem, wyskoczył z rampy trzymetrowym susem i runął w przód, wzbijając chmurę podobnego do popiołu pyłu.

– Co ty, kurwa, robisz?! – usłyszał w słuchawkach.

– Kamuflaż przygotowałem – warknął.

– To jeszcze dupę masz czystą.

Przypomniał sobie, co włączył. Radarową imitację słuchu. Na razie jednak syntezy nie robił nic poza generowaniem pulsującego, niepokojącego szumu, jakby nad Morzem Jasności hulał wiatr.

– Nurek, obserwacja perymetru!

– Na optycznej czysto, płasko jak stół, kilka skałek.

Królik przesunął się ostrożnie, ciągnąc zasobnikiem po burcie łazika, z karabinkiem w obu rękach, wychylił się już z kolbą przy ramieniu za narożnik i natychmiast schował. Tajger, podskakując bokiem na ugiętych nogach, prześliznął się z drugiej strony pojazdu i też wyjrzał.

– Macie zbyt otwartą przestrzeń – odezwał się Sułtan. – Obróć i podjadę do kombajnu, chowajcie się za lewą burtą.

– Dobra, wykonaj.

Słuchawki wypełnił sztuczny dźwięk, jakby łazika napędzał pocziwy diesel, a nie elektryczne pędniki. Szli równo z nim, ale skradanie się za pomocą podskoków było trudniejsze, niż się wydało z początku. Pojazd stał całkowicie nieruchomo, z lemieszem wbitym w niewielką hałdę regolitu, zupełnie martwy i ciemny.

Znienacka rozległo się ostrzegawcze popiskiwanie, a zaraz potem terkot serii wystrzałów. Głośno, ale tak jak z normalnie ustawionego telewizora. To miało tylko poinformować, że ktoś strzela i z której strony, a nie ogłuszyć. Słuchawki wybuchły chórem głosów.

– Kontakt! – Norberta dobiegł głuchy turkot wielkokalibrowej broni na wieżycze Dintojry. – Na drugiej, za skałą! Dystans pięćset dwadzieścia!

– Wskakujemy na pakę! Ruszasz, jak powiem!

– Rozkaz!

Łazik miał za kabiną platformę transportową do przewożenia ładunku, osłoniętą niewysoką burtą z siatki. Królik wybił się z obu nóg, wyleciał bez wysiłku na dwa metry w górę i przewinał się przez burtę.

– Teraz ty, Fokus! – Tajger przekradł się do kabiny łazika i wyglądał ostrożnie za

narożnik, z karabinem przy ramieniu. Norbert wybił się, ale za daleko od platformy, nie zdołał niczego złapać i opadł z powrotem.

– Dawaj, kurwa!

Spróbował jeszcze raz, Królik złapał go za ramię i szarpnięciem posłał na platformę. Pojechał po niej aż pod ścianę przedziału desantowego. Tajger wyskoczył z boku, wolną ręką chwycił się za złożony żuraw ładunkowy i wylądował na przygiętych nogach. Syntezator w słuchawkach nadal imitował basowy łomot ciężkiej broni i czasami terkot wystrzałów nieprzyjaciela, ale nawet z bliska nie było widać najmniejszych efektów. Wieżyczka się poruszała, wodząc lufą przed sobą, ale i tu nie dało się dostrzec żadnych śladów wystrzałów. Żadnych rozbłysków, dymu, zupełnie niczego.

Tajger krzyknął, łazik skoczył naprzód.

Norbert, kuląc się za ścianą kabiny, wysunął dłoń z kamerą na wierzchu rękawicy niczym peryskop i uruchomił stabilizację obrazu. Kiedy podjechali bliżej, zauważyli, że niewielka skała rozpada się rozbryzgami regolitu, a za nią coś się porusza. Szybкими, mechanicznymi ruchami coś, jakby jakiś czujnik, wysuwało się do góry i błyskawicznie chowało. Skała co chwila bryzgała gejerem odłamków i była zbyt mała, żeby kulił się za nią człowiek. Przejechali jeszcze kilka metrów i nagle to coś ruszyło, szybko, przy ziemi, jak przestraszony karaluch. Z dołu przypominało prostokątną szafkę na masywnym podwoziu z sześciu baloniastych kół, na wierzchu złożony jak pantograf stelaż z obłą głowicą i jakąś bronią.

Regolit zagotował się wokół niego, autodron przekoziółkował kilka razy, gubiąc jakieś części, i wylądował na boku, strzelając snopem iskier. Kiedy podjechali, jedno kółko obróciło się najpierw do przodu, potem do tyłu. Imitator dźwięku nie zareagował, a przydałby się bzyzcący odgłos silniczka zdalnie sterowanej zabawki.

Królik zeskoczył z łazika i podszedł do strzaskanego drona.

– Może być zaminowany – ostrzegł go kierowca.

– To już by gwizdnął, jak go posiekaliście. – Uniósł pojazd, ze stękaniem doniósł do burty i upuścił. – Ciężki, jak na Księżyc.

Tajger uruchomił żuraw i zwolnił łańcuch. Dron opadł na skrzynię ładowni. Królik wgramolił się do środka.

– Zabieram. W domu rozbiorę i może się dowiemy, czyje to.

– W środku będzie pełno chińskiego szajsu i co ci to da? Sułtan, objeżdżamy sektor. Nurek, uważaj! Nie wiadomo, czy był tylko jeden.

Po półgodzinie znaleźli niewielką platformę lśniącą metalem. Wokół rozlewała się promieniście czarna plama wypalonego regolitu.

– To przynajmniej wiemy, że spadł z nieba.

– Znaczy Nowosowiety?

– Diabli wiedzą. To, że mają tego Burana, jeszcze nie znaczy, że nikt inny nic nie ma. To coś to może być jakaś samoróbka. Wygląda jak staroświecka sonda kosmiczna, którą wcielili do wojska.

Kombajn został postrzelany z przodu, ale to nie powinno mu być aż tak zaszkodzić.

Natomiast w osłonie przedziału kontrolnego szczyrzyła się idealnie okrągła dziura. Królik rozłożył drabinę przy burcie kombajnu i wspiął się do środka.

Kiedy wyszedł, niósł kilka długich, poskręcanych pasków metalu.

– Odłamki granatu raketowego. Kabina była zdehermetyzowana, więc wiele nie wskórał, ale jakby kombajn kontrolował człowiek, byłoby gorzej.

– Dlaczego? – zapytał Norbert, robiąc zbliżenie na odłamki.

– Bo bez powietrza nie ma fali uderzeniowej ani skoku ciśnienia. Jest tylko energia ładunku i odłamków, a to stosunkowo niewiele. Poharatało instalację. No i wiemy, że nasz mały kolega na pace został zaprogramowany, żeby zabijać.

– Damy radę zholować kombajn?

– Z tym całym żuzłem w środku nie. Przyślemy drugim kombajnem jajogłowych z częściami. Albo go naprawią i sam wróci, albo przyholują. Jak Dintojra?

– Poskrobał po wierzchu. Za cienki na nią.

Wracali do bazy, a Norbert czuł się, jakby rozładował widłami wagon piasku. Siedział, bokiem hełmu oparty o iluminator, gapiąc się w pustkę.

I wtedy go zobaczył.

Szczupłą, czarną sylwetkę panczenisty, stojącą na równinie między skałami, rzucającą cień i patrzącą na nich białą plamą twarzy. Jakies dwieście metrów w bok.

– Człowiek!

– Co?!

– Widziałem sylwetkę! Tam! W czarnym kombinezonie!

– Znaczą gdzie?

Norbert wyobraził sobie tarczę zegara.

– Na drugiej trzydzieści!

– Dobra – oznajmił Tajger. – Sprawdzimy. Sułtan, słyszałeś: druga trzydzieści.

Tamten zarechotał.

– Gdzieś tu, między tymi skałami. – Nie uwierzyli mu, ale i tak obchodzili teren ostrożnie, brnąc w pyle, z karabinami gotowymi do strzału. Wieżyczka Dintojry wodziła lufą po horyzoncie.

– Nic.

I wtedy zobaczył. Aż go zatkało.

– Ślady!

Istotnie, między kamieniami ciągnął się łańcuszek śladów. Kogoś, kto założyłby idealnie gładkie buty o symetrycznych, owalnych podeszwach. Nawet nie było widać, gdzie był przód, a gdzie tył. Z żadnej strony, tropy nie miały rozmytego końca ani rozrzuconego pyłu. Były jak odbite stemplem.

Królik poszedł w jedną stronę, a potem w drugą, z uniesioną lufą.

– To nie ślady – oznajmił.

– Przecież widzisz.

– Widzę jakieś dołki w regolicie na długości pięciu metrów. Ten twój koleś spadł z nieba, przeszedł się kawałek, a potem odfrunął? To Księżyc, tu śladów nic nie zaciera.

Popatrz na nasze: tak wyglądają ślady.

W pyłe miękkim jak talk istotnie odbijał się idealnie wytłoczony wzór protektora, a nawet karbowany brzeg podeszwy. Obraz był połamany i zniekształcony od strony palców, gdzie ruch nogi zburzył rysunek.

– Coś ci się, chłopie, zwidziało. Tu nie ma na co patrzeć, mózg szuka jakichś sensownych wzorów. Wystarczy cień, cokolwiek.

Przez całą drogę powrotną Norbert wyglądał przez iluminator, ale nie zobaczył nic szczególnego.

W ogóle nic nie zobaczył.

W habitacie klepano ich po plecach i witano, jakby stoczyli nie wiadomo jaką bitwę. Doszło nawet do tego, że Nikoleta objęła go, a potem pogłaskała z obu stron po twarzy. Prawie zemdłał, tylko kątem oka zarejestrował rechoczących kontraktorów i Fosę, która otworzyła usta i udała, że wkłada dwa palce w gardło.

Autodron został rozebrany na czynniki pierwsze, ale nic to nie dało. Wewnątrz znajdowały się typowe części, które ktokolwiek mógł kupić gdziekolwiek i zmontować kiedykolwiek. Nikomu do środka urządzenia nie wpadły bałajka ani ciasteczko z wróżbą, nikt nie uszczelnił niczego papierem od kebaba.

Oprogramowanie zostało wypalone do jednego znaku miniaturowym ładunkiem elektromagnetycznym, który zdetonował się w ostatniej chwili.

Uszkodzonego kombajnu nie dało się uruchomić i na razie zostawili go tam, gdzie był, pozostałe stale ubezpieczał uzbrojony łazik.

Wyznaczono granice chronionego obszaru tak, żeby łazik z pełnym obciążeniem mógł tam dotrzeć i wrócić bez ładowania baterii, a potem rozstawili na obrzeżach czujniki radarowe. Codziennie wyjeżdżały patrole.

Gniewny radiowiec z bazy Ilmukah, pieszczotliwie zwany „DJ Momo”, zamilkł zupełnie i nie dało się ustalić, czy przeżywa rozczarowanie klęską autodrona, znudził się bezskutecznym straszaniem wyśmiewających go ludzi czy też, jak twierdził Marker, „z wrażenia pękła mu żyłka pierdząca w mózgu i odwalił kitę”.

Potem nastąpiło księżycowe południe i przez tydzień trzeba było zostać pod osłoną grubych stropów bazy, bo temperatura powierzchni i promieniowanie zrobiły się niebezpieczne.

– Teraz nikt nic nie wywinie, choćby się skichali ze złości. Po prostu się ugotują po drodze. Potem, jak nadejdzie noc, też nie, bo nie naładują baterii w drodze i umrą. Przez miesiąc zrobi się minus sto pięćdziesiąt i noc. Nic, tylko siedzieć w domu i grzać się przy reaktorze – tłumaczył Tajger.

Wrócił Somwar i zrzucił kontenery zawierające zaopatrzenie oraz Moro, który był w zupełnie niezłym stanie. Opowiadał, że Helmut nadal jest w śpiączce, a Ptaker poleciał do jakiejś kliniki i nie wiadomo, co się z nim dzieje.

Zacząło się, ledwo minęło księżycowe południe.

Najpierw odezwał się miniradar przy wypiętrzeniu krateru Chacornac, a potem, kiedy trzy łaziki były już w drodze, kolejny wzdłuż korony Posidoniusa. Meldowały

dwa masywne obiekty, a kamery pokazały obraz odległych, niewyraźnych łażików, mniejszych niż ich własne. Nie było widać żadnych oznaczeń, tylko dwa obłe żuki pełzające u stóp żłobionego klifu korony krateru.

Rozstawili swoje łażiki w szyku torowym, jadąc z drugiej strony niemal idealnie okrągłego krateru i kryjąc się za krzywizną zbocza, jakby ganiłi się wokół wieży. W jednym miejscu zbocze schodziło na równinę Morza Jasności jęczorem skał i wypiętrzeń i tam się zaczęli, znajdując kryjówkę wśród głazów.

Norbert siedział znowu w Dintojrze razem z sekcją Alpha, z desantem wzmocnionym o Docenta i Zero. Filmował ich, lecz twarze za zamkniętymi przesłonami były niewyraźne, zamazane refleksami i pozbawione ekspresji. Metodycznie sprawdzali magazynki i włączali elektronikę broni, ale bez trzasku metalu i tworzywa oraz pisku ładujących się superkondensatorów też nie było w tym dramatyizmu. W zdehermetyzowanej komorze desantowej dźwięk nie istniał. Była łączność, jednak nikt nie rozmawiał, Tajger zarządził ciszę radiową. Jedyne podkład stanowił ciężki oddech Norberta, huczący w kopule hełmu. Był też przekonany, że słycać łomot jego serca.

Spojrzał na iluminatory, Baron Szajba i Dzikie Mięso przywarowały między skałami i też były niewidoczne.

Tajger stanął przy włączu, wystawił rękę w rękawicy i dobitnie pokazał całą dłoń. Najemnicy przytroczyli broń i jeden po drugim odpinali złączkę systemu oddechowego od swoich zasobników.

Cztery palce.

Norbert rzucił spojrzenie na wyświetlacz pod sufitem, pokazujący pikselowaty obraz z czujnika.

Trzy palce.

Wszyscy bezgłośnie zamknęli przesłony przeciwsłoneczne. Skały miały poniżej osiemdziesięciu stopni Celsjusza, ale słońce wciąż było wysoko.

Dwa palce.

Tajger szarpnął za rygle włączu.

Jeden palec.

Rampa opadła, obraz wypełnił się szarymi bryłami zasobników, wyglądających jak spakowane w podpisane toboły skrzynki. Norbert już umiał zejść z rampy szybko, bez susów i przypadkowych lotów.

Tamci rozbiegli się wokół pojazdu, kucając za skałami z uniesioną bronią.

Docent zrzucił ze skrzyni towarowej jakieś szare przedmioty, w pierwszej chwili wydawało się, że to wózki zakupowe, tylko na nienaturalnie wielkich kołach. Spadały, wzbijając wokół siebie kłęby pyłu, ktoś zaczął je rozkładać i nagle pojawił się znany kształt. Dwa koła połączone podstawą dla nóg, pomiędzy nimi rurka z uchwytami dla rąk. Segway? Groteskowy pojazd dla służb lotniskowych albo do zwiedzania centrów historycznych miast?

Norbert pokazał je pytającym gestem, a Moro wzruszył ramionami. Najpierw pomachał pięściami i zgiętymi rękoma, jakby maszerował z przesadną emfazą, potem

powachlował hełm dłonią, grając zmęczenie, następnie wyprostował się, oparł dłoń na nieistniejącej kierownicy, a drugą pozdrowił go serdecznie.

Może i tak, przemieszczanie się tutaj na piechotę wymagało sporo wysiłku.

– Są – powiedział nagle Tajger. – Koniec ciszy. Szajba, pokaż się.

Słuchawki wypełnił znajomy syntetyczny odgłos silnika, spomiędzy skał wynurzył się łazik i wyjechał na płaski teren. Słysząc było pytania na otwartym kanale.

– Kim jesteście? Potrzebujecie pomocy? Zbliżacie się do bazy Tvardovski.

W odpowiedzi rozległ się gardłowy hałas kilku głosów wrzeszczących niezrozumiale jeden przez drugiego. Potem Norbert usłyszał spokojny głos Kaukaza, prawdopodobnie zadającego te same pytania w tym samym gardłowym języku.

– Co my robimy? – zapytał rzeczowo Tajgera.

– A jeśli przyjechali tylko na grilla? Będziemy napierdzielać do każdego bez ostrzeżenia?

Syntezy wygenerował huk i łamiący się dopplerowsko gwizd. Z pierwszego obcego łazika trysnęła struga płomieni, która skoczyła w stronę Barona Szajby i dziesięć metrów od niego stanęła nagle dęba i strzeliła w górę, wykwitając idealnie okrągłą kulą ognia, skafander zasugerował niezbyt przeraźliwy odgłos eksplozji. Wybuch faktycznie nie był imponujący, Królik miał rację. W środowisku pozbawionym atmosfery materiały wybuchowe nie były najlepszą bronią. Nadawały się raczej na fajerwerki.

– Co z tą rakieta?

– System obrony elektronicznej. Zagłuszanie – odpowiedział mu Moro. Baron Szajba cofał się już za skały, stukocąc swoim działkiem.

– Dintojra, naprzód! Dzikie, naprzód! – wrzeszczał Tajger. – Desant na hulajnogi!

Pojazdy pomknęły, lawirując pomiędzy skałami i terkocąc swoją bronią, żeby zmusić tamtych do pozostania na równinie. Skafander przekazał odgłos odległych wystrzałów. Ktoś wrzasnął: „kryć się!”. Przypadli pomiędzy głazami, które zaczęły wybuchać obłokami pyłu i fontannami odłamków. Raz i drugi Norbert usłyszał nawet wizg rykoszetu. Te syntetyczne dźwięki wydawały się idiotyczne, ale przyszło mu do głowy, że w całkowitej ciszy każdy pocisk spadałby znikąd i zupełnie nie byłoby wiadomo, co się dzieje.

Teraz kręcił tylko głazy, zasobnik i tył hełmu Docenta oraz klęczącego Królika, który wystawiał karabin nad szczyt skały i wodził nim na boki, zapewne obraz celownika widział na przesłonie hełmu. Raz i drugi wcisnął spust, ale jego karabin nie zrobił niczego, co byłoby widać, natomiast radar wykrył lecące pociski i zasugerował stukot serii.

Norbert chciał wychylić się nad skałę i cokolwiek nakręcić, ale ktoś szarpnął go za zasobnik i ściągnął w dół.

Poczołgał się, żeby wyjrzeć pomiędzy skałami, i zobaczył tylko roztrzaskiwane szczyty głazów. Po paru chwilach palba z tamtej strony zaczęła przycichać.

– Na hulajnogi, trzymać się za osłonę MRAP-ów!

Norbert jeździł na tym czymś kilka razy i to nie było takie trudne. Kierownica była

tylko po to, żeby się czegoś przytrzymać, a sterowało się, balansując ciałem, i to właściwie nieznacznie. Wystarczyło przenieść środek ciężkości.

Tu wystarczyło manewrować między skałami, z odłamkami i kamieniami grube, powiększone opony radziły sobie doskonale. Gdyby miał ten cały dystans pokonać księżycowymi susami, chyba by padł trupem.

Pierwszy z obcych pojazdów stał nieruchomo, z otwartym włazem z tyłu, ale tu nie było ognia ani dymu, żeby zilustrować, co się właściwie stało. Nic, co mogłoby dodać scenie dramatyzmu.

Drugi zawrócił i pędził teraz przez równinę, ścigany przez Dintojrę, z tamtej strony dobiegał stukot krótkich serii działka, na kadłubie pojazdu co chwila wykwitwały rozbłyski.

Podjechali bliżej unieruchomionego łożnika, po czym kazano Norbertowi się zatrzymać i zostać z tyłu. Znowu widział tylko skały i przemykające pomiędzy nimi sylwetki. Przez opuszczoną rampę wybiegło kilka postaci w biało-zielonych skafandrach, z bronią w ręku. Jeden z nich wyszedł trochę niemrawo i zaraz za rampą zwałił się na podłoże, pozostali podskakiwali w stronę najemników jak kangury, strzelając na oślep.

Krótki terkot serii i hełm biegnącego rozprysnął się jak żarówka chmurą odłamków i rudawej mgły, która natychmiast opadła w postaci drobnego śniegu.

Jego towarzysz schronił się za skałą, która pokryła się miniaturowymi eksplozjami. Nie pokazywał się, czekając na chwilę spokoju, a wtedy rozpoznawalny dzięki napisowi na zasobniku Docent zaszedł go z boku i posłał mu krótką serię. Nie było nic widać przez skałę, tylko chmurę czerwonej, zmrożonej mgły i kłębę pary z tlenu pod ciśnieniem, która oblodziła głaz.

Ten, który upadł, zaczął pełznąć w stronę porzuconej broni. Ktoś krzyknął ostro po arabsku, ale tamten wciąż się czołgał, jak nakręcana zabawka.

Synteza wydał z siebie niepoważny terkot serii, skraplający się w mgłę tlen trysnął z kilku otworów w kombinezonie. Pełznący szarpnął się w miejscu i znieruchomiał.

W oddali uciekający pojazd już nie uciekał, bo Dintojra odstrzeliła mu koła z jednej strony. Teraz opierał się ukośnie o skałę i tak stał. Łazik zatrzymał się obok, z wieżyczką skierowaną na jego moduł dowodzenia.

Królik, Moro i Angol przyczaili się przy otwartym włazie pierwszego z łożników i ostrożnie weszli do środka, jeden po drugim, pozostali stali kręgiem, mierząc w otwór włazu. Norbertowi kazano trzymać się z tyłu, za skałą, więc kręcił sponiewierany wrak i ich wszystkich, jak tak celują i czekają.

A potem kontraktorzy wyszli na zewnątrz.

– Czysto, możesz kręcić.

Wszedł przez otwartą na przestrzał szluzę i kręcił, ale w środku wcale nie było „czysto”. W ścianach ziały całe konstelacje otworów, a dehermetyzacja zmieniła wnętrze w rumowisko, pełne jakichś strzępów, pęków kabli, popękanych torebek zamrożonych na kamień racji żywnościowych, ze ścian i sufitu zwisały strzępy

okładziny. Wszystko było rozszarpane i zwalone na bezładną stertę, właściwie nierozpoznawalne.

Zawołali go, a potem ładowali segwaye na platformy Barona Szajby i Dzikiego Mięsa i sami wsiadali, później mknęli do drugiego pojazdu i pilnującej go Dintojry.

– W środku jest ktoś żywy – oświadczył Sułtan przez radio. – Wywoływałem go po arabsku i turecku, ale nie reaguje. Nurek chce go rozwalić.

– Łać mi się chce – oznajmił Nurek. – A nie lubię w pieluchę.

Królik sięgnął po umocowaną do zasobnika kasetę i otworzył, ukazując przyczepione wewnątrz tajemnicze narzędzia, klawiaturę i jakieś kable zakończone krokodylkami.

– Otworzę ten właz, tylko wchodźcie ostrożnie.

– Ja tam wejdę – oznajmił Zero.

– Ja też – powiedział Rybak.

Wydawało się to łatwe. Narzędzie z wirującą końcówką i czymś w rodzaju dłuta pozbawiło panel obudowy, a potem wystarczyło podłączyć kilka kabli i postukać w klawiaturę.

– Zrzucam ciśnienie. Właz wewnętrzny zamknięty.

Przy iluminatorze pojawił się mężczyzna w otwartym hełmie, który wyraźnie podniósł ręce i poruszał przy tym ustami, jakby chciał, żeby czytano mu z ruchu warg. A potem zamknął hełm.

– Poddaje się. Chyba.

– Właz otwarty.

Kłapa wysunęła się, odjechała na bok. Rozłożyły się schodki.

– Tylko ostrożnie.

Obaj kontraktorzy weszli do śluzy i zamknęli właz.

Norbert już wiedział, że nie dadzą mu wejść z pierwszą grupą, więc po prostu stał w cieniu Dintojry dwadzieścia metrów dalej i filmował obcy pojazd.

Słyszał jedynie głosy w radiu.

– Dobra, łapy w górze! – To chyba Zero.

– Co tam bierzesz? Nie dotykaj tego!

I trzeci głos:

– Alla...

Biały szum i oślepiający rozbłysk we wszystkich iluminatorach tamtego łązika. Odłamki i fragmenty poszycia, szybujące we wszystkie strony po idealnie prostych liniach. Nienormalnie wysoko. I dopiero później syntetyczny grzmot eksplozji.

Wracali w milczeniu.

Norbert nagrał relację do końca, wyłączył sprzęt i świat pozbawiony znaczników oraz parametrów na szybie hełmu znowu zrobił się prawdziwy i zaatakował go ze zdwojoną siłą. Trząśił się jak w febrze, zęby mu szczękały, miał tylko nadzieję, że w skafandrze tego za bardzo nie widać, zostawił opuszczoną przesłoną przeciwsłoneczną, więc był pewien, że nie widać też jego twarzy.

A prawda była taka, że miał dosyć. Chciał wracać na Ziemię. Chciał schować się pod

łóżkiem. Gdzieś, gdzie w ogóle nie ma Księżyca. Jak najdalej od polityki, najemników, izotopów i losów świata. Przypomnił sobie swój rzekomy dom na St. Lucii i zrozumiał, że dostanie tę nagrodę, dopiero jak wytrwa do końca.

Nie za bardzo to pomogło.

Wrócili do habitatu, a tam już wiedzieli. Z ciał Zera i Rybaka nie zostało praktycznie nic, nawet śladów DNA nie dałoby się znaleźć w wyżarzonym, rozerwanym wnętrzu łazika. Zostało trochę strzaskanych fragmentów pancerza i zmienione nie do poznania zasobniki.

Po powrocie Norbert przykleił plaster i stopniowo napięcie zaczęło maleć, aż przestał dygotać pod śpiworem, ręce przestały mu drżeć i mógł rozplątać się z pozycji embrionalnej.

Poszedł do Klubu Seniora, gdzie na stole stały dwa otwarte hełmy z hologramami w środku, z głośników płynęło „Space Oddity” i „Ticket to the Moon”. Były łyż i wódka.

Nie wypił dużo, bo kiedy napięcie zelżało, dopadło go straszliwe, kamienne zmęczenie.

Wczołgał się do swojej kajutki, ale zanim zasnął, ktoś zastukał delikatnie w żaluzję. Norbert odsunął ją i poczuł, jak wślizguje się obok niego, gładka, smukła i opływowa, jak okrywa go chmurą czarnych jak kosmos włosów, i zrozumiał, że zmęczenie może poczekać.

Rano nie było po niej śladu.

I wcale nie był pewien, czy mu się to czasem nie przyśniło.

Jechali na daleki rekonesans Dintojrą, którą zaczął już uważać za swój pojazd macierzysty. Istny piknik. W stronę nowosowieckiej bazy Zoria. Kawalek, w tamtą stronę głupie pięćset kilometrów do podnóża gór Caucasus. Niemniej oznaczało to, że trzeba będzie dwa razy w jedną stronę robić czterogodzinne przerwy na ładowanie akumulatorów, po przejechaniu każdego dwustu kilometrów. Wychodziła z tego czterdziestogodzinna wycieczka. Bez mała dwie doby. Zabrali zapasy na trzy dni dla każdego, wodę, łazik miał oksygenator, który dawał radę do ośmiu osób na pokładzie, a jechali tylko w pięciu.

– Chcę rozstawić czujniki, bo następne kłopoty mogą nadejść właśnie stamtąd. To najkrótsza droga, tu każdy kieruje się ekonomią zasięgu. Poza tym chcę coś sprawdzić.

Dwie doby w przedziale desantowym Dintojry. Dwie doby w skafandrze, ale bez zasobnika LSU, bez pancerza i hełmu, w napełnionym powietrzem module i znośnej temperaturze. Z dostępem do chemicznej toalety.

Dwie doby nudy.

Fotel nie był zły, zwłaszcza gdy Norbert ustawił go przodem do kierunku jazdy. Zabral pamięć z filmami i programem motoryzacyjnym, który oglądał po raz drugi od początku, ale przywykł już tak, że wydawało mu się, że bez porcji wygłupów trzech ekscentrycznych dżentelmenów z zamierzchłych czasów nie zaśnie. Miał pod ręką cyberetkę i nikogo to nie obchodziło, zabral własne zapasy batoników oraz suszonych owoców i było prawie komfortowo.

Rzecz jasna, wyruszyli bezbożnym świtem, więc pierwsze cztery godziny po prostu przespał.

A potem rozstawiali panele solarne i podłączali Dintojrę do ładowania.

– Dobra, mamy cztery godziny – powiedział Tajger i zrzucił z platformy trzy segwaye.

– Wycieczka?

– Chcę coś sprawdzić.

Ruszyli w stronę gór. Droga nie była trudna, na skraju Mare Serenitatis było płasko, ale w kopnym pyłe i wśród kamieni szłoby się raczej ciężko.

Po dwudziestu minutach trafili na białe, znajome kopuły wparte w skałę, tylko znacznie mniejsze.

– Co to jest?! Następny habitat?

– Raczej schronisko. Na wypadek jakiejś awarii. Jest dosyć mały, ale ma ambulatorium ze sprzętem diagnostycznym, zapasy wody i żywności, system wentylacyjny, oksygenator, potężne środki łączności, wszystko, co trzeba, żeby przetrwać do nadejścia pomocy. Nazywa się baza Solaris. Mamy jeszcze jedną, na drugim brzegu. Baza Lem. Jak interes się rozwinie, zbudujemy kolejne, a może te obsadzimy ludźmi. To już pomysły Szamana. Ja mam tylko sprawdzić, czy wszystko działa.

Habitat miał zwykłą śluzę, którą otwierało się równie prosto jak tę na dnie morza. Wewnątrz mieścił się typowy labirynt chomików. Utylitarne, ciasne wnętrza, do których Norbert już przywykł. Każdy zakamarek wykorzystany na coś, minimalistyczne meble, pentra wypchana zapasami, mesa, łazienka i toaleta oraz pomieszczenie, w którym stała skomplikowana wyglądająca kozetka, obstawiona sprzętem, ze zwisającymi metalowo-plastikowymi ramionami jak śpiące aseptyczne owady.

– Co to jest?

– Docomat. Urządzenie diagnostyczne, które potrafi też przeprowadzić proste zabiegi. Kładziesz pacjenta tutaj, masz intuicyjny panel dotykowy, który sam ci podpowie, co robić, a potem maszyna składa go do kupy. Cudów nie robi, ale życie może uratować. Pozszywa, wydlubie odłamki, połata, złoży kości.

– Oksygenator sprawny – powiedział Królik, zaglądając do ambulatorium.

– Reszta też się melduje. Możemy stąd spadać.

Dalej jechali z napompowaną tylną śluzą, bo kilka razy stawali zakładać czujniki, a szkoda było atmosfery z przedziału desantowego. Mógł to robić jeden człowiek, założywszy pełen kombinezon, i z reguły nie był to Norbert, bo na tyle jego talentom nie ufano. W efekcie aż do następnej przerwy na ładowanie byczył się w fotelu. Aż w końcu rozboleły go kości i po rozstawieniu ogniw sam wziął segwaye, żeby pojeździć między skałami.

I zupełnie niespodziewanie znalazł ślady.

Nie te obłe i tajemnicze, ale normalne ślady, z odbitym w pyłe paskowanym wzorem podeszew. Dużo śladów to tu, to tam, i jeszcze odcisk bieżnika.

Zawołał pozostałych. Tajger nic nie powiedział, tylko zmarszczył brwi. Królik włączył zasilanie karabinu, a Nurek obudził stanowisko strzeleckie do życia. Norbert włączył kamerę i ustawił parametry.

Poszli za tropem i w sporej kotlinie między skałami trafili na obozowisko.

Lądownik, stojący na rozstawionych owadzio teleskopowych nogach, obok niewielki habitat przypominający skrzyżowanie blaszanego kontenera z nadmuchiwany namiotem.

– To jest ten Apollo?

– Apollo Piętnaście jest ponad sto pięćdziesiąt kilometrów stąd – odparł Tajger jakimś dziwnym głosem. – A to w ogóle nie wygląda jak Apollo.

– Tylko co?

– Na kadłubie jest napis „СССР”. Pierwszy Związek Sowiecki.

– Oni lądowali na Księżycu?

– Według wszelkiej dostępnej wiedzy nie. Wysyłali tylko sondy.

– Więc co to jest?

– Królik, otworzysz tę śluzę?

– Się zobaczy.

Najemnik wyjął swój przybornik z narzędziami, podłubał chwilę, a potem obrócił korbą rygła najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Szarpnął i włącz się otworzył.

Z trudem wcisnęli się razem do śluzy, było prawie tak ciasno jak w budce telefonicznej. Królik zamknął zewnętrzny włącz i odkręcił zwykły, pomalowany na niebiesko metalowy zawór. Powietrze wpadło do środka jak strumień pary, a potem przestało być widoczne. Okrągły mechaniczny manometr na ścianie ruszył wskazówką, która wzniosła się, a potem zatrzymała przy tajemniczym napisie cyrylicą. Królik obrócił kolejną korbę i dał się słyszeć zgrzyt. Włącz otworzył się do środka i weszli, zapalając latarki nahełmowe. Wnętrze było ciasne i zagracone, pozostawiane jakimiś pojemnikami, a pod ścianą na krześle, naprzeciw jakiegoś pulpitu, siedział trup.

Właściwie mumia. Pergaminowata skóra naciągnięta na czaszce opiętej białą pilotką, wyszczerzone szyderczo zęby, głowa pochylona na bok. Trup odziany był w biały, toporny kombinezon z jakimiś tajemniczymi zaworami i metalową kryzą wokół szyi.

Pulpit zajmowała skrzynia z dziwaczego szarego plastiku, z małym ekranikiem wielkości tabletu, zielonym i wypukłym jak szkło powiększające, oraz bardzo gruba klawiatura pokryta dziwnymi literami. Na wierzchu leżała zetłala kartka, na której czymś grubości palca, a może właśnie umoczoną w czymś palcem, wykonano jakiś napis.

– Co to może być „AYHA HE HAWA”? A dalej to już w ogóle hieroglify.

– To pierwsze to chyba nie jest A. A tamto to nie W. Fokus, możesz osobno zrobić zwyczajne zdjęcie, które da się przesłać?

– Pewnie.

Wykadrował kartkę, dobrał ustawienia i zrobił zdjęcie.

– Kto zna rosyjski?

– Kilku. Kaukaz, naturalnie.

– Wracamy na Dintojrę. Nic tu po nas.

Na pokładzie połączyli się z bazą i Tajger kazał dawać Kaukaza. Ten przyszedł zaspany i poirytowany.

– Przetłumaczysz?

– „Księżyc nie jest nasz, brońcie Ziemi”. Budzisz mnie przez jakieś ekopierdoły?

– Nieważne, śpij.

Potem jeszcze raz obejrzel na filmie całą bazę.

– Kiedy to mogło być?

– Amerykanie ostatni raz wtedy lądowali w siedemdziesiątym drugim. Ten tutaj jest późniejszy. Sprzęt wygląda jak z lat osiemdziesiątych. Cofnij, tam wisi jakiś harmonogram na ścianie. Jeszcze, powiększ. Proszę: osiemdziesiąty drugi!

– I nikt nie wiedział?

– Bo to była kłapa, a oni ogłaszali tylko sukcesy.

– Ale co to ma znaczyć?

– Tyle, że zwariował. Jego ludzie gdzieś przepadli, zamknął się sam w habitacie, aż umarł. Może nie mogli odlecieć albo co. Mamy atrakcję w hotelu.

Po powrocie wysłał dotychczasowe iwenty. Wizytę Nowosowietów, walkę z autodronem i atak islamistów.

Licznik wejść oszalał, jakby wielooka bestia tylko czekała na nowe wieści z Księżyca. Komentarze były zablokowane na stałe, ale ukazało się tam kilkanaście kipiących nienawiścią oświadczeń i setki zablokowanych.

Na nielicznych stronach przez jakiś czas pojawiały się posty ludzi, którzy pisali jakby bezpośrednio do nich: „Trzymajcie się! Jesteśmy z wami! Czekamy na hel!”.

Oraz jeden, wydawałoby się, zupełnie bez sensu: „Jak wszystko zacznie się walić, zawsze noś kapsułki i dyski. To może być każdy pet”.

Nazwa użytkownika była jakaś absolutnie losowa, jednak awatar przedstawiał człowieczka w czarnej pelerynie, z maską jak lemiesz pług, pod trójgraniastym kapeluszem.

Kiedy Norbert go zobaczył, skojarzył mu się z Mechanikiem. Tylko że Mechanik nie żył. Wyleciał w powietrze na swojej barce. To zresztą nie miało sensu. Pet?! Jaki pet? Jakie kapsułki?

Kiedy wreszcie skojarzył, omal nie zemdleł. Nie pet. PET. Tomograf pozytronowy. Gdyby musiał coś nagrać na korze pamięci krótkotrwałej, może to wywołać za pomocą każdego tomografu. Choćby tutaj, w ambulatorium. Wystarczy wgrać program. Gdyby musiał filmować w sposób całkowicie niewykrywalny, nie mając żadnego sprzętu, ma kapsułki.

To było wariactwo. Martwy, spalony człowiek nie mógł mu wysłać wiadomości. Tylko że to musiał być Mechanik. Niewykrywalny, paranoiczny Mechanik.

Wariactwo.

A jednak Norbert wyjął z saszetki kapsułki i krystaliczne minidyski i odtąd miał je

przy sobie.

Rec.14

Czujniki wcale nie podniosły alarmu.

Po prostu padły. Jeden po drugim. Nie pokazywały niczego szczególnego, przeczesywały swój perymetr w poszukiwaniu czegokolwiek ruchomego i masywnego na wszystkich dostępnych na Księżycu pasmach obserwacji, a w chwilę potem był tylko trzask białego szumu i milczenie.

Nadchodzili.

Car Imperium Nowosowieckiego wydał dyspozycję i postanowili nie bawić się więcej w dyplomację, grę pozorów, szantaż albo fabrykowanie nieszczęśliwych wypadków.

Nadchodzili.

Tylko że tu był Księżyc. Mogli dosłać trochę ludzi i broni, ale nie więcej, niż zmieścić transportowiec, i nie więcej, niż mogła przechować stacja Zoria.

Nie mogli przysłać bombowców ani czołgów, głowic termonuklearnych ani floty.

To Księżyc. Tu armie liczyły dziesiątki, a zwykle mniej niż dziesiątki ludzi.

A na Księżycu SilverSands, dysponujące osiemnastoma wyszkolonymi kontraktorami i pięcioma wozami bojowymi, było supermocarstwem.

Alarm bojowy postawił ich na nogi, kiedy padł trzeci czujnik.

W biegu zakładali skafandry, z adrenaliną wrzącą w żyłach, wydawało się, że to się zdarza dosłownie co chwila.

– Jedziemy tutaj. – Tajger mówił szybko. – Kierujemy się na szczyt Calippus i tam na nich poczekamy. Teraz przechodzą Kaukaskie Wrota, będziemy mieli czas doładować sprzęt i umocnić się. Cywile, wchodźcie do jaskiń. Otwórzcie przejście do Prototype Bay i zamknijcie wszystkie śluzy, utrzymujcie łączność. Resztę habitatu wygasić na bieżąco i ewakuować, co się da. Tak samo zasoby helu. Kombajny zostają. Ustawimy je razem z ładunkiem regolitu przed wejściem do głównego habitatu jako barykadę. Po ostatnich stratach nie mamy załogi dla Zła. Zostaje jako element barykady, ewentualnie jako pojazd ewakuacyjny, jak zdecydujecie. Na operację oprócz Dintojry jedzie Baron Szajba w składzie Kiwak, Kaukaz, Marker, Fosa i Elektryczna Makabra z załogą Moro, Słoni, Angol, Traktor. Mecenas, Docent, Sidnej, wy obsadzacie Dzikie Mięso i zostajecie do obrony habitatu.

Wiecie, po co tu jesteśmy. Nie robimy nikomu krzywdy. Chcemy poprawić swój los i mamy do tego prawo. Tamci po raz kolejny chcą nam pokazać nasze miejsce, więc im udowodnimy, że się mylą i że też mamy prawo do życia. Przeżyjemy, i to na stojąco. Powodzenia i do zobaczenia po wszystkim. A teraz do wozów! Ruchy, ruchy, ruchy!

Bez pytania Norbert biegł do Dintojry. Po drodze ktoś mu rzucił karabinek, który

chwycił w powietrzu, nie myśląc. Wskoczył na swój fotel, namacał złączkę i podpiął swój LSU do zasilania powietrzem, karabinek miał uchwyt obok fotela. Ruszali, kiedy uświadomił sobie, że nie pożegnał się nijak z Nikoletą. Nie miał pojęcia, czy u kontraktorów to jest zły omen, ale nie chciał pytać.

Łazik w terenie osiągał pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę. A to oznaczało, że będą jechać ze trzy.

Kiedy dotarli na miejsce, ustawili się wśród skał. Tajger oświadczył, że do przybycia tamtych minie minimum osiem, a najpewniej dwanaście godzin, o ile mają podobne ogniwa i akumulatory. Powiedział, że nominalnie załoga Zorii to cztery osoby. Nawet jeśli stacja jest zrobiona na wyrost, wątpliwe, żeby dosłali więcej niż dziesięciu. Także biorąc pod uwagę Burana, mało prawdopodobne, żeby zdołano przysłać jakieś ciężkie pojazdy, a wydrukować ich i złożyć po prostu nie było kiedy.

Brzmiało to krzepiąco, choć czekanie i tak szarpało nerwy.

Umocnili swoje pozycje składanymi koszami hesco, które wypełniali kamieniami, a które wydawały się o wiele za lekkie, żeby spełniły swoją rolę.

– Może by tak radar? – Sułtan pytał chyba bezmyślnie albo z nudów.

– Nawet o tym nie myśl. Jest mnóstwo sprzętu, który kieruje się na emisję radarową. Szuszwale mogli jechać jak dzieci we mgle, ale Nowosowiety znajdują się na robocie. Śpijcie, póki się da.

Rada wydawała się śmieszna, lecz co bardziej doświadczeni faktycznie zaczęli przysypiać. Norbert czuł się, jakby ktoś mu zaproponował przespanie katastrofy lotniczej.

Czekali.

W końcu natura wzięła górę i trzeba było coś zjeść, udało mu się nawet zdrzemnąć.

Nagle zobaczyli, jak po czarnym niebie suną dwie iskierki. Jedna powiększyła się lekko, zamieniła w kreskę jak spadająca gwiazda i pomknęła za horyzont, tam, skąd przybyli. I znikła. Rzecz jasna, nie było żadnego huku ani błysku. Niczego. Znajdowali się sto pięćdziesiąt kilometrów od domu, a na Księżycu horyzont jest oddalony o niecałe dwa i pół kilometra.

Druga gwiazdka zatrzymała się nagle i odrobinę urosła. Płonęła tak przez sekundę, a potem znikła.

Ktoś krzyknął. Ktoś inny zaklął rozpaczliwie. Patrzyli w niebo jak oniemiaли.

– Sułtan, łącz mnie z Tvardovskim! Nurek, łącz z Somwarem!

– Baza nie odpowiada!

– Somwar nie odpowiada!

– Kurwa!

– Baza mogła stracić łączność, jeśli rozwalilo anteny.

– Żeby to tylko nie była atomówka...

– Spokój! Teraz nic nie poradzimy. Wywołaj Dzikie Mięso.

– Nie odpowiada! Ale, Tajger, jeśli oni byli na wierzchu, to nie ma szans.

– Tu Szajba! Dintojra, Makabra, cel na optycznej kierunku south sto siedemdziesiąt

pięć, dystans tysiąc osiemset! Trzy pojazdy!

– Nurek, przeładuj!

– Gotów!

Norbert słuchał i patrzył, rejestrując tylko głosy, osłupiały. Tamta rakietka... Trafiła w bazę? Somwar eksplodował? Zabili Jankesa? Biedaka bez nóg, który dzięki SilverSands mógł zostać na orbicie, gdzie chłopak był w swoim żywiole? Zbombardowali bazę? Nikoleta... Nikoleta nie żyje? Nie rozumiał tego. To zwyczajnie go przerastało. Nie wierzył.

„Jak wszystko zacznie się walić, noś zawsze kapsułki i dyski”. To był jakiś bezsens. Norbert wyciągnął fiolkę i połknął kapsułkę, popijając sokiem z dozownika otwartego hełmu.

Nie miał pojęcia, po co. Bo wszystko zaczęło się walić.

Nowosowietki jechali, rosnąc pomału, pozostawało czekać.

– Najlepiej, jakby się rozłożyli na lądowanie.

– Chyba twojej babci.

Pojazdy zaczęły robić się wyraźniejsze, zyskiwać kanciaste kształty. Przypominały typowe łaziki, podobne do ich własnych, ale zdawało się, że czymś je obłożono, dodano jakieś urządzenia.

– Biorę pierwszego, Makabra drugiego, Szajba trzeciego! Ognia!

Syntezy zaterkotał imitacją wystrzałów, po chwili odezwały się działka Dintojry i Elektrycznej Makabry. Na kadłubie pierwszego pojazdu zamigotały rozbłyski, kilka trafień błysnęło też na górnym pancerzu drugiego. Trzeci schował się akurat za skałę.

Ruszyli, lawirując w labiryncie głazów. Pierwszy stał nadal, pozostałe skręciły w miejscu i pognały w kierunku masywu Caucasusa.

Baron Szajba wyrwał przodem, jego działko terkotało, plując krótkimi, niewidzialnymi seriami pocisków. I wtedy na jego kadłubie, z boku modułu dowodzenia, pojawiła się plamka rubinowego światła, która natychmiast rozjarzyła się jak ogniwo spawalnicze. Poszycie pokryło się bąblami i rozwinęło na zewnątrz, otwierając szczelinę, która rozszerzyła się wzdłuż całego boku, światło zgasło, a z burty pojazdu strzelił snop zamarzającego powietrza.

W radio wybuchł wrzask, który zatonął w białym szumie.

Kolejna kanonada. Z pierwszego trafionego nowosowieckiego pojazdu wyskoczyło kilku ludzi, jeden przykleknął z jakąś wyrzutnią na ramieniu, pocisk śmignął, wlokąc strugę ognia, i eksplodował pomiędzy skałami. Strzelec odrzucił rurę i sięgnął po karabin, po czym odwrócił się nagle, podskakując i tryskając strugami zrudziałego powietrza z otworów w skafandrze. Dół jego zasobnika buchnął snopem pary i powłókł go po ziemi.

Pozostali zapadli między kamieniami. Pojawił się jeden z pojazdów i podjechał do nich z otwartym lukiem desantowym. Dintojra i Elektryczna Makabra otworzyły ogień. Łazik Nowosowietów zawinął w miejscu, od jego burty odleciało coś podobnego do arkusza blachy, zasłonił skały, za którymi chronili się żołnierze, jakieś urządzenie na

górze rozleciało się na drobne kawałki, z tyłu trysnęła smuga pary i pojazd ruszył na wstecznym, wlokąc urwaną kratownicę. Drugi dołączył do niego, obracając jednym postrzępionym, klapniętym kołem. Wycofywali się.

– Gonimy ich?

– Nie! Desantuj ludzi, sprawdźcie, co z Szajbą.

Wyszli przez tylną śluzę na platformę. Norbert poczuł, że nogi trzęsą mu się tak, że musi usiąść na ziemi. Teraz chodziło o to, by nie narzygać do hełmu, bo umrze. Utopi się. Przełknął ślinę i napił się zimnego soku z dozownika. Pomogło.

Burta Barona Szajby ciągle żarzyła się na wiśniowo. Angol wyszedł ze środka na rampę i rozłożył ręce.

– Wszyscy. Kiwaczek, Kaukaz, Marker, Fosa. Wszyscy.

Wrócił do Dintojry i usiadł ciężko.

To koniec.

Królik i Tajger też wrócili.

Oba pojazdy pojechały kawałek do przodu, ale Nowosowietci znikli na dobre. Znaleźli kolejne osłonięte miejsca między skałami i czekali.

Norbert patrzył na swoje dłonie w pancernych rękawicach i usiłował ogarnąć świat umysłem. Nie mógł. Nie dawało się.

Nie wiedział, jak długo tak siedzi.

Sułtan przy konsoli monotonnie wywoływał bazę Twardovski. Kombinował coś z zakresami, a potem nagle skamieniał w fotelu, zamknął przesłone hełmu i widać było, że porusza ustami, najwyraźniej z kimś rozmawia.

A potem zerwał się i otworzył hełm.

– Tajger, wywołałem bazę. Oni żyją! Są straty, ale nie słyszę jakie, sygnał cały czas przepada, ledwo ich słysząc. Ale część na pewno żyje! Ale... Tajger... – Zamilkł na chwilę, przygryzając wargi. – Oni przed atakiem odebrali przekaz z Ziemi. Mówią... że Szaman jest w szpitalu... Podejrzewają zatrucie polonem.

Norbert słuchał tego i czuł, jak każdy obraz i dźwięk wypalają mu się na mózgu. Przestał się rozpadać i teraz był maszyną rejestrującą. Wszystko było istotne i najwyższej wagi. Być może Nikoleta żyje. Być może Szaman umiera. Być może wszystko się wali.

A potem siedzieli i czekali na rozwój wypadków.

Sułtan nadal przeszukiwał częstotliwości i nasłuchiwał, zamknawszy przesłone, żeby lepiej słyszeć. Królik zdjął hełm i przeczesywał palcami krótką szczecinę na głowie. Tajger wpatrywał się w skupieniu w ścianę. Nurek oparł się o burtę i gapił przez iluminator. Norbert nagrywał. Każdy dźwięk, każdy gest i słowo.

Sułtan otworzył gwałtownie hełm.

– Tajger, złapałem tych Ruskich! Nadają na ogólnym kanale! Słuchaj, oni gdzieś z kimś walczą, szwargocą do siebie, wrzeszczą, jakby ich ktoś wyrzynał, a w tle cały czas nas wywołują po angielsku. Proszą o pomoc! Nas?! Co tu się, kurwa, dzieje?

Tajger uniósł głowę.

– Daj to na głośnik!

W kabinie rozbrzmiało pandemonium. Wrzaski, przekleństwa, rozkazy, a w tle nabrzmiały paniką głos, który recytował: „Do dowódcy oddziału SilverSands... Odpowiedz, SilverSands...”.

– Czego chcesz?! – warknął Tajger. – Tu SilverSands.

– Ludzie... Tu coś jest... Zabija nas... To rzeź... Pozwólcie nam przejść, uciekajmy...

– Co ty mi tu pierdzielisz?!

– Człowieku, coś żyje na Księżycu. I właśnie się wyroiło.

– Jesteś nienormalny czy co?

– Włącz połączenie wideo, sam zobaczysz... Jedziemy w waszą stronę, nie strzelajcie, błagam... Poddajemy się!

– Jak się poddajesz, to spadaj do siebie, nie jesteście mi do niczego potrzebni. Mogę was najwyżej rozwalić. Sułtan, daj mi to wideo!

Na ekranie najpierw pojawił się biały szum, potem skaczący, rozpadający się na piksele obraz, a w końcu chwiejący się widok z kamery na hełmie. Wszędzie biegali ludzie, niektórzy strzelali na oślep w przypadkowe strony, słychać było, że wrzeszczą przez radio. Coś śmignęło przez pole widzenia jak rozciągnięta pijawka, a potem oblepiło biegnącego kosmonautę niczym pecyna smoły. Mężczyzna zmienił się nagle w obłok tłustego czarnego dymu i zniknął. Substancja spadła na ziemię i rozlała się w kałużę, która w jakiś sposób była samym ruchem, jakby kłębiły się w niej robaki. Ułamek sekundy później znów rozciągnęła się w jedno elastyczne pasmo i znikła z pola widzenia. Rozchwiany obraz pokazał mężczyzn obsiadających łażika, wieszających się u burt za uchwyty i stojących na stopniach serwisowych, a potem nagle zbliżenie na burzę, kiedy właściciel hełmu wskakiwał na klamry. Drugi pojazd nie miał w ogóle przodu, jakby coś go odgryzło. Potem obraz rozleciał się i zgasł.

– Ktoś mi wytłumaczy, co widziałem? – zapytał Królik.

– Z wozu. Na stanowiska. Sułtan, do sterów. Nurek, uzbroić działko. Wychodzimy.

Zajęli miejsca między skałami, z Elektrycznej Makabry wyskoczył Angol i stanął obok nich.

– Co jest?

– Ruskie wracają. Chcą się poddać. Twierdzą, że napadli ich kosmici. Pokazali mi na łączu wideo, że coś faktycznie jakby ich dezintegruje. Nie pytaj nawet. Mam uczucie, jakbym był naćpany.

Norbert milczał i kręcił. Sowiecki łażik pojawił się w oddali, ale na burtach nie było już nikogo, a pojazd zataczał się, jakby kulał. Z boku, dwieście metrów dalej, pojawił się rozbłysk oślepiającego światła, więc Norbert spojrział odruchowo, bo to było ciekawe, a wtedy światło zgasło, ukazując czarną sylwetkę jak w kombinezonie panczenisty, z lekko rozświetloną kroplą twarzy.

Postać ruszyła w stronę toczącego się łażika, a wtedy ogarnęły ją fontanny pyłu trafiając z działka Dintojry. Sylwetka znów zmieniła się we wrzeciono blasku i znikła.

Łażik podjechał i zatrzymał się koślawo, po jakimś czasie otworzył się właz i wyszło

dwóch kosmonautów z rękami w górze.

Obaj dyszeli jak po długim biegu.

– Jurij Sokołow, specnaz – powiedział jeden z nich. – Nie mam broni... Uwierzcie, błagam... Tu się coś pojawiło. Jesteśmy unicestwiani. Uciekajmy. Do was. Może tam się obronimy. Najlepiej uciekać z Księżyca.

– Zbombardowałeś mi bazę i zestrzeliłeś statek, bydlaku. Nie ma gdzie się bronić ani czym uciekać.

– Baza jest uszkodzona, a nie zniszczona, a statek zorganizuję, tylko zabierajmy się stąd. Te... To coś zaraz tu będzie.

Trzy plamy czerni spadły prosto z nieba i rozpląszczyły się. Były jak płaskie fraktale ulepione z tłustej, połyskliwej, czarnej nicości. Bardzo interesujące. Norbert stał wśród biegających w panice ludzi i nagrywał. To coś wyglądało jak jama gębowa jakiegoś morskiego stwora i figura niemożliwa równocześnie. Pokrywały ją koncentryczne kręgi najeżone drobnymi kolcami, które bezustannie wędrowały od obrzeża do środka i zapadały się w lejkowaty otwór, zupełnie jakby ten obiekt cały czas wywracał się na lewą stronę. Bez końca. Kiedy się poruszał, materia wystrzeliwała długi, zwężający się kolec, który śmigał parabolą gdzieś dalej, i stworzenie przelewało się wzdłuż niego w nowe miejsce. Jeśli na jego drodze znalazła się jakaś przeszkoda, macka ją przenikała, a przeszkoda rozpadała się w obłok drobnego czarnego popiołu. Nieważne, czy był to biegnący człowiek, burta pojazdu, czy cokolwiek innego. Wszystko, co nie było częścią Księżyca, zostawało wymazane jak głowicą kasującą. Stworzenia poruszały się tak szybko, że prawdopodobnie nikt ich nie trafiał. A jeśli nawet, to pocisk po prostu znikał, zmieniony w mgiełkę czarnego pyłu.

Kręcił, jak zginęli obaj Sowietci, jak rozpadła się Elektryczna Makabra wraz z Moro i Słoniem, jak Tajger ciągnął go do Dintojry, w której brakowało fragmentu podwozia z akumulatorami, a potem nagle wypuścił, widząc Królika, który sięgnął do zacisków awaryjnych i otworzył przesłone, wypuszczając zamieć zamarzonego tlenu, po czym zwałił się na pył z błękitną twarzą, czarnymi wargami i oczami wypełnionymi krwawym puchem lodu.

W końcu to Norbert zawlókł wrzeszczącego z wściekłości i rozpacz Tajgera do Dintojry, bo z niewiadomych powodów czarne, skaczące fraktale nagle odeszły. Zupełnie jakby samobójstwo Królika odesłało je z powrotem do piekła czy w głąb czarnej dziury. To wszystko, co się działo, było niedorzeczne. Było obłędem i dlatego było interesujące. Kręcił.

Siedzieli w osłupieniu, nie otwierając hełmów.

A potem usłyszeli, jak wyrównuje się ciśnienie w słuzie i dobiega stukanie w wewnętrzny właz.

– Otwórz, to ja, Nikoleta – rozległ się stłumiony głos. Norbert wstał i otworzył, bo obłęd przekroczył wszelkie granice. Stała tam, nieziemsko śliczna, skrojona na jego miarę nawet w pokładowym bawełnianym kombinezonie i espadrylach, jej skóra nie pękała, gałki oczne nie zmieniały się w lód, a krew nie wrzała w żyłach.

Weszła do przedziału desantowego, a za nią wszedł martwy Królik z krwawym lodem w oczach i czarnymi wargami. Uniósł pistolet i wystrzelił trzykrotnie. Tajger obrócił się wokół osi z małym otworkiem w zbryzganej krwią przesłonie i runął na pokład. Sułtan i Nurek uderzyli twarzami o zakrwawione konsole swoich stanowisk. Królik spojrział na Norberta tymi strasznymi oczami z kryształów krwi, a wtedy Nikoleta wydała dźwięk jak chrzęst stawów wylamywanych palców. Odpowiedział skrzypieniem pękającego lodu, po czym podniósł panel podłogi i wpakował trzy kule w oksygenator, odwrócił się i wyszedł przez śluzę. Na skrzyni transportowej wydawało się, że wywrócił się na lewą stronę, i nagle był już czarną sylwetką panczenisty, a chwilę potem przeszedł przez bramę rozjarzoną niczym łuk elektryczny i zniknął.

Norbert przełknął ślinę.

– Dlaczego?

– Taki był cel – odpowiedziała. – Nie walcz z tym. Anoksja nie boli. Zaśniesz ciężkim snem bez snów. Masz tlen tylko w zasobniku i nigdzie nie zdołasz dojść.

– Ale dlaczego?

– Wasza rasa nigdy nie może opuścić Ziemi. Musicie się zadowolić orbitą. Musicie zrozumieć, że Księżyc nie jest dla was. Nie można pozwolić, żebyście wrócili w kosmos. Tak jak niektórym krajom przypisane są jedne role, a innym inne, tak wy musicie na zawsze zostać na Ziemi. Niektórzy z was już to rozumieją. Lecz inni próbują odwracać los. Tym razem to było działanie, które naprawdę mogło odmienić wasze podejście i zniweczyć wiele lat pracy. Musiano położyć temu kres.

– Chodzi o to, że jesteśmy agresywni?

– Agresja to tylko intensywność działania. Nie ma znaczenia. Chodzi o indywidualną świadomość. To odrażająca anomalia. Nie można pozwolić na obecność istot, które kiedyś zniosłyby w kosmos wiarę w wyjątkowość każdej jednostki, marzenia, uczucia, osądy, bunt. Tylko brak świadomości jest dopuszczalny. Działanie na rzecz jedności. Tylko jednostki, które czują i myślą to samo, działają racjonalnie.

– Czym ty jesteś?

– Ten assembler został zaprojektowany specjalnie dla ciebie. Żeby wpływać, dopóki nie stało się jasne, jaka jest twoja rola. Symulacje potwierdzały, że jest kluczowa, ale nie było informacji dlaczego. Między wami jest wiele assemblerów. Są jak pasterze. Hodują was we właściwym kierunku. Jednej myśli, jednego uczucia, jednego osądu. A jednak wciąż trzeba dokonywać korekt.

– Nikoleta... naprawdę nie masz świadomości?

– Ten assembler został wyposażony w symulację świadomości. Specjalnie napisaną dla ciebie, więc wprowadziłeś w nią zmiany. Nieprzewidywalne. Błędy. Irracjonalności. Dlatego zmienił metodę twojej korekty, dlatego z tobą rozmawia. Wytworzyłeś taką potrzebę w matrycy symulacji. Na szczęście ten assembler zostanie natychmiast zdekonstruowany.

– A te czarne... stworzenia...?

– To tylko... – Wydała dźwięk wylądowania. – Po ich interwencji nie pozostają ślady.

Ty nie mogłeś zniknąć bez śladu, bo budzisz ciekawość innych jednostek. Muszą cię tu znaleźć. Jako oczywisty dowód, że Księżyc jest dla ludzi zabójczy.

Spojrzał na nią z rozpaczą. Nie z powodu trwogi umierania, ale z rozpaczą nad jej pięknem, które okazało się oszustwem.

Kiedy patrzył, jej twarz zamglila się, zwinęła w sobie i nagle stał przed nim kolejny świetlisty manekin obleczony czernią, o ledwo zaznaczonych rysach, co w jakiś sposób przypominało Mechanika. Odwróciła się i wyszła.

Widział, jak idzie, zostawiając w regolicie kilka owalnych śladów, a potem znika w oślepiającym rozbłysku.

Został sam z zapasem tlenu na osiem godzin. W rozbitym łaziku. Nagrywając każdą rysę na szybie, bo za radą martwego Mechanika zażył tabletkę i zmienił się w kamerę.

Wznoszące się nad nim zbocza były znajome.

„Może być każdy PET”. Każdy. Wszędzie.

Baza Solaris. Schronisko, w którym można czekać na ratunek.

Zapas na osiem godzin wydaje się duży, ale szybko maleje przy wysiłku, a marsz w kopnym pyłe, w skalistym terenie to ogromny wysiłek. Norbert wyszedł przez służę i zrzucił na pył segwaya.

Rozłożył go i spojrzał na zbocze. Wiedział już, w którą stronę.

Jadąc, wciąż myślał o Mechaniku.

Jeśli Mechanik żył, to czym był?

Bez względu na to, czy był jednym z pasterzy, czy nie, to przynosiło nadzieję. Mechanik walczył o indywidualną świadomość.

Im był bliżej, tym bardziej rozpoznawał drogę. Dlaczego Tajger pokazał mu tę bazę, skoro mało kto o niej wiedział? Dlaczego to wszystko tak się splatało?

Otwarcie służy było identyczne jak w podwodnym habitacie i równie proste.

Włączył prąd i poszedł sprawdzić oksygenator. Urządzenie było martwe, całkowicie i absolutnie.

Królik.

Królik, który wszedł do ambulatorium i powiedział „oksygenator sprawny”, a tymczasem załatwił go dokumentnie.

Norbert nie kupił sobie zbyt wiele czasu. Został tlen w jego zasobniku i zapas w butlach stacji, który przy normalnym funkcjonowaniu nie wystarczyłby nawet jednemu człowiekowi na długo.

A potem poszedł do ambulatorium i wydobył swoje minidyski. Nakłonienie systemu, żeby przeprowadził analizę tomografii mózgu za pomocą nowego programu, zajęło mu jakieś pół godziny. Potrzebował tylko wmusić swój program jako aktualizację. A potem położył się na kozetce i czekał, aż obręcz czujnika ustawi się nad jego czołem...

– Tajger, wywołałem bazę. Oni żyją! Są straty, ale nie słyszę jakie, sygnał cały czas przepada, ledwo ich słysząc. Ale część na pewno żyje! Ale... Tajger... – Sułtan zamilkł na chwilę, przygryzając wargi. – Oni przed atakiem odebrali przekaz z Ziemi. Mówią... że Szaman jest w szpitalu... Podejrzewają zatrucie polonem.

Norbert słuchał tego i czuł, jak każdy obraz i dźwięk wypalają mu się na mózgu. Przestał się rozpadać i teraz był maszyną rejestrującą. Wszystko było istotne i najważniejszej wagi. Być może Nikoleta żyje...

Kiedy zapis dobiegł końca, przepuścił wszystko przez program graficzny i nawet nie montował.

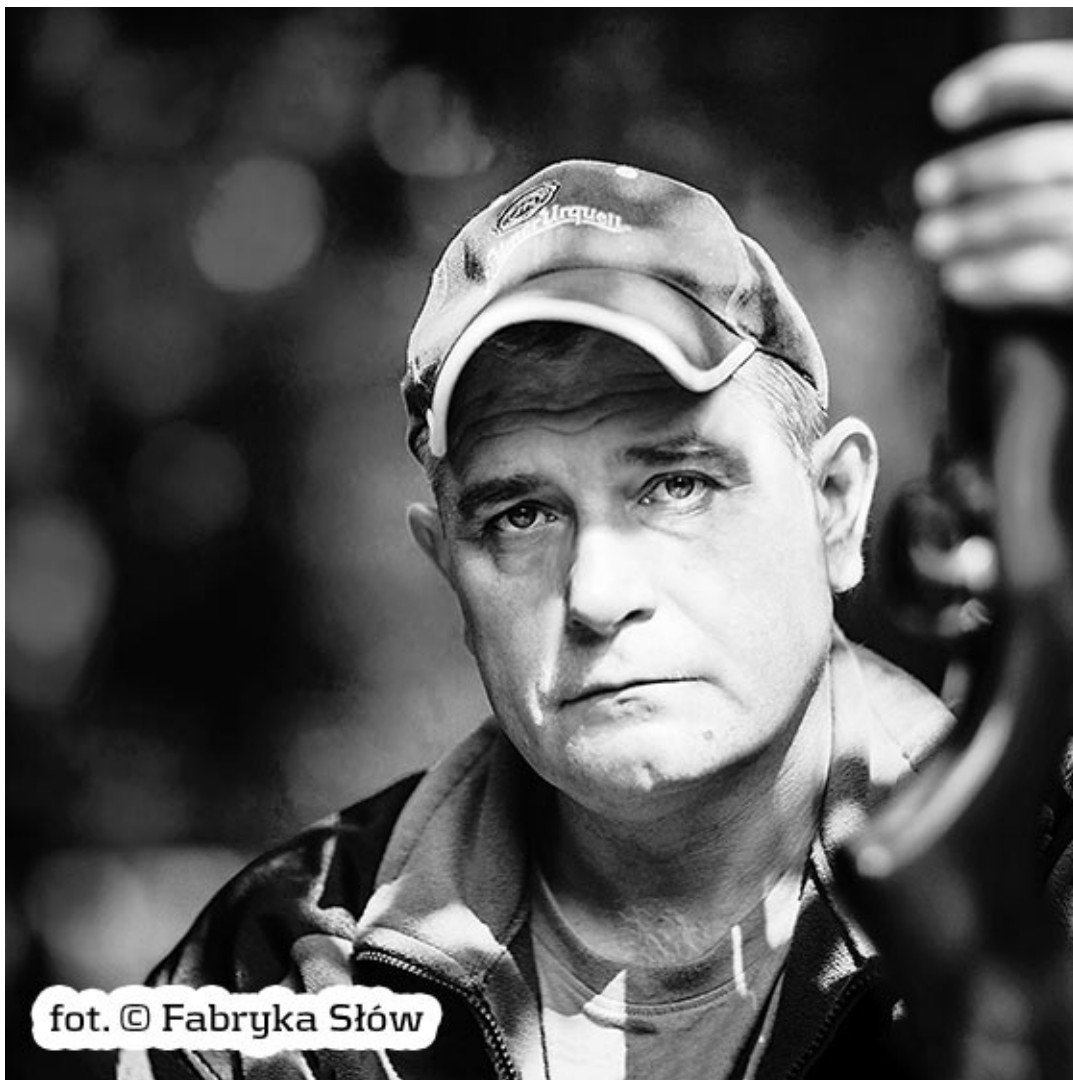
Poszedł do modułu łączności, nawiązał połączenie z Ziemią i wszedł do MegaNetu. Na liście adresatów wybrał wszystkie portale, jakie przyszły mu do głowy, i wcisnął SEND.

A potem powlókł się do pierwszej z brzegu kajuty, rozwinął nowiutki śpiwór i sięgnął do kieszeni po srebrną ampulkę reveroletheronu. Włączył muzykę i wybrał „Space Oddity”.

Wystarczyło przyłożyć ampulkę do ramienia i wcisnąć tłoczek.

Kiedy Norbert zapadał w letarg, słyszał, jak kontrola naziemna bezskutecznie wzywa majora Toma.

KONIEC



fot. © Fabryka Słów

Jarosław Grzędowicz już trzydzieści pięć lat żongluje gatunkami literackimi, konwencjami oraz rozmieszczeniem akcji w przestrzeni i czasie. Tym samym udowadnia, że w swojej dziedzinie jest prawdziwym mistrzem oraz jednym z najpopularniejszych autorów w Polsce.

W wolnym czasie robi to, na co ma akurat ochotę. Może to być całe spektrum czynności: sport, prace domowe, dziurawienie puszek za pomocą wiatrówki, lektura, spożywanie napojów ozdobionych miniaturowymi parasolkami, gotowanie, oglądanie telewizji, dekorowanie swoją osobą kanapy, leżenie w hamaku i gapienie się na liście bądź na wodę.

Cennym wsparciem dla Grzędowicza jest jego żona Maja Lidia Kossakowska. Jak sam twierdzi to błogosławieństwo móc zapytać innego pisarza o zdanie albo radę dotyczącą skonstruowania jakiejś sceny.

Książki Jarosława Grzędowicza wydane nakładem naszego wydawnictwa:

1. Księga Jesiennych Demonów
2. Pan Lodowego Ogrodu – tom 1–4
3. Popiół i kurz. Opowieść ze świata Pomędzy
4. Wypychacz zwierząt
5. Hel-3





COPYRIGHT © BY Jarosław Grzędowicz
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-222-9

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Na wyklejce wykorzystano fragment z mapy: Lunar Farside Chart (LMP-2), przygotowanej przez National Aeronautics and Space Administration, 3RD Edition May 1976.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE

Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI

Dark Crayon
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE

black gear Paweł Zaręba

REDAKCJA

Karolina Kacprzak

KOREKTA

Maria Brzyska
Magdalena Byrska

SKŁAD

„Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

[instagram.com/fabrykaslow/](https://www.instagram.com/fabrykaslow/)



J A R O S Ł A W GRZĘDOWICZ

Wyobraź sobie, że jest **pierwiastek**, który stanowi niemal **niewyczerpane źródło energii**. Dwa tiry tego surowca starczą, by zapewnić energię elektryczną dla USA na cały rok. Jest tylko jeden problem... Złoża znajdują się na Księżycu.

ROK 2058.

Zdehumanizowany świat, gdzie **omnifony** zastąpiły więzi społeczne, **filmiki z Mega-Netu** wyparty media i kulturę, a **iwenciarze** stali się bogami informacji. **Świat**, gdzie koncerny i rządy podzieliły się władzą w hodowaniu miliardów bezrefleksyjnych konsumentów, staje **na krawędzi konfliktu**.

Norbert, iwenciarz z zasadami, wierzy, że mocna i odpowiednio podana informacja może wstrząsnąć i obudzić społeczeństwo. Tylko czy **jednostka** rzucona między stalowe walce systemów jest w stanie **przeżyć** dostatecznie długo, by coś zmienić?